ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVIII. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXXI.

TOM III. — ZESZYT III.

Wrzesień.

WARSZAWA.

1893.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 14.

Druk ukończono d. 5 Września 1893 r.



MESYANIZM

W NAJNOWSZÉJ FORMIE.

(Według prof. Paulsena).

Nie ma bodaj drugiéj sprawy, któraby w naszych czasach tyle zajmowała umysły, jak tajemnica nigdy nie odgadnionéj przyszłości. Nie mam tu na myśli téj codziennéj przyszłości, która wyraża się pytaniem: czy jutra dożyję, gdzie głowę położę? i t. d., ani przyszłości w politycznem życiu i rozwoju tego lub owego narodu, ale mówię o téj przyszłości, która tajemniczą zasłoną okrywa losy całego ludzkiego społeczeństwa i zawiera się w myśli: Do czego zdąża ludzkość i co się z nią stanie?

Świat starożytny nie znalazł na to pytanie żadnéj odpowiedzi, bo nie znał go wcale. Przyjął on istnienie swoje jako fakt niezaprzeczony, starał się wyświetlić początek i istotę ludzkości, ale nie sięgał myślą po za teraźniejszość, bo, uważając sam siebie za cel swego istnienia, nie widział potrzeby szukać go w przyszłości. Zapatrując się na świat ze stanowiska naturalistycznego, nie przypuszczali starożytni żadnych wyższych, pozaziemskich celów, a jeżeli zajmowali się zagadnieniami etycznemi, czynili to tylko dlatego, aby znaleść sposób szczęśliwego i spokojnego życia na ziemi.

Chrześciaństwo dopiéro, krzewiące się bujnie na ruinach kultury klasycznéj, zapoznało świat zachodni z onem tajemniczem pytaniem, które raz stawione, nie da się usunąć, dopóki nie znajdzie zadawalniającego rozwiązania, i przyniosło zaraz ze sobą gotową na nie odpowiedź, a odpowiedź ta była istotą chrześciaństwa.

Wskazując ludzkości cel nadnaturalny, leżący po za obrębem otaczającego nas świata, do którego życie na téj ziemi uciążliwą tylko przedstawia drogę i wymagając nieograniczonéj i niczém nie zachwianéj wiary, nie pozwolił kościół chrześciański szukać samodzielnie rozwiązania stawionego zagadnienia. To téż zajmowała kwestya celu i zadania rodu ludzkiego w wiekach średnich niewiele myślących umysłów; każdy zadawalniał się daną przez kościół odpowiedzią, i chodziło tylko o to, aby historyczny rozwój ludzkości wytłómaczyć zgodnie z nauką kościoła. W ten sposób rozwinęła się u wszystkich ludów chrześciańskich idea mesyaniczna, przedstawiająca wielkie okresy historyczne za akty boskiego dramatu, który zaczął się ze stworzeniem świata, a miał znaleść swe rozwiązanie przez zjednoczenie się wszystkich narodów w kościele chrześciańskim, w królestwie bożém na ziemi.

Długie wieki panował uniwersalny ten mesyanizm w Europie chrześciańskiéj, nie znajdując nigdzie zaprzeczenia, a zadawalniając serca ludzkie spowodował on tę posuchę umysłową, którą odznaczają się wieki średnie, bo na cóż było szukać prawdy, kiedy się ją znało, na co zajmować się drobnostkowemi poszukiwaniami, kiedy się posiadało całość wiedzy!

Ale nadszedł czas, gdy ostygła w sercach wiara, gdy studyum nowo odszukanéj literatury klasycznéj popędzało do nowych badań i nowe budziło wątpienia, a kościół po wynalazku druku nie znalazł w sobie siły, aby poskromić i upokorzyć buntujące się umysły. Owiany duchem odradzającego się poganizmu, zerwał świat uczony z tradycyjnemi zapatrywaniami i zwrócił się do filozofii klasycznéj; ale choć filozofia ta zadawalniała Greków, nie mogła ona zadowolnić chrześcian, bo nie zawierała odpowiedzi na stawiane przez chrześciaństwo pytanie. Dlatego téż rozpoczęła się na rozłomie dokonanym przez rewolucyę religijną XVI-go wieku gorączkowa niemal praca badań i poszukiwań naukowych, które miały stać się podstawą samodzielnéj filozofii.

Nie mogąc pominąć milczeniem stawionego przez chrześciaństwo zagadnienia, starała się nowa filozofia uchylić zasłonę dzielącą teraźniejszość od przyszłości i opierając się na licznych i wielkich wynalazkach stawiła ludzkości cel sięgający w przyszłość: ująć w karby wrogie siły natury i uczynić je sobie podwładne.

Tak stanęły naprzeciw siebie dwa różne zapatrywania na cel i zadanie człowieka na ziemi. Chrześciaństwo wskazywało na świat pozaziemski, na zdobycie sobie nieba; filozofia na ziemię, na opanowanie natury. Mimo przepaści, która dzieliła te dwa wrogie sobie obo-

zy, nie dało się uniknąć, aby jedno zapatrywanie nie oddziaływało na drugie, i musiał nadejść czas. kiedy każda z rzeczonych nauk przyznała drugiéj prawo bytu, ograniczając ją stosownie do celu, który sobie stawiła.

Zasługę chwilowego pogodzenia filozofii z kościołem słusznie należy przyznać Kantowi, który ograniczył filozofią do otaczającego nas świata fenomenów i zwrócił na to uwagę, że nie mogąc nic powiedziéć o świecie realnym, o czystym bycie, nie możemy odmawiać prawa istnienia nadnaturnym poglądom, wypływającym z religii objawionéj.

Zwolennicy i następcy Kanta nie trzymali się jednakowoż granic, które im mistrz oznaczył, lecz starali się zajrzéć za pomocą czystéj logiki po za świat fenomenalny i wykryć związek między nim a czystym bytem. Tak powstały systematy filozoficzne Fichtego, Schellinga, Hegla i ich uczniów.

Romantyzm, charakterystyczny dla końca XVIII-go i początku XIX-go wieku, i nowo odkryta filozofia indyjska, tyle spokrewniona z chrześciaństwem, obudziły zamiłowanie do wieków średnich i zbliżyły umysły do supranaturalistycznego pojęcia świata, a rewolucya francuska, burzliwe lata wojen napoleońskich i silnie się budzący ruch socyalny, wywołały jakieś niespokojne oczekiwanie przyszłych czasów i usposobiały do najdziwniejszych pomysłów.

Nie dziw, że niepokój, ogarniający zwykle tłumy w podobnych okolicznościach, udzielił się także filozofii spekulacyjnéj i znalazł wyraz w znanéj teoryi Schellinga o kościele Św. Jana, w wysnutych z filozofii Hegla systemach polskich filozofów, a szczególnie w pismach najwięcéj niezależnego od szkoły niemieckiéj Hoene-Wrońskiego.

W innych czasach byłyby pomysły te prawdopodobnie mało znalazły wielbicieli, ale wówczas zwrócił spekulacyjny mesyanizm powszechną na siebie uwagę, bo odpowiadał zupełnie nastrojowi społeczeństwa.

Fakty historyczne zadające kłam idei mesyanicznéj, pogarda, w którą popadła filozofia spekulacyjna w 5-ym dziesiątku naszego stulecia i silnie budzący się zmysł krytyczny zadały filozoficznemu mesyanizmowi cios śmiertelny i ostudziły publiczność wyczekującą przyjścia królestwa bożego na ziemi, bez względu na to, czy miał je zaprowadzić sam Mesyasz, czy téż zjawić się miało samo podług recepty Schellinga i polskich filozofów.

Krańcowy idealizm i skłonność do supranaturalizmu, znamionujące filozofię spekulacyjną, wywołały u stronników starej szkoły racyonalistycznéj silną reakcyą, która również wpadłszy w krańcowość,

nie oparła się aż na grubym materyalizmie i zjednała sobie w krótkim czasie stosunkowo wielu stronników nietylko w świecie uczonych, ale więcéj jeszcze w pośród ludu zwabionego socyalnemi jéj teoryami.

Kiedy filozofia materyalistyczna stawiła ludzkości znowu cel czysto ziemski, zaprzeczając istnieniu świata pozazmysłowego, szkoła zaś filologiczno-krytyczna zamknęła się w swoich opleśniałych szpargałach, opuszczając prawie zupełnie pole fizyki i metafizyki, szerzyć się zaczęła woluntarystyczna teorya Schopenhauera, w któréj tenże odmawia prawa bytu spekulacyi, niemniéj jak materyalizmowi, a widząc istotę świata w nieświadoméj sobie i sprzecznéj z sobą samą często woli, podkopał wiarę w ziemskie i pozaziemskie cele ludzkości i nie pozostawił jéj innego zadania, prócz bolesnéj walki z życiem bez końca i bez nadziei.

Pierwszy raz odrzucono tu wyraźnie i stanowczo w poważnéj filozofii pytanie, które w świecie zachodnim stawiło chrześciaństwo, pierwsza to filozofia, która człowiekowi żadnego nie stawia celu, ni zadania, żadnego nawet ideału szczęścia, — bo owo zaprzeczenie swéj woli, które Schopenhauer podaje za jedyny środek uniknięcia cierpienia, zastosować mogą do siebie nieliczne tylko i skłonne do tego jednostki. Ludzkości zaś nie pozostaje nic, tylko rodzić się, cierpiéć i umiérać!

Stojąc w sprzeczności z dawną szkołą idealistyczną, z materyalizmem i objawioną religią, nie znalazła pesymistyczna filozofia Schopenhauera początkowo żadnych prawie stronników. Ale od czasu, gdy zanikły zamknięte szkoły filozoficzne, a namnożyło się eklektyków w naszém społeczeństwie, gdy filozofia przestała być monopolem dla uczonych i w szerszych kołach zaczęła budzić zajęcie, stały się dzieła Schopenhaura najulubieńszą poważną lekturą, i wpływ jego musiałby być ogromny, gdyby nie ocknęła się nareszcie drzémiąca od 5-go dziesiątka tego stulecia filozofia idealistyczna, wzmocniona gruntownėm krytyczno-porównawczém studyum starych teoryi.

Nowy ten idealizm, różny zupełnie od spekulacyi, którą bezwzględnie potępia, opiéra się bezpośrednio na filozofii greckiéj, a jest poniekąd dalszym ciągiem filozofii Kanta, odrzucając wszelakoż matematyczną jego metodę. Wstępując w ślady wielkiego mistrza królewieckiego, ograniczają się dzisiejsi idealiści do świata fenomenalnego i starają się wytłómaczyć go szczególnie za pomocą psychologii, nie zajmują się zaś wcale czystym bytem, wiedząc, że nie zdołamy nigdy uchylić zasłony, która nas od niego dzieli, że jako ludzie tylko stosownie do naszych zmysłów świat poznawać możemy.

Nie zajmując się wcale światem pozazmysłowym, a nie mogąc i nie chcąc odmówić mu rzeczywistości, nowy idealizm nie stawia ludzkości żadnego ostatecznego celu, ale nie zaprzecza go także, jak to uczynił Schopenhauer, wskazuje on tylko dalszą usilną pracę naukową i postęp kulturalny, jako jedyny cel na ziemi, za którym godzi się uganiać człowiekowi.

Dziwna, że gruntowna ta i ostrożna filozofia zaczyna mimo niezmierzonéj przepaści, która ją dzieli od spekulacyi, wchodzić na te same tory, na których zatrzymali się spekulacyjni filozofowie, że i ona zapowiada bliskie nawrócenie się ludzkości do prawdziwego chrześciaństwa, jedném słowem, że doprowadziła do mesyanizmu.

Myśl tę, nie nową, jak widzieliśmy, ale bardzo oryginalnie ujętą, wygłosił w etyce swojéj (1889, 1891) znany profesor berliński Paulsen, a rozwinął niedawno szeroko z katedry przed licznie zgromadzoną publicznością, nie myśląc prawdopodobnie o tém, że przed 50-ciu laty z téj saméj katedry rozwodził się nad nią sławny podówczas, dziś wzgardzony Schelling.

Gdyby teorya mesyaniczna prof. Paulsena była tylko powtórzeniem lub parafrazą starego mesyanizmu romantycznego, nie wartoby zwracać na nią uwagi, a tém mniéj obszernie ją omawiać; ale pomimo że w rezultacie bardzo się do niego zbliża, doszedł do niéj prof. Paulsen na nowéj zupełnie drodze, zapatrując się na świat ze stanowiska historyczno-psychologicznego, jest więc w saméj rzeczy nowym zupełnie pomysłem, na który można się wprawdzie nie zgadzać, ale nad którym w każdym razie godzi się zastanowić.

Zwracano już niejednokrotnie uwagę na dziwną analogię pomiędzy pojedyńczym człowiekiem a całym narodem, porównywano narody wstępujące w progi życia państwowego z młodzieńcem, który w poczuciu swéj siły rwie się do walki i czynu i szydzi z nadarzających się przeciwności, narody stojące na szczycie zewnętrznéj potęgi i wewnętrznego rozwoju z dojrzałym mężem w kwiecie wieku, a upadające ze starcem chylącym się do grobu. Analogią tę, poetyczną więcéj niż prawdziwą, przenosi prof. Paulsen z większém szczęściem na całe społeczeństwa cywilizowane, i znajduje w rozwoju każdego z nich trzy wielkie równe epoki, tak że znając minione, wnioskować można o teraźniejszéj kulturze, w któréj się znajduje epoce i rychło czy późniéj wstąpi w nowe stadyum rozwoju.

Jeżeli rzucimy spojrzenie na nieprzerwany szereg walk o byt i życie tworzących nierozwikłany prawie chaos bohatérskich czynów wojennych, głębokiego i zimnego wyrachowania i zaocznych knowań podłéj zdrady, poświęcenia się jednostek dla dobra ogółu, brudnego

egoizmu i wybryków niepohamowanéj namiętności, z których się składa zewnętrzna historya rodu ludzkiego, spostrzeżemy, że pośród powstających i niknących narodów wyrastają od czasu do czasu państwa, które skutkiem właściwéj im siły i korzystnych okoliczności trwalszém odznaczają się życiem i bujniejszym rozwojem, a wzbiwszy się ponad swe otoczenie wciągają je w koło zapatrywań swoich i swojéj pracy i zlewają się z niém w jedno wielkie społeczeństwo, noszące charakterystyczne znamię właściwéj mu kultury.

Ile takich społeczeństw cywilizowanych powstało i działało na ziemi, aby ustąpić ostatecznie miejsca doskonalszym lub zginąć bez śladu pod barbarzyńskiemi ciosami najezdzców, nie da się dzisiaj obliczyć. My znamy dokładniéj tylko własne swe społeczeństwo chrześciańskie, klasyczny świat grecko-rzymski i okruchy kwitnącéj niegdyś indyjskiéj kultury. Reszta zaginęła może bezpowrotnie, albo wyczekuje jeszcze wyświetlenia.

Zastanawiająca analogia w rozwoju kultury indyjskiéj, a grecko-rzymskiéj naprowadziła prawdopodobnie prof. Paulsena na myśl, że istnieją pewne niezmienne prawidła w życiu społeczeństw cywilizowanych i skłoniła go do poszukania ich także w świecie chrześciańskim.

Opuściwszy stare swe siedziby, przybyły bitne plemiona indyjskie 20 mniéj więcéj wieków przed nar. Chr. w żyzne okolice Gangesu, a zwalczywszy od dawna tam osiadłe narody, objęły w posiadanie ich ziemie i rozpostarły się przez cały półwysep aż do bogatego Cejlonu. Stałe osiedlenie się pociągnęło za sobą porządek państwowy i wyrobienie się różnych stanów, stosownie do zajęcia, stanowiska i majątku, pod przewodnictwem radżów i kasty kapłańskiéj brahminów. Oto pierwsze kroki w życiu młodocianych szczepów indyjskich i zarazem pierwsza epoka w cywilizacyjnym ich rozwoju.

Epoka druga zamyka w sobie długie wieki pracy wewnętrznéj, czasy, gdy zaczęto wznosić pod błyszczącém niebem wschodu budowy poświęcone bogom i pałace książęce, gdy wydrążano one święte pieczary, zadziwiające nas dziś jeszcze ogromem swoim i oryginalnością, gdy odwieczne mytologie irańskie zlały się w poetyczny systemat panteistycznéj filozofii indyjskiéj, gdy po całym świecie zachodnim, a prawdopodobnie także wschodnim zaczęły się rozchodzić wyroby i korzenie Indyi a szeroko rozgałęziony handel nagromadził one bajeczne bogactwa „Ofiru“, o których tyle baśni tajemniczych greccy rozpuścili żeglarze.

Trzecia i ostatnia epoka kultury indyjskiéj oznacza czasy, w których bogate królestwa Indów, stanąwszy na najwyższym szczeblu potęgi i rozwoju, zaczęły chylić się ku upadkowi, i w pośród społecznego

zepsucia powstała religia odkupienia, budyzmu, pełna głębokich myśli, osnutych przędzą tajemniczego mistycyzmu, religia zaparcia się siebie i poświęcenia, z klasztorami swemi i mnichami, którzy tyle mają podobieństwa do pierwotnych anachoretów chrześciańskich.

Krótki rzut oka na kulturę Greko-Rzymian przekonywa nas, że niezależnie tą samą, co indyjska, szła koleją.

Podobnie jak Indowie, przybyli Grecy w czasach okrytych pomroką przeszłości w piękne kraje Pelasgów, przynosząc ze sobą starożytne swe bogi, a ujarzmiwszy pierwotnych mieszkańców, osiedli na ich ziemi i założyli nieznaczne państewka, z których wyrosnąć kiedyś miały Ateny i Sparta. Pod pięknem, greckiem niebem, na uroczych wybrzeżach morza Śródziemnego rozwinęło się wkrótce bujne życie społeczne, z którego tyle stworzyła poetycznych legend żywa wyobraźnia narodu, a stare bogi i prosty kult religijny otoczyły się ową fantastyczną przędzą podań mitologicznych, które znajdujemy w prostych i naiwnych utworach Homera. Z samego już brzmienia tych pieśni daje się odgadnąć, że całe życie społeczne i prywatne zamykało się w ramach przejmującego wszystko kultu, że religia stanowiła zewnętrzną formę całego greckiego życia, była ogniwem, które łączyło ze sobą pojedyńcze szczepy i była zarazem prawem, którém się rządziły, a zdanie to potwierdza cała historya grecka i wogóle starożytna.

Skoro się atoli naród więcéj rozwinął umysłowo i trzeźwiéj zaczął się zapatrywać na świat i na życie, straciły na powadze starożytne bogi, a baśni mitologiczne, przestały zadawalniać myślących. Zbudziła się żądza wiedzy, popędzając do poszukiwań nad istotą świata i ludzkości, i powstała klasyczna filozofia grecka, aby w uczonych kołach zastąpić religią. W tym samym czasie podnosi się polityczne znaczenie Grecyi, która za pomocą swych kolonii wciąga w koło swych poglądów cały świat zachodni; budzi się przemysł, rozwija się handel, sięgając od bogatych w bursztyn wybrzeży Baltyku, aż do tajemniczego „Ofiru,“ a cały ten rozwój kultury, drgającéj życiem i siłą, zarzuca nigdy nie zwiędłemi kwiatami niedościgniona po dziś dzień sztuka grecka: rzeźba, malarstwo, poezya.

To drugi okres w rozwoju kultury starożytnéj.

Trzecia epoka oznacza, tak samo jak w Indyach, przesilenie.

W czasie, gdy kultura grecka stanęła na szczycie swego rozwoju, wkradł się do niéj nieznacznie robak zepsucia, demoralizując całe społeczeństwo. Fałszywy akord daje się odtąd słyszéć w harmonii życia greckiego; sztuka zaczyna tracić poważny swój nastrój a przybiéra cechę niespokojnéj indywidualności, która ją zbliża do naszéj sztuki nowożytnéj, filozofia rozpryskuje się na liczne, zwalczające się

bezustanku szkoły, z których epikureizm coraz więcéj sobie zyskuje stronników, niesnaski wewnętrzne rozszarpują łono narodu, niszczą bez celu i korzyści jego siły, aż rzucają go wreszcie pod stopy barbarzyńskiego prawie jeszcze podówczas Rzymu.

Grecya upadła politycznie pod ciosami dyktatorów rzymskich; ale choć zdeptana nogą brutalnych zwycięzców, nie straciła swéj przewagi umysłowéj, wciąga świat rzymski w koło swéj kultury, przerabia go na własne podobieństwo i robi go spadkobiercą długowiekowéj swéj pracy.

Zdawało się na chwilę, jakoby niezepsuty jeszcze naród rzymski miał nową wlać siłę w upadającą kulturę grecką, którą przyjął za swoję; ale był to tylko ostatni promyk gasnącego życia, które nim zagasło, silniejszym jeszcze na chwilę wybuchło płomieniem — a potém zaczęła się długa i beznadziejna noc zupełnego upadku.

Niewyrobiony jeszcze umysłowo świat rzymski zyskał pod greckim wpływem na zewnętrznym blasku, ale nie umiał przetrawić obcéj mu kultury, przyswoić sobie prawdziwych jéj zalet, a odrzucić truciznę, która się do niéj zakradła, lecz pochłonął chciwie i bez wyboru wszystko, co nosiło znamię greckiego ducha, nie wiedząc, że tam się ukrywał zarodek śmierci.

Bezwzględne naśladownictwo kultury greckiéj wywarło na społeczeństwo rzymskie smutne nadzwyczaj skutki. Stare domowe cnoty poszły w niedługim czasie w zapomnienie, przyswojona filozofia grecka nie potrafiła utrzymać się na pierwotnéj swéj wysokości, zadawalniać i uszczęśliwiać, jak uszczęśliwiała za czasów Platona, Arystotelesa, Zenona, a stare bogi stały się zabawką i pośmiewiskiem prawie dla świata wykształconego. Rozpusta rozgościła się w marmurowych pałacach magnatów i pośród bezmyślnego tłumu, żywiącego się okruchami, które spadały ze stołów spodlonych potomków Scypionów i Brutusów i rozwiązłych libertynów. Szał lubieżny i żądza zabawy ogarnęły cały naród, ale nie zdołały zapełnić próżni serca, wypłoszyć apatyi i niesmaku, który zapanował w społeczeństwie.

Żadna myśl wyższa nie przyświecała temu świetnemu motłochowi ani zdziczałym tłumom wiecznego miasta, nie było ideału, któryby lud podnosił z upadku i prowadził do czynu — i w tym to czasie ogólnego rozprężenia zjawiła się chrześciańska religia odkupienia, jakgdyby przeznaczeniem jéj było wyratować tonące w kałuży społeczeństwo rzymskie i wskazać mu drogę do życia nowego.

Mało początkowo znana, zaczęła religia chrześciańska skupiać powoli pod swe skrzydła tysiące niewolników, uciśnionych i tych nieszczęśliwych, którym rozpustna zabawa nie zdołała zapełnić próżni

serca a filozofia nie mogła służyć za podstawę w życiu; mimo krwawych prześladowań i szyderstw pogan gorliwych, zwiększała się z dnia na dzień liczba nawróconych, aż nareszcie cały świat rzymski złączył się w jednym kościele.

Można by tu zarzucić, że chrześciaństwo nie jest produktem grecko-rzymskiéj kultury, lecz dostało się do niéj z obcego jéj żywiołu semickiego, albo że fundament do niéj założyło, jak chcą inni, zetknięcie się kultury greckiéj z kulturą indyjską wskutek wojen Aleksandra Wielkiego. Nie możemy się tutaj wdawać w teologiczną bardziéj niż filozoficzną dysputę co do początków chrześciaństwa, bo nie to nas obchodzi w niniejszém poszukiwaniu, jak powstało chrześciaństwo, lecz fakt, że kultura grecko-rzymska, przesiliwszy się, usposobiła umysły do przejęcia się duchem chrześciańskim, że w rezultacie zakończyła się na religii odkupienia tak samo, jak starożytna kultura indyjska.

Z niezaprzeczonéj analogii z rozwoju dwóch tych po za nami leżących kultur wysnuwa prof. Paulsen wniosek, że rozwój społeczeństwa złączonego tą samą kulturą ulega pewnym, stałym prawom, których powodów należy szukać w psychologii, że każde społeczeństwo cywilizowane przechodzi przez trzy epoki rozwoju, których pierwsza oznacza czas połączenia się jednostek w państwie do wspólnéj pracy społecznéj, druga wydaje filozofią, sztuki, przemysł i handel, trzecia przedstawia się jako przesilenie kultury i wydaje religią odkupienia (*Erlösungsreligion*).

Badając pilnie historyę narodów chrześciańskich znajduje prof. Paulsen w niéj potwierdzenie prawidła, które wykrył w rozwoju kultury indyjskiéj i grecko-rzymskiéj.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, jakoby kultura chrześciańska inną zupełnie szła drogą niż poprzedzające ją, jakoby zaczęła się tém, na czém one skończyły. Jest to jednakże złudzeniem.

Żywioły, które miały późniéj główną odgrywać rolę w świecie chrześciańskim, przyjęły chrześciaństwo zanim wstąpiły w progi życia społecznego. Były to nieokrzesane i barbarzyńskie jeszcze narody, nie spojone żadnym silnym węzłem państwowym, które żądza zdobyczy i sławy lub niewyjaśniony jakiś pociąg awanturniczy gnał na południe, na rozpadające się państwo rzymskie.

W zetknięciu z Rzymianami nauczyły się one cenić wysoką, choć podupadłą ich kulturę, olśnił je blask i majestat królowéj wszechświata, która tyle razy odpędziła je od swoich granic i w samym skonie jeszcze umiała za pomocą doskonałéj organizacyi finansów rozwinąć niepospolitą siłę i wytrwałość. Dlatego téż nie zamierzał żaden

z tych dzikich zdobywców zburzyć państwa rzymskiego, a nie śmiał przywłaszczyć go sobie w całości, ale każdy zadawalniał się odniesioném zwycięstwem i starał się zatrzymać w pokoju część zdobytą kraju, przyjmując z rąk cesarza tytuł konsula lub protektora.

Jak niegdyś Rzymianie przyjęli kulturę ujarzmionych Greków, tak samo starali się późniéj barbarzyńcy przyswoić sobie kulturę zwyciężonego Rzymu, a z kulturą przyjęli ściśle z nią podówczas związaną religią chrześciańską.

Okoliczność ta wyjaśnia, dlaczego u plemion germańskich nie widzimy tego głębokiego poświęcenia i przejęcia się duchem chrześciańskim, które nas zadziwia u pierwszych nawróconych. Bo téż ogromna dzieliła ich przepaść. Pierwsi chrześcianie byli Rzymianami, którym niesmak ówczesnéj kultury kazał szukać jakiegoś punktu oparcia, jakiejś moralnéj podstawy w życiu, którzy cenili w chrześciaństwie cel pozaziemski i nie wahali się poświęcić rozkoszy tego świata a nawet życie, zapatrzeni w ideał, który im przedstawiała religia. Barbarzyniec atoli, który rozparł się na ruinach państwa rzymskiego, zbyt był nieokrzesany i zmysłowy, aby zrozumiéć idealne szczęście chrześcian; dla niego było chrześciaństwo tylko formą wyższéj kultury rzymskiéj, którą chciał sobie przyswoić.

Kiedy nareszcie uspokoiły się wzburzone fale ludów i germańsko-romańskie narody podzieliły pomiędzy siebie ostatecznie bogatą spuściznę cesarstwa rzymskiego, nie pozostało nic z rzymsko-greckiéj kultury na Zachodzie prócz niezliczonych ruin i chrześciaństwa. Resztę zniszczyli w bezustannych walkach barbarzyńcy zwycięzcy i wstępując w pierwszą epokę swego rozwoju, posiadali tyle tylko, ile w równych okolicznościach niegdyś Indyanie i Grecy: państwo, religią i utajone w narodzie siły, które z czasem nową utworzyć miały kulturę.

Stare mniemanie, jakoby średnie wieki były czasem na wskroś chrześciańskim, nie jest tak prawdziwém, jak się wydaje na pierwsze wejrzenie, bo daje się zastosować tylko do formy, nie zaś do treści życia średniowiecznego.

Nie zbywało wprawdzie na jednostkach, które przejąwszy się zupełnie duchem chrześciaństwa starały się postępować zawsze zgodnie z nauką Chrystusa, a nawet całe życie swe ofiarowały na usługę Bogu i odrzuciwszy wszystkie rozkosze światowe, odsunęły się od reszty otaczającego je świata, aby rozmyślać nad wielkiemi tajemnicami religii objawionéj i gonić za ideałem doskonałości chrześciańskiéj; ale prawdziwa ta i głęboka pobożność nie udzielała się tłumom, jak w pierwszych czasach chrześciaństwa. Wierzyły one silnie w naukę

kościoła i wypełniały ściśle wszystkie obowiązki rytualne, ale zbyt były mało wykształcone, aby pojąć choćby w przybliżeniu myśl wielkiego Mistrza, zbyt zmysłowe, aby zdobyć się na stłumienie swych popędów i indywidualnéj swéj woli.

Chrześciaństwo przenikało wprawdzie całe życie domowe i polityczne społeczeństwa średniowiecznego, opanowało wszelkie myśli i mowy i stało się normą, przez wszystkich uznaną; ale mimo to nie sięgało ono do serca ogółu, lecz stanowiło tylko powierzchowną formę, pod którą kipiało bujne życie młodocianych narodów.

Dość zajrzéć do świeckiéj literatury średniowiecznéj, aby się przekonać, jak mało ówczesne życie odpowiadało ideałowi chrześciańskiemu, ile tam pozostało czasu i miejsca do hucznych biesiad i rycerskiéj zabawy, do dworskich zalecanek i serdecznych zachwytów miłości, którą tak czule opiewali prowansalscy trubadurzy i niemieckie minnesengery. Nie udałoby się bodaj znaleźć średniowiecznego rycerza, któryby uderzony w policzek, nastawił drugi podług nauki Chrystusa i zapomniał wyrządzonéj zniewagi, bo nie pokora chrześciańska była ideałem średniowiecznego rycerstwa, lecz być lubianym od przyjaciół a mściwym i strasznym dla wroga.

Za rycerstwem postępowało wyższe duchowieństwo, przedzierzgując się z pokornych pasterzy owieczek Chrystusa na dumnych i potężnych książąt kościoła i wielkich panów światowych, a niższy kler nawet znalazł obok swych obowiązkowych zajęć dosyć czasu, aby długie ślęczyć godziny nad przepisywaniem pogańskich utworów Cycerona, Owidyusza, Horacego, które przecież nic wspólnego nie miały z chrześciaństwem, i zwracał oczy na światowe cele, starał się o wygody życia i bogate beneficya.

Tę samą ochotę do życia i samodzielnego rozwoju pod pokrywą chrześciańskiéj formy, którą staraliśmy się wykazać w prywatném życiu społeczeństwa średniowiecznego, znajdujemy spotęgowaną jeszcze w życiu państwowém.

Charakter europejskich państw średniowiecznych był chrześciański. Z rąk biskupa lub papieża otrzymywali królowie i cesarze swoje korony, biskupów mieli przy swym boku jako doradzców i pierwszych urzędników, chrześciańską była religia państwowa, i żadne przedsięwzięcie, żaden akt państwowy nie obywał się bez modlitw i ceremonii chrześciańskich, a jednak nie było prawie nigdy zgody pomiędzy rządem a kościołem, i historya średniowieczna nie robi wrażenia, jakoby odczuwano w sercu tę cześć, którą go zewnętrznie otaczano i uwydatniano licznemi przywilejami i darami. Niezliczoną liczbę razy sprzedawano infuły biskupie i beneficya opackie niegod-

nym piastować duchowne urzędy, a całe średnie wieki są nieprzerwaném prawie pasmem walk zawziętych z najwyższym dostojnikiem kościoła, któremu niejednokrotnie zdzierał zwycięzca z głowy potrójną tyarę, aby swego stronnika na złotym osadzić tronie, nie troszcząc się nawet nieraz o klątwę, która go wykluczała ze społeczeństwa chrześciańskiego.

Cóż dopiéro mówić o krwawych wojnach domowych, przepełnionych politycznemi mordami i bratobójstwem, które spodziewano się odkupić późniéj bogatemi darami na rzecz kościoła, jak ona krwawa Brunhilda za czasów Grzegorza I-go!

Same nareszcie wojny krzyżowe, tak często przytaczane za dowód pobożności narodów średniowiecznych, dowodzą, jak mało prawdziwie chrześciańskiego ducha kryło się pod zewnętrzną formą religii! Bo pominąwszy już zakaz takiego przedsięwzięcia wyrażony słowami Chrystusa: „Kto mieczem wojuje, ten od miecza zginie“, ile nadużyć i gwałtów dopuściły się te wojska chrześciańskie w chrześciańskich nawet krajach, w nadziei, że udział w wyzwoleniu Świętéj Ziemi zetrze z nich choćby najcięższe i z rozmysłem popełnione wykroczenia!

Nie duch chrześciańskiéj pokory i zaparcia się siebie stanowi charakterystyczną cechę wieków średnich, lecz niezachwiana niczém wiara, niespożyta siła młodocianych narodów, żądza życia i rozwoju i duch awanturniczy pod osłoną chrześciaństwa i bez wahania stawić je możemy obok pierwszéj epoki, w cywilizacyi rozwoju Indów lub Greków.

Równie jak oni, zajęły nowożytne narody przemocą kraje zamieszkane pierwotnie przez innych, przynosząc ze sobą tylko religią i stare swe rodowe zwyczaje, a osiedliwszy się stale, utworzyły oddzielne państwa i zajęły się uregulowaniem swoich stosunków i podziałem kraju i pracy, który pociągnął za sobą różnice stanów. Jak u Indów i Greków, całe życie prywatne i polityczne nosiło na sobie zewnętrzną cechę religii, tak odbywa się cały rozwój narodów nowożytnych pod zewnętrzną formą chrześciaństwa, a jeżeli chcemy doprowadzić analogią do końca, możemy powiedziéć, że wieki średnie osnuły religię chrześciańską poetyczno-romantyczną siatką legend i cudów, jak Grecy bogi swe starożytne i kult religijny ubarwili podaniami mitologicznemi.

Analogia pomiędzy drugą epoką chrześciańskiéj a indyjskiéj i greckiéj kultury jest tak widoczna, że nie ma potrzeby jéj dowodzić. Wydała ona u nas, jak niegdyś w Indyach i Grecyi sztuki

piękne, samodzielną filozofią, szeroko rozgałęziony handel, a do niebywałéj doskonałości doprowadziła sztuki praktyczne i przemysł.

Nigdy jeszcze nie stanęła kultura zewnętrzna tak wysoko, jak za czasów naszych; urzeczywistniły one po części fantastyczne życzenia, które złożył Franciszek Bacon w znanéj swéj utopii „*Nova Atlantis*“, ale nie przyniosły szczęścia, o którém on marzył.

Niepokój jakiś dziwny i niezadowolenie z panujących stosunków ogarnęły szerokie masy ludu, religia straciła na poważaniu i cofnęła się z życia publicznego do wnętrza kościołów, a filozofia nie doprowadziła do żadnych zadawalniających rezultatów, i nie posiadamy dziś ani jednéj szkoły, któraby w jedno ognisko skupiała myśli społeczeństwa, lecz każdy prawie jest eklektykiem, jak Rzymianie w czasie, gdy kultura ich zaczęła chylić się ku upadkowi.

Niesmak i niechęć do życia i czynu daje się uczuć w kołach tak zwanego wielkiego świata, w pośród pracującego gminu i w najnowszéj literaturze europejskiéj, a szeroko rozpowszechniony pesymizm dowodzi próżni serca i braku ideałów.

Czy kultura nasza stanęła już na najwyższym stopniu swego rozwoju, i zaczyna się dla narodów europejskich wiek starości, czas ogólnego rozprzężenia? czy owo osławione francuskie „*fin de siècle*“ jest może więcéj, niż czczym frazesem i oznacza rzeczywiście koniec naszéj epoki cywilizacyjnéj?!

Prof. Paulsen widzi w tych znakach czasu potwierdzenie swego prawidła i daje na to pytanie twierdzącą odpowiedź: sądzi, że stoimy na progu trzeciéj i ostatniéj epoki naszéj kultury, i że niedaleki może czas, kiedy, jak niegdyś Indowie i Greko-Rzymianie, zwróci się nasze społeczeństwo do religii odkupienia, a religią tą będzie, jego zdaniem, pierwotne chrześciaństwo.

Nie da się zaprzeczyć, że za jasną tą i prawdopodobną teoryą przemawia cała znana nam historya, teraźniejsze stosunki europejskie, a nie najmniéj nadzwyczajne zajęcie, które zagadnienia etyczne budzą dziś w bardzo szerokich kołach społeczeństwa naszego, przejawiając się w działalności oryginalnéj „armii zbawienia“, gorączkowém nawoływaniu pułkownika Egidy i jego stronników ku powrotowi do pierwotnego chrześciaństwa i t. d.; ale mimo to nie może ona miéć dla nas absolutnéj wartości, bo opiéra się tylko na analogii zachodzącéj w rozwoju trzech znanych nam kultur.

Powiedzmy nawet, że gdyby dokładniejsze badania nad kulturą chińską i prawie zupełnie nam nieznaną peruwiańską Inków, zgodne z teoryą profesora Paulsena wydały rezultaty, gdyby nawet przyszłość naszéj kultury ją potwierdzila, pozostanie ona zawsze

tylko hypotezą, dopóki się nie dowiedzie, że taki, a nie inny, rozwój kultury jest koniecznym rezultatem psychicznego rozwoju ludzkości.

Wié o têm bardzo dobrze prof. Paulsen i dlatego téż nie wydaje swego pomysłu za teoremat filozoficzny, lecz za to, czém jest—prawdopodobną, ale nie dowiedzioną hypotezę, a twierdząc, że filozofia nigdy nie będzie umiała odgadnąć drogi, którą prawidłowo postępuje kultura, odbiéra mu nawet prawo bytu w filozofii. Ale prof. Paulsen nie pracuje, jak się wyraża w przedmowie do drugiego wydania swojéj etyki, „dla filozofów obarczonych nadmiarem własnych myśli“, lecz dla myślącéj publiczności, i dlatego nie waha się wygłaszać — z należytém ostrzeżeniem—poglądów, które przypadają do serca, a jednak nie mogą uchodzić za niezbitą prawdę, a do takich poglądów należy przedewszystkiém zaliczyć mesyaniczną jego teoryę.

Nie jest ona zresztą, nawet w ścisłéj filozofii, zupełnie bezpodstawną i nieuprawnioną, bo nie można się zgodzić na twierdzenie, że prawidła społecznego rozwoju na zawsze pozostaną dla nas tajemnicą. Nie należy się wprawdzie łudzić nadzieją, że ujmiemy kiedyś całą historyczną działalność ludzkości w pewne, krótkie formułki, jak np. matematykę; ale rozwój psychologii i socyologii przemawia za têm, że uda się określić przynajmniéj ogólne formy, w których się obraca ludzkość i oznaczyć w grubych rysach drogę, którą postępuje kultura.

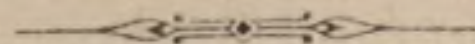
Być więc może, że przyszłe lata przyniosą nam już nie hypotezę, lecz dowiedzioną teoryą, która umożliwi nam uchylenie nieco zasłony przyszłości, być może, że potwierdzi prawidła, które stara się dziś już wykazać prof. Paulsen; ale czy społeczeństwo europejskie powróci do pierwotnego chrześciaństwa, czy téż w inny sposób zapełni próżnię swego serca, tego nie wyjaśni nam żadna teorya, to może rozstrzygnąć sama tylko przyszłość.

A. R. Czechowski.





W BRAKU DOWODÓW.



— Niewinien!

— Uwolniony wszystkiemi głosami!

— Tak, ale narada sędziów przysięgłych trwała bardzo długo...

— Trudny to był moment... dowody, które przedstawiono...

— Prawie żadne... Uwolniony z braku dowodów.

— Winszuję! nie chciałbym być w jego skórze. Bo to — pomyśl sobie — brak dowodów, to jeszcze nie jest oznaka niewinności...

— Przeciwnie! gdyby się znalazł prawdziwy zbrodniarz to co innego, ale tak...

— Zresztą, powiem ci... cała ta sprawa niejasną mi się wydaje!

— Więc jesteś zdania...

— Nie jestem żadnego zdania, nie chcę go wypowiadać, lecz mówię ci... niepodoba mi się...

— Jednak Żemiński wygląda na porządnego człowieka i co do mnie, czuję, że nie on potrafiłby mordować, kraść i kłamać...

— Mordować? mordować można... nie własnemi rękami... Co do kradzieży... mój drogi! żeby każdemu złodziejowi można było wyczytać z twarzy czém jest, chyba zabrakło by złodziei, bobyśmy się nauczyli ich poznawać. Zresztą, sumienie ludzkie bywa nieraz bardzo elastyczne. Czemu Żemiński nie miał brać tych pieniędzy, które, wiedział, że kiedyś po śmierci staréj, jemu się dostaną.

— Co też mówisz! przecie pieniądze zginęły tak jak i ślad zbrodni.

— Zginęły na razie... może się kiedy odnajdą...

Tłum rozdzielił rozmawiających.

Było to w przedsionku izby sądowéj, w któréj przed chwilą rozegrał się sensacyjny proces kryminalny.

Parę miesięcy temu, zrana, w jednym z małych domków na przedmieściu, znaleziono staruszkę pewną, panią Justynę Hubisz, zamordowaną w łóżku w nocy.

Staruszka mieszkała sama w dwóch pokoikach, bez sługi, która tylko w dzień przychodziła. Znano ją powszechnie na przedmieściu, gdzie od lat dawnych mieszkała, wiedziano że ona ma pieniądze w domu ukryte i jest skąpa aż do brudoty, sama bowiem, w wytartych sukniach i połatanych bucikach na targ chodziła, bojąc się, by posługaczka jéj nie oszukała. Ludzi nie lubiła.

Jedyną osobą, która od czasu do czasu odwiedzała panią Hubisz, był jéj daleki krewny, pan Ignacy Żemiński, urzędnik jednéj z krajowych instytucyi,

Po skonstatowaniu zbrodni morderstwa na osobie Justyny Hubisz, zawezwano pana Ignacego Żemińskiego, jako jedynego krewnego zmarłéj, celem objaśnienia go o dokonanéj zbrodni.

Ignacy Żemiński, człowiek mający około 50 lat, wdowiec, posiadający jedno tylko dziecko, zjawił się natychmiast. Widać było na łagodnéj zwykle twarzy wyraz przerażenia, umotywowanego wieścią o strasznym wypadku.

Zamordowana leżała na łóżku uporządkowaném na prędce i przedstawiała okropny widok ze swą żółtą jak wosk i pomarszczoną twarzą, na któréj malowała się zgroza, wierne odbicie uczuć, jakich doznała przed śmiercią. Rozczochrane włosy, usta i oczy na pół otwarte, załamana i rozkrwawiona czaszka, ręce zaciśnięte w kułak i zakrzepłe w tym ostatnim uścisku, wszystko to świadczyło o walce jaka się toczyła między mordercą a jego ofiarą.

W pokoiku brudnym i zaniedbanym za życia zmarłéj, nieład teraz panował straszny.

Szukano widać pieniędzy wszędzie, a zbrodniarz musiał mieć wiele czasu jeżeli był w stanie popruć nawet poduszki, z których pierze latało w powietrzu lub krwią zlane na ziemi się walało. Szafa rozbita, z komody powysuwane szuflady i graty rozmaite rozrzucone po podłodze, krzesła ostrém narzędziem przebite aż do wnętrza, że kłaki na wierzch powychodziły i ślady krwi wszędzie, wszędzie.

A staruszka leżała zimna i martwa, w podartéj i zwalanéj bieliźnie, z otwartemi w przestrzeń, przerażonemi oczyma, wyciągając zaciśniętą, konwulsyjnie skostniałą dłoń, jakby zemsty wołając...

Śmierć przejmuje nas zwykle dziwnem uczuciem trwogi i uroczystéj tajemniczości, czy ją widzimy w wypogodzonych rysach starca, który odbywszy długą wędrówkę po dolinie łez, usnął spokojnie, jak człowiek, który doszedł do kresu uczciwego żywota, czy w twarzy dziecka, lub dojrzałego człowieka. Ale czémże jest ten widok wobec tego, o którym mówimy? Tu już nie śmierć sama — jako konieczna ostateczność każdéj żyjącéj istoty — otacza nas swą tajemniczością... śmierć taka przejmuje nas lękiem, grozą. Żal nam tego życia, wydartego przemocą, żal nam nieszczęsnéj istoty, która walczyła i zwyciężoną została—i żal, i oburzenie i wściekłość porywa nas na tego, który zabrał to życie jak swoje. złakomiwszy się na marny pieniądz...

Pan Ignacy Żemiński wszedłszy do pokoju swéj krewnéj, zapełnionego obecnie urzędowemi figurami, gdy spojrzał na leżącą, wzdrygnął się, zbladł i zakrył oczy dłonią.

— Mój Boże! -- były pierwsze słowa jego — kto to mógł uczynić!...

Przystąpił potém do zamordowanéj, patrzał na nią długo, łzawemi oczyma i starał się, przyłożywszy drżącą rękę, zamknąć jéj oczy... ale zimne powieki nie dały się ruszyć i oczy zostały sztywne, przerażone, otwarte...

Urzędnik policyi przystąpił do Żemińskiego, rozpytując go i badając na miejscu o stosunki zmarłéj, starając się na mocy tych badań ustanowić jakąś hypotezę co do spełnionéj zbrodni.

Chętnie, jasno i dobitnie, odpowiadał p. Ignacy.

Był dalekim krewnym pani Hubisz, która oprócz niego nikogo więcéj na świecie nie miała. Stosunki ich były dość oziębłe. Pani Hubisz była majętną; Żemiński nic nie posiadał oprócz swéj pracy i nie chciał się narzucać bogatéj krewnéj, obawiając się by nie myślała, że rachuje na jéj pieniądze. Pomimo to, staruszka wzywała go zawsze w interesach radząc się, choć nie zawsze czyniła to, co Żemiński uznał za stosowne. W ostatnich czasach zdziwaczała. Oddawała się dewocyi, mało dbając o siebie i swoje potrzeby. Posługaczka przychodziła kilka razy z własnego popędu do Żemińskiego, prosząc go by co poradził, bo pani po kilka dni z rzędu obiadu nie jada, zadawalniając się suchym chlebem i kartoflami, gdyż czując się osłabioną sama na targ iść nie może a jéj nie ufa. Żemiński nic poradzić nie mógł. Pani Hubisz wyłajała go za jego troskliwość i gadać z nim nie chciała, a wigilię śmierci właśnie, gdy znowu przyszedł, napadła nań z krzykiem i za drzwi wyrzuciła.

Ostatni fakt stwierdzili na miejscu sąsiedzi, którzy słyszeli krzyk i widzieli jak Żemiński odchodził.

Wszystko to jednak nie wyjaśniało kto mógł popełnić zbrodnię, pomimo, że wydelegowany sędzia umiejętnie wziął się do rzeczy i nie ustawał w poszukiwaniach.

Staruszka została pogrzebaną. Ponieważ nie znaleziono ani grosza w domu ofiary, Żemiński sprawił skromny pogrzéb za swoje pieniądze.

We trzy dni późniéj, zjechała raptem rewizya do domu Żemińskiego... Urzędnicy szperali po papiérach, zaglądali w meble, pruli materace i ostatecznie, oświadczyli Żemińskiemu, że musi iść z nimi...

Cios dla biednego człowieka był tém straszniejszy, że nie spodziéwany. On, szlachcic z dziada pradziada, człowiek nieposzlakowanéj dotąd sławy, zażywający powszechnego szacunku, on, podejrzany o zbrodnię morderstwa! Przez wzgląd na córkę, która przerażona mdlała, starał się zapanować nad sobą i spokój zachować, tłómacząc jéj, że to jakieś nieporozumienie, pomyłka, która wyjaśni się wkrótce...

Poszedł. I odtąd zaczęły się katusze bez nazwy dla ojca i córki.

Podczas całego trwania śledztwa, mniéj więcéj przez sześć tygodni, niewolno było Żemińskiemu widywać się z córką i to był dla nich czas najgorszy. Kazia Żemińska, ośmnastoletnia panienka, żywa i wesoła jak dziecko, nieszczęściem, które spadło na nich odrazu. przekształconą została na kobiétę.

Coś dziwnie nienaturalnego i rzewnego leży w fizyognomii takich istot dojrzałych przedwcześnie; robi ona wrażenie wybujałéj, pełnéj życia rośliny, którą zatrzymano nagle w rozwoju, przesadzając w ciasny wazon, gdzie roślina czuje, że jéj krzywdę zrobiono i żyje, ale smutném życiem bez celu, bez kwiatów i woni. Posłuży ona teraz może innym, strojąc okno lub stół w salonie, ale o własnych przyjemnościach marzyć jéj już nie wolno.

Kazia, z zapadłemi od ciągłego płaczu oczyma, z pobladłą twarzą i surowym prawie wyrazem na ustach, które śmiać się przestały, czyniła to samo wrażenie.

Pierwszych dni po uwięzieniu ojca, pozostawała jak skamieniała w wielkim bólu, nie skarżąc się, nie płacząc, nie mówiąc ani słowa, bez snu i jedzenia. Ale rychło otrząsnęła się z tego stanu, czując instynktowo, że jéj działać wypada. I wzięła się do dzieła gorączkowo, energicznie. Chodziła do adwokatów, sędziów, oparła się o najwyższe instancye, chwili spokoju sobie nie dała; aż litość brała patrzéć

na tę biedną dziewczynę, pracującą gorliwie, bez możebnych rezultatów!

Żemiński był podejrzany. Znaleziono kogoś, komu oskarżony zapłacił za towar dziesiątkę, na któréj były ślady krwi... znaleziono podczas rewizyi w jego mieszkaniu klucz, który przystawał wybornie do zamku szafy, w któréj pani Hubisz trzymała pieniądze. Klucza tego brakowało i szafa została przez zabójcę rozbitą, ale to nasuwało myśl, że Żemiński będąc w posiadaniu klucza, często musiał za życia zmarłéj do tej szafy zaglądać... Znaleziono także mocno zabłocone buty Żemińskiego, które to błoto, porównane z błotem przedmieścia, okazało się tém samém...

Faktem dowiedzionym było, że Żemiński znajdował się u staruszki wieczorem przed zbrodnią i że się w gniewie rozstali. Faktem także, że Żemiński późno wrócił dnia tego do domu, nie mogąc zasłonić się żadném *alibi*... Mówił, że rozirytowany uporem ciotki, chodził długo za miastem, aby się uspokoić nim wróci do domu. Że wrócił późno, ani więc badany odźwierny ani służący i córka, którzy już spali, nie mogli oznaczyć która była godzina.

Zatulona w kąciku galeryi, z twarzą gęstym welonem osłoniętą, siadywała co dnia Kazimiera całe ranki w sali sądowéj, słuchając słów obwiniających jéj ojca, tylko w Bogu pokładając nadzieję ratunku.. Na adwokata. osobistego przyjaciela Żemińskiego, człowieka rzadkiéj zacności i kwiecistéj wymowy, można było liczyć, témbardziéj, że był przekonany o niewinności oskarżonego.

Ostatniego dnia rozprawy, gdy otworzył usta, broniąc w długiéj przemowie swego klienta, potrafił takie wrażenie wywołać, że łzy pojawiły się w oczach wielu a o rezultacie rozprawy nikt odtąd nie wątpił.

Sędziowie przysięgli udali się na ustęp na naradę, a po jakimś czasie wrócili z wyrokiem:

— Niewinien!

Niewinien! wolny!... oto co się odbiło o uszy ojca i córki, budząc ich jakby z letargu! w którym tak długo oboje pogrążeni byli.

Kiedy na dole Żemiński przyjmował powinszowania znajomych, na górze, na galeryi, Kazimiera, silna wobec nieszczęścia, radości nagłéj znieść nie była w stanie, omdlała...

Ale w krótkim czasie dzielna dziewczyna przyszła do siebie i przeciskając się przez tłumy dotarła do ojca, rzucając mu się w objęcia... Za chwilę, oboje ukryci w najętym powozie dążyli do swego mieszkania.

Zdawało się teraz, że się już ich nieszczęścia skończyły. Że-

miński został uznany za niewinnego, a niewinność ta, pomimo pozorów tak jasną była, że prokurator na wyrok sędziów zgodził się odrazu, nie wnosząc nań zażalenia. Pobity na każdym kroku przez dzielnego obrońcę, upiérał się przy swojem oskarżeniu z uporem, pomimo wielu faktów, świadczących przeciwnie. Ale teraz musiał przyznać, że się mylił i przyznał to w milczeniu, które tryumfem było dla Żemińskiego.

Posiadał on zresztą wiele sympatyi i pomiędzy sąsiadami a nawet i między publicznością. Jednak, znalazło się wielu, którym „cała sprawa niejasną się wydawała.“ „*Calomniez, calomniez, il en restera toujours quelque chose...*“ mówi francuskie przysłowie.

Tak téż się stało i tą razą. Nagromadzenie obwiniających faktów nie przebrzmiało bez echa; słuchacze tego procesu przyjęli fakta, zestawiali je razem i zastanawiali się chciwie.

— Niewinny? być może. Ale winien, że podobne posądzenie paść na niego mogło, że się na nie naraził. Kto wié jakie tam interesa ze starą go łączyły... Niejasne to. Nie ufała nikomu, nie miała znajomych, nikt u niéj nie bywał, a więc kto wié jaki tam był ich stosunek...

— Znaleziono u niego klucz od szafy z pieniędzmi — mówiono daléj. — Tłómaczył się, że to klucz od jego własnéj szafy, a jednak szczególna okoliczność te dwa zamki tak podobne do siebie. A owa zakrwawiona dziesiątka? niby to dowiedziono, że to nie była krew, ale...

— Gdzież winowajca? — powtarzali znów inni. — Czyż można przypuścić, by ktoś tak znikł bez śladu, zabiérając tyle pieniędzy?

Pan Żemiński i Kazimiera nie przypuszczali nawet co ludzie mówią i jak się nimi zajmują. Wypoczywali biédacy po tylu dniach smutku i upokorzenia, szczęśliwi tém, że już ich nic rozłączyć nie zdoła, szczęśliwi, że niewinność dowiedzioną została.

Na razie o niczém innéni nie myśleli.

Ładne choć skromne mieszkanie Żemińskiego świąteczny dziś miało pozór. Kazimiera kazała pozapalać lampy we wszystkich pokojach, postarała się jakimś cudem o kwiaty, sama przybrała się w jasną suknię i z tryumfującym uśmiechem prowadziła do suto zastawionéj herbaty ojca i poczciwego adwokata, który go bronił.

Ale jeść tego wieczora nie mogli; cała straszna katastrofa zbyt żywo tkwiła w ich pamięci... nie mogli uwierzyć, że już im nic nie grozi, że ciężar, który tak długo ugniatał serca, przestał już istnieć.

Kazimiera patrzała ukradkiem na ojca i wzdychała skrycie, wi-

dząc jak się przez dwa miesiące postarzał, posiwiał i zgarbił... Żemiński ze swéj strony widział zmianę w ukochanéj córce i to radość ich truło.

— Mój Boże! — zawołał po wyjściu przyjaciela — co nas to wszystko kosztowało!

Kazia myślała że ojciec o materyalnéj stronie mówi.

— Nie trap się mój ojcze! — rzekła słodko — oszczędzimy się teraz. Musimy zacząć inny tryb życia, mieszkanie i tak za duże, Wojciecha odprawimy... na co nam służącego?

— Tak, tak, masz słuszność biédne dziecko! Trzeba zapłacić adwokatowi, świadkom... muszę wziąć zaliczkę na pensyę! pomału to się odrobi.

— Tylko się nie zapracowuj, mój ojcze! twoje zdrowie i tak wypoczynku potrzebuje.

Uśmiechnął się smutnie.

— Wypocząłem doskonale... tam! — westchnął. — Pójdę jutro do biura — mówił daléj — muszę się o tę zaliczkę postarać. Mam nadzieję, że mi jéj nie odmówię.

Poszedł nazajutrz, a wszedłszy między kolegów, gdy ujrzał zadziwione nieco twarze, niemiło mu się zrobiło. Ci panowie przyjęli go jednak bardzo grzecznie i zaraz oznajmili naczelnikowi, że pan Żemiński prosi o posłuchanie.

Niespokojny już bardzo czegoś, przestąpił Żemiński próg sanktuaryum.

Naczelnik biura, człowiek bardzo dobrze wychowany, przyjął go bardzo serdecznie, nadto może ostentacyjnie tę serdeczność okazując, która na litość nieco zakrawała.

— Jesteś już kochany panie Żemiński? — woła. — Bardzo mi miło, że pana widzę, bardzo... A jak tam zdrowie? dobrze się czujesz? Wymęczyli cię? ha, cóż robić, nie ich wina... zbieg okoliczności!... Nie umiem wyrazić, jak mi żal było pana, ależ przecie zapewnień nie potrzebujesz... Miałeś pan dowód jak ci jestem życzliwy z odpowiedzi, jakie dałem na pytania, które mi co do pana postawili: „Człowiek bez zarzutu, urzędnik wzorowy, pracowity...“ pamiętasz?

— Przychodzę podziękować panu dyrektorowi, a ufając jego dobroci polecić się nadal...

— Polecić? — przerwał naczelnik żywo. — Co tylko w mojéj mocy, kochany panie Żemiński... jednak, na razie... musisz poczekać...

— Panie dyrektorze... czekać mam? na co? dlaczego?...

— No, może się co odkryje... roboty mnóstwo, sił mało... tak długo czekać na pana nie było sposobu...

— Czy to ma znaczyć, panie dyrektorze, że moje miejsce zajęte?...

— Kochany panie Żemiński... nie moja w tém wina. Mówiłem na sesyi, przedstawiałem, prosiłem... no, nie wiedzieli, jaki obrót ta sprawa weźmie...

— Więc są tacy, którzy mnie wzięli za winnego... — wyjąknął nieszczęśliwy.

— Nie bierz pan tego do serca, kochany panie. Co do mnie, nie sądziłem ani minuty... Pamiętaj, że nie ja jeden decyduję; ten i ów miał protegowanego... Jest to zresztą rzecz do odrobienia... postaram się...

— Wdzięczny jestem panu dyrektorowi — drżącym głosem przerwał Żemiński. — O dobroci pana dyrektora nie wątpię, ale wątpię czy jego dobre chęci pożądany skutek odniosą... Instytucya taka jak ta, nie może mieć do czynienia z ludźmi, którzy siedzieli na ławie oskarżonych.

Pomimo protestu ze strony dyrektora i zapewnień z jego strony, Żemiński wiedział już, czego się ma trzymać i wyszedł na ulicę, jak człowiek, którego grom ogłuszył...

Nie wracał jednak wprost do domu, oddalając chwilę, kiedy stanie przed Kazią z fatalną wieścią. Ochłonąwszy nieco na ulicy, kołatał do kilku jeszcze firm, szukając zajęcia; wszędzie przyjmowano go z temi samemi zadziwionemi a czasem niedowierzającemi minami, jakie napotkał w swojém dawném biurze; wszędzie obiecywano pół-gębkiem, byle zbyć, bardzo grzecznie, ale odstręczająco.

Podróże takie odbywał teraz co dnia nieszczęśliwy człowiek, co dnia z tym samym rezultatem.

Kazia tymczasem, kamienna w swojéj boleści, jak istota na śmierć skazana, z podziwienia godną energią czyniła reformy w domu.

Zamiast pięciu wygodnych pokoi, najęła dwa małe z kuchenką, odprawiła służącego i sprzedawała zbytkowne rzeczy, zostawiając to tylko co niezbędnie było potrzebne, aż do sukien swoich. Odprawiła nawet kucharkę, przyjmując natomiast prostą dziewczynę z którą razem gotowała.

Instynktowo czuła biédna, że niedola ich dopiéro się zaczyna i oszczędzała grosz każdy, chowając go skrzętnie.

Z przyjaciół, znajomych, których dawniéj mieli tyle, pomału usuwali się wszyscy. Była może w tém także wina Kazi, bo zbyt

dumna aby się narzucać i czekać aż jéj dadzą do zrozumienia, że stosunki z nią są niemożebne, usunęła się sama. Jeden tylko adwokat Rubicki pozostał wiernym Żemińskiego przyjacielem i doradcą. Dzięki jemu, Żemiński nie oddał się czarnéj rozpaczy, a twarzyczka Kazi rozjaśniała się czasem nadzieją.

Przyszedł jednak czas, gdy zebrane przez Kazię zapasy wyczerpywać się zaczęły, a nadziei polepszenia bytu nie było. Żemiński nie dostał dotąd żadnego miejsca i powoli począł przychodzić do przekonania, że nie ma się czego spodziéwać.

Wtedy Kazia pomyślała, że jéj dwie ręce przydać się na coś mogą, że może ona potrafi zdobyć sobie jaką pracę, którą tak trudno było ojcu otrzymać.

W tym celu, w chwilach kiedy ojca nie było w domu, zaczęła i ona biegać.

Przyszło jéj na myśl udać się do znajoméj swojéj, przełożonéj wielkiego zakładu robót, gdzie dawniéj, za dobrych czasów zamawiała nie jedną pracę. Przełożona była osobą z dobrego domu, inteligentną i dobrego serca; Kazia spodziéwała się, że otrzyma to czego pragnęła.

Wiosna była i błoto ze śniegiem leżało jeszcze na drodze; zakład mieścił się daleko za miastem. Kazia nie miała na powóz. Poszła piechotą, ale wyczerpana nieszczęściem, osłabiona, czuła, że droga krzyżową dla niéj będzie. Szła, szepcząc słowa modlitwy, bo ta tylko podtrzymać ją mogła i dodać sił, które z każdym krokiem uchodziły.

— Boże!—szeptała — złamałeś mnie nieszczęściem, ale dozwól, bym doszła i aby ta droga daremną nie była!

Zupełnie wyczerpana znalazła się nareszcie w zakładzie, w saloniku, gdzie ją zaprowadzono, prosząc, by spoczęła zanim „pani“ nadejdzie. Kazia usiadła.

Serce jéj mocno biło, ale zmęczenia już nie czuła, tylko dziwny jakiś niepokój i lęk... Ona miała prosić o coś, wyciągać rękę!... Łzy dławić ją zaczęły i wkrótce zapanować nad sobą nie mogła; rozpłakała się spazmatycznym płaczem.

W téj chwili weszła przełożona. Była to osoba nie pierwszéj już młodości, z łagodnym wyrazem oczu, ubrana skromnie i dużym błękitnym fartuchem przepasana.

— Panna Żemińska!—rzekła—mówiono mi, że pani ma do mnie interes... ale cóż to pani takiego?

Rozszlochana Kazia pochyliła się ku niéj.

— Droga pani! nie miéj mi za złe... przyszłam jak do przyjaciółki...

— No, no, uspokój się pani... — mówiła przełożona ze współczuciem, patrząc na młodą dziewczynę. — Co się pani stało? niech mi pani powié.

Kazimiera otarła oczy, zapanowała nad lękiem, i wzmacniając swój głos:

— Przychodzę prosić panią o pracę... — rzekła, jakby się bała, że skoro nie wypowié zaraz, nie będzie miała odwagi wyznać z czém przyszła.

Przełożona załamała ręce i chwilę milczała.

— Pani... o pracę?...—rzekła zdumiona.

— Tak! daj mi pani cobądź, najgrubszą robotę... byle za nią... były pieniądze!

— Więc pani tak bardzo tych pieniędzy potrzeba?

— Bardzo — odrzekła Kazimiera głucho i widząc niekłamane współczucie w rysach przełożonéj, opowiedziała jéj stan, w jakim oboje z ojcem się znajdują. Mówiła szybko, głosem urywanym, widać było, ile ją to opowiadanie kosztowało.

— Ależ, panno Kazimiero—rzekła przełożona, gdy Kazia skończyła — czyż pani już nie ma innych środków, tylko ręczną pracę? Otrzymała pani świetne wychowanie...

— Myślałam o tém—odrzekła zgnębiona Kazimiera — ale chcąc nauczać, trzeba iść między ludzi... a ja ich unikać muszę... może prędzéj zapomną!

— Nie trzeba się martwić, wszystko dobrze będzie—pocieszała przełożona.—W téj chwili nie mam ja wprawdzie żadnéj takiéj roboty, ale nie zapomnę o pani...

— Droga pani, liczę na to... Umiem haftować rozmaicie, białym haftem i kolorowym, na atłasie, aksamicie, suknie; szyję dobrze, robię koronki... co pani chce. Uczyłam się tego wszystkiego dla własnéj przyjemności...

Przełożona zapewniła raz jeszcze Kazimierę, że o niéj pamiętać będzie i przyśle do niéj, jak tylko coś znajdzie stosownego do roboty. Kazimiera odeszła.

Po raz drugi przebyć musiała długą i ciężką drogę. Buciki jéj, nie bardzo w dobrym stanie, pełne były wody; pomimo to, brnąć musiała po wyżéj kostek w rozmokniętym śniegu... Dusza jéj jednak radowała się pomyślnym skutkiem wyprawy.

— Boże, dzięki Ci!... Boże, dzięki! będę miała pracę i chléb dla ojca zapewniony. Boże, dzięki Ci!

Przyszła do domu zziębnięta, głodna i zmęczona, ale uspokojona. Nie wiedziała jeszcze biédna, co znaczy wielka niedola, i mając

słabą tylko nadzieję, że się znajdzie środek na zażegnanie jéj, uwierzyła w nadzieję!

Podtrzymywało to ją przez dni następne i pomimo szybkiego ubywania grosza, nie patrzała tak czarno w przyszłość, pogodą umysłu rozpromieniając ojca, który nic a nic dotąd nie uzyskał...

Przyszła wiosna; minęło dni wiele od bytności u przełożonéj, a Kazimiera nie miała żadnéj od niéj wiadomości. Młoda dziewczyna jednak nie traciła nadziei.

— Czeka na stosowną dla mnie robotę—myślała—białą bieliznę, na którą zwykle dość ma obstalunków, robią zakładowe robotnice lepiéj ode mnie. Trzeba cierpliwości!

Tymczasem przełożona, kobiéta swoją drogą dobra, ani myślała przyjść w pomoc młodéj dziewczynie, nie ze złéj woli, broń Boże! ale z własnego uprzedzenia, które sobie wyrobiła.

— Taki człowiek, jak Żemiński—myślała—długo bez pracy zostać nie może. Ma przyjaciół i znajomych, ma stosunki wpływowe... nic im się nie stanie. Panna Kazmiera wyegzaltowała trochę sytuacyę i chciała grać rolę opatrzności w domu... nie dziwię się temu, ale skoro dotąd do mnie się nie zgłosiła, musi tam być lepiéj... Gdzieby taka panna igłą zarabiać miała na życie!

Ta „panna“ tymczasem, coraz mniejsze porcye wydzielała ojcu na obiad i coraz coś z domu sprzedała. Nędza zupełna, całkowita, z całą ohydą dziur, łat, głodu i chłodu była blizką, bardzo blizką...

Kazimiera, przeziębiona wtedy, podczas swojéj wycieczki, dostała silnego kaszlu, który ją męczył całemi nocami, wycieńczając do reszty.

A Żemiński? Patrzył błędnemi oczami na córkę, słuchał kaszlu rozrywającego piersi ukochanego dziecka i milczał... Jasném mu było, że pracy nie znajdzie.

Oskarżenie o zbrodnię czyniło go wyrzutkiem społeczeństwa i skazywało... na co?... na śmierć powolną... Ale za cóż cierpiéć miała jego córka? Co czynić będą oboje, aby żyć, gdy żyć muszą?

Żemiński blizkim był szaleństwa. Czasem przychodziły chwile, w których chciał gwałtownym sposobem odebrać sobie życie, które na nic i nikomu potrzebném nie było—i znowu zatrzymała go myśl o córce... Dziecię złodzieja, mordercy i samobójcy co pocznie samo na świecie? Żemiński wzdrygał się, myśląc o téj przyszłości Kazimiery, i to go ratowało.

I tak ojciec przed córką, a córka przed ojcem kryli swą nędzę i rozpacz, starając się pocieszać wzajemnie.

Nie krył się jednak wcale Żemiński przed adwokatem Rubickim, przyjacielem swoim:

— Kazia coraz mizerniejsza — mówił mu tonem beznadziejnéj rozpaczy.—Chora jest, kaszle i pracuje...

— Kaszle trochę, ale to nic strasznego — pocieszał przyjaciel—a że pracuje, to lepiéj dla niéj; rozrywa niewesołe myśli...

— Jedyna to chyba rozrywka obecnie... i piękna! — dorzucił nieszczęśliwy ojciec. — Powiédz mi, przyjacielu—dodał—ale szczerą prawdę! Czy my już na zawsze mamy być wymazani z księgi żyjących, czy przekleństwo nie przestanie nas ścigać, a hańba nie zmyje się z czoła? Jakże mają być uważani prawdziwi zbrodniarze, kiedy niewinnych tak karzą? Straciłem zaufanie ludzi, szacunek; pracy mi dać nie chcą i nie dadzą!... za to, żem został posądzony o zbrodnię, któréj nie popełniłem... Społeczeństwo dzikie, bez serca! co gorzéj, niż zabijać niewinnego wraz z jego dzieckiem, uderzcie się w piersi i powiedzcie, czy nie jeden między wami nie ma więcéj na sumieniu, niż ten, którego potępiacie!...

— Uspokój się Ignacy! — wołał powolny prawnik. — Uniesienie nic ci nie pomoże, a zdrowie rujnuje. Bądź pewny, że nie jeden z tych, o których mówisz, inaczéj myśli niż się tobie wydaje, ale cóż! *Vox populi*... ludzie, jak barany, idą za prowodyrami! Nie jeden, ręczę, przyszedłby ci z pomocą, ale oglądać się musi co drugi powié, i czy mu to nie zaszkodzi... Tak, niestety, dzieje się między ludźmi.

— Piękny obraz! Cóż więc pozostaje do czynienia takiemu, jak ja—wyrzutkowi? Albo w łeb sobie palnąć, albo stanąć pod kościołem z wyciągniętą dłonią... tam przynajmniéj nikt o legitymacyę nie pyta—może mi tylko kto zarzucić, że jestem za młody na żebraka i pracowaćbym powinien...

— Poczekaj, poczekaj!... ty-bo zaraz do ostateczności! Musimy znaleść jakie pośrednie wyjście. Pomału to się znajdzie, ale ty jesteś gorączka...

Żemiński gorzko się uśmiechnął.

— Czekam zdaje mi się dość długo—rzekł—rok już upływa od czasu... mego uwolnienia.

— Mam ja myśl jedną, z którą oddawna się noszę—rzekł znowu prawnik—ale nie wiem, jak ją przyjmiesz.

— Mów! ty nie wiész, jak ja ją przyjmę? ależ mój drogi! każda myśl musi być dobrą, skoro wyjścia nie ma. Mów!...

— Otóż, przychodziło mi do głowy, czyby nie było dobrze, żebyś przeniósł się do innego miasta?

— Do innego miasta? owszem, zaraz—ale na co?

— No, tam zajęcia poszukać.

Żemiński spuścił głowę, zniechęcony.

— Trzeba na to—rzekł zwolna—pieniędzy na podróż, i pieniędzy na czas jakiś, nim się co znajdzie... ty wiesz, że ich nie posiadam; i tak Kazia cudu dokazuje, że dotąd mamy co jeść...

— Ignacy, obrażasz mnie! zapominasz, że ja żyję!...

— Nie, mój drogi—odrzekł Żemiński, kładąc rękę na ramieniu przyjaciela — obrażać się nie myślę, ale mówiłem ci już stanowczo, że twojéj pomocy przyjąć nie mogę.

— Pomocy? odbierzesz tylko swoje pieniądze zapłacone mi za obronę, Bóg wié za co? Mówiłem ci także stanowczo, że ta suma jest u mnie jako twój depozyt... Jeszcze co! ładnieby było, żebym brał honorarya od przyjaciół i to w takiéj sprawie! słyszysz? broniłbym dziada, gdyby był posądzony niewinnie! słyszysz!

Poważny i flegmatyczny człowiek zapalił się nagle.

Żemiński miał łzy w oczach.

— Masz słuszność—rzekł — takich ludzi, jak ty, pieniędzmi się nie płaci... Ale późniéj o tém. Wróćmy teraz do tego, coś mówił: mój drogi, jeżeli możesz, wyrządź mi tę jeszcze przysługę... postaraj się dla mnie o jakie miejsce na prowincyi, choćby najpodlejsze, a wrócisz mi życie!

— Więc zgadzasz się?

— Bez wahania. Może tam, gdzieś daleko... nie doszła jeszcze moja hańba... może będę mógł odetchnąć swobodniéj, a moje dziecko odżyje...

Znowu upłynął miesiąc jeden i drugi.

Prawnik poczciwie wziął się do dzieła, szukał zajęcia dla przyjaciela sam i przez drugich.

U Żemińskiego było coraz gorzéj. Kazia z powrotem lata kaszlała mniéj, ale troska ryła swoje ślady na młodéj twarzy. Całe utrzymanie domu na jéj barkach ciężyło; nie mając więc w czém wybiérać, szyła biédna suknie dla sług, za co jéj mało, nic prawie nie płacono. Żemiński przez żyda-faktora dostał zajęcie buchaltera w małym żydowskim sklepiku bławatnym... Kupiec był sam ubogi i skąpy przytém; pensya, jaką wyznaczył Żemińskiemu, mogła zaledwie opłacić buty, jakich tenże potrzebował, by co dnia biegać daleko, w żydowską dzielnicę...

Zgarbiony, siwy, w wytartym surducie, przekradał się biédny przez miasto chyłkiem, żeby nie spotkać kogo z dawnych znajomych, i szedł do żyda, aby tam dnie całe rachować, pisać i znosić upokorze-

nia od wymagającego pryncypała; ale dziękował Bogu, że choć tyle zarobić może.

Kazi jednak nieszczęśliwy ojciec nie przyznał się, jak przykrém jest jego zajęcie.

Nadszedł lipiec i ruch handlowy ustał w braku kupujących, którzy miasto na lato opuszczali.

Pewnego dnia Żemiński został znowu bez zajęcia... Tyle cierpień, tak długa walka, któréj końca nie widział, wyczerpała Żemińskiego i po raz pierwszy od swojéj niedoli wybuchnął wobec córki słowami gorzkiego żalu.

Ale Kazi zdawało się, że jéj już nic dotknąć głębiéj nie może; wysłuchała w milczeniu słów ojca bez łez i skarg, i podała jeszcze jedną radę. Dwa pokoje dla nich za dużo, trzeba się przenieść do jednego.

— A potém co?—zawołał Żemiński.—Czy sądzisz, że mam czém nawet jeden zapłacić? wszystko jedno! jeden czy dwa, i na to mi nie wystarcza!

— Potém? nie wiem, co może być potém... — odrzekła spokojnie. — Ale przecież staramy się... a małe mieszkanie, zawsze łatwiéj opłacić.

Żemiński rozpaczliwie ręką machnął.

— Rób, co chcesz!...—szepnął wyczerpany.

— Co potém?...

Kazia zadawała sobie coraz częściéj to pytanie, nie znajdując odpowiedzi.

Co się to stało? czemu oni tak cierpią bez winy, czemu Bóg zesłał na nich tę straszną dolę?... i co z tego wyniknie? Czy zginąć mają z głodu pośród ludzi, jak na pustyni? Czy się to nigdy już nie zmieni?

Kazia bywała teraz czasem jak w obłędzie. Nieszczęście przywaliło ją tak strasznie, że fizycznie czuła nieraz ten ciężar na barkach swoich i na głowie, którą jakby obręcze żelazne ściskały.

Rozmyślała teraz często o wadliwym ustroju społeczeństwa, w którém cały nawał pracy przypada w udziale mężczyznie, a kobiécie każe z założonemi rękami patrzéć na te daremne nieraz wysiłki w walce o byt.

— Kobiéty do czego innego stworzone!—woła ogół zacofany.— Niech będzie dobrą córką, żoną, matką, oto czego po niéj wymagać trzeba.

Ale najlepsza nawet żona, matka czy córka, jeść potrzebuje i czyż wiecznie oglądać się musi na mężczyznę, by zaspokoić swoje

najpierwsze potrzeby? Najlepsza gospodyni nie ugotuje obiadu, nie mając go za co kupić, a skądże ma dostać pieniędzy? Mąż, czy ojciec, ten biały niewolnik pracować musi i dać grosz potrzebny. A ileż upokorzenia, ile cierpień przechodzić musi ta biédna kobiéta, udając się do męża po grosz, o którym wié jak gorzko zapracowany bywa, a który odebrać mu musi...

Nie mówimy tu o lekkomyślnych istotach, uważających ojca czy męża za naturalnego dostarczyciela pieniędzy, ale o tych zacnych kobiétach, które czuć i kochać umieją, które wnikają sercem w położenie nieszczęśliwych, że się tak wyrazimy—bankierów domowego ogniska, które umieją ocenić ich ciężką pracę i boleją nad niedołężnością swoją.

Kazia należała do téj ostatniéj kategoryi kobiét. Ciężko bolała, że ani wykształcenie, ani uzdolnienie jéj nie było tego rodzaju, żeby mogła przyjść z pomocą ojcu. Wychowana na pensyi, umiała tyle, co każda inna w jéj wieku panna, która nie potrzebuje zarabiać na życie, ale choćby i umiała więcéj, w jaki sposób mogła dostać zajęcie w kraju, gdzie kobiéty powinny być tylko „dobremi córkami i matkami!“

Co miała robić? szyć? ależ tyle szwaczek bez roboty i chleba tuła się po mieście... Uczyć? ależ nauczycielek wkrótce więcéj będzie, niż uczących się!...

Mogłaby zostać telegrafistką lub na poczcie miejsce otrzymać; na to jednak trzeba się najprzód uczyć, potém zdać egzamin, a potém czekać na miejsce, które po pewnym czasie dostać można, jeżeli kto posiada protekcyę...

Wszystkie te projekta były nie do urzeczywistnienia, Kazia więc postanowiła starać się o miejsce do towarzystwa dla starszéj osoby, lub za nauczycielkę do małych dzieci i w tym celu, zdjąwszy pychę z serca, poszła do kilku dawnych znajomych, prosząc o poparcie. Przyjęto ją grzecznie i obiecano zrobić co można.

Gorące lato nadeszło. Żemiński mało siedział w domu, uciekając prawie od córki; przestał zwierzać się jéj ze swojéj nędzy, która rzeczywiście dla nich obojga doszła już do punktu kulminacyjnego.

Aż raz, niespodzianie, przyszła im nagła pociecha.

Poczciwy, choć powolny adwokat nie zasypiał sprawy i dnia pewnego ukazał się jak anioł pociechy przed nimi, przynosząc Żemińskiemu wieść, że otrzymał posadę buchaltera w prowincyonalném miasteczku przy instytucyi powiatowéj. Skromna pensya wydała im się majątkiem, a małe miasteczko, gdzie odtąd zamieszkać mieli — ziemią obiecaną...

Natychmiast zajęli się wybieraniem w drogę; i tu poczciwy Rubicki przyszedł z pomocą. Żemiński oponować nie mógł; gdyby nie pomoc adwokata, nie byliby w stanie ruszyć się z miejsca, gdyż brakowało im najpotrzebniejszych rzeczy, a Żemiński wiedział dobrze, że nie wypada mu jechać jak nędzarzowi na nową posadę w starych, zużytych sukniach i że choćby dla oka ludzkiego, trzeba było mieć jaki taki tłómoczek z rzeczami i trochę sprzętów.

Kilka miesięcy spędzonych w spokoju, bez troski o jutro, odrodziło ojca i córkę. Mierność to była, z każdym groszem trzeba było się rachować, ale ta mierność im wystarczała.

Kazia zajęta dzień cały przy małém swojém gospodarstwie, nie potrzebująca pracować nad siły, odzyskała zdrowie i dobry humor.

W małém miasteczku, gdzie nie było starostwa, tylko urząd powiatowy i sąd, przyjęto Żemińskich prawie przyjaźnie. Przybycie ich stanowiło przerwę w jednostajném życiu. Panie naśladowały krój sukni i formę kapelusza Kazi, wypytując ją troskliwie o nowiny z wielkiego miasta; panowie pociągali Żemińskiego do handelku na śniadania, ciekawi wiadomości politycznych, któremi zwykle w małém mieście więcéj niż w wielkiém się ludzie zajmują.

O procesie Żemińskiego nie wiedziano tu może wcale. Wiadomości podawane przez gazety, których zresztą bardzo nie wiele było w Z., nie czyniły na mieszkańcach silnego wrażenia. Być może, iż w swoim czasie ten i ów przeczytał sprawozdanie z procesu, ale wraz z innemi tego rodzaju sprawami wyszło mu to z pamięci i dziś ani mu na myśl nie przyszło, że nazwisko Żemińskiego nie jest mu obce.

Spokój i względny dobrobyt zapanował w małym domku zajmowanym przez Żemińskich. Wiedziony wrodzoną delikatnością, pan Ignacy mało się udzielał towarzystwu i niechętnie nowe znajomości zawierał, myśląc sobie, że kto wié? czy ci, którzy dziś do niego rękę przyjaźnie wyciągają, zechcą go znać, gdy się dowiedzą o jego przeszłości...

Trudno jednak było żyć na odludziu komuś, co miał ładną i miłą córkę. Młodzież małomiasteczkowa jawnie okazywać zaczęła, że Kazia do gustu im przypadła i wielu otwarcie o jéj względy starać się zaczęło.

Na Kazi dziwne to wrażenie wywierało. Świat, w którym dotąd bywała, tak był różnym od tego, w którym odtąd żyć miała; raziła

ją rubaszność i brak form towarzyskich, strój nawet tych panów, którzy się o jéj względy starali. Czuła instynktownie, że osoba jéj imponuje mieszkańcom Z., ale wiedziała także dobrze, że ona nigdy nie potrafi zżyć się z tém otoczeniem, a tembardziéj pozostać w niém na zawsze. Wielbicieli swoich, z których jeden był synem dzierżawcy młyna parowego, Niemiec, drugi aptekarzem, a trzeci kolegą jéj ojca, trzymała zdaleka, żadnéj im nadziei nie dając. Zyskała sobie przez to życzliwość panien, a szczególnie matek panien na wydaniu, które widząc, że Kazimiera nie poluje na kawalerów, na których one dawno parol zagięły, poczuły dla niéj nową sympatyę.

Biédna Kazia! zaledwie odetchnęła teraz po srogich dopuszczeniach losu, a myśléć by miała o sobie, o swojéj przyszłości! Jéj tak dobrze było tutaj, w téj zapadłéj mieścinie, bez troski o chléb powszedni, tak ją radowało. gdy widziała uśmiechniętego ojca, gdy byli sami we dwoje tylko. Zdawało się jéj czasami, że niczego jéj więcéj już nie potrzeba. Biédna dziewczyna, w kwiecie wieku nieszczęściem złamana, sądziła, że dla niéj już nie może być większego szczęścia nad to, że ma spokój... Ale w krótkim czasie miała się przekonać, że tak nie było, że są jeszcze inne rodzaje szczęścia, inne rozkosze, które choćby tylko chwilę trwały, wspomnieniem całe życie zapełnią.

Pewnéj niedzieli w kościele, na sumie, ukazała się nowa postać, która zaintrygowała wszystkich, a szczególnie panie, ponieważ była rodzaju męzkiego i niezwykle uderzającéj powierzchowności.

Młody ten człowiek przybył w towarzystwie właściciela dóbr, sąsiada miasteczka Z., pana Tynieckiego i jego siostry, przystojnéj panny Róży.

W Z. nie można było długo zachować *incognito*. Wieczorom tego dnia Kazia, idąc z ojcem na przechadzkę, dowiedziała się od spotkanéj pani burmistrzowéj, że młody nieznajomy nazywa się Gabryel Zarowicz, jest doktorem medycyny, że przyjechał w odwiedziny do przyjaciela, że zabawi tu czas jakiś i że ostatecznie, stara się o rękę panny Róży.

Pani burmistrzowa, osóbka energiczna jak mało, nie zaprzestała na zasięgnięciu tych wiadomości, ale żądna nowych wrażeń, zapragnęła poznać osobiście młodego doktora i dopięła celu.

Młoda jeszcze i dość przystojna, bardzo o swoję powierzchowność dbająca, robiła co chciała ze starszym o wiele, dostojnym swoim małżonkiem, łatwo jéj więc było wyperswadować mężowi, że zachodzi gwałtowna potrzeba urządzenia jakiéjś „hecy“ dla zebrania fundu-

szu na reparacyę kościoła, który, co prawda, bardzo naprawy potrzebował.

Potulny małżonek pochwalił zamiar swéj połowicy i zapowiedziano wielką zabawę z loteryą fantową na łące za miastem, na którą rozesłano zaproszenia całemu sąsiedztwu, wystosowując naturalnie specyalne dla doktora.

Kazia miała między innemi paniami bilety sprzedawać.

Zabawa udała się znakomicie pod każdym względem; pieniędzy zebrano dużo, za co proboszcz miejscowy nie mógł się dość nadziękować, a przytém i burmistrzowa cel osiągnęła: poznała doktora.

Siedziały przy jednym stoliku z Kazią, która, stanowiąc kontrast z wystrojoną w jedwabie dygnitarką miasteczka, ubrana była w skromną białą suknię i wyglądała prześlicznie.

Całemu miastu opowiadała późniéj pani burmistrzowa, jak pan Tyniecki zaprezentował jéj doktora i jak pięknie ten ostatni się znalazł, ofiarowując 50 fl. za bilet, który nic nie wygrał.

Poczciwa kobiecina nie zwróciła jednak uwagi, że to błękitne oczy Kazi wyciągnęły ów banknot z kieszeni doktora, który jak magnesem ciągniony temi oczyma, nie odstępował prawie od stolika, przy którym Kazia siedziała.

Doktór Zarowicz, jak dobrze wychowany światowiec, był w parę dni potém z wizytą u państwa burmistrzów i odtąd widywano go coraz częściéj w miasteczku.

Doktór bardzo często spotykał się z Kazią; można było sądzić, że zdarzało się to prostym przypadkiem, a jednak tak nie było. Doktorowi naprawdę podobała się Kazia i wkrótce złożył ojcu jéj wizytę.

Był to człowiek bardzo miły, wykształcony, i jak mówiono, bogaty. Pracować nie potrzebował; raz nawet otwarcie wyznał Żemińskiemu, że zawód lekarza obrał tylko z zamiłowania, ma zamiar osiąść w takiém miejscu, gdzieby jego pomoc prawdziwie przydać się mogła i wcale nie gonić za sławą, ani zyskami.

— Będąc młodym chłopcem—mówił—gdym ze szkół przyjechał kiedyś do rodziców na wakacye, byłem świadkiem okropnéj śmierci, w przerażających męczarniach, człowieka, którego maszyna zgniotła i nie mógł miéć śpiesznéj pomocy lekarskiéj. Od téj chwili postanowiłem zostać lekarzem i to w takiém miejscu, gdzie żaden doktór w pobliżu się nie znajduje.

Kazia słuchała tych słów, świadczących o szlachetnéj duszy młodzieńca, i nie dziw, że jéj imponował.

Spędzali razem we troje długie godziny na spacerach za mia-

stem i w domu potém, przy skromnéj zastawie do wieczornéj herbaty, a doktór zapominał często, że czas leci, i wcale nie śpieszył z opuszczeniem miłego sobie towarzystwa.

W końcu, i miasteczku całemu tajném być przestało, że doktór ma jakieś zamiary, albo... że go Kazia przyciąga. Pani burmistrzowa ochłodła dla Kazi, szepcząc w tajemnicy wszystkim swoim przyjaciółkom, że panna Żemińska łapie bogatego męża...

Kazia, nie domyślając się wcale plotek, które o niéj chodziły, po raz pierwszy w życiu czuła się ogromnie szczęśliwą.

Spokój głęboki po tylu przebytych burzach, mierny dobrobyt obecny po nędzy jakiéj doznali, zapewniony byt, a wreszcie towarzystwo człowieka, którego wykształcenie równać się nie mogło z wykształceniem ludzi, widywanych w miasteczku i rozkoszne przeczucie, że człowiek ten żywi dla niéj w sercu więcéj, niż sympatyę—wszystko to sprawiało, że Kazia czuła się szczęśliwą nad wyraz, a szczęście to dodawało jéj wdzięcznym rysom nieopisanego uroku.

Już zaczynała wierzyć, że skończyły się dla nich dnie próby i prosiła tylko Boga w gorącéj modlitwie, żeby prawdziwy sprawca zbrodni się znalazł i ojciec jéj mógł się zrehabilitować.

Jak dobrze jéj było teraz! jak błogo!... Wpatrywała się w twarz ojca, na któréj powoli ślady przebytych cierpień zaciérać się poczynały i oddychała swobodnie, z ulgą. Ze zdwojonym zapałem wykonywała teraz drobne swoje, domowe czynności, ze śpiewką na ustach porządkowała malutkie pokoiki i stroiła się w jasną, tanią i skromną, własnemi rękami uszytą, ale zgrabną i bardzo jéj do twarzy, sukienkę. Czasami nawet zalotność się jéj chwytała; wtedy dłużéj nieco czesała przed lustrem bujne swoje włosy i kwiatek w nie wpinała... myśląc o doktorze.

Niestety, zbliżała się chwila wyjazdu doktora. Mówił o téj konieczności z widocznym smutkiem, ociągał się, zwlekał z oznaczeniem dnia, a tak przytém wymownie patrzył w oczy Kazi, że ona zamiast smucić się z nim razem, uśmiechała się.

Wyjedzie—ale wróci, o wróci z pewnością!... i dziś już radowała się, myśląc o tym powrocie...

Ufała jemu i sobie; wierzyła, że pokochał ją sercem całém, że mu się stała potrzebną do życia. Stosunek ich był dziwny: rozumieli się oczami, choć usta milczały.

Jednak, ostatniego dnia przed wyjazdem, snać ciężko było doktorowi rozstawać się z Kazią, bo nie umiał ukryć dłużéj tego, co w duszy tajemnicą leżało.

— Jadę — rzekł — po patent, zdać ostatni egzamin. Za parę

miesięcy będę rzeczywistym lekarzem, z rozwiązanemi rękami; będę mógł czynić, co mi się podoba, udać się gdzie zechcę. Gdybyś mi pani pozwoliła wrócić tutaj i... zostać czas jakiś... byłbym najszczęśliwszym z ludzi...

Cała rumieńcem okryta spuściła oczy. On ujął zwolna jéj rękę i uwięził w swoich dłoniach; pochylił głowę i zajrzał jéj w oczy.

— Nie chcę cię wiązać niczém—mówił miękko—nie żądam żadnego przyrzeczenia... tylko nadziei. Dasz mi ją, pani?

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy, które jéj wzroku szukały... Porozumienie bez słów było wymowne i wyczerpujące. Doktór z rzewnym wyrazem podniósł dłoń Kazi do ust.

— Dzięki ci...—szepnął.

Na drugi dzień już go nie było. Pojechał, a ciekawi mieszkańcy miasteczka z większém jeszcze natężeniem śledzić Kazię poczęli. Dziwiło ich, że nie była wcale ani smutną, ani unikała ludzi.

Czemuż smucić się miała? czekała tylko, całkiem o swoją przyszłość spokojna; było jéj jasno, swobodnie, złych przeczuć nie miała.

Żemiński widział także doskonale, co się święci, ale nie patrzył z taką ufnością w przyszłość, jak córka.

Człowiek prześladowany od losu, jak pies zbity, z nieufnością, z podełba patrzy na ludzi, czy cios znowu skąd na niego nie padnie.

Żemiński nie mieszał się wcale w tę sprawę, ani Kazi nie pytał; ale o ile pragnął szczęścia dziecka, o tyle obawiał się, czy jaki grom niespodziewany znowu na nich nie spadnie.

Różni ludzie bywają na świecie! lubią szkodzić drugim przez zazdrość, zawiść, plotki... A zresztą, czyż można być całkiem spokojnym, że Zarowicz nie dowie się o procesie i że to go nie zrazi? być może, iż jako człowiek sprawiedliwy nie zechce potępić Żemińskiego, ale w każdym razie, mało jest prawdopodobném, aby chciał nazwać swą żoną córkę człowieka uwolnionego „dla braku dowodów..." Żemiński postanowił sobie, że jeżeli Zarowicz otwarcie wystąpi jako konkurent Kazi, on, zanim da stanowczą odpowiedź, wyjawi mu swoją tajemnicę... o, tak! nie ukryje nic! niechaj młodzieniec sam rozstrzyga...

Tymczasem oznajmił Kazi, że muszą ograniczyć swoje wydatki, gdyż postanowił odkładać co miesiąc pewną sumkę na bok, aby módz po jakimś czasie spłacić dług Rubickiemu. Oprócz tego, przyszło mu na myśl, czyby nie można opłacić jakiego, naprzykład człowieka z policyi, któryby podjął się starań, w celu wyszukania prawdziwego zabójcy pani Hubisz.

Kazia przyklasnęła z zapałem temu projektowi i natychmiast list do adwokata został wysłany z prośbą o zajęcie się tą sprawą. Kto wié, może Bóg ulituje się nad nimi i prawdziwy sprawca się znajdzie, a wtedy wszystko inaczéj pójdzie.

Biédny Żemiński miewał teraz czasami jakby senne widzenia, które go błogiém uspokojeniem napełniały: sprawca zbrodni wynaleziony, on sam zrehabilitowany, Kazia małżonką młodego doktora... Były to tylko marzenia, nadzieje, ale marzyć i miéć nadzieję, wolno przecież każdemu?

Upływały dni i miesiące, nie przynosząc żadnéj zmiany. W zimie Żemińscy więcéj w domu siedzieli, nie dając się namówić na zabawy, które w kilku domach się odbyły.

Burmistrzowa obrażona była za to na Kazię.

— Dumna panna—mówiła — nasze towarzystwo jéj nie wystarcza... nasi panowie za głupi i źle wychowani... Niech sobie siedzi w domu! Lepiéj, że zawadzać nie będzie, ale sama na tém najgorzéj wyjdzie. Czeka na doktora... zobaczymy, czy wróci!

Kazia tymczasem, zamiast kupować sobie balową suknię, wolała dołączyć te pieniądze do sumy ofiarowanéj człowiekowi, który obiecywał wyszukać zbrodniarza, za którego winy cierpieli... Odmawiali sobie wszystkiego, żyli jak najskromniéj, żywiąc się ciągle nadzieją, że może nareszcie uda się wyszukać owego nikczemnika i odzyskać utraconą niewinnie opinię.

O doktorze nikt nic nie słyszał. Pan Tyniecki wyjechał od siebie do miasta, wydzierżawiwszy przedtém wieś swoją, a był to jedyny człowiek, od którego można było wiadomości zasięgnąć.

Razu pewnego pani burmistrzowa złapała Kazię na ulicy; zagadnęła do niéj dość przyjaźnie, wymawiając, że dawno u niéj nie była.

— *A propos!* — dodała. — Wié pani nowinę? Panna Róża Tyniecka za mąż idzie.

— Doprawdy? — odrzekła Kazia, nie przeczuwając ukrytéj złośliwości w tych słowach.—Bardzo mię to cieszy; o ile widziałam, ładna to panienka i miła być musi.

— Tak, bardzo miła i posażna. Przeczuwaliśmy wszyscy, że na tém skończy... Doktór Zarowicz, przyjaciel brata, potrafił sobie i siotrę zjednać...

Błysk jakiś nagły zaświecił Kazi przed oczyma, zaślepiając ją na chwilę, ale natychmiast się opanowała. On, żenić się z panną Różą? to niepodobna! ona temu nie wierzyła.

— Więc to za doktora Zarowicza idzie panna Róża? — rzekła, zmuszając się do uśmiechu.

Burmistrzowa się zawahała. Trudno jéj było przyznać się, że usłyszawszy o małżeństwie panny Róży, sama sobie wysnuła, że narzeczonym musiał być pewnie młody doktór...

— Tak mówią... właściwie, domyślają się...—rzekła.

— A! więc to jeszcze nie jest rzeczą pewną?—z większą swobodą wyrzekła Kazia. — Jednak, życzyłabym obojgu, żeby to prawdą było... dobraliby się...

— Tak pani znajduje? — zawołała, nie kryjąc zdziwienia, burmistrzowa. — A ja sądziłam... wszyscy przypuszczali, że pani właśnie...

Kazia się zarumieniła.

— Można się widocznie omylić czasami w przypuszczeniach... — odpowiedziała z uśmiechem.

Z temi słowy pożegnała dygnitarkę małego miasteczka zdziwioną, zaciekawioną i różne domysły snującą, które do tego stopnia spokoju jéj nie dawały, że nazajutrz wysłała zaproszenie do Kazi na herbatę do siebie, w celu, aby ją lepiéj módz wybadać.

Kazia, ubrana w skromną czarną suknię, poszła na zaproszony wieczór i pełném taktu obejściem nowe pole dała do domysłów i przypuszczeń.

— Albo głupia, albo zarozumiała! — zakonkludowała pani burmistrzowa swoje spostrzeżenia.

Wieczór ten, wraz z nowiną udzieloną jéj przez burmistrzową nie mogły być dla Kazimiéry miłemi. Zachowywała się z godnością i spokojem, ale czuła, że knują coś przeciw niéj i że powinna uważać, żeby się z czém nie zdradzić. Ufność jéj względem doktora nie zachwiała się ani na chwilę, jednak przykro jéj było, że ludzie coś podejrzywają, grzebiąc niedyskretnie w tajnikach jéj duszy.

Zaczynała nie lubić tych ludzi, oburzać się na ich niedyskrecyę i złośliwość, a jednak! czémże to było w porównaniu z tém, co ją jeszcze czekało!

Że pozycya Żemińskiego anormalną była i że grunt, na którym stanął, bardzo był kruchy, wiedział on bardzo dobrze; ale biédna Kazia, przeszedłszy w tak młodym wieku takie straszne chwile, nie zastanawiała się nad tém.

Była już wiosna. Śniég tajał i zamieniał się w wodę, która ogromnemi kałużami rozpływała się po rynku i ulicach miasteczka.

Mieszkanie Żemińskich znajdowało się w domku położonym w pobliżu rynku, tak że z okien swoich Kazia widziała cały plac, za-

łany brudną wodą, wraz z kupami zczerniałego śniegu, z dużém domostwem pośrodku, zwaném szumnie ratuszem, gdzie pp. burmistrzowie mieszkali. Cały ruch miasteczka koncentrował się na rynku. Tutaj odbywały się targi, tu zbierali chałatowcy na narady o swoich *geszeftach*, tutaj także ukazywała się czasami arystokracya miasta, snując się pomiędzy kościołem, którego mury prawie naprzeciw ratusza się zaczynały, a pomiędzy mieszkaniem pani burmistrzowéj i stojącéj obok karczmy, zwanéj hotelem.

Dzisiaj właśnie wypadał dzień targowy i obraz na rynku przedstawiał się bardzo ożywiony.

Kazia usiadła z robotą przy oknie, przypatrując się. Wozy i wózki rozmaitéj miary cały plac zalegały; słychać było rżenie koni, ryk krów i bezrogich biednych stworzeń, które, przeczuwając swój los okrutny, żałośnie zawodziły, ze stoickim uporem nurzając się w błocie, pomimo że ciągnione za nogę sznurem przez wieśniaka, oponującego téj operacyi. Gęganie gęsi, kaczek, głośne krzyki i nawoływania ludzi, tworzyły z wyżéj wymienionemi odgłosami chaotyczny hałas. Malowniczy strój wieśniaków okolicznych, ciemne ubiory mieszczan i mieszczek i chałaty żydowskie mieszały się w jedną całość na tle brudnych kałuż błota, oświeconego pogodném słońcem wiosenném.

Kazia patrzała i bawił ją ten ruch, cieszyło pogodne niebo. Nagle ujrzała idącego ojca.

Wcześnie było bardzo, więc się nieco ździwiła, gdyż o téj porze nigdy jeszcze z biura nie wracał.

Szedł, wymijając wozy, błoto, ludzi i zwierzęta; szedł powoli, z pochyloną głową, a Kazia ze smutkiem zauważyła, jak się ojciec jéj biédny od czasu ich nieszczęścia postarzał... Zmizerniał bardzo, i pomimo obecnego, względnego dobrobytu, nie wrócił do sił dawnych. Od jakiegoś czasu kaszlał, miał zadyszkę... ostra zima pewnie temu była winna. Da Bóg lato, ciepło, pogodę, ojcu się polepszy. Do téj pory przynajmniéj jakoś choroba ich omijała...

Pan Ignacy wszedł do domku. Kazia drzwi otworzyła i ździwiona:

— Tak dziś wcześnie, mój ojcze? Obiad jeszcze nie gotów... — rzekła.

— A tak... nie miałem co robić...—rzekł cicho.

Zdjął kapelusz, płaszcz i usiadł ciężko na najbliższém krześle, oparł się ręką o stół i obejrzał się zwolna w około.

— Roboty nie było? — spytała Kazia, wieszając na zwykłém miejscu płaszcz ojca.

— Robota jest — odrzekł — ale dla mnie nie ma... Nie pójdę już tam...

— A!... — krzyknęła. Klasnęła w dłonie i wyraz strasznego przeczucia odbił się na jéj twarzy.

— Tak...—mówił daléj Żemiński spokojnie. — Radził mi naczelnik, bym się podał do dymisyi... Podobno coś tam ktoś opowiadał... przyszły wiadomości z miasta... Nie wiedziano dotąd, z kim mają do czynienia... no, a teraz, naturalnie! z takim jak ja człowiekiem... koledzyby się żenowali... cóż dziwnego? Wiedziałem o tém dawno...

— A!... — wyszło znowu z ust biednéj Kazi, która darmoby się siliła w téj chwili coś wypowiedziéć. Ręce zacisnęła kurczowo i gięła się cała pod tym nowym ciosem.

— Tylko ty nie rozpaczaj... — upominał ciągle z jednakim spokojem Żemiński. — Mówię ci, że się dawno tego spodziéwałem. Zresztą, obeszli się ze mną bardzo wspaniałomyślnie, uprzejmie... Nie dali mi uczuć poniżenia... Radzili tylko, bym się usunął... dla własnego spokoju. Widzisz Kaziu, gdy człowieka spotka to, co mnie spotkało, lepiéj by się nie narzucał ludziom w oczy...

Coś było strasznego w spokoju, z jakim mówił to wszystko Żemiński; była to jakby rozpaczliwa rezyguacya skazańca, który wié, że dla niego już wszystko na tym świecie skończone i godzi się z tém.

Ale Kazia nie miała jeszcze w sobie takiéj abnegacyi; była młoda, życie jéj uśmiechać się zaczynało... i znowu ma się zacząć to samo? znowu walka stopniowo coraz straszniejsza o byt, walka coraz cięższa z coraz szczuplejszemi środkami, tém cięższa, że w obcém mieście, małém mieście, gdzie wszystkich oczy na nich zwrócone... Dużo czasu minęło, zanim zdobyła się na tę rezygnacyę; długie noce bezsenne w daremnych walkach i opozycyi—przeciw srogiemu losowi, nieskończone szarpanie się z tém, co nieuniknionėm, rzeczywistém, dotykalném się stało... Tak! ma znowu wziąć swój krzyż na barki i dźwigać go, teraz już bez końca?... Tysiące planów, zamiarów przeszło jéj przez głowę i... prysło jak bańka mydlana... Myśli głowę rozsadzały i nic ulgi nie przynosiło. Jedna myśl jednak, uparcie wracająca, jak zmora, o mało do szału nie doprowadzała: myśl o doktorze...

Z tém już stanowczo skończone, nie ma się co łudzić... Jakże można nawet marzyć, żeby taki człowiek, jak Zarowicz, brał żonę z pomiędzy wyrzutków społeczeństwa, bo wyrzutkiem ona była! dawano jéj to poznać na każdym kroku.

Pan Ignacy nie tracił pozornego spokoju, który przybrał od

razu. Żółkł tylko coraz bardziéj i pochylał się ku ziemi; z domu mało wychodził; stał się milczący i dziwnie spokorniały. Nie miotał się w bezsilnéj rozpaczy, nie dobijał się o zajęcie żadne, znosił to, co mu przypadło w udziale, z apatyą prawie.

I znowu nastąpiło zerwanie wszelkich stosunków, znowu ludzie unikali ich z odrazą prawie, tylko że tutaj, w małém miasteczku, dawało się to więcéj i jawniéj odczuwać.

Naturalnie, że dymisya Żemińskiego wiadoma była natychmiast całemu miastu, a przyczyna téj dymisyi rozniosła się, potworne przybierając rozmiary.

— Że też on miał odwagę tutaj przyjechać!—mówiono. — Przecież taka rzecz wydać się musi, żeby nie wiem jak ukrywać...

— To nic, że przyjechał i że się w nasze towarzystwo wkręcił, a jego córunia grała rolę arystokratki, ale że my się złapać dali!

— Otóż to, z pierwszym lepszym się wdawać! Każdy teraz się wstydzi... nieprzyjemności, tego... Moja żona, panie, to rozum! od razu przeniknęła i nie chciała z nimi przyjaźni.

Rozmowa toczyła się w niedzielę, po sumie, w handelku, gdzie brzydsza połowa miasta zwykle na wódeczkę się zgromadzała.

Obecni panowie spojrzeli z drwiącym uśmiechem na aptekarza, który ostatnie zdanie wygłosił.

— A nie pijałeś to pan p i l z n e r a, przy tym oto stoliku, z tym samym Żemińskim? — wyrzekł milczący dotąd pan burmistrz, który, gdy małżonki przy nim nie było, całkiem innym stawał się człowiekiem, nabierał rezonu i miewał swoje zdanie.

— Może to i było kiedy... — wymawiał się aptekarz. — Ale co pani prezydentowa, to się porządnie złapała, tego...—dodał, odpłacając się za przytyk burmistrza. — Każdy zna naszą prezydentową, że jest dama wielkiego serca, przygarnęła sierotę, nie dziwota... i tego...

Burmistrz nie odpowiadał. Może w gruncie był on najmniéj uprzedzony przeciw Żemińskiemu, ale... czuł żonę za sobą i milczał.

— Kto się złapał, to złapał! — zabrzmiał tubalnym głosem pan kontroler podatkowy, człowiek jowialny i dowcipny. — Ale młodzież nasza, hę! to dopiéro się skompromitowała. Chodzili, oczy zawracali, wzdychali... i figa! Niech się teraz który żeni z piękną panną Kazią, ze śliczną panną Kazią, z miłą panną Kazią...

— Nasz prowizor udaje, że mu się ani śniło, tego... — wtrącił aptekarz.

— Może być, że nie t e g o tylko t a m t e g o!...—zaśmiał się kontroler na cały głos ze swego dowcipu.

Naczelnik instytucyi, przy któréj Żemiński pracował, wszedł

w téj chwili do handelku. Był to człowiek lepszych manier, były obywatel wiejski, nie młody już, powszechnie szanowany.

W jego obecności nie śmiano rzucać się na nieszczęśliwego Żemińskiego, ale naturalnie że jako aktualność, sprawa jego w rozmowie poruszoną być musiała.

— Biedny człowieczysko! — rzekł naczelnik ze współczuciem.— Musieliśmy go oddalić, choć co do mnie, oponowałem temu. Jednak, ponieważ stał pod sądem... opinia całkiem niewinnie zwróciła się przeciw niemu. W naszéj instytucyi nie może się znajdować nikt, na którymby ciężył choć cień podejrzenia... Tak, panie prezydencie, mógłbyś mu jaką pracę wynaleść. Człowiek to biédny i chory.

Burmistrz skręcił się w ukłonie, szepcąc niezrozumiałą obietnicę... bez wiedzy żony nie śmiał wiązać się niczém, a wiedział, że nie była ona w przyjaznem dla Żemińskich usposobieniu.

Tak! pani prezydentowa, jak ją tytułowano,. nie mogła Kazi darować, że jéj przez krótką chwilę zaimponowała swojém pochodzeniem z wielkiego miasta i gładkiém obejściem; nie mogła zapomniéć, że ona pierwsza wprowadziła Kazię w swoje kółko, a teraz... wstydzić się tego musi! Nie mogła jéj także darować, że Kazia była dużo młodsza i ładniejsza od niéj... Z początku znajomości, spostrzegłszy, że panna Żemińska dużo różni się od pań, stanowiących zwykłe jéj kółko znajomych, zaszczycała ją swoją przyjaźnią, chcąc okazać dawnym znajomym, że zna się na ludziach dobrze wychowanych i ułożonych. Oprócz tego, pani prezydentowa miała jedną słabostkę — lubiła towarzystwo męzkie i sądziła, że Kazia przyciągnie do jéj domu tych, którychby ona tam widziéć pragnęła. Stało się, jak sobie pani prezydentowa życzyła: młodzi panowie chętnie przychodzili, ale... wszelkie hołdy i grzeczności dostawały się tylko Kazi... Epizod z doktorem do reszty ją zniechęcił, a obecna nędza biednéj Kazi prawie ją radowała.

Pani prezydentowa jednak w gruncie nie była złą kobietą; był to prawdziwy typ małomiasteczkowéj dygnitarki, któréj zdaje się, że jéj wszystko wolno, zajmującéj się wszystkiém i wszystkimi i nie znoszącéj, aby cokolwiek działo się bez jéj sankcyi. Kazia z początku musiała być doskonałością, gdyż pani prezydentowéj się tak podobało; obecnie, stała się wraz z ojcem swoim zakałą miasta z wyroku wszechpotężnéj pani.

— Komedyantka i zalotnica! — oświadczyła w gronie dobranych powiernic, mówiąc o Kazi. — Zobaczycie panie jaką komedyę będzie odgrywać teraz ta niewinna ofiara.

— Nie mogła pani trafniéj jéj nazwać, szanowna prezydentowo—

odezwała się na to średnich lat kobiéta, żona notaryusza. — Jest ona z największą pewnością niewinną ofiarą, a ludzie względem obojga Żemińskich, niesprawiedliwymi...

Pomiędzy burmistrzową a notaryuszową oddawna głucha toczyła się walka. Ta ostatnia, prosta, ale najlepszego serca kobiéta, nienawidziła wszelkiéj przesady, któréj było tyle w każdym kroku burmistrzowéj; nie lubiła także próżności i wywyższania nad innych, zowiąc to niesprawiedliwością i grzechem.

Burmistrzowa słysząc zdanie swojéj antagonistki, znająca jéj niekorzystne względem niéj saméj usposobienie, zaśmiała się ironicznie.

— Nie mam niestety daru przenikliwości pani — rzekła. — Zwykle to co czarne, wydaje mi się czarne, co białe — białe... Pani widzisz lepiéj i daléj niż opinia publiczna... może to i lepiéj dla pani!

— Patrzę bez uprzedzenia, z odrobiną miłości bliźniego — odparła niewzruszona notaryuszowa — oto cała tajemnica.

— Nadto szerokie koło zakreślasz pani téj miłości bliźniego... sięga ono aż do... zbrodniarzy. Jeżeli chcesz pani nadal protegować i utrzymywać stosunki z... tymi ludźmi, nikt pani nie broni, ale obawiam się, że będziesz pani stanowić wyjątek w całém mieście.

— Jakto? więc panie wszystkie wyrzucacie ze swoich domów biédnych tych ludzi, za to, że kiedyś sądy ludzkie pozwały go do odpowiedzialności za zbrodnię, któréj nie popełnił?

Burmistrzowa spojrzała po obecnych ze wzruszeniem ramion i uśmiechem, jakby dziwiąc się, że ktoś może pytać o to.

— Biédna dziewczyna! — jęknęła półgłosem żona miejscowego lekarza, dama bardzo czułego serca, która w czasie całéj sprzeczki pomiędzy temi paniami, głową z ubolewaniem kiwała, nie zdradzając się, na którą stronę zdanie swoje przechyli.

— Więc wyrzucacie ich państwo z towarzystwa? — powtórzyła trochę już niecierpliwie notaryuszowa, nie zważając na słowa doktorowéj, które zresztą zwykle bez wrażenia przechodziły.

— Nie rozumiem, jak może zachodzić wątpliwość? — słodkim głosem rzekła burmistrzowa. — Oszukaliśmy się wszyscy a raczéj nas oszukano. Wolno twierdzić komu się podoba, że Żemiński został posądzony niewinnie... mnie tam na tém nie zależy! Dość, że stał przed sądem, więc znajomość z takim człowiekiem zaczczytu przynosić nie może... Mnie saméj przykro, że się tak stało... Przyznacie mi panie przecie, że się tą sierotą szczerze zajęłam, ale nie podejrzywałam wtedy, że pod pozorami uczciwości i dobrego wychowania, kryje się fałsz i obłuda. Bo czyż to nie fałsz, ukazywać się nam tém, czém nie byli

w istocie? czy to nie obłuda, udawać świętoszków i wkradać się w porządne towarzystwo, jeśli się prawa do tego nie ma?

— Biédna pani prezydentowa! to rzeczywiście zawód okrutny!— jęknęła znowu doktorowa, bez większego niż pierwéj skutku.

— Ha! ha! — zaśmiała się nerwowo notaryuszowa. — To pani chciałaś, żeby ten nieszczęśliwy opowiadał tu wszystkim na wstępie, jaka go hańba spotkała? Wtedy, wprawdzie nie byłby nazwany obłudnikiem, ale téż i nie dopuszczonoby go do posady, na objęcie któréj przyjechał tutaj!

— Powinien był, jeśli uczciwy, nie przyjmować miejsca, wiedząc, że skoro się dowiedzą kto on taki, wyrzucą go zaraz, albo zapewnić się pierwéj, jak ta wiadomość przyjętąby była. Postąpił nieuczciwie, wprowadzając w błąd instytucyą!

Notaryuszowa spojrzała dziwnie na burmistrzową.

— Widać, że pani nigdy głodną nie byłaś! — wyrzekła drżącym z oburzenia głosem. — Zresztą, nie obchodzi mię wcale zdanie pani w téj sprawie, wiem co mam czynić; postąpię jak mi sumienie każe.

Rzeczywiście, notaryuszowa jedna nie opuściła Kazi w jéj niedoli. Pomimo, że Żemińscy nigdy u niéj nie bywali, starała się, ile razy spotkała Kazię, zatrzymać ją na ulicy i rozmawiając z nią swobodnie, okazać jéj, że nie miesza się z ogółem nieprzyjaznych jéj osób.

Od młodych ludzi, którzy dawniéj występowali jako jéj wielbiciele, doznawała Kazia także nie mało przykrości. Stawali jéj nieraz w drodze, zarzucając zuchwałemi spojrzeniami i rozmawiając głośno, tak żeby słyszéć mogła ich drwiny i pogardliwe słowa.

Wkrótce wszyscy trzéj, urzędnik, aptekarz i syn młynarza, chcąc okazać Kazi swoją najwyższą pogardę i zemścić się na niéj za chwilową słabość jéj okazaną, zaręczyli się prawie równocześnie, urzędnik z wychowanką doktorowéj, aptekarz z młynarzówną a brat téj panny z kontrolerówną.

Zemsta nad Kazią uczyniła szczęśliwemi trzy dziewice, oddawna wzdychając napróżno do obecnych swoich narzeczonych.

Gdyby miała swobodny umysł, śmiaćby się Kazia mogła, widząc ostentacyjnie przechodzące nieraz owe trzy pary po pod jéj oknem, z wyrazem zadowolenia na twarzy panów, z powodu dokonanéj zemsty.

Ale Kazia nie miała ochoty do śmiechu!

Odrazu, jak tylko ojciec miejsce stracił, zastosowała się do nowéj pozycyi, wiedząc co ich czeka; odprawiła sługę i chciała zmienić

mieszkanie, ale ponieważ to przedstawiało wiele trudności, ułożyła się z gospodarzem, że odnajmie od siebie domek cały, wyłączając mały pokój z kuchenką dla siebie i ojca na mieszkanie.

I zaczęło się dla nich znowu ponure życie w nędzy i niedostatku. Póki było lato, znosili jako tako ten stan rzeczy; Żemiński dostawał od czasu do czasu jakie przepisywanie akt od którego z leniwych kancelistów, którzy mu dawali robotę cichaczem, w tajemnicy, żeby nikt się nie dowiedział, że mają jakiekolwiek stosunki ze „zbrodniarzem,“ jak pana Ignacego teraz nazywano w miasteczku. Kazia zabrała się znowu do szycia. Usłużna żydówka, Rejsia, u któréj za dobrych czasów Kazia kupowała rozmaite towary korzenne, wystarała się jéj o klientelę pomiędzy swemi przyjaciółkami.

— Czemu nie? — mówiła, gdy Kazia uczyniła jéj nieśmiałą propozycyę. — Panienka porządna osoba i bardzo delikatna... Ja wiem, że panienka nie do takiéj pracy stworzona. Nu, co robić? Pan Bóg dał nieszczęście... Ja pani co powiem! — dodała ciszéj, zbliżając się do Kazi. — My tu w mieście wiemy co na pana gadają... aj! waj! ale to nie prawda! nu, żeby un miał to zrobić... to un by był bogaty, a kiedy un bidny... nu, to un nie winien... A gdzieby się piniendzy podzieli?... My, żydki, to rozumiemy...

Krew Kazi uderzyła do głowy...

— A więc już i żydzi mówią o jéj ojcu? przynajmniéj uznają go za niewinnego, „bo gdyby był dopuścił się zbrodni, to żyłby dostatnio ze zrabowanych pieniędzy...“ Charakterystyczna to logika, ale przynajmniéj racyonalna.

Ojcu Kazia nie powtarzała zdania Rejsi; wogóle mówili teraz z sobą bardzo niewiele. On nie zapytywał jéj nigdy skąd ma pieniądze na nędzny posiłek, który przed nim stawiała, ona nie pytała także, jakim cudem ojciec od czasu do czasu zdobywa trochę grosza.

Wiedzieli oboje, że pozycya ich bez wyjścia, że żadnéj rady na polepszenie sytuacyi nie ma. Tutaj, czy gdzieindziéj, zawsze ich los ścigać będzie, przeklęta kara za niepopełnioną winę ciężyć im będzie aż do grobu... Walczyli więc o tyle tylko by nędzne życie utrzymać, bez żadnéj na przyszłość nadziei, nie trzeba się więc dziwić, że apatya bezmierna opanowała oboje.

Ale zbliżała się zima; wrzesień się kończył i chłody jesienne nadchodziły. Kazia ręce łamała w bezsilności swojéj a pan Ignacy, coraz chudszy, zgarbiony i kaszlący, milczał posępnie.

Jednak, w połowie października, wrócił raz z miasta wieczorem. nieco rzeźwiejszy i wbrew przyjętemu zwyczajowi, przemówił pierwszy do córki.

— Dostałem zajęcie... — rzekł, nie patrząc na Kazię. — Zajęcie to będzie na całą zimę... możemy rachować na stały, miesięczny dochód...

Mówił urywanym głosem i wciąż unikał jéj wzroku, ale Kazia na to uwagi nie zwracała. Ujęła jego rękę i przycisnęła do ust ze smutnym uśmiéchem i łzą w oku.

— Dzięki ci Boże! — szepnęła. — Jakież to zajęcie?

Odwrócił się od niéj, niby czegoś po pokoju szukając; nie odpowiedział zaraz.

— Co cię to obchodzi... — rzekł w końcu. — Z głodu téj zimy nie pomrzemy, to i dość...

— Dlaczego nie chcesz mi powiedziéć ojcze? — wyrzekła smutnie. — Czym nie godna twego zaufania? a zresztą, czemu nie mam wiedziéć! To pewnie znowu jaka pisanina?..

— Tak — rzekł z wysiłkiem. — Muszę tam chodzić wieczorami... nie na długo!

— Tam chodzić? czemuż nie w domu?

— Nie można... tak mnie proszono. Wieczorami... nikt mnie nie zobaczy.

— Ależ mój ojcze... zamęczysz się! pewnie będziesz pisał do późnéj nocy...

— Nie! nie! — zawołał trochę już niecierpliwie. — Nie będę długo siedział, ale nie pytaj mnie już o nic więcéj... Jutro zaczynam.

Kazia nie nalegała dłużéj, nie chcąc drażnić ojca. Domyślała się, że upokarzającą musi być praca, któréj podjął się biédny — o! gdyby wiedziała całą prawdę!

Nazajutrz, skoro tylko ściemniać się zaczęło, wyszedł z domu i nie wrócił aż o jedenastéj w nocy, zziębnięty i śpiący.

Kazia czekała ojca z gorącą herbatą, która bardzo się biédakowi przydała.

Odtąd co dnia, długie wieczory spędzała sama jedna, przy pracy. Samotność nie ciężyła jéj, gdyż przywykła do niéj, a od niejakiego czasu miała o czém myśléć... nowa boleść dołączyła się do codziennych utrapień!

Żemińscy wogóle listów nie odbiérali żadnych; z poczciwym Rubickim nawet korespondencya przerwaną została, gdyż pan Ignacy wstydził się przyznać przyjacielowi do nowéj swéj niedoli. Wielce téż zdziwioną była Kazia, gdy przyniesiono z poczty list, z paryską marką, do niéj saméj adresowany.

Otworzyła go, przeczuciem drżąca i oto co przeczytała:

„Droga panno Kazimiero!

Wyjeżdżając rok temu, zagranicę, prosiłem panią, byś mi dała nadzieję, że kiedyś, gdy wrócę, zechcesz wysłuchać mię łaskawie. Sądziłem, że mój powrót prędzéj nastąpi; dziś, kiedy okoliczności go opóźniają, nie mogę dłużéj w niepewności wytrzymać i ośmielam się skreślić tych słów kilka ze stęsknionego za panią serca... Tak, Kazimiero! kocham cię, kocham jeszcze więcéj niż dawniéj; rozłączenie, tęsknota, uczucie to spotęgowało... Nie jestem w stanie żyć dłużéj samą tylko nadzieją, trzeba mi żywego słowa od ciebie, pani moja... Tyś najlepsza, najtkliwsza, w twoich oczach widzę moje szczęście... Wracam na Boże Narodzenie do kraju. Upoważnij mnie, najdroższa, bym wrócił jako twój narzeczony!... Nie jestem tak zarozumiałym, aby mieć przekonanie, że uczuciem odpowiadasz na moje uczucia, ale choćbyś mnie nawet nie kochała, oddaj mi swoją przyszłość... uczynię co tylko będzie w mojéj mocy, abyś była szczęśliwa, bo kocham cię i tęsknię...

Błagam cię pani, nie bierz mi za złe téj odezwy i śmiałości mojéj i odpisz słówko oddanemu ci

duszą i ciałem *Gabryelowi.*

List wypadł z ręki Kazi. Smutna zaduma rozlała się na jéj zbladłych i znękanych rysach... Zatonęła w téj zadumie, całkiem obca obecnéj chwili, daleka od nędznego otoczenia swego, daleka od trosk codziennego życia, od nękającéj myśli o jutrze... Wyobraźnią poleciała aż tam, do Paryża, do niego, znękaną głowę wsparła na ramieniu człowieka, który ją kochał, którego ona kochała... i skarżyła mu się cicho z bólów swoich... Zamajaczyła przed nią przyszłość spokojna u jego boku, dom wygodny, w którymby ojciec jéj biédny spoczynek znalazł nareszcie i męska opieka, przed którą ustaćby musiały wszelkie ludzkie sądy i zawiści...

Wicher jesienny zawył tymczasem na dworze ponurym jękiem, uderzył z siłą w okno i poleciał daléj... z nim razem uleciały marzenia Kazi.

Wstała, przetarła czoło dłonią, a twarz jéj przybrała wyraz dzikiéj, nieubłaganéj stanowczości.

Nie! ona nie ma prawa wiązać życia tego człowieka ze swojém przeklętem! nie ma prawa i sumienia narzucać mu swojéj hańby!... Zresztą on nic nie wié... a gdyby się dowiedział, czyby odezwał się do niéj tak jak dziś? czyby nie odrzucił ze wzgardą, jak tylu innych to uczyniło?

Nie powinna była wtedy dawać mu nadziei... powinna była zrozumiéć, że dla niéj szczęścia nie ma na ziemi.

A możeby spróbować? możeby napisać mu całą smutną historyę i poddać się jego orzeczeniu w téj sprawie? Jeżeli ją kocha tak gorąco, jak utrzymuje, może nie będzie zważał na nic?

Nie! stanowczo nie! ona już dzisiaj nie ma siły ani do prób żadnych, ani do oczekiwania w niepewności. Przepadła jéj wiara w ludzi, nadzieja w przyszłość... przepadło wszystko!... Jedno tylko serce rwie się nieposkromione ku niemu... ale je pokona, pokonać musi... a jeśli nie, to i lepiéj! skończy się raz ta męka. Sama sobie śmierci nie zada, ale gdyby to Bóg chciał już raz ją uwolnić z więzów życia!...

Wzięła papiér i pewną dłonią, nie zastanawiając się, że wyrok na siebie podpisuje, nakreśliła niewiele wyrazów:

„List pana otrzymałam, odczytałam go z rzewną wdzięcznością, ale aby nie skazywać pana na oczekiwanie, zaraz odpisuję! Nie! panie Gabryelu! nie mogę być żoną pana ani niczyją... Zapomnij o tém, żeś mię znał kiedyś, żeś miał nadzieję pozyskać moje serce... Źle, żem odrazu panu téj nadziei nie odebrała. Nie jestem stworzoną, aby komuś dać szczęście. Zapomnij pan, bądź szczęśliwy i nie staraj się widziéć nas już w życiu... Pierwsza to moja i ostatnia do pana prośba... mam nadzieję, że zechcesz jéj pan wysłuchać tak, jakby ona od umierającéj osoby pochodziła. Dla szczęścia pana i dla własnego spokoju, błagam... zapomnij pan!

Kazimiera.“

Napisawszy ten list, nie zastanawiała się Kazia, że jeżeli doktór rzeczywiście ją kocha, właśnie to bezładne pismo, w którém żal i rozpacz, obok hamowanego siłą woli uczucia się odzwierciadlały, spotęguje jego uczucie. Jéj chodziło głównie o to, żeby zakończyć tę sprawę i zakończyła ją, wykrzyknikiem rozpaczy.

Oddała własnoręcznie list na pocztę i odtąd miała już o czém myśléć w samotnych, wieczornych godzinach. Zdawało jéj się, a przynajmniéj wmawiała w siebie, że listem swoim stanowczy koniec położy téj sprawie, a tymczasem nowa boleść gryzła jéj serce i zdrowie podkopywała...

Z tém wszystkiém nie przyszło jéj nawet na myśl, że stała się znowu powodem zainteresowania w mieście...

List do Kazi, z marką z Paryża, do niéj, która żadnych listów

nie odbiérała, zaciekawił pana poczmistrza, który natychmiast fakt ten zakomunikował swojéj małżonce.

Kto mógł do niéj pisać z Paryża? Wypadek był dość niebywały, aby się nad nim zastanowić warto; to téż wkrótce wszystkie znajome pani poczmistrzowéj o nim wiedziały i skomentowały w różny sposób.

Rzecz doszła do pani burmistrzowéj, która nie mniéj zaciekawioną się okazała, ale także i najpraktyczniejszą.

— Chcecie państwo wiedzieć, od kogo był ten list? — wyrzekła z powagą. — Mojem zdaniem sposób najprostszy: czekać, do kogo odpowiedź będzie adresowana!

Wszyscy zgodzili się jednozgodnie, że rada była rozumna i list został odesłany właścicielce w nienaruszonéj kopercie.

— A jeśli odpowiedzi nie będzie? — brzmiały nieśmiałe, pełne obawy szepty, których jednak nikt otwarcie nie wypowiadał, bojąc się narazić „wyroczni.“

Tymczasem zaraz na drugi dzień, Kazia sama, nie domyślając się niczego, odniosła list na pocztę.

Pocztmistrz przyniósł żonie list, jak zdobycz szacowną i w téj chwili rozradowana pani, wysłała zaprosiny „na kawę“ do pań znajomych.

„*Monsieur Gabriel Zarowicz, docteur en médecine,*
Paris, rue du Bac, 15.“

Nie ma wątpliwości, to on do niéj pisał! On, doktór, człowiek wyższego towarzystwa i wychowania, do takiéj...

Pani burmistrzowa była szlachetnie oburzoną.

— Czy jesteś pan pewny — pytała z surową miną obrażonéj cnoty — że to pierwszy list?

— Najpewniejszy łaskawa pani. To jest... biorąc ściśle... właściwie to... drugi, bo od niego był pierwszy.

Burmistrzowa z politowaniem spojrzala na ograniczowego człowieka

Ciekawość — ozwała się aptekarzowa — co téż w tym liście być może?

Burmistrzowa, jako dygnitarka, trzymała list w ręku, oglądając go pod światło. Wszystkich oczy na nią było zwrócone, od niéj spodziéwano się decyzyi w téj sprawie, czy list wysłać czy... przeczytać, czy spalić. No, a jeśli spalić, to przecież można i przeczytać... o tém się nikt nie dowié...

— Skokietowała panna człowieka — mówiła w zamyśleniu dy-

gnitarka. Gdyby tak można wiedziéć, o czém oni pisują do siebie... możnaby mu oczy otworzyć. Tak moi państwo! Obowiązkiem naszym otworzyć mu oczy! Może sobie przyrzekli, może poczciwy zadurzył się w dziewczynie! Gdyby to można wiedziéć... Tak, tak! nie jednoby człowiek zrobił dobrze, gdyby mógł... Jakże możemy jego ratować, kiedy tu tajemnica...

— Możeby otworzyć... — zaproponowała cichym głosem pocztmistrzowa.

— Otworzyć! otworzyć! — zabrzmiało zewsząd.

Burmistrzowa z oburzeniem list odrzuciła.

— To nie moja rzecz! — zawołała. — Jeżeli pan pocztmistrz zechce, jego prawo.

— Ściśle biorąc, sądzę, szanowna pani, że zważywszy na zwyż wymienione powody pełne chrześciańskiéj miłości dla dobra bliźniego, zważywszy, że Żemińscy stoją pod pręgierzem opinii publicznéj naszego miasta, że powinno się każdy krok ludzi podobnych kontrolować... sądzę, że ściśle biorąc, jestem w prawie list ten przyjąć do wiadomości...

— Przyjmijmy więc! — zawołała burmistrzowa, krzywiąc się na ciężkie wysłowienie pocztmistrza, które jednak, choć w innéj formie, wyrażało własne jéj myśli.

Pani pocztmistrzowa szybko się zawinęła, i w jednéj chwili stanęło na stole naczynie pełne gorącéj wody i znalazł się ostry, cienki nóż, co wszystko kazało przypuszczać, że podobne operacye były tutaj znane.

Pięć pań otoczyło stół w milczeniu głębokiém, z oczyma skierowanemi na list, który pocztmistrz trzymał długo nad parą idącą z naczynia z wodą i po kilku poruszeniach za szybkich, świadczących o niecierpliwości operującego, oddzielił nareszcie sklejone brzegi koperty i wyjął zeń ćwiartkę papiéru.

Z wyciągniętemi naprzód szyjami, z oczami utkwionemi w papiér i wyrazem silnego skupienia i ledwie hamowanéj ciekawości w rysach, stały szanowne miłośniczki prawdy i sprawiedliwości, pragnąc ratować młodego doktora ze szponów biednéj Kazi...

Pocztmistrz odchrząknął i czytać zaczął.

W miarę jak czytał, głos jego stawał się coraz więcéj stłumiony, a głowy ciekawych pań wracały na miejsce i oczy chyliły się ku ziemi.

Milczenie trwało długo po skończoném czytaniu. Pocztmistrz zdawał się mocno zajęty wkładaniem listu napowrót do koperty, co

mu się nie udawało, gdyż z niewiadoméj przyczyny ręce mocno mu drżały...

Czuła pani doktorowa nie wyjawiała swego zdania, ale nagle dostała jakiegoś kataru... odeszła na bok i raz po raz głośno w chustkę nos ucierała.

— No, nie ma się czego obawiać...—zaczęła aptekarzowa tonem stłumionym, jakby się własnego głosu lękała.

— Tak — potwierdziła pani adjunktowa. — Można list posłać... biédna dziewczyna! Co ona winna?

— Pewnie że niewinna...—wtrąciła znowu aptekarzowa.

Poczmistrz i żona jego milczeli, jakoś niepewnie oczy podnosząc. Doktorowa ciągle miała zajęcie ze swoim nosem...

Nagle burmistrzowa ocknęła się z zadumy, która chwilowo zamroczyła dygnitarskie jéj czoło.

— Niewinna!—wyrzekła ze śmiechem. — Czyż państwo nie widzicie, że to kokietka! Ona umyślnie napisała ten list, aby go rozczulić i przyciągnąć! O! znamy się na tém. Zobaczycie państwo, że on się tu lada chwila zjawi i wtenczas dopiéro będzie heca!

Schylone głowy podniosły się na słowa wyroczni; panie szeptać z sobą poczęły i katar doktorowéj zniknął téż nagle. Wróciła i zasiadła w gronie towarzyszek, z nosem i oczami nieco czerwonemi, ale uśmiechnięta.

— Więc pani utrzymuje, że to tylko pretekst, jak to mówią! — wyrzekła swoim zwyczajem, używając pretensyonalnego określenia, co pasyami czynić lubiła.

— A pani rozczulasz się swoim zwyczajem! Że téż pani umiész tak płakać... na poczekaniu!

Doktorowa zmieszała się i wymawiała.

Wniesiono kawę z doskonałemi ciastami, dla poprawienia humoru, i całe towarzystwo zasiadło spożywać dary boże, za przykładem pani burmistrzowéj surowe sądy wydając o Kazi.

— Dałabym na mszę — zakończyła szanowna dama — gdyby ci Żemińscy wynieśli się stąd za góry i lasy! Co do doktora, przyjedzie, zobaczycie państwo — ale już ja go biorę na siebie i nie dam mu się zgubić!

— Więc, ściśle biorąc, można list wysłać? — spytał pocztmistrz.

— A, naturalnie! inaczéj nie doczekalibyśmy się końca. Ale, proszę państwa, ktoby się to tego po takim Zarowiczu spodziewał? Człowiek majętny, wykształcony... Gdyby chciał, toby mu Tyniecki dał siostrę, a zawsze taka Tyniecka, to nie Żemińska!

— Podobno mu się nie podobała...—wtrąciła aptekarzowa.

— Co pani wiész! — zawołała burmistrzowa.—Przecież nie spowiadał się nikomu.

Poczmistrz odszedł z listem, a panie pogawędziwszy jeszcze i posprzeczawszy się trochę, rozeszły się do domów swoich rozmyślać, jakie téż będzie zakończenie sprawy, która ich zaciekawiała.

Kazia była tak pogrążona przez dni następne w beznadziejnych swoich myślach, że wszystko inne na drugi plan zeszło. Spełniała wprawdzie ze zwykłą gorliwością starania swoje przy domu i ojcu, ale czyniła to bezmyślnie prawie, jakby machinalnie.

Tydzień, dwa tygodnie upływało od wysłania listu do Paryża. Kazia wyobrażała sobie teraz, jak on musi być zdziwiony i zasmucony tém, co mu napisała... Nie odpisze jéj z pewnością, o, nie! ale kto wié, czy nie zechce z nimi się zobaczyć, gdy wróci do kraju... Święta zbliżają się szybkim krokiem—listopada już dni kilka, potém grudzień... Zima rozpoczęła się na dobre. Śniég biały leżał grubo na ziemi, w mieszkaniu ich coraz zimniéj... Żemiński chodził co dnia do swéj pracy. Już przyniósł Kazi zarobione za pierwszy miesiąc pieniądze — mało! bardzo mało! nie spodziewała się, że to tak niewielką sumę wyniesie! Ale ojcu nie skarżyła się. Kupiła drzewa, a resztę pieniędzy zostawiła na codzienny użytek.

Biédny ojciec! zaniedbała go... tak mało starała się teraz uprzyjemniać mu życie, bardzo ciężkie dla niego!

Spojrzała teraz na niego, gdy siedział zatulony w jedyny w całym domu fotel, czytając książkę. Było już południe, ale dzisiaj Żemiński jakoś nie śpieszył z ubieraniem. Siedział w starym szlafroku, w czapce włóczkowéj na głowie, skulony i jakby drżący, i czytał sobie książkę, leniwie kartki przewracając.

Zimno było dziś bardzo na dworze, mróz silny porysował szyby okryte szronem. Kazia, aby nie marnować drzewa, zapaliła w pokojowym piecu zamiast w kuchence, w któréj nikt nie mieszkał i na węglach gotuje skromny posiłek, stanowiący obiad.

Będąc rano w mieście, widziała ruch niebywały koło mieszkania burmistrza.

Dziś ś-téj Katarzyny, u państwa burmistrzowstwa wielkie przyjęcie z powodu imienin pani, na które całe miasto i okolica się zjeżdża.

Tam się będą bawić, tańczyć pewnie noc całą i onaby tam była,

gdyby nie to, co się stało, a teraz!... Kazia nie żałuje zabawy, boli ją tylko porównanie tego, co było, z tém co jest...

Westchnęła cicho i otrząsając się z bolesnych wspomnień, zajęła się podaniem obiadu.

Ale Żemiński nie miał dziś apetytu.

— Katar mnie rozbiera—pocieszał córkę—mam chrypkę i ciężkość na piersiach, a przytém trochę dreszczy... Nie bój się, nic mi nie będzie! Prześpię się tylko trochę, a potém pójdę.

— Pójdziesz, mój ojcze? — zawołała przerażona nagle — o nie czyń tego! Dziś takie zimno... przecież jeden dzień zostać możesz...

— Nie, Kaziu, nie mogę! — odrzekł z dziwną łagodnością, ale stanowczo.—Prześpię się i pójdę. Świeże powietrze dobrze mi zrobi. Gdybym czuł, że jestem chory, sambym nie szedł.

Łagodny ton perswazyi poruszył ją do głębi. Ułożyła ojcu poduszkę na łóżku, okryła go i przechyliła się do jego ręki. Żemiński przyciągnął ją ku sobie i ucałował.

— Moje dobre, dzielne dziecko!...—rzekł cicho.

Biédna odeszła szybko do kuchenki ukryć łzy, mimowolnie cisnące się do oczu.

U nieszczęśliwych pieszczota każda rzewną być musi... dlaczego? Widzimy często jak nieszczęśliwe, ale zamknięte i milczące w swoim bólu istoty, gdy ich ukochane ramię otoczy, folgę dają wezbranym w sercu uczuciom, rozpływając się łzami... Ale czemu tak jest? niewiadomo.

Żemiński usnął wkrótce głęboko.

Kazia zabrała się cicho do swojéj roboty. Miała skończyć kraciastą spódnicę, aby ją odnieść dziś jeszcze do Rejsi i odebrać pieniądze.

Szyjąc, spoglądała na ojca z uczuciem. Czegoś taka ją rzewność dziś opanowała, tak głębokie współczucie dla niego i tak czuła potrzebę coś dla niego uczynić... Ale co? Środki jéj były niewystarczające, nie mogła sobie pozwolić na żadne nadzwyczajne wydatki. Dziś wszakże będzie miała kilka szóstek za ukończoną spódnicę... Mogłaby kupić ojcu coś lepszego do zjedzenia, coś, coby siły jego wyczerpane podtrzymało. Kupi mu wina do herbaty i poda, gdy wróci w nocy, zziębnięty i zmęczony... Tak! to myśl wyborna.

Igła migała szybko w jéj dłoni i niedługo robota została ukończoną. Mrok zapadać zaczął. Żemiński przeciągnął się kilka razy, i wzdychał czy jęczał...

Kazia, nie tracąc czasu, złożyła robotę, przygładziła włosy, ubrała się w ciepłą chustkę, która teraz płaszcz jéj zastępowała,

drugą na głowę włożyła i wyszła. Chciała załatwić się prędko i wrócić, nim ojciec wyjdzie z domu.

Sklep Rejsi leżał po drugiéj stronie rynku, który cały przechodzić było trzeba. Zmrok zapadał coraz gęstszy, a droga wykopana w śniegu nie dość się odznaczała, témbardziéj że skąpe latarnie jeszcze się nie paliły. Kazia szła i zapadała w śniég co chwila; cała przejęta myślą o niespodziance, jaką ojcu gotuje, nie zwracała na to uwagi.

W sklepie, Rejsia i synek jéj zajęci byli wydawaniem towarów posłańcowi pani burmistrzowéj, Kazia więc stanęła na boku, czekając chwili, gdy z kupcową rozmówić się będzie mogła.

Wyniesiono nareszcie paczki, flaszki, kosze i koszyki i Rejsia, ocierając pot z czoła, zwróciła się do Kazi.

— A co panienka?...—spytała.

Kazia podała jéj skończoną spódnicę.

— Już zrobione? dobrze. Zarasz poślę, a panienka spocznie sobie *czymczasem*. *Du*, *Beile*... — zaszwargotała do synka, podając mu przyniesioną spódnicę i tłómacząc, gdzie ma odnieść.

Malec poskrobał się w głowę, zsuwając jarmułkę na prawą stronę, zrobił wymowny ruch w okolicę nosa, włożył spódnicę pod pachę i wymaszerował za drzwi.

— Niech panienka siada — rzekła żydówka, sadowiąc się sama na worze z mąką i ręce opierając na rozszerzonych kolanach. — Co ja dziś roboty miała!... aj! waj! taki wielgi wieczór u naszéj pani prezydentowéj, — niech zdrowa żyje! A ta służba, to taka nieporządna, co aż strach! nie nabiorą wszystko razem, tylko co momentu, to rodzynki, to oliwa, to cynamon, aj! waj!

— Ma kupcowa wino... tak trochę mi dać?—wyrzekła Kazia — dla ojca, do herbaty...

— Nu, czego nie mam! ja dla panny Kazi dam dobrego wino.

— Ale że ja... ja nie mogę całéj flaszki kupić...

— To ja dam i trochu! Ja nie taka, jak inne. Ja panienkę bardzo lubię. Wina dla tate, nu, to dam... nu biedny, potrzebuje wino.

— Ojciec mizerny, prawda? Teraz, dzięki Bogu, dostał to miejsce...

— Miejsce? co za miejsce! na moje wrogi takie miejsca!... aj! waj!...

Żydówka złożyła teraz splecione ręce na kolanach i kiwała się, ze współczuciem patrząc na zdumioną Kazię.

— Co to znaczy?—zawołała ta ostatnia, oniemiała przez chwilę

z powodu wrażenia, jakie na niéj sprawiły dziwne słowa żydówki. — Kupcowa mówi tak o têm miejscu... jakby to było coś takiego strasznego... Ja się boję! Co to być może? Na Boga, mówcie mi!...

Głos jéj drżał, a oczy przerażone w niepewności w żydówkę były utkwione. Czego ona się dowié?... Boże! Boże!...

— Aj, waj! a to panienka taki bojak? — tłómaczyła żydówka, widząc z przerażenia Kazi, że wdała się w niepotrzebne gadanie. — Nu, co jest? Ja pani co powiem... niech pani nie da *tate* tam chodzić!... to nie jest dla niego, nu, co?

— Ależ pierwéj sama muszę wiedzieć!—wołała Kazia. — Ojciec mi nie mówił, gdzie ma zajęcie...

— Nie szkodzi! nu, tego nie mógł mówić... Ale niech go panna Kazia nie puści...

— Moja kupcowa! powiedzcie mi jakie to zajęcie... moja złota! niech ja wiem.

Kazia ręce składała, prosząc ze łzami prawie, coraz więcéj zaniepokojona i przerażona, choć sama nie wiedziała czemu.

Żydówka się opierała, pocieszając ją.

— Jak *un* sam nie powiedział, to *un* już wié, co ma robić... Może *un* to lubi? nu, może! ale ja nie mogę powiedzieć, *un* by się gniéwał...

— Mój Boże! ja wiedzieć muszę!—wołała Kazia strasznêm przeczuciem miotana.

Rejsia, zdjęta litością, pochyliła się ku niéj.

— Ja pani co powiem...—radziła.—Niech panna Kazia idzie za nim, jak *un* pójdzie z domu! to panna Kazia sama zobaczy.

Tak! tak! to najlepsza rada! Ojciec za chwilę wyjdzie... musi lecieć, śledzić go... Zaledwie wyjąknęła podziękowanie Rejsi i wyskoczyła ze sklepu na ulicę.

Ciemno już było prawie, ale Kazia nie zważała na nic, tylko biegła, potykając się co chwila. Zdawało jéj się, że nigdy nie dojdzie... widziała już dom i drzwi zamknięte i ciemne okna mieszkania; nagle znowu się potknęła i głębiéj jeszcze zapadła w śnieg. Podniosła się szybko i ujrzała nagle, jak drzwi domu otwarły się i ktoś wyszedł. Poznała go: to był jéj ojciec.

Przykucnęła na śniegu i czekała. Ciemno; latarnie jeszcze się nie świecą, więc jéj nie dojrzy, choćby i koło niéj miał przechodzić. Znajdowała się w téj chwili prawie po środku rynku, tuż koło karczmy, oberżą zwanéj. Okryła się chustką i cała drżąca, przejęta ważnością obecnéj chwili, bardzo niespokojna, czego się dowié, nie

spuszczała oka z ciemnéj postaci, z trudnością torującéj sobie wśród śniegu drogę.

Szedł ku niéj. Poznawała doskonale płaszcz ojca stary i czapkę dobrze znaną. Nie było wątpliwości, był to on...

Co to będzie... Boże! co to będzie?...

Ludzie przechodzili obok niéj, zajęci swojemi sprawami, obojętni, nie zważając na ledwie widoczną postać skuloną na śniegu. Ten i ów spojrzał i szedł daléj. Tyle bachorów żydowskich włóczy się zawsze po mieście i bawi w śniegu! Tyle żebraków spoczywa po drodze! Skulona postać nie wyciągała ręki, nie prosiła, ani się skarżyła, więc mijano ją bez zwrócenia uwagi.

Kazia także nie widziała nikogo, oprócz ojca.

Głuchy turkot dał się słyszéć na drodze; powóz przejechał obok niéj, oślepiając na chwilę światłem zapalonych latarni, że aż oczy przysłoniła i wtoczył się w otwartą bramę oberży. Kazia, nie zaciekawiona wcale rzadkim w mieście widokiem powozu zaprzężonego w cztery konie, przetarła oczy i znowu za ojcem patrzała.

Żemiński był już blisko. Zatrzymał się dla przepuszczenia powozu, a teraz nagle, będąc prawie naprzeciw córki, zwrócił się w bok i wszedł do szopy, stojącéj tuż przy saméj oberży.

Oczy Kazi otwarły się szeroko, jakby przeniknąć wzrokiem pragnęła deski szopy, kryjącéj jéj ojca. Oddech w piersi zaparła; w głowie jéj szumiało. Wszystkie myśli w jeden punkt skoncentrowane mózg jéj rozpierały, tak, że chwilami przytomność ją odbiegała.

— Co on tam robi... co robi...—powtarzała w myśli, a pytanie to kołowało jéj w głowie z natarczywością.

— Pójść tam... czy nie?

Ale zaledwie myśl tę sformułowała, drzwi szopy otwarły się na nowo i wyszedł z nich człowiek, którego na pierwszy rzut oka nie poznała... Miał na sobie długi fartuch zasmarowany, czarny prawie, świécący; jedną ręką popychał mały wózek, na którym rzędem stały lampki naftowe a w drugiéj trzymał zapaloną latarkę; na ramieniu dźwigał długą, brudną drabinę...

Drabinę ową przystawił do jednéj z latarni blisko ratusza wkopanéj w ziemię, ujął jedną lampkę i wszedł po szczeblach na górę... Za chwilę zamigotało światło... w blasku tém ujrzała Kazia twarz latarnika i usunęła się z głuchym jękiem na śnieg biały...

Tajemnica ojca, którą tak wiedziéć pragnęła, była jéj już znaną...

Powóz, który przeleciał koło Kazi, zajechał w bramę oberży i zatrzymał się. Wnet drzwi jednego z numerów otwarły się i pan Tyniecki ukazał się na progu.

— Jest pan?—spytał furmana.

— Jest! jest! — odrzekł mu głos z wnętrza powozu i jednocześnie wyskoczył z niego mężczyzna, który ujął Tynieckiego w uścisku.

— Co to się ma znaczyć, Stefku?—zawołał.—Zamiast do siebie, kazałeś mnie wieźć tutaj... wytłómacz się.

— Najprzód, pozwól mi powitać pana doktora wszech-nauk lekarskich! A teraz chodź do mego pokoju, zaraz ci wszystko wyjaśnię.

Weszli do numeru. Tyniecki kazał podawać herbatę, kiedy doktór Zarowicz zdejmował futro.

— No — zaczął, siadając przy stole — powiédz mi teraz, co to wszystko znaczy, bo zaczynam być... niespokojny. Telegrafuję ci, że przyjeżdżam, proszę o konie, a ty, zamiast do siebie, każesz mi do karczmy zajeżdżać.

— Uspokój się! -- odrzekł ze śmiechem Tyniecki. — Nic się nie stało, tylko muszę być w mieście dla interesu i nie mógłbym wrócić do domu jutro, a może nawet i pojutrze. Wydaję Rózię za mąż... potrzebuję pieniędzy i traktuję o sprzedaż lasu. Wiem zresztą, że przykrości ci nie sprawiam, sprowadzając cię tutaj... i tak jutro frunąłbyś do miasta, spojrzéć w pewne błękitne oczy... — dodał, domyślnie się uśmiechając.

— Masz słuszność... Rzecz to poważniejsza nawet niż możesz przypuszczać. O ile dawniéj podobała mi się, teraz... tęsknię za nią i... Czy nie wiész, co się tam dzieje!

— Nie wiem nic. Przyjechałem do domu kilka dni temu, nie widziałem nikogo, a dziś od rana siedzę tutaj, traktując z brodatą bracią...

— Więc nie widziałeś jéj... ich obojga? — wyrzekł zafrasowany Zarowicz. — Mam pewne powody sądzić, że nie wszystko tam idzie, jak iść powinno...

— Pod jakim względem?

— Albo ja wiem! myślałem, że od ciebie się dowiem.

— Naturalnie więc chcesz co prędzéj zobaczyć się z nimi!

— Naturalnie. Tylko dziś, wątpię, aby się to już udało... Iść do kogoś tak późno...

— Poczekaj! ja zaraz dam radę. Iść do nich nie możesz — nie dlatego, że późno, gdyż dopiéro po siódméj, ale z téj przyczyny, że

dziś wielkie przyjęcie u państwa burmistrzowstwa i oni naturalnie tam będą — albo już są. Otóż, ubiéraj się, pójdziesz ze mną, gdyż i ja jestem proszony... nie mogłem się wymówić. No, ubieraj się!

— Ależ, mój drogi! co ci przychodzi do głowy? Nie jestem proszony... głowa mnie boli; cały dzień jechałem... jestem zmęczony, nie w humorze.

— Mój Gabryelu! na co te wymówki? Zobaczysz swoją ukochanę, a potém... potém pójdziesz spać, jeżeli zechcesz...

Doktór oponował jeszcze czas jakiś, ale nareszcie nadzieja zobaczenia Kazi zwyciężyła.

Mieszkanie państwa burmistrzów *à giorno* oświecono. Gości mnóstwo, strojnych, wesołych.

Sama pani, promienna radością, że przyjęcie się udało, chodzi pomiędzy zaproszonymi w długiéj, ciężkiéj, jedwabnéj sukni, z kwiatami we włosach.

Panie obsiadły kanapy, fotele i krzesła, krytykując w myśli stroje sąsiadek. Panowie we frakach lub tużurkach—pod tym względem wolność zupełna — zbliżają się w podrygach do panien, tworzących osobną, różnokolorową grupę.

Tyniecki z doktorem doznali przyjęcia, jak w niebie. Do nich obracają się wszystkie oczy, wszystkie uszy łowią ich słowa, wszystkie usta grzeczności im prawią.

Między pannami doktór nie dostrzegł Kazi, ale czekał cierpliwie — może się jeszcze pojawi. Pytać o Żemińskich trudno mu było, nie wypadało... nie pragnął dawać pola do domysłów — przedwcześnie.

Zaproszono do kolacyi. Doktorowi dostał się zaszczyt prowadzenia do stołu pani domu i miejsce obok niéj.

Podawano potrawy jedne po drugich, bez końca; spijano zdrowie solenizantki, jéj małżonka, gości, każdego z osobna,—Żemińskich nie było, i nikt się jakoś o nich nie troszczył.

Doktora niepokój coraz większy ogarniał.

Burmistrzowa wysilała się, aby być przyjemną.

Pamiętała ona dobrze zobowiązanie, jakie wzięła na siebie, odstrychnięcia doktora od Kazi i widziała na sobie pełne oczekiwania oczy swoich znajomych, wierzących w jéj zapowiedź, że będzie *heca*. Ale burmistrzowa była kobiétą pełną taktu; nic nie robiła pośpiesznie, bez zastanowienia i przygotowania; brała się do rzeczy, jak wytrawny wojownik. Usposobiła najprzód Zarowicza przyjaźnie, za-

pewniając go o swéj życzliwości, o szacunku jaki ma dla niego, o dozgonnéj wdzięczności, że zechciał przyjść na „skromny wieczorek.“

Wypytywała go o podróże i studya, z ciekawością, świadczącą o jéj wykształceniu i znajomości rzeczy, lub wielkim sprycie i darze oryentowania się na nieznajomém sobie polu.

— Jak to przyjemnie widziéć kogoś wracającego z szerokiego świata! — mówiła. — My tutaj, żyjemy jak w grobie... zawsze jedno i to samo. Rzadko się zdarzy, żeby coś nadzwyczajnego zaszło. Raz tylko... ale panu pewnie znajoma awantura z Żemińskim?

Ładne, żywe oczy pani prezesowéj z ukosa spojrzały na doktora złośliwie.

— Z Żemińskim? Albo co się stało?

Doktór nie mógł ukryć przerażenia, które mu drżało w głosie, w oczach się odbijało.

— Jakto? pan nic nie wié? — rzekła drocząc się ze swoją ofiarą burmistrzowa.

— Nie pani! nie mogę się nawet domyślać...

— O nie wysilaj się nawet, konsyliarzu! czegobyś pan się domyślał, nie mogłoby się równać z tém, co jest... Że téż to ludzie tacy przewrotni na tym świecie! Każdyby mógł myśléć, że to porządny był człowiek...

— A to zbrodniarz... uwolniony dla braku dowodów! — wtrąciła siedząca po drugiéj stronie doktora aptekarzowa, nie mogąc powstrzymać języka dłużéj.

Doktór odetchnął głęboko i uśmiechnął się.

— Znam tę sprawę oddawna — rzekł powoli, patrząc dziwnie po obecnych, głosem pewnym, donośnym. — Sądziłem, będąc tutaj w przeszłym roku, że wszyscy państwo znacie ją równie, że się tylko o tém nie mówi, przez wzgląd na niewinnie posądzonego i jego córkę...

— Więc pan go za niewinnego uznaje? — pytała burmistrzowa, drżąca z obawy, że jéj perswazye na nic się nie przydadzą.

— A któż wątpić o tém może, znając Żemińskiego? — zawołał doktór takim głosem, że wyglądało jakby rzucał wyzwanie wszystkim obecnym.

Wokoło stołu szepty się podnosiły coraz donośniejsze.

Tyniecki ze swéj strony dowodził niewinności Żemińskiego, nie z takim wprawdzie zapałem jak jego przyjaciel, ale zarówno stanowczo.

Zmieszana burmistrzowa złym obrotem sprawy, która według niéj pewną była wygranéj, dała znak do powstania od stołu, zła

i gniewna. Nie przyjęła ręki doktora, pod pozorem, że musi zostać w jadalni i ten ostatni sam jeden wybiérał się przejść do dalszych pokoi, gdy uczuł, że mu ktoś rękę wsuwa pod ramię.

— Dobrze pan zrobiłeś, żeś przyjechał... — szepnął mu głos kobiécy. Żemińscy potrzebują obrony, bo im krzywda się dzieje!

Zarowicz popatrzał zdumiony i ujrzał poczciwą notaryuszową.

Muzyka przygrywać zaczęła do tańca; młodzież puściła się w wir polki, a podczas tego notaryuszowa szeptała swemu towarzyszowi:

— Niech sobie tańczą, tém lepiéj... Niech tańczą... nie będą na nas uwagi zwracać...

Szli w stronę drzwi głównych, przy których stała niezajęta kanapka, przeciskając się pomiędzy tańczącymi, nagle szmer jakiś zrobił się u wejścia, stłumione ozwały się głosy, w których wyraźnie słychać było jeden wyraz: Doktora! doktora!

Zarowicz, jako doktór i człowiek z sercem, pośpieszył na wezwanie, ale już burmistrz blady, przerażony, zastąpił mu drogę.

— Co się stało? jestem przecie doktorem! — zawołał Zarowicz.

— To, właściwie... naszego doktora wołają. . ale jak pan chce...— jęknął burmistrz.

— Ale co się stało? kto zachorował? — ozwały się głosy.

Z poza pleców burmistrza wysunął się pomimo energicznéj opozycyi tego ostatniego strażnik miejski i skłoniwszy się:

— A to ten biédny panisko... — zaczął dobrodusznie. — Najął się do zapalania lamp... Wlazł na drabinę, bo już późna godzina, wedle gaszenia... ta spadł! Mówią, co się zabił, a ta jego Kazia to mówią zwaryowała, bo takie dziwy wyprawia... Jemu tam już nic nie pomoże dochtor, ale panienka...

Krótki, urwany, ale pełen grozy ozwał się krzyk z męskiéj piersi... Zarowicz zrozumiał odrazu.

Ojciec jego ukochanéj, opuszczony od wszystkich, został latarnikiem... zabił się, a ona zwaryowała.

Obrócił się blady, siny, z zaciśniętemi zębami.

— Szakale, nie ludzie! — syknął nie swoim głosem. — Daliście zginąć jednemu z naszych bliźnich!

I jak stał, pędem wyleciał na ulicę.

Tuż za nim wysunęła się drobna postać notaryuszowéj w przestronny płaszcz owinięta i szybkim krokiem, pomimo śniegu, zagradzającego jéj drogę, biegła ku dworkowi, zamieszkanemu przez Żemińskich.

Sporo ludzi zebrało się u drzwi domu, w sionce i kuchence, przez

którą do pokoju dostać się było potrzeba. Ludzie szeptali i kiwali głowami, bezradni; wiadomość o wypadku szybko się rozeszła, budząc ciekawości więcéj niż współczucia.

Od progu domu słyszała już notaryuszowa jęk bolesny, przeciągły, który czasami w łkanie przechodził, czasem znowu w dzikie wycie i bełkotanie. Im bliżéj była, tém wyraźniéj jęk ten słyszała i serce jéj zatłukło się w piersi, gdy sobie pomyślała, że to biédna Kazia waryuje...

Notaryuszowa była dobrą, zacną i odważną istotą, a jednak zawahała się mimowoli, stanąwszy na progu pokoju.

Jedna tylko, kopcąca lampka kuchenna, przyniesiona widocznie przez któregoś z sąsiadów, oświetlała słabo wnętrze pokoiku.

Na ziemi, blisko progu, leżał na noszach na prędce skleconych, blady, żółty Żemiński. Z głowy jego obnażonéj sącząca się krew, utworzyła ciemną na podłodze plamę i zastygła.

Obok niego wiła się z bólu Kazia, nieprzytomna, z rozpuszczonemi włosami, które potargała, ze szklistym wzrokiem, z ustami konwulsyjnie wykrzywionemi. Darła włosy, odzież na sobie, łamała ręce...

Przy niéj przykląkł rozszalały z rozpaczy Zarowicz, obejmował rękami, tulił do piersi, pieścił jak dziecię, ale nadaremnie!

On w balowym stroju, w białym, jak do ślubu krawacie, piękny, wytworny, i ona, z potarganemi włosami i suknią nędzną, rozdziérający kontrast tworzyli.

Notaryuszowa, zapanowawszy nad wzruszeniem, odrazu, jednym rzutem oka, objęła stan rzeczy i pojęła że nie tak się tu dzieje, jak się dziać powinno.

Przedewszystkiém wydaliła ludzi, zazierających przez drzwi kuchenki, pozostawiając jednę, znajomą sobie kobiétę, któréj kazała więcéj światła zapalić.

Potém, pochyliła się nad doktorem.

— Kochany panie... — rzekła zdobywając się na stanowczość — źle się bierzemy do rzeczy! Czy oglądałeś pan rannego? czy jesteś pewny, że nie żyje?

Zarowicz spojrzał na nią na pół przytomny.

Kazia uspokoiła się na chwilę; przytulona do niego, zdawała się usypiać, lub omdlewać z wysilenia.

Objął ją ramieniem i tak błagalny, tak pełen żalu wzrok przymglony łzami podniósł na notaryuszową, że sama kobiéta o mało się nie rozpłakała.

— Dobrze, dobrze! — rzekła — zajmij się pan nią, nie mam nic

przeciwko temu... ale zabierz ją pan stąd przynajmniéj... usuń ją od tego widoku!

Pociągała go za ramię i zmusiła, że powstał i zaprowadziła ich w drugi róg pokoju, gdzie Zarowicz umieścił Kazię na kanapce, która jéj zwykle za łóżko służyła i sam przy niéj musiał zabrać miejsce, bo skoro się tylko ruszył, jęczéć zaczynała.

— Muszę zapisać receptę dla niéj... — szepnął do notaryuszowéj, zbiérając myśli powoli — wiem, żem powinien obejrzéć... ciało... może on żyje!.. a widzi pani, że się ruszyć nie mogę... Czy ten zacny doktór nie myśli przyjść?... potwory! — syknął w bezsilnym gniewie.

Notaryuszowa sama widziała konieczność sprowadzenia doktora i chciała już posyłać po niego, gdy nareszcie zjawił się w towarzystwie burmistrza, ciągle bladego i przelęknionego i... jego żony.

Pani prezydentowa przebrała się z wieczornego stroju, przybrała minę samarytanki, i była gotową poświęcić się dla dobra bliźniego.

Zamierzała już ze słowami pociechy na ustach iść wprost do Kazi, pomimo znaczącego grymasu, jaki mimowoli ukazał się na jéj twarzy, gdy ją ujrzała prawie w objęciach Zarowicza, ale notaryuszowa ją powstrzymała.

— Jest zupełnie nieprzytomna — objaśniła — słów pani spóźnionego współczucia nie usłyszy ani zrozumié...

— Mój Boże!... — szepnęła dygnitarka, upokorzona nagle do tego stopnia, że nie podniosła obraźliwego wyrażenia swojéj antagonistki! — Mój Boże! jakaż ona biédna! jak ja mogłam uwierzyć tym niecnym podszeptom...

— Których duszą byłaś pani... — odcięła notaryuszowa.

— Och! mimowolném narzędziem! — zaprzeczyła z mocą. — Pomimo, że nie mam sobie nic do zarzucenia, zobaczy pani teraz moje postępowanie! Biédna siérota! mam przekonanie, że od téj chwili staniemy się przyjaciółkami!

Notaryuszowa spojrzała na nią z dziwnym uśmiéchem, ale mówić nie miała czasu.

Doktór skończył oględziny; skonstatował, że Żemiński zabił się na miejscu, uderzywszy głową o słup latarni...

A biédna Kazia od chwili do chwili jęczała ciągle, mówiąc wyrazy bez związku i tuląc się instynktowo do człowieka, który ją całą duszą miłował...

— Bóg miłosierny! — wyrzekła poważnie notaryuszowa. — Zakończył męki ziemskie niewinnego... Ludzie go potępili i opuścili... On się nad nim zmiłował!...

Doktór zbliżył się z kolei do Kazi, badał ją, opatrywał, zapisał nawet lekarstwo, ale głową kiwał...

— Nie ma nadziei, kolego?.. — spytał Zarowicz z nadludzkim spokojem panując nad swoją rozpaczą i stawiając kwestyę odrazu jasno.

— Nie wiem! Kolega może potrafi... silne wstrząśnienie moralne przewrót w słabym organizmie spowodowało, przewrót szalony... nadto gwałtowny. Może jednak się mylę... może są środki, których nie znam!...

— O tak! — zawołał z mocą Zarowicz. — Są takie środki a nazywają się: wiara i miłość! Wierzę, że Bóg ulituje się nad nią i... nademną! wierzę, że miłość moja uzdrowić ją potrafi!..

N. M.





FAŁSZYWY „DON KICHOT" [1])

I JEGO AUTOR.

Kto nie zna przygód nieśmiertelnego rycerza z Lamanczy, obrońcy uciśnionych i pokrzywdzonych? Pragnie on wskrzesić błędne rycerstwo, jest niewzruszony w swém szaleństwie, szydząc z logiki losu i broniąc straconéj sprawy. Zabawne przygody tego rycerza od kilku stuleci wywołują uśmiech na twarzy czytelnika. Kto czyta „Don Kichota" nie w streszczeniu, ale w kompletném wydaniu, wié, że romans ten składa się z 2-ch części jednakowéj prawie objętości. Kto zajrzy do przedmowy 2-éj cz., dostrzeże, że wyszła ona w 11 lat po ukazaniu się z druku pierwszéj (1609—1610), wyszła z pośpiechem, zdradzającym w autorze obawę jakiéjś niemiłéj niespodzianki. Ze wstępu do 2-éj cz. „Don Kichota" dowiadujemy się o przyczynach tego pośpiechu i jesteśmy świadkami głuchéj walki pomiędzy zagadkowym anonymem i szlachetnym Cerwantesem.

Czytamy w prologu, że jakiś pseudonym wydał w r. 1614 drugą część „Don Kichota", otwarcie się przyznając, że miał na celu pozbawić nieśmiertelnego autora 1-széj części sławy i skromnych dochodów ze sprzedaży popularnego w całéj Hiszpanii romansu, którego publiczność od 10 lat przeszło wyglądała z niecierpliwością i zaciekawieniem. Gdyby Avellaneda—za tym pseudonymem ukrył się nieznany plagiator—nie wydał nowéj książki, możeby druga część „Don Kichota", jak tyle innych utworów Cerwantesa, nie była ukończona i wydana, bo autor grzeszył słabością niedoprowadzania wielu planów do

---

[1]) Forma: Don Kiszot, wzięta z francuskiéj ortografii, jest błędną.

skutku; — widząc jednak, że go chcą pozbawić owoców długiéj pracy, że znieważają ulubione dziecko jego wyobraźni, zabrał się bohatér z pod Lepanto [1]) do roboty, ukończył swą książkę i odpowiedział we wstępie na zarzuty nieznanego przeciwnika. Dzisiaj o Avellanedzie nikt prawie nie wié, zapomniano o autorze i jego książce, i gdyby nie stosunek jego do Cerwantesa, zapomniałaby o nim i historya literatury. Ze względu na pokaźną rolę w życiu Cerwantesa, odegraną przez tego pseudonyma, ośmielamy się podać uwadze czytelnika kilka słów poświęconych autorowi i dziełu, które ubiegało się o palmę pierwszeństwa z cudownym utworem nieśmiertelnego kastylczyka. Nadmieniam, że będę się starał mówić o tém tylko, co ma stały grunt w podstawie, nie poruszając kwestyi chwiejnych i nie zagłębiając się w roztrząsania krytyczne.

Życie Cerwantesa obfitowało w ciernie. Los mu skąpo udzielał swych darów. Współziomkowie czytali skwapliwie jego utwory, szczególnie „Don Kichota“, znano go i za granicą, ale autor na schyłku życia, złamany chorobą i niepowodzeniem, musiał walczyć z nędzą, w pocie czoła pracując na utrzymanie rodziny. Nadzieje co do dramatów zawiodły. Cerwantes był słabym pisarzem dramatycznym i nie cieszył się względami ówczesnego boga teatru — Lope de Vegi. Jako urzędnik doznawał ciągłych niepowodzeń, bo niejednokrotnie nadużywano jego zaufania i poprostu oszukiwano, korzystając z łagodnego i pełnego ufności dla ludzi usposobienia. Pocieszało go powodzenie ulubionego dziecka wyobraźni—1-éj części „Don Kichota“, który w krótkim czasie doczekał się kilku wydań. Cerwantes mógł żywić nadzieję, że druga część tego dzieła przyniesie mu znaczne moralne i materyalne korzyści, oszczędzi mu w przyszłości ciężkiéj i wyczerpującéj pracy dla chleba; mało brakowało jednak, żeby nadzieja ta nie okazała się płonną, bo po owoce pracy i geniuszu targnęła się ręka bezimiennego autora.

W r. 1614 wyszła w Tarragonie książka p. t. „Drugi tom historyi Don Kichota“ przez licencyata [2]) A. F. Avellaneda z miasta Tordesillas. Autor poświęca swe dziełko władzom miasteczka Argamasilli, gdzie, jak wiadomo, Cerwantes czas jakiś siedział w wię-

---

[1]) W téj słynnéj bitwie Cerwantes brał czynny udział.

[2]) Uczony stopień, por. doktór filozofii.

zieniu [1]). Przedmowa Avellanedy jest w wysokim stopniu charakterystyczną.

„Historya Don Kichota z La Manczy jest prawdziwą komedyą; nie może się więc obejść bez prologu. Piszę więc go i ja na czele sławnych czynów bohatéra. Będzie ten prolog w każdym razie skromniejszym i mniéj wyzywający, niźli Miguela Cerwantesa Saavedry, umieszczony przed pierwszą częścią „Don Kichota", a także i poprzedzający jego „Nowele" bardziéj satyryczne, niż wzorowe, ale rzeczywiście pomysłowe i dowcpnie. Bezwątpienia Cerwantes nie znajdzie nic dowcipnego w opowiadaniu, które podajemy; nie ma tu wyższości jego talentu, obfitości prawdziwych wydarzeń, jakie opisała jego ręka. Mówię *jego*, bo Cerwantes sam nam opowiada, że ma jedną rękę; możemy więc powiedzieć, że stary wiekiem, a młody umysłem, posiada więcéj języków, niźli rąk. Nie ulega wątpliwości, że będzie się skarżyć na moją pracę, powie, że go pozbawiam zysków materyalnych z drugiéj części, ale w każdym razie będzie musiał przyznać, że obaj dążymy do jednego celu, t. j. do zwalczenia nadużycia w czytaniu ksiąg rycerskich, tak rozpowszechnionego na wsi i wśród ludzi nic lepszego do czynienia nie mających." W dalszym ciągu prologu Avellaneda pomawia Cerwantesa o drobiazgową zazdrość powodzeń Lope-de-Vegi, członka świętéj inkwizycyi, zniżając się w ten sposób do denuncyacyi, i powiada, że unika złośliwości, a pragnie tylko rozweselić czytelników przygodami Sancza Pansy, który staje się u niego zabawnym klownem.

Ta pełna złośliwości i płaskiego dowcipu tyrada jest wstępem, godnym całéj książki. Nie będziemy obarczać uwagi czytelnika streszczeniem tego dziełka, poprzestaniemy na kilku ogólnych spostrzeżeniach.

Nie ulega wątpliwości, że nieznany plagiator wiedział o literackich planach Cerwantesa, o niektórych nawet rozdziałach drugiéj części „Don Kichota". Znajdujemy u Avellanedy osoby i wypadki, przypominające analogiczne epizody drugiéj części „Don Kichota". Takiemi są np. Tarfa—bogaty pan, podejmujący Don Kichota Avellanedy i bawiący się w mistyfikowanie biednego rycerza i jego ograniczonego giermka — i Barbara, kobiéta już niemłoda, pamiętająca o burzliwéj przeszłości i pragnąca używać życia, mimo siwych wło-

---

[1]) Przyjechał on z polecenia władz, w celu odebrania niektórych niedoborów podatków klasztornych. Rozgniewani mieszkańcy wtrącili C. do więzienia, gdzie prawdopodobnie została napisana 1 część „Don Kichota".

sów. Pierwszy przypomina książęcia 2-éj cz. „Don Kichota“, druga jest parodyą Doroty i Lucyndy.

Szlachetny charakter nienormalnego rycerza z La Manczy pod piórem Avellanedy zmienia się do niepoznania. Wędrowny rycerz. wprawdzie chory na umyśle, ale posiadający skarby dowcipu i rozumu tam, gdzie o nieszczęśliwém rycerstwie nie ma mowy, staje się głupim waryatem, szukającym guza, nieznośnym, a nawet wstrętnym. Don Kichot Avellanedy często jest nieprzyzwoitym i cynicznym. Marzy on tylko o bójkach i kłótniach, gotów w każdéj chwili rzucić się na bezbronnego i spokojnego obywatela; uspokoić się może tylko w więzieniu i domu obłąkanych.

Nieśmiertelny giermek wędrownego rycerza, pod piórem Avellanedy staje się potworną karykaturą. Sanczo Pansa anonyma — żarłok i prostak, dochodzi do możliwych granic w wybrykach głupoty. U Cerwantesa giermek Don Kichota jest uosobieniem zdrowego ludowego pierwiastku,—u Avellanedy zwyczajny błazen, który pozwala znęcać się nad sobą, byle mu jeść i pić dawano. Dowcipy Sancza, pełne humoru i werwy u Cerwantesa, zdradzające wielką bystrość umysłu, język pełen obrazowych porównań i przysłów, u Avellanedy stają się nieprzyzwoitemi konceptami, a przysłowia i obrazowania wykazują wielką płytkość i pospolitość.

Nie ulega wątpliwości, że Avellaneda był świadomy ogólnego klucza drugiéj części „Don Kichota“, ale można téż przypuścić, że książka jego wpłynęła i na Cerwantesa, dając mu pochop do niektórych bardzo ciekawych epizodów. Np. scena z teatrem ludowym u Avellanedy, posłużyła zapewne za wzór sceny z maryonetkami u Cerwantesa, jednéj z najlepszych w jego romansie, zawierającéj nader ciekawe spostrzeżenia o sztuce dramatycznéj.

Niektóre słabsze ustępy 2-éj cz. „Don Kichota“ zawdzięczają swoje istnienie pomysłom Avellanedy, np. pojedynek z lokajem i mistyfikacye Don Kichota i Sanczo Pansy.

Avellaneda skwapliwie szuka sposobności, by ośmieszyć i znieważyć Cerwantesa. Pamiętając o tém, iż tenże pozwolił sobie nieostrożnie wystąpić w obecności króla Filipa II-go z mową, w któréj starał się dowieść konieczności stanowczéj walki z islamizmem i zagrzać do wojny z niewiernymi, Avellaneda każe swemu bohatérowi przemawiać w obecności Archipampana, cesarza Indyi. Oto niewielki ustęp z téj mowy:

„Wspaniały, potężny, wielki Archipampanie z Indyi, potomku Heliogobala, Sardanapala i starożytnych cesarzy, dzisiaj staje przed tobą rycerz bez miłości. Przebiegłszy większą część naszéj planety,

opustoszając zamki, gromiąc królów, podbijając prowincye i cesarstwa, spojrzałem na resztę kuli ziemskiéj i nie znalazłem na niéj króla i cesarza godniejszego mojéj przyjaźni i względów, niż wasza królewska mość... Przychodzę więc do ciebie, wielki monarcho, nie po to, żeby się uczyć u twych rycerzy rycerskich i innych cnót, bo ja nie mam czego się uczyć, znają mnie bowiem wszyscy książęta dobrego gustu, jako zwierciadło i wzór galanteryi, grzeczności, rozsądku i znajomości sztuki wojennéj, — ale jedynie tylko po to, żeby wasza wysokość zechciała mnie uważać za swego prawdziwego przyjaciela. Z przyjaźni naszéj powstanie wielki strach dla naszych wrogów. Chciałbym, żeby w téj chwili zjawił się tu hardy olbrzym Bramidan, król Cypru, którego zwyciężyłem w bitwie przeszło miesiąc temu. Jabym uciął jego potworną głowę i ofiarowałbym ją królowéj Cypru, któréjbym wrócił jéj królestwo..."

Avellaneda był dla Cerwantesa nie niebezpiecznym, ale przykrym przeciwnikiem. Gdyby Avellaneda posiadał jakiś talent, mógłby zużytkować pomysły Cerw., o których bezwątpienia wiedział, ale brakowało mu sił i środków ku temu.

Insynuacye anonyma obraziły i zadrasnęły Cerwantesa. Pomimo całego zasobu łagodności i wielkiego taktu, nie mógł znakomity pisarz ukryć swego gniewu i żalu. Przytoczymy najbardziéj charakterystyczne ustępy przedmowy Cerw. do 2-éj części „Don Kichota", rzucających pewne światło na nieznanego rywala [1]).

„Z jaką niecierpliwością musiałeś czekać, arystokratyczny lub demokratyczny czytelniku—rzecz wcale nieważna—tego wstępu, sądząc, że znajdziesz tu wyrzuty i obelgi w stronę autora drugiego „Don Kichota" skierowane, mianowicie tego, który został poczęty w Tordesillas, a zrodzony w Tarragonie. Nie mogę ci, niestety, sprawić téj przyjemności; jeżeli bowiem zniewagi wzbudzają gniéw w najskromniejszych sercach, u mnie nie mogą sprawić tego skutku. Możebyś pragnął, czytelniku, żebym mu rzucił w oczy, że jest osłem, głupcem, arogantem? Nawet mi to do głowy nie przyszło. Niech grzéch jego będzie mu karą, niech idzie, gdzie chce i szczęść mu Boże! Odczułem jedynie to, że mię nazwał starym i bezrękim, bo przecie nie w mojéj mocy zatrzymać czasu, żeby nie postępował naprzód, a moja ręka została zgruchotana nie w traktyerni, lecz w najsławniejszéj z bitew, jakie widziały przeszłe wieki i teraźniejszy i nie wiadomo, czy ujrzą przyszłe? A chociaż rany moje nie błyszczą w oczach tych, co na nie

[1]) Ponieważ nie mam polskiego przekładu „Don Kichota", wszystkie przekłady w tym artykule podaję z oryginału.

spoglądają, cieszą się przynajmniéj szacunkiem i uznaniem u tych, co wiedzą, gdzie zostały otrzymane; lepiéj żołnierzowi umrzéć w bitwie, niźli żyć po ucieczce. Ja wierzę w to tak głęboko, że jeśliby mi zaproponowano jakiś niemożliwy cud, wolałbym raczéj uczestniczyć w téj bitwie (i miéć rany), niźli nie być w niéj obecnym i nie miéć ran. Blizny na piersi i twarzy żołniérza, są to gwiazdy, które przyświécają i innym na niebie sławy i pobudzają do naśladowania. Oprócz tego zauważę, że nie siwym włosom, ale rozumowi zawdzięcza się pisanie książek.“

Następnie Cerwantes stara się uchylić od siebie zarzut drobiazgowéj zazdrości i współzawodnictwa z Lope-de-Vegą, odzywając się z uwielbieniem o tym pisarzu.

Na zakończenie Cerwantes opowiada dwie złośliwe anegdoty. W pierwszéj przyrównywa książki takie, jak Avellanedy do nadętych powietrzem przez pewnego waryata psów; w drugiéj mówi o innym maniaku, mającym innego rodzaju słabość. Spotykając psy, nieszczęśliwiec ten walił je kamieniami i kaleczył. Pewnego razu omało nie zabił pięknego gończego. Właściciel obił waryata; powtarzając przy każdém uderzeniu: „to gończy!“ Od téj chwili winowajca spotkawszy psa powtarzał: „to gończy“ i zaprzestał kaleczenia nieszczęśliwych zwierząt. Stosując to opowiadanie do Avellanedy, Cerwantes jest głęboko przekonany, że sparzywszy się na nim, anonim zaniecha innych prób tego rodzaju.

Na naiwne wyznanie Avellanedy, że chciałby pozbawić Cerwantesa materyalnych zysków, jakie wpłynąć mogą ze sprzedaży „Don Kichota,“ odpowiada, że dzięki protekcyi kilku szlachetnych i piastujących wielkie godności przyjaciół, jest zupełnie o siebie spokojny, a zresztą nie boi się nędzy. „Honor zostaje przy biédnych, ale opuszcza nikczemnych... Ostatecznie cnota dostępuje uznania, dzięki szlachetnym i wzniosłym duszom.“ Przedmowę swoją kończy Cerwantes wzmianką, że kazał swemu bohatérowi umrzéć i być pochowanym, żeby nikomu nie dać pochopu do opowiadania dalszych jego przygód.

Ukazanie się w druku fałszywego „Don Kichota“ zaciekawiło publiczność i nie zaszkodziło Cerwantesowi. Dla romansu Avellanady nie zapomniano o nim, przeciwnie, czytano z większą ochotą przygody prawdziwego rycerza z La-Manczy.

Publiczność i krytyka bardzo interesowały się pytaniem, kto był autorem plagiatu, który prędko poszedł w niepamięć i tylko u nowożytnych badaczów znalazł paru obrońców. Najwybitniejszym z nich jest p. Lermond de Lavigne, który w 1853 r. wydał poprawne tłómaczenie romansu Avellanedy. W przedmowie tłómacz broni swego

autora i występuje z zarzutami przeciw Cerw., pomawia szlachetnego Hiszpana o zazdrość, drobiazgowość i ze współczuciem mówi o Avellanedzie. Opinie p. De Lavigne nie znalazły poparcia wśród krytyków; przeciwnie wywołały reakcyę na korzyść Cerwantesa.

W specyalnéj literaturze o „Don Kichocie“ historya Avellanedy zajęła poważne miejsce. Krytycy gubili się w domysłach, szukając autora pseudo-Donkichota. Pierwszy Mayans de Ciscar poświęcił rozprawkę téj kwestyi. Za nim inni usiłowali wypowiedzieć mniéj więcéj prawdopodobne domniemania. Dopiéro Pellicer, znawca Cerwantesa, przyszedł w 1797 r. do pewnych, określonych wniosków. Sądzi Pellicer, iż Avellaneda byłto duchowny z zakonu Dominikanów, autor dramatyczny i wielbiciel Lope-de-Vegi; jest nim, według Pellicera, Aliaga, spowiednik Filipa III, dominikanin, który wywiérał wielki i zgubny wpływ na słabego króla.

Tegoż zdania, z pewnemi odmianami jest i Navarrete, dotąd najlepszy biograf Cerwantesa (1819), który podkreśla pochodzenie Aliagi z Aragonii i tłómaczy ostrożność i wstrzemięźliwość Cerwantesa bojaźnią silnego nieprzyjaciela.

Jak widzimy, krytyka stanowczo przechyla się do zdania, że za pseudonymem Avellanedy ukrył się groźny spowiednik króla Filipa — Aliaga. Hipoteza ta, oparta na argumentach niejednakowéj wartości, wpłynęła na utworzenie się całéj legendy apokryficznéj biografii Aliagi. Osnowa jéj w niewielu słowach jest następująca:

Ludwik Aliaga urodził się w Saragossie i w dzieciństwie był przezwany Sanczo-Pansą. Dominikanin Javierre, nader wpływowa osobistość, darzył Aliagę swemi szczególnemi względami. Młody Aliaga kształcił się w uniwersytecie swego miasta, ale przed skończeniem studyów został za jakieś przewinienia wydalony. Udał się pod opiekę Javierre'a i u niego poznał się z Lope-de-Vegą, którego wielbicielem został przez całe życie.

Dzięki rozmaitym protekcyom, wznosił się Aliaga coraz wyżéj i wyżéj, aż został spowiednikiem Filipa III. Jeden z jego biografów (nie autentycznych naturalnie) twierdzi, iż dominikanin jeszcze w 1605 roku rozpoczął drugą część Don-Kichota, pragnąc przysłużyć się Lope-de-Vedze, a w 1613 dla rozweselenia chorego i przygnębionego monarchy, zabrał się do ukończenia romansu, wydrukowanego w następnym roku, uzyskawszy pozwolenie cenzury duchownéj przez swego krewniaka arcybiskupa Izydora. W trzy miesiące po wydaniu tego elaboratu, Aliaga uczestniczył w literackim turnieju w Saragossie, pod pseudonimem Alfonsa Lamberta. Biografia zaznacza, że było to drugie wystąpienie żądnego sławy literackiéj księdza. W r. 1595

ubiegał się on o nagrodę konkursową ale został zwyciężony przez Cerwantesa. Odtąd nienawidził znakomitego pisarza i nie mało mu szkodził w życiu, o czém stanowczo mówi hr. Willamodniana w 1621, t. j. po śmierci króla Filipa i upadku dominikana. Apokryficzna biografia przypisuje Cerwantesowi wiersz, w którym ten nazywa Aliagę (bezimiennie) Sanczo-Pansą i spowiednikiem.

Na nieszczęście w autentycznéj biografii Aliagi, opartéj na dokumentach historycznych, nie znajdujemy nic, coby na korzyść zdań krytyków przemawiać mogło.

Ludwik Aliaga wedle świadectwa źródeł, urodził się w 1565 r. Rodzina jego pochodziła z Aragonii i z dawien dawna odznaczała się w wojnach z Maurami. Dzięki swoim zasługom, niektórzy przodkowie Ludwika zajmowali wybitne stanowiska. Jeden z nich np. był sekretarzem Pedra IV.

Nasz Aliaga w 17-ym roku wstąpił do zakonu Dominikanów i zyskał względy Jeronima Javierre; dzięki protekcyi tego dostojnika, otrzymał doktorat i katedrę teologii w uniwersytecie. Biografowie twierdzą, że Aliaga zajmował swe stanowisko z godnością i cieszył się uznaniem powszechném.

Kiedy w 1606 r. Javierre został mianowany spowiednikiem królewskim, udał się z nim razem do dworu i Aliaga, w 1609 r. po ustąpieniu Javierre'a, widzimy go spowiednikiem Filipa III. Od téj chwili bierze czynny udział we wszystkich sprawach państwa.

Król cenił Aliagę nader wysoko i chciał go wynieść do godności arcybiskupa w Toledo. Ale zręczny spowiednik wymówił się od téj posady na korzyść infanta Don Fernanda. Filip III, pragnąc wynagrodzić bezinteresownego spowiednika, mianował go messyńskim archimandrytą. Aliaga mógł korzystać z wielkich dochodów nie wyjeżdżając z Madrytu, bo król nie chciał się rozstawać ze swoim doradcą i obsypywał go nowemi łaskami. Aliadze zawdzięczała Hiszpania wiele fałszywych kroków w wewnętrznéj i zewnętrznéj polityce. W obcowaniu był dumnym i wyniosłym. Szemrano pocichu, ale schylano czoła przed szczęśliwym faworytem.

Zdawało się, że królowaniu Aliagi nie będzie końca. Okoliczności jednak złożyły się dla niego nader niepomyślnie.

Filip III, wróciwszy z nieszczęśliwéj wyprawy do Portugalii, zaczął szczerze żałować, może pod wpływem innych doradców, że szedł za głosem nienawidzonego powszechnie mnicha. Nie dopuszczał go do siebie, aż do śmierci, która nastąpiła w r. 1621. Prawie w dzień śmierci króla, musiał Aliaga opuścić dwór i złożyć piastowane dosto-

jeństwa. Nieco późniéj inkwizycya wytoczyła mu proces o herezyę. Aliaga umarł w zupełném zapomnieniu w r. 1627.

Autentyczna biografia Aliagi wcale nie usprawiedliwia hypotez co do jego domniemanego autorstwa 2-éj cz. „Don Kichota“ i pseudonymu Avellanedy. Argumenty krytyków w téj kwestyi są nader chwiejne. Twierdzą oni np., że Aliagę nazywano w dzieciństwie Sanczo Pansą — zdanie, nie mające żadnéj podstawy. Sam Cerwantes, dowodzący, że Avellaneda pisał narzeczem aragońskiém, jest w błędzie: charakterystyczne cechy języka Avellanedy, uważane za aragońskie, mogą być wskazane i w innych narzeczach. W żadnym razie niepodobna dowieść, że Aliaga był poetą i razem z innymi początkującymi wierszopisami dobijał się o lichą nagrodę w Saragossie, a także iż sędziowie mogli być surowymi dla tego, kto miał nad nimi i całą Hiszpanią władzę życia i śmierci i, odmówiwszy mu nagrody, pozwolili pisać na wszechwładnego spowiednika złośliwe pamflety. Przechowały się bardzo szczegółowe opisy literackich konkursów w Saragossie, ale nigdzie nie ma wzmianki o uczestnictwie Aliagi. Daléj krytycy dowodzą, że Aliaga był przyjacielem Lope-de-Vegi i napisał swój pamflet, mszcząc się za obelżywe odezwanie się Cerwantesa o dramatycznym pisarzu i jego komedyach. Z dokumentów, jakie po Lope i Aliadze pozostały, nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że „feniks“ hiszpański bardzo mało znał spowiednika Filipa III, a o żadnych bliższych przyjacielskich stosunkach nie może być nawet mowy. Teorya autorstwa Aliagi nie ma żadnéj poważnéj racyi bytu. Musimy szukać wskazówek gdzieindziéj.

Zwracamy się znowu do prologu Avellanedy.

Powiada on, że nie może zostawić bez prologu „Don Kichota“. który jest prawdziwą komedyą, i że w każdym razie będzie skromniejszym, niźli Cerwantes w swoich przedmowach do 1-éj części „Don Kichota“ (1604 r.) i „Wzorowych nowel“ (1613 r.). Wiemy, że Cerwantes umieścił w pierwszéj kilka złośliwych uwag o pretensyach współczesnych mu literatów. Tak wytyka on nieskończone dedykacye, liczne sonety i epigramaty umieszczane w przedmowach, a pisane na prośby autorów, przez współczesne znakomitości, wytyka liczne, a zupełnie niepotrzebne cytaty, kiedy chodzi o najzwyczajniejsze zdania pod słońcem—aparat, pozbawiony zasady, a mający być dowodem uczoności autora.

Apostrofę tę można było do wielu zastosować, szczególnie do Lope-de-Vegi. W r. 1598 wydał on swoją „Arkadyę“, opatrzywszy wstęp licznemi sonetami na cześć téj nudnéj sielanki pisanemi. W ten sam sposób wydał „Dragonteę“ i „Izydora“. Cerwantes cytuje nawet

ustęp z Arkadyi o rzece Tagu — zamiar więc zadraśnięcia wielkiego Lope nie może ulegać wątpliwości.

W prologu do „Nowel“ podnosi Cerwantes swe zasługi, jako powieściopisarza, nie naśladującego, jak inni, obcych wzorów, lecz zupełnie oryginalnego. Jestto znowu aluzya do Lope, który w prozaicznych utworach naśladował poczytnych naówczas pisarzów; w przedmowie do swego poematu *Las Fortunas de Diana* powiada on, że przynajmniéj to dziełko nie jest przetłómaczone i przerobione z obcych języków.

Mamy i inne świadectwa niezbyt przyjaznych stosunków dwu znakomitych pisarzy. Skarży się Cerwantes na zimne przyjęcie przez publiczność swoich komedyi, z goryczą mówi o nadzwyczajném powodzeniu, jakie miały słabe nawet sztuki Lope'go. Lope zaś niejednokrotnie szydzi z niepowodzeń Cerwantesa i w bardziéj złośliwym, niż dowcipnym epigramacie nazywa go kapitanem Virues.

Nie poprzestając na sławie pierwszego hiszpańskiego dramaturga, Lope zazdrościł swemu genialnemu współziomkowi skromnych laurów na inném polu. Po „Galatei“ Cerwantesa wyszła „Arkadya“ Lope-de-Vegi. Wtedy autor „Galatei“ protestował przeciw modzie pasterskich romansów, któréj sam złożył daninę. Oprócz tego podkreśla Cerwantes predylekcyą Lope'go do łacińskich sentencyi i uczonego aparatu w postaci licznych cytat.

Przypuszczamy, że przytoczyliśmy garstkę faktów, wymownie świadczących, że pomiędzy dwoma genialnemi pisarzami XVI wieku istniały stosunki, jeżeli nie wprost nieprzyjazne, to w każdym razie naciągnięte. Lope nie miał charakteru wspaniałomyślnego; pragnął on panować niepodzielnie nad współczesnymi. Jedynym niebezpiecznym współzawodnikiem jego w ówczesnéj Hiszpanii był Cerwantes. Przeciw niemu niejednokrotnie wymierza Lope swe pociski. Ale i autor „Don Kichota“ nie oszczędza Feniksa geniuszów, jak nazywano w Hiszpanii Lope'go. Powodzenie i tryumfy Vegi były gorzką ironią wobec ostatniéj nędzy Cerwantesa i łatwo możemy przebaczyć wielkiemu pisarzowi, że czuł gniéw i żal, widząc, że Lope stara się mu sprawiać nowe przykrości i zawody.

Avellaneda mówi, że dąży do celu, jaki sobie Cerwantes wyznaczył: obalić potęgę rycerskich romansów i protestować przeciw demoralizacyi, jaką one rozsiewają. Chciał więc napisać dalszy ciąg „Don Kichota“, ale w odmiennym stylu. Unika Avellaneda, o czém sam ostrzega, złośliwości i ironii i pisze bez pseudonymów, których, według słów jego, nadużywał Cerwantes, t. j. prostym niewymuszonym stylem.

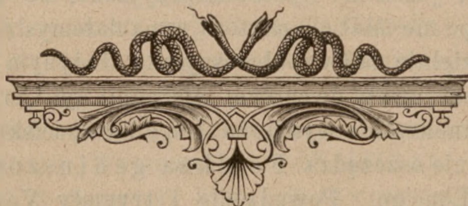
Streszczając powyższe uwagi możemy przyjść do następujących wniosków:

Nieznany autor podjął się pisania drugiéj części „Don Kichota“ dla złożenia dowodu, że konkurencya z Cerwantesem nie jest trudna; przytém chodziło mu więcéj o sławę, niż o zyski. Bronił oprócz tego Lope-de-Vegi, poniżając Cerwantesa kosztem tego znakomitego pisarza.

Należy przypuszczać, że Avellaneda był blizkim przyjacielem Lope-de-Vegi, i Cerwantes, wiedząc z kim ma do czynienia, nie miał odwagi wymienić go. Pamflet został napisany pod wpływem, a może i kierunkiem Lope'go—kto wié, może on sam do niego ręki przyłożył? Przecie naśladował Cerwantesa we wszystkich rodzajach twórczości!

Imię autora fałszywego „Don Kichota" zginęło na zawsze. O Avellanedzie słyszą tylko literaci i uczeni. Napróżno krzywdzono spowiednika Filipa III-go—Aliagę: nie ma on z nim nic wspólnego. Wobec zapomnienia elaboratu pseudonyma, sława Cerwantesa jaśnieje jeszcze większym blaskiem, a epopea jego wzbudza podziw i zachwyt w pałacach i lepiankach, wywołując uśmiéch na usta i podając temat do poważnych i szlachetnych myśli!

Leon Szepielewicz.





Niemiecka reforma wojskowa.

Kwestye wojskowe mają obecnie przywiléj interesowania bardzo szerokich kół społeczeństwa, zwłaszcza w Europie zachodniéj; żadna z nich atoli nie zdołała w takim stopniu i na tak długo przykuć do siebie uwagi publicznéj w Europie, jak niemiecka reforma wojskowa. Nasza publiczność czytająca zna reformę niemiecką tylko z luźnych, częstokroć niedokładnych wiadomości, podawanych dorywczo przez dzienniki, i dlatego nie będzie — mniemamy — rzeczą zbyteczną, wszechstronnie zbadać i ocenić na tém miejscu rzeczoną reformę dziś, kiedy losy jéj zostały nareszcie rozstrzygnięte [1]).

Żyjemy w czasach silnego rozwoju militaryzmu: cała Europa zbroi się, każde państwo stara się przygotować zawczasu wszystkie środki, umożliwiające pomyślne prowadzenie wojny; w żadném jednak państwie konstytucyjném zbrojenie nie odbywa się z takim oporem ze strony przedstawicieli narodu, jak w Niemczech, w żadném nie znajduje takiéj aprobaty z ich strony jak we Francyi.

[1]) Projekt reformy był przedstawiony radzie związkowéj 20 października r. z. Parlament zwołano na 22 listopada. Pierwsze czytanie projektu odbyło się 10 grudnia, pierwsze zaś posiedzenie komisyi wojskowéj — 11 stycznia r. b. Projekt rządowy, przy głosowaniu w komisyi, upadł wszystkiemi głosami przeciwko 6 zachowawczym 17 marca, w parlamencie zaś, po drugiém czytaniu, w postaci wniosku Hüene'go z centrum, większością 210 głosów przeciw 162 w d. 6 maja, poczém parlament został natychmiast rozwiązany. Nowy parlament, zwołany na 4 lipca r. b., uchwalił projekt rządowy w formie nieco zmienionego wniosku Hüene'go, w d. 15 lipca, w trzeciém czytaniu, większością 201 głosów przeciwko 185.

Porównywując zachowywanie się parlamentu niemieckiego i francuskiéj izby deputowanych względem przedstawianych im projektów wojskowych od czasów ostatniéj wojny francusko-niemieckiéj i widząc stale tam — oziębłość lub wprost niechęć, tu zaś — szczerą gotowość do wszelkich ofiar, nie można nie zadać sobie pytania: zkąd pochodzi ten dziwny kontrast w usposobieniu i poglądach reprezentantów obu narodów? Gdy we Francyi, która, według znanego sprawozdania dep. Cochery, wydała od r. 1871 na samą tylko armię lądową, łącznie z emeryturami i wydatkami na koleje strategiczne, bez mała 18 miliardów [1]) i która, łamiąc przyzwyczajenia półwiekowe, nie zawahała się zaprowadzić u siebie powszechnéj i osobistéj powinności wojskowéj, izba deputowanych pociąga, bez drożenia się, wszystkich zdolnych do noszenia broni do służby czynnéj, powiększając jednocześnie stopę pokojową armii i zawsze daje tyle, ile od niéj żąda minister wojny, i daje nawet więcéj, jak tego dowodem są niedawne obrady komisyi budżetowéj nad *loi d'encadrement* [2]): w Niemczech obrady komisyi wojskowéj są zawsze widownią targów niemal o każdego żołnierza i o każdy fenig, targów, które, zdawałoby się ubliżają narodowi, pomimo, że są przykrywane płaszczykiem prawdziwego jakoby interesu tegoż. Dalecy od wzorowania się na francuskim parlamencie, który bezwątpienia w kwestyi omawianéj jest prawdziwém wcieleniem patryotyzmu, przedstawiciele narodu niemieckiego w ogromnéj ilości poczytują sobie za obowiązek oponować *quand même* ministrowi wojny, mieniąc się bardziéj kompetentnymi od niego znawcami sił wojennych Niemiec i sytuacyi politycznéj Europy, a zbyt mało robiąc sobie z tego, iż tam dla kogoś, patrzącego z boku, zdawać się może, że w Niemczech nie ma prawdziwego patryotyzmu, a jest tylko ustawiczna waśń stronnictw i kult dobrze nabitéj kieszeni. A jednak, jeżeli zapytać się tych ludzi, co tak żarliwie powstają przeciwko kredytom na cele wojskowe, a są Niemcami, nie zaś kosmopolitami, czy żałują pieniędzy, na cele te dotychczas wydane, czy żałują sukcesów z 1866 i 1870/71 roku — chórem odrzekną, że nie zgodzą się nigdy na oddanie Alzacyi i Lotaryngii i gotowi są walczyć za całość państwa do upadłego. Jakiż więc jest powód nieprzyjaznego zachowania się parlamentu niemieckiego wobec projektów wojskowych, zwłasza ostatniego? co skłania niemieckie partye parlamentarne do stawiania własnych interesów ponad ogólny interes państwa?

Kluczem, rozwiązującym tę zagadkę, powodem ostatecznym, do

---

[1]) Patrz „Militär-Wochenblatt“ za r. b., Nr. 15 i 16.

[2]) Patrz „Militär-Wochenblatt“ za r. b., Nr. 33.

którego inne sprowadzić można, jest zbyt wysokie mniemanie Niemców o własnéj potędze militarnéj, mniemanie nieuzasadnione, a jednak głęboko zakorzenione w masach profanów. Świetne, niespodziewane rezultaty, osiągnięte przez armię pruską w trzeciéj ćwierci bieżącego stulecia, zaszczepiły w olbrzymiéj większości narodu niemieckiego przesadną wiarę we własną armię, przekonanie, że wszystko od niéj można otrzymać, i wyrodziły lekceważenie liczby, tém dziwniejsze, że jak wiadomo, w ostatniéj wojnie Niemcy mieli przewagę liczebną po swojéj stronie. Tylko ten fakt, zaznaczany już nieraz w prasie i literaturze wojskowéj niemieckiéj [1]), może nam najprawdziwiéj objaśnić dziwną niechęć parlamentu niemieckiego do ofiar na cele wojskowe. Tylko dla tego, że rozwiązany parlament niemiecki ocenił potęgę militarną państwa inaczéj, niż rząd, argumenty, przytaczane przez rząd w obronie projektu reformy, nie zdołały go przekonać, trudno bowiem odmówić tym argumentom siły przekonywającéj: z obcą poprzedniemu kanclerzowi otwartością, oświadczył hr. Caprivi w parlamencie w przededniu odrzucenia projektu wojskowego, że do opracowania go i przedstawienia parlamentowi skłoniły rząd niemiecki dwa powody: mianowicie prawdopodobieństwo wojny na dwóch frontach i niezdolność rzeczywista Niemiec, wobec uzbrojeń dokonywanych wciąż przez sąsiadów, do prowadzenia wojny zaczepnéj w imię obrony.

Nie trudną rzeczą jest dowieść, że opinia publiczna w Niemczech fałszywie ocenia potęgę wojenną Niemiec i że rząd, domagając się ostatniego powiększenia armii, miał słuszność po swojéj stronie.

Powiadają: historya jest mistrzynią ludów. Zajrzyjmy więc przedewszystkiém do niéj, uprzytomnijmy sobie w krótkości najgłówniejniejsze przyczyny tryumfów pruskich w 1866 i 1870/71.

Po wojnach napoleońskich z 1813 i 1814 roku, w ciągu których zaprowadzona została w Prusiech powszechna i osobista powinność wojskowa, armia czynna pruska składała się wszystkiego z 5 roczników (tak zwać będziemy roczne kontygensy), gdy starsze roczniki, w liczbie 14, składały po siedm dwa powołania landwery. Gdy doświadczenie wojenne z 1848—50 wadliwość takiéj organizacyi wojskowéj wykazało, postanowił Wilhelm I, podówczas tylko książe-regent pruski, przenieść środek ciężkości na armię czynną i uskutecznił to w 1860, nie zważając na opór parlamentu. Stopa pokojowa armii pruskiéj została wtedy powiększona za jednym zamachem o 117 batalionów, 48 szwadronów i 46 bateryi, a armia czynna — o dwa rocz-

---

[1]) Patrz, np. studyum Koetschau'a „Les forces respectives de la France et de l'Allemagne" w tłóm. Ernesta Jaeglé, str. 98 i 100.

niki [1]). Wraz z niższym personelem armii odmłodzony został i korpus oficerski wskutek udzielenia jednorazowo masy awansów, i to odmłodzony na wielką skalę, gdyż o 10 do 15 lat. W ten sposób wzmocniona i zreorganizowana armia czynna, po złożeniu nietrudnego egzaminu w r. 1864, w dwa lata późniéj, w poważnéj rozprawie z Austryą, po raz pierwszy prawdziwą okryła się chwałą. Prusy walczyły tym razem bez przewagi liczebnéj w ludziach: w Czechach siły obustronne były równe, w zachodnich Niemczech Prusacy byli nawet w znacznéj mniejszości; lecz broń iglicowa potrajała siłę piechoty pruskiéj, tak, że ostatecznie można powiedziéć, iż przewaga liczebna była po stronie Prusaków [2]). Daléj, powodzenie Prusaków w r. 1866 należy przypisać talentowi strategicznemu Moltke'go, który o wiele przewyższał Benedek'a w sztuce prowadzenia wojny, odmłodzeniu armii na wielką skalę, zaznaczonemu wyżéj, zmodyfikowanéj taktyce boju piechoty, wreszcie, *last not least*, przychylności bogini zwycięstw. Pruska kawalerya nie ustępowała austryackiéj, lecz obie były wadliwie urządzone; artylerya pruska nie stała wtedy jeszcze na wysokości austryackiéj. Odmłodzeniu armii przypisać téż należy, że landwera bardzo mały udział przyjęła w wojnie: była ona w ogniu tylko pod Langensalza i Oświecimem; nadto, kilka razy pojedyncze jéj szwadrony wykonały szarżę.

Po odniesioném zwycięstwie, znowu wzięły się Prusy energicznie do reform, lecz nowa wojna, tym razem z Francyą, przerwała rozpoczęte dzieło. Wprawdzie artylerya, przekształcona kompletnie przez Hindersin'a, i kawalerya były gotowe do akcyi, lecz piechota nie zdążyła jeszcze zaopatrzyć się w ulepszone iglicówki; taktyka nie uwzględniała należycie nowéj broni odtylcowéj, którą zaprowadziła u siebie Francya, tudzież inne mocarstwa, po r. 1866; wreszcie, zasób w wyćwiczonych rezerwistach w nowoutworzonych korpusach pruskich

---

[1]) Dzięki tym zarządzeniom, armia czynna dosięgła cyfry 375 tysięcy, gdy przedtem liczyła tylko 160 (patrz: „Petite bibliothèque de l'armée française—L'armée allemande“ par le com. Heumann. 5-e édition. p. 20).

[2]) Przed bitwą pod Sadową (3 lipca) Benedek, jak wiadomo, prosił cesarza o zawarcie pokoju, przepowiadając klęskę: „olbrzymie straty nasze“—telegrafował—„spowodował głównie ogień iglicówek, których morderczość wywarła głębokie wrażenie na wszystkich uczestnikach bitew“ (patrz: „Oesterreichs-Kämpfe“, dzieło austr sztabu gen., str. 227). Tylko dzięki iglicówkom, w bitwie pod Sadową, pruska dywizya Fransecky'go mogła opierać się skutecznie w lesie Maslowedzkim siedmiu brygadom austryackim aż do przybycia na plac boju armii następcy tronu pruskiego, a słabsza kawalerya pruska—rozbić z przykładném męstwem atakujące dywizye kawaleryi austryackiej ks. Holsztyńskiego i hr. Kudenhove.

i pułkach państw południowo-zachodnich nie był wystarczający. Walkę z cesarską armią francuską prowadzili Prusacy z przeważającemi siłami: z wyjątkiem bitew pod Colombey-Nouilly, Vionville i Noisseville, stoczonych pod murami Metz'u, zawsze przewaga liczebna była po stronie Prusaków, szczególniéj zaś pod Sedanem, gdzie doszła do swego zenitu. Szaspoty okazały się dwakroć lepszemi od iglicówek, ale za to działa francuskie pod każdym względem ustępowały pruskim [1]). Kawaleryi używali Prusacy z początku wadliwie i dopiéro po bitwach pod Woerth i Spichern zdecydowali się wysłać dywizye jazdy przed front swych armii. Taktyka piechoty aż do 18 sierpnia włącznie (bitwa pod Gravelotte-Saint Privat) przedstawiała dużo do życzenia i tylko kolosalne straty [2]) zdołały wymódz na naczelném dowództwie odpowiednie zmiany w formach taktycznych. Gdy rozpoczęła się wojna z republikańską Francyą, przewaga liczebna przeszła na stronę francuską; za to pod względem jakościowym armia niemiecka przeważyła znakomicie zaciągi rzeczypospolitéj. Wojska republikańskie składały się przeważnie z niewyćwiczonych rekrutów — gwardzistów ruchomych i zmobilizowanych gwardzistów narodowych — i jako takie posiadały wszystkie słabe strony milicyi. Brak wyćwiczenia narzucał zwarte formacye, to zaś spowodowało olbrzymie straty. Chociaż generałom francuskim nie brakło talentu, to jednak w ówczesnych warunkach, z armią, którą rozporządzali, nie mogli oni oczywiście dać sobie rady ze sztabem niemieckim. Na jednym tylko punkcie wojska republikańskie miały wyższość niezaprzeczoną: na punkcie uzbrojenia piechoty. Artylerya niemiecka nie utraciła swéj przewagi do końca, kawalerya nie znalazła godnego siebie przeciwnika. Walka z francuskiemi masami zbrojnemi, które, będąc rozbite na jedném miejscu, zbiérały się na drugiém, wzmocnione nowemi zaciągami, była mozolną i ciągnęła się długo; ale w końcu jakość wzięła górę nad ilością i Francya poprosiła o pokój.

Jak widzimy, zwycięstwa swe w ostatnich wojnach zawdzięczają Prusacy — jeżeli pozostawimy przyjazny los na stronie — offensywie, talentowi strategicznemu wodzów, młodéj i silnéj armii czynnéj, wreszcie, już to przewadze liczebnéj, już to przewadze w uzbrojeniu.

---

[1]) Przepięknie illustruje tę niższość dział francuskich Zola w „La debacle"; patrz kanonadę bateryi, w któréj służył Honoré, w bitwie pod Sedanem.

[2]) W bitwie téj stracili Niemcy 20,132 ludzi, w téj liczbie 901 oficerów: była to najkrwawsza dla nich bitwa w ciągu całéj kampanii. Patrz Nr. 34 „Militär-Wochenblatt'u za r. b., zawiérający bardzo dużo ciekawych danych statystycznych z wojny 1870/71.

Obecnie, gdy o ostatnich dwóch czynnikach mowy być nie może w Niemczech na wypadek wojny na jednym czy na drugim froncie, a talent wodzów jest w gruncie rzeczy wielką niewiadomą — wykrywa go tylko wojna — prawdziwą miarą potęgi wojennéj państwa może być podczas pokoju tylko silna i dobrze uorganizowana armia stała. Tylko taka armia umożliwia zaczepne wystąpienie na początku wojny, a widzieliśmy dopiéro co całą doniosłość strategicznéj i ściśle z nią związanéj taktycznéj offensywy. Jest to pewnik niezbity: nie ma skuteczniejszéj obrony od napadu; w offensywie tkwi tajemnica zwycięstwa. Zapewnić sobie możność uprzedzenia przeciwnika w działaniach zaczepnych — to rękojmia zwycięstwa, a zatém kardynalny obowiązek naczelnego dowództwa, które nie może i nie powinno oglądać się, co na to powie prasa zagraniczna, a nawet i swoja. Przygotowania wojenne, w tym duchu czynione, mogą być wprawdzie w związku z polityką zaborczą państwa, lecz nie koniecznie zawsze, bo polityka pokojowa nie upoważnia bynajmniéj sterowników siły zbrojnéj państwa do bezczynności: z jednéj strony, interesa ekonomiczne państwa nie pozwalają, ażeby wojna toczyła się na jego terytoryum, z drugiéj — zwycięstwo jest bardzo rzadkiém zjawiskiem w wojnach obronnych. Lecz ażeby módz rozwinąć zaczepność na początku wojny, potrzeba być już podczas pokoju możliwie najlepiéj przygotowanym do wojny, czyli przedewszystkiém posiadać w armii stałéj rękojmię powodzenia. Armia stała tylko wówczas taką rękojmię przedstawa, kiedy jest liczną i dobrze uorganizowaną, t. j. między innemi, przysposobioną do wytworzenia z siebie przy mobilizacyi możliwie największéj ilości jednostek taktycznych w każdym rodzaju broni. W saméj rzeczy, im liczniejszą jest armia stała, tém większy jest zasób wyćwiczonych żołnierzy, zostający w rozporządzeniu państwa, tém młodszą może być armia czynna, tém korzystniejszy będzie w uruchomionéj armii stosunek liczbowy żołnierzy czynnych do rezerwistów; z drugiéj strony, im armia stała jest zasobniejszą w kadry dla jednostek taktycznych, tém łatwiéj jest powołać do życia wszystkie przewidziane planem mobilizacyjnym jednostki i tém mniéj jest w uruchomionéj armii improwizowanych, a tém samém nie wiele wartych formacyi. Że starsze roczniki są mniéj wytrzymałe na wojnie i mniejszą posiadają wartość bojową — jest to rzecz ogólnie znana i naturalna. Śród młodych żołnierzy mniéj jest żonatych, niż śród starych; młody mniéj się ogląda za domem i mniéj się rządzi refleksyą niż stary. Młody żołnierz lepiéj znosi wszelkie niewygody i znoje, niż starszy człowiek, ożywiony chociażby najlepszemi chęciami. Marsz nocny w deszcz, biwak w błocie, bez drzewa i słomy, nędzne pożywie-

nie — obniżają najgorętszy nawet zapał do *minimum*. W takich razach pomódz może tylko siła młodości, żelazna dyscyplina i wzorowy korpus oficerski [1]). Potrzeba, znowuż, kadrów dla formacyi rezerwowych wypływa ztąd, że przyszłe wojny prowadzone będą większemi, niż dotychczas, siłami. Sama armia czynna, po zaprowadzeniu we wszystkich niemal państwach powszechnéj i osobistéj służby wojskowéj, nie będzie już w stanie zmódz przeciwnika w jego własnym kraju i dlatego będzie musiała przybrać do pomocy na większą, niż dotychczas, skalę wojska rezerwowe. Te ostatnie, by przynieść mogły należytą korzyść, winny posiadać już w czasie pokoju własne kadry, nie zaś powstawać zupełnie na nowo przy mobilizacyi, gdyż tylko wtedy będą posiadać zwartość, niezbędną na wojnie, czy to w boju, czy w pochodzie. Dla armii czynnéj wszystkich państw istnieje jedna miara — ilość jéj jednostek taktycznych w armii stałéj, nie tworzy się bowiem ram, których wypełnienie jest niemożliwe; przeciwnie, organizacya wojsk rezerwowych w armiach europejskich przedstawia kilka typów. Najlepszym jest, oczywiście, taki typ, który nadaje wojskom rezerwowym już podczas pokoju charakter armii czynnéj, czyli przewiduje dla nich kadry już podczas pokoju i pomiędzy armią czynną a wojskami rezerwowemi kładzie tę tylko różnicę, że kadry pierwszéj są silniejsze, przy mobilizacyi zaś otrzymują wyłącznie młodszych rezerwistów. Z tego wynika, że najgorszym jest taki system, który podczas pokoju nie przewiduje żadnych kadrów dla wojsk rezerwowych i każe formować te ostatnie zupełnie na nowo przy mobilizacyi, wyłącznie na podstawie list i wyłącznie ze starych roczników.

A zatém każde państwo, które chce być przygotowaném należycie do wojny, powinno dbać o to, ażeby jego armia stała była możliwie najliczniejszą, posiadała możliwie najwięcéj jednostek taktycznych armii czynnéj, była należycie uorganizowanym kadrem dla wojsk rezerwowych, wreszcie, otrzymywała co rok możliwie liczny kontyngens nowozaciężnych. Zobaczmy, o ile dotychczasowa organizacya armii niemieckiéj odpowiadała powyższym wymaganiom i nauki, i do-

[1]) Artykuł, w tym sensie o niemieckiej landwerze w r. z. napisany i w „Militär-Wochenblatt'cie“ umieszczony (patrz Nr. 97), wywołał, jak wiadomo, wielką burzę w Niemczech. Autor na podstawie faktów i cyfr zarzuca landwerze: niedostateczną odporność ducha i ciała przy znoszeniu trudów wojennych, bardzo duży procent chorych, śród których tu i owdzie nie brakowało symulantów, brak odwagi przy szturmie i niewielką uporczywość przy obronie w porównaniu z armią czynną. Landwera znalazła obrońców nawet w Warszawie: jeden z Kuryerów nazwał zarzuty powyższe „niczém zaiste nieusprawiedliwionemi,“ tylko, że nie objaśnił: dlaczego?

świadczenia, i o ile inne główne armie europejskie wymaganiom tym zadość czynią.

Zacznijmy od stopy pokojowéj.

Stopa pokojowa armii niemieckiéj, łącznie z ochotnikami jednorocznymi, wynosiła dotychczas 522,000 ludzi, w téj liczbie 23,900 oficerów i urzędników [1]). Ogólna siła budżetowa (*effectif brut*) armii francuskiéj, ustanowiona na r. b., bez żandarmeryi, która zaliczana jest we Francyi do armii, łącznie jednak z wojskami morskiemi, wyjętemi z pod zawiadywania ministra marynarki i poddanemi ministrowi wojny w końcu 1891 r., wynosi 571,900 ludzi, w téj liczbie 28,600 oficerów i urzędników [2]). Co się tyczy Rosyi, dokładnie wskazać stopę pokojową jéj armii jest rzeczą trudną wobec braku szczegółowych i dokładnych danych urzędowych i możemy podzielić się z czytelnikiem tylko cyframi, przytoczonemi przez profesora mikołajewskiéj akademii wojskowéj, A. Redigera, w jego dziele „Uzupełnianie i organizacya siły zbrojnéj.“ Według tego źródła (część I, Petersburg, str. 109, 110, 116 i 119) stopa pokojowa armii ruskiéj wynosi obecnie bez straży więziennéj, łącznie jednak ze strażą pograniczną, wojskami kozackiemi i fińskiemi i milicyą kaukazką — 895,000 subalternów, czyli podoficerów i szeregowców. Rediger nie podaje liczby oficerów i urzędników, zważywszy jednak, że podług etatów, wydawanych przez ministeryum wojny, w armii ruskiéj bez zarządów, wyższych sztabów i szkół wojskowych, znajduje się 31,200 oficerów i 2,600 urzędników, kalendarzyk zaś gotajski wykazuje w sztabach i zarządach około 2,000 oficerów i urzędników, — można ze znacznem prawdopodobieństwem przypuścić, że w armii ruskiéj podczas pokoju jest około 36,000 oficerów i urzędników, i że zatém ogółem stopa pokojowa armii wynosi 931,000 ludzi. Trzy wyliczone armie są najlicz-

---

[1]) Ustanowiona w r. 1890 stopa pokojowa w sile 486,983 subalternów nie obejmuje siodlarzy i rusznikarzy (948 na rok 1892/3), tudzież ochotników jednorocznych, jako utrzymujących się własnym kosztem, których przyjmuje się zwykle na 9,000. Etatem na rok 1892/3 było objętych oficerów 20,524, urzędników 3,289. Piechota morska w Niemczech liczy wszystkiego 40 oficerów, 1,205 subalternów („Almanach de Gotha pour 1893“).

[2]) Według rzeczonego źródła (patrz: „v. Löbell's Jahresberichte über die Veränderungen und Fortschritte im Militärwesen, Jahrgang: 1892“, pag. 36) armia lądowa francuska (Francya eur., Algier, Tunetania) liczy 27,528 oficerów i urzędników i 519,062 subalternów, bez żandarmeryi. Wojska morskie liczą podług kalendarzyka gotajskiego na r. b. 1,087 oficerów i urzędników i 24,252 subalternów. Trochę więcéj niż 1/3 tych ostatnich znajduje się w koloniach; tamże znajduje się około 3,000 wojsk afrykańskich. Nie bierzemy w rachubę straży celnéj i leśnéj, należących do armii terytoryalnéj i liczących razem około 30,000 ludzi.

niejsze w Europie; armie: austryacko-węgierska i włoska są już znacznie słabsze. I tak, siła budżetowa armii austryacko-węgierskiéj wynosi obecnie 330,000 ludzi, w téj liczbie 23,000 oficerów i urzędników [1]), siła zaś budżetowa armii włoskiéj — 248,900 ludzi, w téj liczbie 14,300 oficerów i urzędników [2]).

Chcąc porównywać powyższe cyfry pomiędzy sobą, a nie uchybić przytém najważniejszemu warunkowi porównania—jednorodności porównywanych elementów, należy ze stopy pokojowéj armii francuskiéj i ruskiéj potrącić siły, które żadną miarą nie mogłyby być użyte na europejskim kontynencie w razie wojny. Takiemi są niewątpliwie europejskie (*resp.* algierskie) wojska francuskie konsystujące w Tonkinie i innych bardziéj oddalonych koloniach—około 12,000, i wojska ruskie, znajdujące się w Azyi Środkowéj i na Syberyi—około 93,000. Północno-afrykańskie wojska francuskie — około 50,000 — należy już brać w rachubę, gdyż przyciągną one ku sobie pewną część wojsk europejskiego przeciwnika Francyi, a w ilości korpusu piechoty i dywizyi jazdy będą nawet przewiezione w razie wojny do Francyi. Po dokonanéj redukcyi otrzymamy dla Francyi cyfrę 560,000, dla Rosyi zaś—nawet po potrąceniu wszystkich wojsk okręgu wojskowego kaukaskiego, o których pewnéj części, *mutatis mutandis*, można powiedzieć to samo, co o wojskach francuskich, rozłożonych w Algierze i Tunetanii [3]), 723,000.

Jak widzimy, Niemcy pod względem rozmiarów stopy pokojowéj ustępowały dotychczas tak Francyi, jak i Rosyi. I nie wetowały one sobie téj niższości ani na punkcie zasobności armii czynnéj w jednost-

---

[1]) Podług danych „autentycznych", zamieszczonych w Nr. 5-ym „Armeeblatt'u" z r. b., stopa pokojowa armii austryacko-węgierskiéj wynosi bez batalionów bośnijsko-hercogowińskich 326,040 ludzi, w tych zaś ostatnich podług etatów, podanych w „Handbuch für Offiziere des Generalstabes" Springer'a (Wien, 1890), jest 3,928 ludzi. Podług Redigera (patrz zacytowany wyżéj kurs, str. 212), oficerów i urzędników było w armii austr.-węg. na początku 1890 roku 22,003, dodać jednak należy przyrost za następne lata.

[2]) Według Löbell'a siła nominalna armii włoskiéj według budżetu 1892/3 wynosi bez żandarmeryi (t. zw. *carabinieri reali*) 14,287 oficerów i urzędników i 234,642 subalternów („Jahresbericht", 1892, pag. 111).

[3]) W okręgu kaukaskim znajduje się około 115,000; cyfrę tę, zarówno jak trzy poprzednie, otrzymaliśmy z rachunku, opartego na etatach i rozkładzie pokojowym wojsk. Patrz dla Rosyi publikacye urzędowe: „Zbiór etatów wydziału wojny" i miesięcznik „Krótki rozkład wojsk lądowych", dla Francyi zaś — „Lois, décrets, réglements relatifs à l'organisation de l'armée". Paris, 1892 i „Jahresbericht" Löbell'a, pag. 44 i 45.

ki taktyczne, ani na punkcie organizacyi wojsk rezerwowych, jak o tém czytelnik zaraz się przekona.

Przyjrzyjmy się najprzód kadrom armii czynnéj.

Jeżeli za dzień przeglądu obierzemy 6 maja r. b., chwilę, w któréj poprzedni parlament niemiecki decydował o losach reformy, to — wykluczając formacye zapasowe, lecz włączając wojska morskie, baterye zaś ośmiodziałowe stopy wojennéj pomnażając w stosunku 4 : 3, a czterodziałowe stopy wojennéj w stosunku 2 : 3, ponieważ baterye po większéj części liczą po sześć dział — znajdziemy w owym czasie: 540 batalionów niemieckich obok 629 francuskich i 907 ruskich, a właściwie, ponieważ bataliony nie jednakową wszędzie liczbę kompanii posiadają, 2,158 kompanii niemieckich obok 2,557 francuskich i 3,628 ruskich; daléj, 372 szwadrony niemieckie obok 357 francuskich i 721 ruskich; wreszcie 434 baterye niemieckie pochodowe obok 515 francuskich i 526 ruskich [1]). Cyfry powyższe nie charakteryzują

---

[1]) Musimy wykazać składniki cyfr powyższych, ażeby dać czytelnikowi możność ich sprawdzenia; bez tego byłyby one pozbawione wartości. *Niemcy.* Piechota: 519 batal. w 173 pułkach, 19 batal. strzelców, 2 batal. morskie, te ostatnie po 3 komp., pozostałe po 4. Kawalerya: 93 pułki po 4 szwadrony czynne i 1 zapasowym. Artylerya: 387 bateryi jezdnych (obsługa przewożona na armacie), 47 konnych (obsługa na koniach), wszystkie po 6 dział na stopie wojny. — *Francya.* Piechota: 507 batal. w 163 pułkach europejskich (18 po 4, 145 po 3 batal.), 40 batal. w 10 pułkach afrykańskich (4 turkosów, 4 żuawów, 2 cudzoziemskie, wszystkie po 4 batal.), 30 batal. strzelców i 5 batal. lekkiéj piechoty afrykańskiéj; bataliony lekkie i strzelców liczą po 6, cudzoziemskie po 5, pozostałe w téj liczbie, tymczasowo, 13 strzeleckich, po 4 komp.; ogółem batalionów 582 z 2,380 komp. czynnemi (patrz „Mil.-Woch.", Nr. 16/1893), z czego 4 batal. cudzoziemskie z 16 kom. w Tonkinie (Löbell, str. 42), 4 komp. lekkie i 2 cudzoziemskie w Dahomey'u („Mil.-Woch.", Nr. 28/1893). Piechota morska liczy 47 batal. z 177 kompaniami, z czego 116 komp. w 32 batal., a 8 pułkach w Europie. Kawalerya: 91 pułków po 5 szwadr. (jeden zapasowy) i jeden nadliczbowy szwadron (senegalski) w 1-ym pułku spahów. Dodaliśmy 4 pułki, które będą uformowane dopiero na jesieni tego i przyszłego roku, dlatego że są one z liczby 13 pułków, których utworzenie zapowiedziało prawo z 25 lipca 1887 r. Artylerya: 480 bateryi lądowych (403 jezdne, 20 górskich, 57 konnych) i 35 morskich, z których 22 w Europie, wszystkie baterye po 6 dział. — *Rosya.* Piechota: 820 batal. w 193 pułkach czterobatalionowych i w 24 dwubatal. puł. strzelców, 42 samoistne bataliony strzelców, 35 takichże liniowych i 9 kozackich, wszystkie po 4 komp. (właściwie półbatalion amurski liczy 2 komp., ale za to dwa bataliony zabajkalskie liczą po 5). Kawalerya (bez 2 secin konwoju J. C. M.) 109 pułków (50 kozackich) po 6 lub 4 szwadr., zw. seciny, 5 dywizyonów (2 koz.) i 8 samoistnych secin (6 koz.), razem 641 szwadronów i secin (354 i 287), do czego dochodzi konna straż pograniczna, reprezentująca wartość 72 secin, pułk dagiestański milicyi i 2 osiedlone seciny syberyjskie: nie bierzemy w rachubę pozostałéj milicyi kaukaskiéj —

Francyi i Rosyi wyłącznie jako państw europejskich — konieczne tu są pewne redukcye. Jeżeli we Francyi do europejskich wojsk lądowych dodamy tylko tę przypuszczalną część wojsk morskich i afrykańskich, która będzie użyta do działań na europejskim teatrze wojny, a mianowicie, jak mniemają powszechnie, dwie dywizye piechoty morskiéj z odpowiednią artyleryą, dwie dywizye afrykańskie piechoty i dywizyę jazdy afrykańskiéj (razem 48 batalionów, 24 szwadrony, 12 bateryi); jeżeli w Niemczech odrzucimy bataliony morskie; jeżeli, wreszcie, w Rosyi uwzględnimy tylko wojska europejskie, pomimo że, jak pisały niedawno dzienniki ruskie [1]), istnieje zamiar przesunięcia na zachód w najbliższéj przyszłości jednéj lub dwu dywizyi kaukaskich piechoty i tyluż brygad artyleryi (w dywizyi jest 16 batalionów, w brygadzie artyleryi—6 bateryi ośmiodziałowych) — to otrzymamy wówczas następującą tablicę, odpowiadającą dość ściśle rzeczywistemu stosunkowi sił wszystkich trzech armii, o ile za wskazówkę pod tym względem służyć może liczba jednostek taktycznych armii czynnéj.

Niemcy:	538 batal.	z 2,152 komp.	372 szw.	434 bater.	
Francya:	585 „	2,374 „	348 „	480 „	
Rosya [2]):	752 „	3,008 „	556 „	422 „	(bez rezerw.)

Tablica powyższa mówi sama za siebie.

Ciekawą jest bezwątpienia rzeczą zobaczyć, jak wyglądają przy tych wielkich armiach stałych armie stałe dwóch pozostałych głównych państw kontynentalnych Europy: armia stała monarchii habsburskiéj reprezentuje siłę 462 batalionów piechoty z 1,844 kompaniami, 252 szwadrony i 305 bateryi, stała zaś armia włoska jest jeszcze mniéj liczną, liczy bowiem 346 batalionów z 1,371 kompaniami, 144 szwadrony i 207 bateryi [3]).

---

16 konnych i 2 pieszych secin. Artylerya: 387 bateryi: 307 jezdnych, 18 górskich, 12 moździerzowych i 50 konnych (20 kozackich), jezdne i górskie ośmio-, pozostałe sześciodziałowe.

[1]) Patrz „Nowoje Wremia" z 10 grudnia 1892 roku, artykuł „Stan sił wojennych w Europie."

[2]) Siły ruskie na Kaukazie wynoszą 94 batal., 100 szwadr. i secin (w tém licząc 10 secin straży pogranicznéj) i 35 bateryi (6 konnych), siły zaś ruskie w Azyi—61 batal., 65 secin i 24 bateryi, w téj liczbie 6 konnych.

[3]) *Austro-Węgry.* Piechota: 408 batal. w 102 pułkach, 42 batal. strzelców i 12 bośnijsko-hercog., z których 4 otrzyma czwartą kompanię dopiéro na jesieni r. b. Kawalerya: 42 pułki po 6 szwadronów. Artylerya: 210 bateryi jezdnych ośmiodziałowych, 16 konnych sześcio- i 14 górskich czterodziałowych; od nowego roku ma przybyć 14 bateryi jezdnych. — *Włochy.* Piechota: 115 pułków trzybatalionowych z wyjątkiem jednego o 4 batal., 13 batal. liczy po 3 kom-

Przechodzimy do organizacyi wojsk rezerwowych podczas pokoju. Pod tym względem Rosya przoduje niezaprzeczenie wszystkim państwom w Europie, gdyż posiada w swoich wojskach rezerwowych jakby drugą stałą armię czynną. Ruska piechota rezerwowa dzieli się już podczas pokoju na polową i forteczną i liczy ogółem 175 batalionów, co do siły nie ustępujących czynnym. Pułki kozackie drugiego powołania, posiadając już podczas pokoju konie, broń i inne potrzebne efekta, — lubo nie istnieją nominalnie podczas pokoju, warunkują przewagę Rosyi nad innemi mocarstwami i na punkcie kawaleryi. Jedynie pod względem artyleryi Francya, Niemcy, a także Austro-Węgry nie ustępują Rosyi, gdyż ich nadliczbowe bateryę czynne, które mają być dodane piechocie rezerwowéj, stanowią przeciwwagę dla ruskiéj artyleryi rezerwowéj [1]). Zupełnie odwrotnie rzecz się miała dotychczas w Niemczech: niemieckie wojska rezerwowe (1-sze powołanie landwery) nie posiadały dotychczas kadrów i składały się wyłącznie ze starych roczników (klasy wieku 28—33). O małéj wartości landwery wiedziano, oczywiście, doskonale w wyższych wojskowych sferach niemieckich, ale nie mówiono o tém głośno dopóty, dopóki reorganizacya landwery nie stała się konieczną. Fakt ten był w znacznéj części przyczyną, że opinia publiczna w Niemczech, pozostawiona pod urokiem wspomnień z epoki walk o oswobodzenie, oceniała landwerę inaczéj. Niewątpliwie ówczesna landwera złożyła dużo dowodów męstwa i wytrzymałości, złożyła ich nawet więcéj, niźli od niéj spodziewano się; lecz swoją drogą nawet i ona, będąc poprostu milicyą, składała się bowiem z mężczyzn w wieku od lat 17 do 40, zdolnych do broni, a nie należących do armii czynnéj — wykazała, zwłaszcza na początku, wszystkie słabe strony milicyi, a więc panikę w razie niespodziewanego napadu, brak karności w krytycznych momentach, szybkie zmniejszanie się liczebności na skutek chorób i dezercyi [2]). Lecz o tém zapomniano w Niemczech z biegiem czasu; za-

---

panie, pozostałe liczą po 4. Kawalerya: 24 pułki po 6 szwadronów. Artylerya: 192 jezdne bateryę, 9 górskich, 6 konnych, wszystkie sześciodziałowe.

[1]) Ruską piechotę rezerwową stanowi: 144 batal. polowych, których połowa tworzy po dwa 36 pułków, 31 batal. fortecznych i 1 kompania tatarów krymskich, razem 175 batal. z 844 kompaniami: bataliony 28 pułków europ. liczą po 4, pozostałe po 5 komp., atoli już w 1891 r. 24 oddzielnym batal. dodano 6-tą kompanię. Na Kaukazie jest batalionów rezerwowych 28 (dwa forteczne), w Azyi 9. Artylerye rezerwową stanowi 31 bateryi (3 koz. orenburskie), zapasową — 12; bateryę liczą po dwa lub cztery działa podczas pokoju, jedna nawet jest ośmiodziałowa.

[2]) Patrz broszurkę gen. Bogusławskiego p. t. „Die Landwehr von 1813 bis 1893“ wydaną w r. b. przez Mittlera w Berlinie, w której jest przytoczonych dużo drastycznych przykładów w tym względzie.

pomniano o szczęśliwych okolicznościach, które były przyczyną sukcesów landwery w r. 1813 i 1814, jako to: landwerę ówczesną ożywiał niezwykły zapał patryotyczny, potęgowany nienawiścią do Francuzów, liczyła ona w swych szeregach stosunkowo więcéj młodych ludzi, niż landwera z późniejszych czasów, walczyła nie z żołnierzami z pod Austerlitz'u i Jeny, lecz z naprędce wyćwiczonymi konskrypcyonistami; zapomniano, że wskutek reform z r. 1815 i 1860 zmienił się do gruntu skład i charakter landwery: o tém wszystkiém zapomniał naród niemiecki, żyjąc wyłącznie wspomnieniem sławnych czynów pojedyńczych landwerzystów, czynów, odtwarzanych przez malarzy, opiewanych przez poetów. Nie dziw więc, że uczuł się boleśnie dotkniętym, gdy mu otworzono oczy, gdy mu przerwano jego sen złoty. Taką samą landwerę, tylko że pod nazwą armii terytoryalnéj posiadała i Francya, ale tylko do 1887 roku, w którym utworzono przy 144 pułkach t. zw. *cadres complementaires* z 9 oficerów złożone i dla czwartego batalionu przeznaczone (batalion ten wraz z dwoma terytoryalnemi miał składać t. zw. *régiment mixte*, pułk drugiéj linii). W ostatnich czasach zaopiekowano się wojskami rezerwowemi we Francyi jeszcze silniéj, mianowicie powiększono liczbę roczników rezerwy do 10, ażeby dawne pułki mieszane, odtąd rezerwowemi mające się nazywać, składały się wyłącznie z młodszych roczników, gdy przy dawnym systemie w skład tych pułków wchodzili i ludzie w bardziéj posuniętym wieku (prawo z 19 lipca 1892 r.), i następnie powiększono kadry zapasowe (o 5 oficerów w każdym pułku, obecnie w 145), przeznaczając je jednocześnie nie dla jednego batalionu, lecz dla całego pułku rezerwowego, tak że obecnie już podczas pokoju istnieją dowódcy każdego pułku, każdego batalionu i każdéj kompanii piechoty rezerwowéj (patrz prawo o kadrach — *loi d'encadrement* — uchwalone przez izbę 27 czerwca r. b.). Wprawdzie jest stąd jeszcze daleko do typu ruskich wojsk rezerwowych, które nie zapożyczają oficerów i podoficerów od wojsk czynnych i, jak wiemy, posiadają jądro, złożone z młodych żołnierzy, tudzież własnych młodych rezerwistów; niemniéj jednak francuski typ organizacyi wojsk rezerwowych miał dotychczas niezaprzeczoną wyższość nad organizacyą istniejącéj podczas pokoju wyłącznie na papierze niemieckiéj landwery (co się tycze Austro-Węgier i Włoch, to włoska milicya ruchoma jest kopią niemieckiéj landwery, landwera zaś austryacko-węgierska przedstawia dużo podobieństwa do ruskich wojsk rezerwowych, posiada bowiem własne kadry, tylko że bardzo słabe).

Pozostało nam jeszcze przypatrzyć się rozmiarom kontyn-

gensu rocznego nowozaciężnych w Niemczech i u ich sąsiadów.

Za rok przeciętny dla dotychczasowéj stopy pokojowéj armii niemieckiéj należy uważać rok 1891-szy. Wcielono wtedy w Niemczech do wojska i marynarki 198,500 ludzi, w téj liczbie 9,000 ochotników jednorocznych. Potrąciwszy komplet marynarki 5,000 ludzi, otrzymamy dla armii lądowéj kontyngens w sile 193,500. Cyfra ta mieści w sobie t. zw. *Nachersatz*, czyli kontyngens zapasowy, który zapełnia luki, tworzące się w szeregach w ciągu pierwszych czterech miesięcy po przybyciu rekrutów. Kontyngens zapasowy wynosi około 10,500, tak, że rzeczywista siła rocznika wynosi około 183,000 [1]), lecz ponieważ inne armie nie posiadają takiego *Nachersatz*'u, więc przy porównaniach należy przyjmować dla Niemiec kontyngens *brutto*, t. j. 193,500. Kontyngens roczny francuski znacznie przewyższał dotychczasowy niemiecki, a to dzięki prawu z 15 lipca 1889 r., które, ustanawiając 3-letnią służbę czynną zamiast 5-letniéj, rozciągnęło jednocześnie obowiązek służby czynnéj na wszystkich niemal zdolnych do broni popisowych [2]). W r. 1890, w którym nowe prawo zostało po raz pierwszy zastosowane, wcielono do wojsk lądowych europejskich 218,500, afrykańskich — 8,000, do wojsk morskich 7,200, razem około 234,000. Wprawdzie cyfra ta w dwóch latach następnych obniżyła się znacznie, gdyż stawały wtedy do losowania roczniki 1890 i 1891, czyli młodzieńcy urodzeni w latach ostatniéj wojny — kontyngens nowozaciężnych w r. 1891 wyniósł 223,000, w r. 1892 zaś zapewne 215,000—niewątpliwą jest jednak rzeczą, że wkrótce wróci do poprzedniéj swéj wysokości [3]). Kontyngens nowozaciężnych w ar-

---

[1]) Patrz „Militär-Wochenblatt“, Nr. 101/1892. Tego rodzaju ubytek powstaje i w innych armiach. We Francyi np. w r. 1890 z ogólnéj liczby 205 tysięcy rekrutów, odesłano do domów z „*congés de reforme*, Nr. 2“ 13,204 ludzi (6%), „*soit pour infirmités antérieures à l'incorporation, soit pour infirmités, ne pouvant à aucun titre être attribuées au service militaire*“ — wyrażając się słowami urzędowego sprawozdania (patrz Rediger'a, str. 132).

[2]) Do tego czasu kontyngens niemiecki być może nawet przewyższał nieco francuski. Podług Exner'a, specyalisty od armii francuskiéj śród współpracowników „Jahresbericht'ów“ Löbell'a (patrz jego „Die Französische Armee in Krieg und Frieden“, Berlin, 1889, pag. 23) do r. 1889 włącznie wcielano przeciętnie do armii 155,000; dodajmy kontyngens wojsk afrykańskich i morskich, otrzymamy cyfrę 169,000. Według Löbell'a kontyngens *netto* za lata 1886 — 1889 wynosił w Niemczech 161,100 bez jednoroczniaków (w owym czasie około 8,400).

[3]) Oto są nie pozbawione interesu wyniki poborów w r. 1890, 1891 i 1892 we Francyi europejskiéj:

mii ruskiéj jest jeszcze większy. Przeciętny kontyngens rekrutów za lata 1890 — 92 wynosi 258,400. Po potrąceniu kontyngensu straży więziennéj i marynarki, po dodaniu zaś kontyngensu kozackiego, kaukaskiego krajowców i fińskiego, otrzymamy bez jednorocznych i dwuletnich ochotników (około 5,000) kontyngens roczny nowozaciężnych w sile 272,200 ludzi [1]). Armie: austro-węgierska i włoska, posiadając szczupłe rozmiary podczas pokoju, tém samém już nie mogą być zasilane bardzo licznym kontyngensem rekrutów. W saméj rzeczy kontyngens nowozaciężnych w Austro-Węgrzech wynosi 126,000, we Włoszech zaś—95,000 [2]).

Dane, przytoczone dotychczas przez nas, świadczą, że rząd niemiecki miał uzasadnione pobudki domagać się od parlamentu uchwalenia kredytów na powiększenie siły zbrojnéj państwa. To właśnie mieliśmy udowodnić, i możemy teraz iść daléj: przypatrzmy się saméj osnowie uchwalonego prawa wojskowego [3]).

Rok	stawało do losowania	wzięto do wojsk lądowych rekrutów	wstąpiło dobrowolnie
1890	310,000	193,473	25,067
1891	300,247	185,807	24,548
1892	277,425	179,142	?

Do wojsk morskich bierze się rocznie 2,730 rekrutów; ochotników wstąpiło w roku 1890—4,424, w r. 1891—3,034. W Algierze i Tunetanii w r. 1890 wzięto Francuzów (na rok) 3,000, wstąpiło ochotników (krajowców i cudzoziemców) 5,000; w roku 1891 liczba tych ostatnich wyniosła 4,057 (patrz: „Jahresbericht“ Löbell'a, pag. 52 i 53; Rediger, pag. 71; „Militär-Wochenblatt“, Nr. 99/1892; dane „Progrés Militaire“, pomieszczone w Nr. 183 „Gazety Warszawskiéj“ z r. b.).

[1]) W r. 1890 pobrano do wojska, nie rachując wprost do rezerwy zaliczonych, 257,567, w następnym 258,865, w r. z. 258,704. Kontyngens kozacki wynosi około 16,000, fiński 1,900, kaukaski 2,400; do floty wcielają 3,500, do straży więziennéj—zapewne 3,000 (patrz: Łobko, „Notaty z administracyi wojskowéj“, Petersburg, 1891 i kurs Redigera).

[2]) Do roku 1891-go, przez lat sześć, pobierano we Włoszech tylko 82,000. Kontyngens marynarki włoskiéj wynosi 1,000 ludzi (patrz Schuler'a „Dislocations-Karte der Italienischen Armee“, Wien, 1891). W Austro-Węgrzech według ustawy z r. 1888 bierze się 0,31% ludności. Od tego czasu powiększono tylko kontyngens honwedów. Kontyngens armii wspólnéj 101,200, obu landwer 23,000, bośnijsko-hercogowiński 2,000, floty 1,900 (podług Glückmann'a: „Das Heerwesen der Oester.-Ung. Monarchie“, Wien, 1892 i Redigera).

[3]) Właściwie, wypadałoby jeszcze wykazać, że i na punkcie szybkości mobilizacyi i koncentracyi wojsk, położenie Niemiec w porównaniu z Rosyą i Francyą od r. 1870 zmieniło się na niekorzyść pierwszych, ale to zanadto już odsunęłoby nas od głównego przedmiotu. Ciekawego czytelnika odsyłamy do Nr. 22, 24 i 32 „Militär-Wochenblatt'u“ z r. b., mianowicie do artykułów: „Die Kriegsbereitschaft der Russischen Armee“ i „Mobilmachung früher und jetzt.“

Poznaliśmy wyżéj dwa najważniejsze braki dotychczasowéj organizacyi armii niemieckiéj podczas pokoju: po pierwsze, Niemcy w razie wojny musiałyby wyruszyć w pole ze starszymi, mniéj zdatnymi do wojny rocznikami, aniżeli przypuszczalni ich przeciwnicy; po drugie, Niemcy nie posiadały stałych ram dla formacyi rezerwowych.

Celem usunięcia pierwszego z tych braków nowe prawo powiększa kontyngens roczny rekrutów.

Wysokość kontyngensu rocznego rekrutów jest w stosunku prostym do rozmiarów stopy pokojowéj i odwrotnym do długości terminu służby czynnéj, albowiem stopa pokojowa armii jest w zasadzie pewną liczbą kontyngensów rocznych, równą liczbie lat służby czynnéj. Stąd, chcąc powiększyć kontynges roczny rekrutów, można albo powiększyć stopę pokojową armii, pozostawiając liczbę roczników pod chorągwią bez zmiany, albo téż, odwrotnie, zmniejszyć liczbę tych ostatnich roczników, nie podwyższając stopy pokojowéj. Niemieckie ministeryum wojny zużytkowało obydwa środki celem silnego wzmocnienia armii w możliwie krótkim przeciągu czasu.

Stopa pokojowa armii niemieckiéj na r. b. wynosiła 20,524 oficerów, 3,286 urzędników, 66,952 podoficerów, 420,031 szeregowców, 948 rusznikarzy i siodlarzy i 93,700 koni skarbowych. Z tych pozycyi dwie tylko, mianowicie podoficerów i szeregowców, wzięte razem, stanowiły dotychczas t. zw. *Friedens-Präsenzstärcke*, którą, według ustawy z 2 maja 1874 r., parlament miał ustanawiać co lat 7 [1]). Nowe prawo orzeka, że liczba podoficerów będzie co rok zatwierdzana tak, jak to było dotychczas z etatem oficerów, urzędników i t. d., liczbę zaś szeregowców ustanawia na czas od 1 października 1893 r. do 31 marca 1899 r. w sile przeciętnéj dla każdego roku 479,229. Pozostałe pozycye etatu na rok 1893/4 wynoszą: 22,317 oficerów, 3,721 urzędników, 77,861 podoficerów, 1,155 rusznikarzy i siodlarzy, 96,844 konie (patrz dzienniki, tekstu urzędowego jeszcze nie posiadamy) Z tego wynika, że armia stała niemiecka liczyć będzie odtąd 584,300 ludzi, w téj liczbie 26,000 oficerów i urzędników — o 11,200 ludzi mniéj niźli tego domagał się początkowo rząd niemiecki — łącznie zaś z ochotnikami jednorocznymi i piechotą morską 594,500 ludzi.

---

[1]) W r. 1874 określono stopę pokojową cyfrą 401,659; w r. 1880 powiększono ją do 417,274 (prawo z 6 maja), w r. 1886—do 468,409 (prawo z 9 marca 1887), w r. 1890—do 486,983 (prawo z 15 lipca), tym razem już nie na lat 7, lecz do 31 marca 1894 r. Jak widzimy, rząd niemiecki ani razu nie doczekał się upływu siedmiolecia, a nawet—ostatniego niepełnego czterolecia.

Służba czynna w armii niemieckiéj trwała dotychczas trzy lata, w kawaleryi za czwarty rok, spędzony pod chorągwią wykreślano dwa z 1-go powołania landwery; w rzeczywistości jednak więcéj, niż jedna trzecia część piechoty i artyleryi fortecznéj po dwóch lata otrzymywała urlop i przez rok pozostawała do dyspozycyi dowódzcy swojego oddziału, służąc do zapełniania luk, które tworzyły się po 1 lutego. Stanąwszy wobec konieczności powiększenia kontyngensu rocznego rekrutów z możliwie najmniejszém obciążeniem budżetu, niemieckie ministeryum wojny nie mogło inaczéj dopiąć swego celu, jak skracając termin służby czynnéj dla ogromnéj większości rekrutów, co téż uczyniło, zaprowadzając *de facto* dwuletnią służbę czynną w wojskach pieszych (t. j. dla całéj armii z wyjątkiem kawaleryi i artyleryi konnéj). Jednostronnie więc przedstawiły tę kwestyę dzienniki, które, snadź ulegając sugestyi mowy tronowéj cesarza Wilhelma z 22 listopada r. z., nie przestały do samego końca dopatrywać się w zaprowadzeniu dwuletniéj służby jedynie kompensaty dla ludności za dokładane na jéj barki ciężary. Przedewszystkiém, dwuletnia służba tylko w nieznacznéj części kompensuje nowe ciężary, bo inaczéj reforma byłaby już dawno uchwalona; powtóre, skrócenie służby czynnéj do lat dwóch nie było żadném ustępstwem ze strony rządu: nie dlatego uciekł się on do dwuletniéj służby, ażeby przychylniéj usposobić parlament, *resp.* naród, względem reformy, lecz dlatego, że powiększenie rocznego kontyngensu rekrutów w zamierzonym stosunku, tylko za pomocą powiększenia stopy pokojowéj byłoby zbytkiem, na który on, rząd, nie mógł sobie pozwolić, zmuszony do liczenia się z siłą podatkową narodu i jego niezbyt wielką, jak wiadomo, pochopnością do ofiar na cele wojskowe, i że przeto, nie chcąc zrzec się trzyletniéj służby, musiałby poprzestać na mniejszym kontyngensie rekrutów.

Dzięki podwyższeniu stopy pokojowéj i skróceniu służby czynnéj w wojskach pieszych, niemieckie ministeryum wojny znalazło się w możności wcielać do swéj armii lądowéj rocznie około 228,000 rekrutów. Lecz jestto dopiéro tylko czysty kontyngens, bez *Nachersatz*'u i ochotników jednorocznych. W saméj rzeczy, wiadomo, że rząd początkowo żądał powiększenia kontyngensu rocznego rekrutów o 60,000 i że potém poprzestał na 54,000. Odjąwszy tę ostatnią cyfrę od 228,000, otrzymamy 174,000, czyli wskazany wyżéj dotychczasowy czysty kontyngens bez ochotników jednorocznych [1]. Należy

[1]) I cyfra 228,000 jest dokładna, albowiem według „Militär-Wochenblatt'u“ z r. z. (Nr. 101) przyszły kontyngens, początkowo żądany, miał wynosi 234,000.

więc dodać do owych 228,000 — ochotników jednorocznych i *Nachersatz* — 6% czystego kontyngensu; otrzymamy wówczas potężną cyfrę 250,000, która wyraża przyszły kontyngens *brutto* i którą właśnie należy uwzględniać przy porównaniach.

Takie kolosalne powiększenie kontyngensu rocznego rekrutów nie mogło obyć się, oczywiście, bez zmian w obowiązującéj dotychczas ustawie poborowéj. Jakoż, jak wiadomo, nowe prawo *minimum* wzrostu skróciło o trzy centymetry—do 1 m. 54, a rezerwę zapasową, czyli t. zw. *Ersatz-Reserve*, zniosło.

Do rezerwy zapasowéj szli dotychczas nie wzięci do wojska z powodu wylosowania wysokiego numeru (kategorya ta, zdaje się, znikła w ostatnich czasach), dla stosunków domowych i z powodu drobnych lub przechodnich wad ciała (np. wzrost poniżéj 1 m. 57). Do rezerwy zapasowéj należało się przez lat 12, t. j. dotąd dopóki współroczniacy należeli do armii stałéj (trzy lata), do jéj rezerwy (cztery) i do 1-go powołania landwery (pięć lat), poczém rezerwiści zapasowi, którzy przyjmowali udział w ćwiczeniach (20 tygodni, rozłożonych na pierwsze trzy lata), szli do 2-go powołania landwery (siedm lat), pozostali zaś do 1-go powołania landszturmu (landszturm obejmuje mężczyzn w wieku od lat 17 do 40, zdolnych do broni, a nie należących do wojska, t. j. armii czynnéj i obu landwer, i dzieli się na dwa powołania: sześć najstarszych roczników stanowi drugie powołanie landszturmu, pozostałe zaś stanowią pierwsze). Ćwiczenia dla rezerwistów zapasowych ustanowiono w r. 1880, po zawarciu przez Niemców przymierza z Austro-Węgrami, i pociągano na nie początkowo 40,000, potém już tylko 17,500 ludzi. Chciano tym sposobem, obciosując przynajmniéj zgrubsza personel uzupełniający formowanych przy mobilizacyi batalionów zapasowych (zapełniają one szczerby w batalionach czynnych), ułatwić zadanie kadrom instrukcyjnym tych ostatnich i powiększyć zasób wyćwiczonych rezerwistów, w gruncie rzeczy jednak cała ta instytucya, jako produkt oszczędności, była łataniną. W istocie, ćwiczenie rezerwistów zapasowych odrywało oficerów i podoficerów batalionów czynnych od ich właściwych zajęć, rezerwiści zaś zwykle mało zapamiętywali z tego, czego zdołano ich nauczyć; co większa, armie sąsiednie, francuska i ruska, nie znały takich słabo wyćwiczonych żołnierzy, a wiadomo, że dla każdéj armii probierzem jéj wartości powinny być urządzenia ewentualnego przeciwnika. We Francyi zdawien dawna istniała

Do cyfr dlatego odnosimy się krytycznie, że, nie posiadając jeszcze tekstu urzędowego nowego prawa, musimy posługiwać się tylko dziennikami.

t. zw. *deuxième portion du contingent*, należący do niéj odbierali conajmniéj 6-miesięczne wykształcenie; w r. 1889 zniesiono ją nawet i najkrótszy termin służby wynosi tam obecnie rok. W Rosyi istnieje dotychczas t. zw. kontyngens dodatkowy, ustanowiony w r. 1881 celem powiększenia zasobu wyćwiczonych żołnierzy; odbiera on jednak 9-miesięczne wykształcenie i jest powoływany późniéj na ćwiczenia. Wskutek reformy, przewaga będzie odtąd po stronie Niemiec.

Zobaczmy teraz, o ile i w jaki sposób reforma usuwa drugą słabą stronę dotychczasowéj organizacyi wojskowéj Niemiec — brak stałych ram dla formacyi rezerwowych.

Celem ułatwienia mobilizacyi wojsk rezerwowych projekt wojskowy, w pierwotnéj swéj szacie, żądał utworzenia 173 batalionów piechoty, po jednym przy każdym pułku, 12 szwadronów jazdy i 60 bateryi jezdnych. Zadanie rezerwowych szwadronów miało polegać na ujeżdżaniu koni i oddawaniu ich potém w najem osobom prywatnym z warunkiem natychmiastowego zwrotu w razie mobilizacyi; zasób, któryby się w ten sposób utworzył, ułatwiłby formowanie rezerwowych pułków jazdy przy mobilizazyi, gdyż właśnie na braku ujeżdżonych koni polega cała trudność téj operacyi. Jako wiadomo, rząd, wskutek oporu parlamentu, wyrzekł się tych szwadronów i poprzestał na dwóch pozostałych pozycyach.

Przy dotychczasowéj organizacyi wojsk rezerwowych w Niemczech, czynne pułki piechoty i artyleryi musiały przy mobilizacyi wydzielać dla mających się utworzyć rezerwowych pułków bardzo znaczną część oficerów i podoficerów i kontentować się wzamian rezerwowymi; taką samą zamianę wypadało dokonać względem szeregowców, chcąc odmłodzić formacye rezerwowe. Tym niedogodnościom — armii ruskiéj nieznanym — postarano się zaradzić we Francyi w ten sposób, że utworzono wzmiankowane wyżéj kadry oficerskie, tudzież podoficerskie, i nadliczbowe baterye czynne. Wprawdzie dotychczas niemiecki pułk piechoty liczył o 2 oficerów więcéj, niż francuski, ale za to posiadając podług etatu wojennego więcéj oficerów, niż francuski [1]), tém samém więcéj potrzebował zawezwać oficerów rezerwy, niż francuski; zresztą *loi d'encadrement*, pomnażając kadr zapasowy o 5 oficerów, przy jednoczesném jednak skasowaniu adjutantów batalionowych, nawet i tę pozorną wyższość po stronie niemieckiéj usu-

[1]) Na stopie wojennéj w kompanii niemieckiéj jest 5 oficerów, w francuskiéj 4; za to w pierwszéj jest 15, w drugiéj — 28 podoficerów. Na stopie pokoju pułk niemiecki liczył dotąd 57 oficerów.

nęło. Nowe prawo wojskowe niemieckie przeciwstawia francuskim *cadres complémentaires* czwarte bataliony, każdy w sile 8 oficerów, 3 urzędników, 36 podoficerów i 159 szeregowców (w dwóch kompaniach), wytwarzając w ten sposób coś pośredniego pomiędzy franskiemi i ruskiemi kadrami piechoty rezerwowéj. Trzeba jednak wiedzieć, że czwarte bataliony przeznaczone są nietylko na to, ażeby stanowić zarodek formacyi rezerwowych; mają one jeszcze inne zadanie—umożebnić bardziéj intesywne ćwiczenie personelu trzech pozostałych batalionów, ażeby jakość piechoty wskutek zaprowadzenia służby dwuletniéj nie zmniejszyła się. W tym celu czwarte bataliony przejęły na siebie, między innemi, ćwiczenie rezerwistów, *Nachersatz*'u (całości lub części) i jednorocznych ochotników, nie zaciągających się w terminie poboru, i wiele zajęć pozasłużbowych. Co się tyczy z kolei artyleryi, to Niemcy — mierząc potrzeby piechoty i jazdy niemieckiéj podług skali francuskiéj — nadliczbowych bateryi właściwie nie posiadały i dopiéro nowe prawo je utworzyło. W saméj rzeczy, przypuszczając w francuskim *ordre de bataille* 44 dywizye piechoty w 21 korpusach i 8 dywizyi jazdy z 18 bateryami [2]) i licząc po 6 bateryi na dywizyę piechoty, a 8 na korpus — taka jest bowiem norma—otrzymamy w sumie 450 bateryi. Ponieważ Francya liczy ich teraz — pozostawiając na stronie baterye afrykańskie i alpejskie, dodając zaś do artyleryi lądowéj tylko 12 bateryi morskich (porównaj wyżéj)—468, więc dla wojsk rezerwowych pozostaje 18 bateryi. Niemcy wystawią w pierwszéj linii prawdopodobnie 43 dywizye piechoty w 21 korpusach i 11 dywizyi jazdy [3]); siły te według normy francuskiéj potrzebują również 450 bateryi, tymczasem dotychczas Niemcy posiadały 434 baterye.

Dla wyczerpania całéj osnowy nowego prawa dodać musimy, że oprócz polowéj artyleryi czynnéj wzmacnia ono artyleryę forteczną i inżynieryę, a nieco téż i tabor, i powiększa etaty pokojowe pewnéj liczby batalionów piechoty. Nowe prawo tworzy 6 batalionów artyleryi fortecznéj z 25 kompaniami, 3 bataliony pionierów z 14 kompaniami (o jeden mniéj, niż pierwotny projekt), 2 bataliony kolejowe

---

[1]) Szczegóły znajdzie czytelnik w Nr. 10 i 19 „Militär-Wochenblatt'u" z r. b., w artykułach: „Die Wirkung der Militär-Vorlage auf die Qualität der Infanterie" i „Die vierten Bataillone."

[2]) Istnieje 39 dywizyi; dodać należy 2 afrykańskie, 2 morskie i dywizyę *de la Meurthe*, którą zamierzono uformować. Korpusów jest 19: dodać należy XX morski. Dywizyi jest 6, na jesieni przybędzie 7-ma; dodać należy afrykańską.

[3]) Korpusów jest obecnie 20, dywizyi jazdy—jedna.

z 9 kompaniami i 1 kompanią taboru z 17 oddziałami zaprzęgowemi dla artyleryi fortecznéj [1]). Podwyższenia etatów pokojowych żądał rząd niemiecki dlatego, ażeby pozostawić oddziały wojsk w dotychczasowéj ich gotowości do wymarszu, inaczéj bowiem, wskutek zaprowadzenia dwuletniéj służby, stosunek liczbowy wyćwiczonych żołnieży do niezupełnie jeszcze wyćwiczonych zmniejszyłby się na niekorzyść pierwszych, a tém samém dla zmobilizowania danego oddziału potrzeba byłoby powołać więcéj rezerwistów, niż dotychczas. Obcięcie stopy pokojowéj armii nie pozwoliło wykonać pomyślnego początkowo planu w całéj jego rozciągłości.

Niemiecka reforma wojskowa jest to odpowiedź Niemiec na prawo francuskie z 15 lipca 1889 r. Pomyślana po mistrzowsku od początku do końca, znakomicie wzmacnia siły wojenne Niemiec, i chociaż nietylko przeciwko Francyi wymierzona, tylko Francyi właściwie głęboki cios zadaje. Najgroźniejszym dla Francyi ustępem nowego prawa jest bezwątpienia ten, który powiększa kontygens roczny rekrutów w Niemczech, pozwala on bowiem brać do wojska więcéj ludzi, niźli na to może się zdobyć Francya. Ta ostatnia, dzięki swéj zamożności i ofiarności, może ustanowić dla swéj armii stopę pokojową, silniejszą od dotychczasowéj — może nawet ustanowić stopę większą od niemieckiéj, przedłużając u siebie termin służby czynnéj — lecz powiększyć swój kontyngens nowozaciężnych może ona tylko rozciągając powszechny obowiązek służby wojskowéj na krajowców algierskich (jak to już uczyniła w Tunetanii), gdyż w europejskiéj swéj części już dziś wciela ona do wojska wszystkich fizycznie uzdolnionych popisowych. Powiększyć roczny kontyngens popisowych we Francyi europejskiéj może tylko przyrost ludności, a pod tym względem Francya — niestety — ustępuje wszystkim państwom w Europie, a przedewszystkiem Niemcom: Niemcy posiadają dzisiaj przeszło o 12 milionów ludności więcéj niż Francya (ludność Algieru i Tunetanii nie dosięga cyfry 7 mil.), we Francyi za pięciolecie 1886—91 przyrost wynosił 124,000, gdy w Niemczech za lata 1885/90 2,570,000; w Niemczech rodzi się co rok więcéj chłopców, niźli ogółem dzieci we Francyi [2]).

---

[1]) W Niemczech było dotychczas 31 batal. art. fortecznéj z 126 kompaniami, we Francyi 16 ze 100 kompaniami (*loi d'encadrement* tworzy 2 nowe z 12 kompaniami), w Rosyi eur. 37 z 148 komp.

[2]) Podług kal. got. na r. b. w Niemczech w dniu 1 grudnia 1890 r. było 49,428,470 mieszkańców, we Francyi zaś w d. 12 kwietnia 1891 — 38,343,192. Podług „Journal Officiel" z 30 grudnia 1892 r. przyrost za lata 1886—91 wyniósł we

Nie dziw więc, że liczba młodzieńców, dosięgających co rok wieku popisowego jest we Francyi niższa, niż w Niemczech. Określając ją dla Francyi cyfrą 310,000, znajdziemy, że w 1890 roku, który przyjmujemy za normalny, wcielono 73% popisowych (patrz wyżéj). Liczba popisowych w Niemczech wynosi obecnie conajmniéj 460,000 (cyfrę tę znajdujemy u Redigera). Jak wiemy, kontyngens nowozaciężnych ma wynosić odtąd 250,000; stanowi to 54% popisowych, prędzéj mniéj, aniżeli więcéj. A zatém kontyngens nowozaciężnych w Niemczech jest absolutnie większy, procentowo zaś znacznie mniejszy, niż we Francyi, co wobec tego, że w Niemczech systemat ulg dla względów familijnych jest bardzo słabo rozwinięty, dla téj ostatniéj jest podwójnie niekorzystném.

O tém wszystkiém wiedzą Francuzi, ale nie upadają na duchu. „Jakąż odpowiedź dać dzisiaj możemy Niemcom? — zapytuje jeden z wojskowych dzienników francuskich, kończąc ocenę niemieckiéj reformy [1]). „Żadną — bo Francya wyczerpała już swe zasoby pod tym względem, zrobiła już wszystko, co mogła. Pomimo, że co rok wcielamy do szeregów wszystkich uzdolnionych popisowych, nie możemy osiągnąć siły etatowej, a tém samém nie możemy dotrzymywać kroku Niemcom na punkcie podwyższenia stopy pokojowéj i powiększenia liczby wyćwiczonych żołnierzy. Również nie możemy powiększać liczby jednostek taktycznych, bo na cóż zda się tworzyć nowe ramy, których wypełnić nie zdołamy? Nasze więc położenie jest bardzo poważne. Musimy patrzéć na wzrost potęgi niemieckiéj z założonemi rękami i pozostaje nam tylko starać się jakością armii skompensować niższość liczebną. Przecież paręset tysięcy mniéj lub więcéj tam, gdzie wchodzą w grę miliony, nie jest to czynnik decydujący. Zwycięży to państwo, które posiadać będzie armię jeżeli zarazem nie najlepszą, to przynajmniéj najkarniejszą, najlepiéj prowadzoną i prawdziwym duchem wojskowym przenikniętą."

Francyi 124,289; przyrost maksymalny był w r. 1889 i wynosił 85,646; odtąd liczba zejść przewyższała liczbę urodzeń: w 1890 na 38,535, w 1891 na 10,505 (dane za r. 1892 nie są jeszcze ogłoszone). Przedostatni spis ludności, z 30 maja 1886, wykazał, że liczba mieszkańców od 1 grudnia 1881 z 37,672,048 podniosła się do 38,218,903, czyli, że przyrost za 4½ lata wyniósł 546,855 dusz (patrz sprawozdanie fran. min. handlu z ruchu ludności, z r. 1888, *Exner* str. 22). W Niemczech w d. 1 grudnia 1885 było 46,857,705 mieszkańców (*Alm. de Gotha* 1891), przyrost więc za 5 lat wyniósł 2,570,765. W r. 1890 przyszło na świat we Francyi 878,594 dzieci, w Niemczech 1,838,434, w téj liczbie 945,269 chłopców („L'avenir militaire" Nr. 1734, 1892).

[1]) Patrz cytowany wyżéj „L'avenir militaire". Nr. 1734, 1892.

Umotywowaliśmy konieczność niemieckiéj reformy wojskowéj, zapoznaliśmy czytelnika z jéj treścią; wypada określić jeszcze, choćby w krótkości, jéj polityczne znaczenie.

Niemiecka reforma wojskowa czerpie swą racyę bytu w współczesnym militaryzmie i jest rękojmią pokoju europejskiego ze strony Niemiec. Stanowiąc tylko jedno jeszcze ogniwo w nieprzerwanym łańcuchu przygotowań wojennych, dokonywanych w dzisiejszéj dobie przez państwa europejskie pod hasłem *si vis pacem, para bellum*, posiada ona takie samo polityczne znaczenie, co i wszelkie tegoż rodzaju reformy innych państw.

Wskutek dwu ostatnich wojen Europa przedstawia dzisiaj dwa wielkie obozy, które posiadają interesa biegunowo przeciwległe, a tak żywotne w przekonaniu stron, że — mniemać można — wykluczają możliwość zawarcia kompromisu. Są wprawdzie ludzie, którzy, zarzucając kierownikom państw, że nie pojmują prawdziwego interesu tychże, nie wierzą w trwałość obecnego zgrupowania się głównych mocarstw europejskich; nie przestają również rządy europejskie państw parlamentarnych przy każdéj sposobności zapewniać o przyjaznych stosunkach, łączących je z innemi; ale naszém zdaniem podobnemu optymizmowi przeczy brak kompletny zmian w polityce państw europejskich od lat sześciu przeszło i zbrojenie się mocarstw na coraz większą skalę. Wysiłki, jakie na polu zbrojeń robią wszystkie państwa, świadczą, że uważają one starcie orężne za prawdopodobne i jeżeli zwlekają z rozstrzygnięciem spornych kwestyi w drodze wojny, zgadzając się na zbrojny pokój, to tylko dlatego, że jeszcze nie czują się dostatecznie przygotowanemi do akcyi, a lękają się skutków przegranéj wojny. Ztąd téż przygotowania wojenne, jako środek utrzymania pokoju, można uważać za narzędzie obosieczne, bo jeżeli one, udaremniając osiągnięcie przewagi przez jednę ze stron, zwłaszcza tę, któréj nie zadawala teraźniejszość, w saméj rzeczy oddalają wybuch wojny, to jednak właściwie rękojmią pokoju nie są, gdyż nie wszystkie państwa mogą jednakowo długo współzawodniczyć na polu uzbrojeń. Nie bez podstawy twierdzić można, że prędzéj lub późniéj słabsze dla jakiegobądź powodu mocarstwa, o ile nie zmienią dotychczasowego swego kierunku w polityce, zmuszone zostaną rzucić zarzewie wojny w najdogodniejszéj dla siebie chwili i otrzymają wówczas miano burzycieli pokoju, gdy same mniemać będą, że chwyciły za oręż we własnéj obronie. Taka jest rzeczywista doniosłość przygotowań wojennych, jako rękojmi pokoju; tak téż należy zapatrywać się i na niemiecką reformę wojskową.

Jeszcze słów kilka.

Niemiecka reforma wojskowa napotkała w parlamencie i przeciwników z zasady: byli nimi, oprócz frankofilów z Reichsland'u, socyaliści, którzy, powstając przeciwko „rozwielmożnieniu się“ militaryzmu, proponowali zastąpienie wojsk stałych milicyą.

Niektórym ludziom zawsze się zdaje, że życie można układać dowolnie w pewne ramki. *Grau ist alle Teorie und grün des Lebens goldner Baum.* Współczesny militaryzm w Europie nie jest produktem dnia i nie powstał z woli pojedyńczego człowieka lub narodu; jest on konsekwencyą przeszłości, jest rezultatem postępów ludzkości na drodze kultury i wzrastania zasobów państw z jednéj strony — wyniku wojen, tak w sensie pouczających wskazówek w dziedzinie wojskowości, jak w charakterze czynników, kształtowania się stosunków międzypaństwowych z drugiéj. Lecz socyaliści inaczéj zapatrują się na militaryzm: wolą oni widziéć w militaryzmie bożka, a w rządach — jego kapłanów. To téż, gdy dla ludzi, nie puszczających wodzy fantazyi, przyszła forma militaryzmu jest zagadką [1]), im wydaje się, że można powstrzymać militaryzm w jego naturalnym rozwoju i powrócić do dawno zarzuconego przez państwa europejskie systemu formowania siły zbrojnéj — milicyi. Złudzenie. Powszechne wyrzeczenie się przez państwa armii stałych dla milicyi, inaczéj mówiąc — powszechne rozbrojenie się; wobec wzajemnéj nieufności mocarstw jest utopią; krok taki ze strony jednego państwa, wobec niezaprzeczonéj niższości milicyi pod względem bojowym w porównaniu z regularnemi armiami, byłby szaleństwem. System milicyi ma jedną niezaprzeczoną wyższość nad systemem kadrów: jest tańszy; ale to jeszcze nie racya, ażeby oddawać pierwszeństwo milicyi przed armiami stałemi. Niewątpliwie, armia istnieje dla państwa, a nie naodwrót, i wydatki na nią nie powinny rujnować państwa; lecz z drugiéj strony należy pamiętać, że wszelkie wydatki na armię wówczas tylko są produkcyjne, gdy armia jest zdolna odpowiedziéć swemu przeznaczeniu, a wiadomo przecież, że milicya nie może mierzyć się z armiami systemu kadrowego. Zresztą, zwolennicy milicyi, mówiąc o jéj taniości, wpadają zwykle w przesadę: utrzymanie milicyi nie kosztuje znowu tak mało, jakby to się zdawało na pozór. Klasyczną krainą milicyi jest w Europie, jak wiadomo, Szwajcarya. Jeżeli połączymy w jedno bieżące i jednorazowe wydatki, to znajdziemy, że na cele wojskowe w latach 1889, 1890 i 1891 wydały [2]):

[1]) Ciekawe w tym względzie studyum stanowi dziełko Guize'a, majora artyl. franc. p. t. „Le militarisme en Europe.“ Paris, Berger-Levrault, 1890.

[2]) Patrz Militär-Wochenblatt, Nr. 14, 1893.

Niemcy	918	566	850	milionów franków
Francya	740	732	715	„
Austro-Węgry	500	343	360	„
Włochy	310	285	280	„
Szwajcarya	19	21	24	„

co policzone na głowę ludności daje za te same lata:

Niemcy	18,5	11,5	17,2	franków
Francya	19,4	19,1	18,7	„
Austro-Węgry	12	8	8,4	„
Włochy	10,2	9,5	9,3	„
Szwajcarya	6,5	7	8	„

a włączając wydatki na marynarkę:

Niemcy	19,5	12,6	18,4
Francya	23	24,5	24,2
Austro-Węgry	12,5	8,5	9
Włochy	14,4	13,2	12,7

Widzimy z powyższéj tablicy, że wydatki budżetowe Szwajcaryi i Austro-Węgier na cele wojskowe, pomimo, że taka wielka zachodzi pomiędzy temi państwami różnica pod względem położenia politycznego, są stosunkowo prawie jednakowe; w rzeczywistości wydatki pierwszéj są nawet większe, gdyż budżet wojskowy wszystkich wydatków na cele wojskowe nie wyczerpuje, i potrzeba uzupełnić ten ostatni wydatkami, ponoszonemi na cele wojskowe przez oddzielne kantony i gminy (np. zasiłki dla stowarzyszeń strzeleckich, dla związków oficerskich i t. d.).

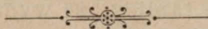
Piotr Malinowski.





O SAMOBÓJSTWIE.

(„Der Selbstmord“. Eine kritische Studie von Dr. Eugen. Rehfisch. Berlin, 1893).



Ciemnię walk duszy chcieć objaśnić suchemi liczbami wyda się może niejednemu nader śmiałém przedsięwzięciem. A jednak dostarczyła statystyka rządom nietylko cyfr ile chleba wypada codziennie na każdą głowę, lecz i opowiedziała ile zaufania w samego siebie, ile ufności w ludzkość co roku schodzi do grobu. Statystyka naukowa ma ogromne, praktyczne znaczenie. Jeśli bowiem np. wykazuje, że prawie $^1/_7$ całéj cywilizowanéj ludzkości umiéra na suchoty, to zmusza badacza do wytrwałego szukania środków na tę straszną chorobę. Statystyka poucza nas także ile tysięcy z roku na rok dobrowolnie odbiéra sobie życie i zachęca do badań nad przyczynami, powodującemi w Europie corocznie 60,000 samobójstw. Daléj nie sięga jéj zakres wiedzy i działania, dlatego przyjaciel ludzkości musi sam prząść zaczętą nić, by dotrzéć do istoty rzeczy. Lekarze, socyolodzy i teologowie zajmowali się oddawna kwestyą samobójstwa i stworzyli przez swe dzieła szeroką podstawę naukową dla dalszych prac. Ale w ostatnich 12-tu latach nastąpił na polu literatury traktującéj o samobójstwach pewien zastój. Pojawiały się wprawdzie tu i owdzie specyalne broszurki, wszystkie jednak bez większéj naukowéj wartości, tak że mijały bez żadnego wrażenia. Ta właśnie okoliczność, jakotéż zatrważający wzrost samobójstw, skłoniły autora zacytowanéj powyżéj rozprawy do zajęcia się bliżéj tą ze wszechmiar ciekawą kwestyą, a przedewszystkiém do zbadania przyczyn wpływających na powiększającą się prawie z każdym dniem

liczbę samobójstw. Równocześnie posunął on o całe lat dziesięć międzynarodową statystykę samobójstw, doprowadzoną w sławnem dziele Morsellego do roku 1878-go, przez co wyrządził istotną przysługę ich historyi. Nic więc dziwnego, że książka ta, oparta na całym szeregu cyfr statystycznych, a odznaczająca się popularnością wykładu, została przyjęta nader pochlebnie przez krytykę, przyznającą jéj pierwszorzędną wartość naukową i przez publiczność, czytającą nieznane jéj dotąd szczegóły. Najlepszym tego dowodem jest okoliczność, że słynny profesor-psychiatra berliński dr. Mendel uznał za stosowne zaopatrzyć to studyum własną przedmową może zbyt krótką, ale niemniéj pochlebną dla autora. Sądzimy przeto, że postępujemy w myśl naszych czytelników, zaznajamiając ich bliżéj z tą interesującą książką przez podanie w głównych zarysach treści.

W pierwszym rozdziale—a jest ich wszystkich pięć — zastanawia się autor nad ogólnemi przyczynami samobójstw. Wyjaśnić to socyalne zjawisko starali się oddawna uczeni, stosownie jednak do swego zawodu oceniał ją każdy z odrębnego stanowiska indywidualnego. Z całego chaosu prac, pisanych w téj materyi, przebijają trzy główne punkta zapatrywania. Esquirol uważa samobójstwo za chorobę umysłową. Podobnie twierdzi Oettingen i Masaryk, choć jako właściwy powód podają brak wiary i cywilizacyę. Zupełnie odmienne stanowisko zajęli wielcy socyologowie Quetelet i Adolf Wagner. Ten ostatni widzi w częstych samobójstwach prawidłowe zjawisko tak naturalne, jak urodzenie lub śmierć skutkiem choroby. Podobnie pośrednią wybrał drogę Morselli, mówiący, że samobójstwo jest jednym z wielu środków przyrody w walce o byt. Porównajmy te przytoczone poglądy ze sobą, a przekonamy się, że właściwie nie ma sprzeczności między nimi, rażą może tylko zbytnią jednostronnością. Jeśli co roku to samo zjawisko powraca, a liczby wykazują tylko nieznaczne różnice co do płci, stanu, wieku i t. p., to można poniekąd mówić o niezłomnych prawach przyrody. A jednak różnica istnieje ogromna. Śmierć zwyczajna jest wydarzeniem samém z siebie płynącém. Komórki posiadają tylko ograniczoną energię życiową, która rośnie przy początku życia, a gaśnie przy końcu. Są to czynności dziejące się mimo woli człowieka i których sztuka ludzka nie zdoła nigdy zmienić. Co innego samobójstwo. Jest rzeczą jasną, że cyfry muszą pozostać jednakowe jeśli nie zmieniają się i czynniki wpływające na nie. Usuńmy lub ograniczmy tylko przyczynę, a i skutki osłabną. Do r. 1870 np. w Berlinie była śmiertelność między dziećmi znaczna, a zawsze stała. Możnaby więc i tutaj przypuszczać prawidłowość zjawiska. Kiedy jednak zwrócono większą uwagę na lepsze odżywianie dzieci,

zaprowadzono sterylizacyę mléka, śmiertelność zmniejszyła się znacznie. Potrafimy więc usunąć z życia tę pozorną prawidłość, a tém samém nie można uważać samobójstwa za konieczność. Co do teoryi Morsellego, widzącego w samobójstwie środek przyrody do utrzymania równowagi, to uważa ją autor za pokrewną poglądom Esquirola twierdzącego, że wszyscy samobójcy są obłąkanymi. W takim razie są słabszymi w walce o byt i muszą ustąpić miejsca silniejszym. Ale i brak wiary nie stanowi, jak tego chcą Masaryk i Oettingen, czynnika mogącego prowokować samobójstwo. Zdarzały się one i wtedy często, kiedy nie było jeszcze mowy o religii w naszém znaczeniu. Wiemy także, że dzicy, nie mający żadnéj religii, nie znają samobójstw. Pozostaje więc jeszcze jeden czynnik—cywilizacya i ten ma wiele prawdy za sobą. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że właśnie statystyka państw, stojących na najwyższym stopniu kultury, wykazuje wielką ilość samobójstw. Wywołuje je zaś duchowe zwyrodnienie. będące rezultatem wadliwych stosunków socyalnych. O ile bowiem cywilizacya wydała błogosławione skutki dla ogółu o tyle stała się zgubną dla jednostek. Kręte są jéj ścieżki, w pozornym raju kryją się często bagna i moczary. Zbyteczny rozwój maszyn zgniótł pracę ręczną. Dochody jednostek nie wystarczają już na utrzymanie domu. Żona i dzieci muszą także pracować, by nie umrzéć z głodu. Przy złém pożywieniu, w złém powietrzu wyrasta pokolenie skarłowaciałe, a jeśli jeszcze ojciec pił, to z pewnością i syn będzie nałogowym. Alkoholizm odgrywa ogromną rolę w kwestyi samobójstw u warstw uboższych. Smutną stronę stanowi okoliczność, że nietylko jednostki kończą samobójstwem, ale że skłonność tę otrzymują w spadku ich potomkowie. Ciało tych ostatnich bowiem nie posiadało dość siły odpornéj do ukończenia walki życiowéj w naturalny sposób.

Zupełnie innéj natury są motywa u zamożniejszych klas. Cechą i prawdziwą plagą naszego wieku jest olbrzymia ilość nerwowych, a przyczyny téj nerwowości: zazdrość i żądza użycia. Wskutek towarzyskiego pożycia z kołami nierównemi obudza się chęć dorównania lepiéj uposażonym; puszczamy się na ryzykowne przedsiębiorstwa, co pociąga za sobą silniejsze napięcie wszystkich sił ciała i ducha. Żaden stan nie stanowi wyjątku od téj reguły. Życie, jakie prowadził Mickiewicz, Schiller uważalibyśmy dzisiaj za coś nadzwyczajnego. Trzeba bowiem przyznać teraźniejszości, że nie pozwala umrzéć z głodu swym wielkościom. Lecz nie wszyscy mogą być pierwszymi, są więc wielkie i małe powagi. Te ostatnie, nie chcąc pozostać w tyle, czynią wszelkie możliwe i niemożliwe wysiłki, by sprostać wielkim.

Przemysłowiec, który zrealizował raz szczęśliwą myśl, przędzie daléj nić, aż wreszcie chwyta się we własne sidła. Jeszcze jaskrawszym przykładem téj gorączkowéj pogoni za złotem jest giełda. Chęć wzbogacenia się tak rozstraja jednostki, że w ostatniéj chwili, kiedy podrażnienie dojdzie do szczytu starają się w sposób gwałtowny uwolnić z męczarni, najczęściéj, naturalnie, odbiérając sobie życie. Człowiek umysłowo zdrowy tém właśnie różni się od chorego, że potrafi dać sobie radę w ciężkich przejściach życiowych. Jeśli zawini, poczucie honoru mówi mu, że powinien odpokutować. A chyba trudno samobójstwo uważać za pokutę, jest to tylko ostatni akt zwyrodniałych myśli i uczuć. Zesumowawszy wszystkie powyższe wywody dochodzi autor do wniosku, że samobójca to duchowy przestępca, którego ciało nadwyrężyły i utratę zimnego rozsądku spowodowały — walka o byt i wygórowana żądza użycia.

Rozdział drugi poświęcony jest omówieniu pobudek wpływających na tak gwałtowne rozszerzanie się samobójstw. Jest ich, zdaniem autora, dwie: dziedziczność i zaraza duchowa. Zastanówmy się nad motywem pierwszym. Przedewszystkiém nasuwa się pytanie jak mamy rozumiéć to dziedziczenie. Przy suchotach, kile, można jeszcze przypuszczać przeniesienie zarazka choroby przez rodziców na swe dzieci. Tutaj jednak chodzić będzie tylko o dziedziczenie dyspozycyi do zachorowania. Pod dyspozycyą zaś rozumiemy taką właściwość organów i soków jakiegoś ciała, że o wiele łatwiéj może się nabawić choroby niż człowiek przeciętny. Wiadomą jest następnie rzeczą, że przyszły organizm powstaje z połączenia komórek mężczyzny i kobiéty. Komórki te są żywotną częścią organów rodzicielskich skutkiem czego znajdziemy w nich te same zmiany, jakie charakteryzują ciała rodziców. Łatwo więc pojąć, że potomek rodziców chorych umysłowo, będzie skutkiem zasadniczéj zmiany soków nerwowym, a że nerwowość chodzi zazwyczaj w parze z samobójstwem, odziedziczy i tę manię. Literatura zna mnóstwo wypadków, gdzie samobójstwo przenosiło się nie tylko z ojca na syna ale nawet na wnuki i linie boczne.

Zasada dziedziczności jednak nie wyklucza wyjątków. Pod wpływem klimatu, hygienicznego trybu życia mogą tkanki zmienić się, przekształcić zupełnie. Ale że na te okoliczności rzadko kiedy zwracamy należytą uwagę, następuje zazwyczaj zwyrodnienie w wysokim stopniu. Motyw drugi, zaraza duchowa wyda się może niejednemu czytelnikowi naukowym absurdem, ale zrozumiemy go łatwo, przypominając sobie hypnotyzm z całym szeregiem suggestyi. Jest dzisiaj rzeczą naukowo stwierdzoną możność przenoszenia myśli naszych na

drugich w ten sposób, że ci, działając pod tym tajemniczym przymusem, spełniają nasze rozkazy. A przy duchowém zarażeniu się chodzi także o przenoszenie myśli z tą tylko różnicą, że zarażenie się manią samobójczą następuje bezwiednie. Że tak jest, poucza nas o tém historya. W przededniu wojny napełnia wszystkie głowy jedna myśl; spokojni zazwyczaj obywatele popadają w psychiczne podrażnienie, o któreby ich nikt przedtém nie posądził. Kiedy w r. 1870 Francya wypowiedziała wojnę Niemcom, napełniał ulice paryskie jeden okrzyk: *à Berlin*, *à Berlin*. W starożytności opanowywał również nieraz całe masy ludu szał; przypuszczały one opętanie przez złe duchy, przemianę w dzikie zwierzęta. W wiekach średnich zapalali się mieszkańcy wielu miast nagle, równocześnie powszechną żądzą tańczenia; tańczyli, jakby ukłuci przez tarantulę nieraz do upadłego. We wszystkich powyższych wypadkach odgrywało główną rolę duchowe zarażenie się.

Natura ludzka nie lubi samotności lecz stara się usilnie żyć w towarzystwie. Każde towarzystwo jednak wymaga od nas wypełnienia pewnych warunków, zarówno co do strony zewnętrznéj jak i wewnętrznéj. Na prowincyi doprowadziło to do nierozsądnéj kastowości. W większych miastach zajęły jéj miejsce uprzywilejowane klasy, osobistości nadające ton wszystkiemu. Najlepszym dowodem jak zwyczaje jednostek mogą przejść na ogół, są mody. Suknia najniegustowniejsza, jeśli tylko otrzymała sankcyę osób wpływowych znajdzie zaraz naśladowców. Realizm powstał z wewnętrznych, głębszéj natury motywów, bo skutkiem nowych poglądów na świat. Ale zaledwie Ibsen zyskał popularność, znalazło się mnóstwo powołanych i niepowołanych, którzy skutkiem bezmyślnego naśladowania tworzyli sztuki wyciągające na jaw brudy ludzkie, istniejące wprawdzie w rzeczywistości, jakie jednak sceny, owego przybytku kształcenia umysłu i serca, kalać nie powinny. To samo można powtórzyć o malarstwie i rzeźbie. Naśladowanie to pochodzi tylko z własnéj naszéj bezsilności. Masy ludu nie lubią myśléć i z ochotą przyjmują nowości stworzone przez innych. Kto natomiast nie ulegając prądom ogółu, chce być samodzielnym tego nazywamy — oryginałem, niespokojnym duchem. Reformatorzy tacy mogą naturalnie oddziałać bardzo silnie na otoczenie, powodując mimowolne naśladownictwo, duchową infekcyę. Zły przykład zaraża równie jak dobry a odosobniony wypadek samobójstwa może, co pojąć łatwo, pociągnąć za sobą wielu. Kiedy pierwszy bankier znalazł się po bankructwie wobec alternatywy życia w ubóstwie i hańbie lub uwolnienia się natychmiastowego z doczesnych męczarni i pociągnął za kurek pistoletu popełniając samobójstwo, ten sposób

ujścia zasłużonéj kary podziałał tak dalece na następców, że dzisiaj należy odbiéranie sobie życia po zbankrutowaniu do rzeczy zwykłych, codziennych. Ciekawe pod tym względem fakta przytacza autor z historyi. Plutarch opowiada o manii samobójczéj u kobiét w Milecie, która w krótkim czasie przybrała tak zatrważające rozmiary, że wreszcie władze zajęły się nią energicznie. Kazano wystawić na widok publiczny obnażone ciało jednéj samobójczyni i przez to udało się powstrzymać epidemię. W r. 1772 odebrało sobie życie w Paryżu 15 inwalidów przez powieszenie na wystającym przy jakiejś ulicy haku, aż go musiano usunąć. W 1879 grasowała między uczniami szkół pewnych mania samobójcza skutkiem zaprowadzenia obowiązkowéj nauki języka łacińskiego i greckiego.

Nie da się zaprzeczyć, że prasa codzienna przyczynia się w niesłychany sposób do téj duchowéj zarazy. Przez opisywanie ze wszystkimi szczegółami samobójstw obudza ona u wielu ludzi myśli, któreby zresztą w ich mózgu może nigdy nie znalazły miejsca. Ktoś np. targa swe siły w walce życiowéj, jęczy pod jarzmem przeciwności losu, starając się napróżno uwolnić z téj sieci pajęczéj. Nagle czyta, że jakiś *socius doloris* położył przez samobójstwo kres wszystkiemu. Myśl ta prześladuje go odtąd ustawicznie a choć z początku istota jego wzdryga się przed podobnie gwałtownym środkiem, to w końcu wydaje się mu on całkiem naturalnym i prowadzi do mimowolnego naśladowania.

Wyłuszczywszy w dwóch poprzednich rozdziałach istotę samobójstwa, przechodzi autor w rozdziale trzecim do zastanowienia się nad ich liczbą. Zebrał on materyał statystyczny z 17 państw europejskich od 1878—88, zestawiając w ten sposób około 300,000 wypadków. Opiérając się na tych danych wyraża przekonanie, że samobójstwo przekroczyło już cyfrę najwyższą i słabnie powoli lecz stale, z licznemi naturalnie wyjątkami. Ażeby dać jasny przegląd zaszłych zmian, podzielił on wszystkie państwa odpowiednio do fluktuacyi liczby samobójstw na trzy klasy. Do pierwszéj kategoryi należą kraje gdzie samobójstwo stanowczo zmniejszyło się. Są niemi: Prusy, Saksonia, Wirtemberg, Szwajcarya i Rosya. W Prusiech uwidocznia się zmiana na lepsze dopiéro od 1883; gdy bowiem wtedy liczba względna — to znaczy na jeden milion mieszkańców, wynosiła 220, to już w r. 1888 spadła na 179. O wiele ciekawszym jest ten spadek w Saksonii, jako kraju, który osięgnął najwyższą cyfrę samobójstw w Europie, bo aż 388 na milion. Obecnie maleją te cyfry z roku na rok, choć ludność państwa wzrosła o 10 procent. Historya skłonności do odbiérania sobie życia w Szwajcaryi i Wirtembergu nie zawiéra nic

ciekawego. Urzędowa statystyka Rosyi zaznacza również zmniejszenie się samobójstw, ale zresztą brak jéj zupełny szczegółów.

Druga kategorya obejmuje kraje, gdzie cyfra samobójstw, chociaż nie znaczna, utrzymuje się prawie ciągle na danéj wysokości. Przeważna część państw Europy jest w tém położeniu a mianowicie: Austrya, Norwegia, Dania, Włochy, Anglia i Irlandya. Na Norwegii mamy najlepszy dowód w jak ścisłym związku pozostaje używanie alkoholu z samobójstwem. Od r. 1855 t. j. od czasu wydania praw przeciw pijaństwu zaczęła się tam liczba samobójstw zmniejszać i wynosi obecnie stale co roku powracającą ilość, 66 przeciętnie wypadków na milion. Co do Anglii to niesłuszne nazwał ją Montesquieu typową ojczyzną samobójstw, gdyż liczba względna wynosi tutaj zaledwie 75. Musi więc chyba istniéć inny jakiś wentyl, którym odpływa nadmiar nieszczęśliwych. I tak jest rzeczywiście. Przyczyny małéj ilości samobójstw w Anglii należy szukać w emigracyi; według statystyki bowiem, wyemigrowało tam od 1872—82 nie mniéj jak 2,142,458 osób. Włochy są tą szczęśliwą krainą, gdzie nie wielu znajduje się amatorów samowolnéj podróży na tamten świat. Małe potrzeby, większa może niż gdzieindziéj religijność — oto czynniki wstrzymujące rozwój manii pozbawiania się życia, choć i tutaj zabiéra ona stale 50 ofiar na milion mieszkańców. Reszta państw w niczém się nie różni od przeciętnego typu. Celem uzupełnienia powyższych wywodów musimy dodać kilka słów *pro domo sua*. Powodowani samą ciekawością zadaliśmy sobie trud przejrzenia działu statystycznego warszawskiéj Gazety policyjnéj od 1878 — 88. Rezultat téj pracy każe nam zaliczyć Warszawę do drugiéj właśnie kategoryi. Liczby powtarzają się co roku te same i wynoszą zazwyczaj jeden wypadek na 10,000 mieszkańców.

Pozostaje jeszcze trzecia kategorya, to znaczy państwa, w których samobójstwo ustawicznie wzrasta. Zaliczyć tutaj trzeba: Francyę, Belgię, Szwecyę i Bawaryę. Jak pod każdym innym względem, tak téż co do samobójstw budzi w nas Francya wysokie zaciekawienie. W innych państwach, jeśli już liczby wypadków nie maleją, to przynajmniéj odpowiadają przyrostowi ludności. A tutaj istnieje prawie odwrotny stosunek. Liczba mieszkańców wprawdzie nie zmniejsza się ale i wzrost jest nader słaby. Fakt ten możnaby kłaść na karb wysokiéj śmiertelności ale i to twierdzenie nie ma podstaw; śmierć naturalna zabiéra we Francyi o wiele mniéj ofiar niż dzieindziej. Mimo to jednak ilość samobójców gwałtownie wzrasta. Liczba względna, czyli ilość samobójstw na jeden milion mieszkańców podskoczyła od r. 1827—87 z 54 na 214. Dotychczas tylko dwa państwa osiągnę-

ły wyższą cyfrę względną. Niedaleka więc chwila, kiedy Francya i te kraje prześcignie. Podobnie jak Francya, cierpi i Belgia na coraz większą manię odbiérania sobie życia. Przerzucając kronikę samobójstw tego kraju od 1840—88 spostrzeżemy, że liczba wypadków w tym czasie powiększyła się cztery razy. Mimo bliskości z Norwegią przedstawia się sprawa samobójstw w Szwecyi zupełnie odmiennie. Najlepiéj ilustruje to przegląd dłuższych okresów czasu. Liczba względna wynosiła od 1871—75 tylko 81, w przeciągu następnych dziesięciu lat podniosła się na 95 a w trzechleciu 1886—88 doszła nawet do 115. Zarówno niepocieszającym jest przebieg historyi samowolnego targania się na życie w Bawaryi. Kiedy inne kraje powoli uwalniają się tu i owdzie od téj manii, rośnie tam liczba samobójców szczególnie w ostatnich dwudziestu pięciu latach ustawicznie.

Zebrawszy wszystko, cośmy powiedzieli w tym rozdziale, widzimy, że właściwie tylko w czterech państwach wzrasta systematycznie częstość wypadków samobójczych, przeważnie jednak cyfry albo utrzymują się stale na danéj wysokości albo nawet spadają.

Gdy dotychczas zajmowało uwagę autora samo zjawisko samobójstw przystąpił on w rozdziale czwartym, najobszerniejszym, do fizyologii tego cierpienia. Ludzie przedstawiają nader skomplikowany utwór, są rezultatem najrozmaitszych czynników, nic więc dziwnego, że ich różnorodność musi wpływać odmiennie na poszczególne indywidua. Nie każdy dzień, nie każdy wiek usposabia jednakowo do samobójstwa. Pytanie pierwsze jakie się tutaj może nasunąć, która płeć częściéj odbiéra sobie życie, pociąga za sobą natychmiastową odpowiedź, że chyba męska. Mężczyzna bowiem musi staczać walkę o byt dla siebie, żony i dzieci, na nim spoczywa cały ciężar życia. Wyradza to pewne podrażnienie, przechodzące najczęściéj w coraz większą nerwowość, dopóki kula nie przetnie pasma żywota. Co innego płeć żeńska. Celem wyznaczonym kobiécie przez naturę jest wyjście za mąż, przysporzenie ludzkości nowych członków. Jeśli wymaganiom tym, stawianym przez przyrodę, uczyni zadość, w kółku rodzinném znajduje zazwyczaj spokój i szczęście a tém samém i myśli samobójcze nie mają odpowiedniego gruntu. Smutniejszym jest los kobiét niezamężnych. Tęsknota za czémś nieokreśloném, żal za straconą młodością, wewnętrzne niezadowolenie stanowią podstawę najrozmaitszych chorób umysłowych. W ostatnich latach mania samobójcza u kobiét zwiększyła się a powodu téj okoliczności należy szukać tylko w utrudnionych warunkach zawiérania małżeństw. Utrzymanie domu kosztuje dzisiaj sumy, a wielu odstraszają jeszcze wygórowane pretensye panien, szczególnie z lepszych domów. Wogóle wy-

kazuje statystyka, że na 4 mężczyzn kończących samobójstwem przypada jedna kobiéta. Najpomyślniejszym jest ten stosunek w Szwajcaryi, gdzie dopiéro co szósty samobójca jest płci żeńskiéj. W większych miastach już z natury rzeczy stosunek ulega zmianom a w Berlinie według autora ma się przedstawiać najgorzéj bo jak 3 : 1. Gdyby jednak przeglądał statystykę miasta Warszawy przyszedłby do przekonania, że i u nas nie jest lepiéj. Według „Gazety policyjnéj“ bowiem co trzecie samobójstwo zabiéra kobiétę. Jest to najlepszym dowodem, że płeć żeńska w syrenim grodzie musi ciężko pracować na kawałek chleba i wytężać swe siły w walce życiowéj podobnie jak mężczyzna.

Z tego, cośmy teraz powiedzieli wynika, że indywidua narażone na większe troski życia codziennego, łatwiéj ulegają niebezpieczeństwu zachorowania na duszy i ciele. Odnośnie do stanu nie powinno więc nas dziwić, jeśli między żonatymi znajdziemy najliczniejszy zastęp samobójców. Interesującym jest fakt, że niezamężne kobiéty o wiele częściéj odbiérają sobie życie, niż mężczyźni stanu wolnego. Jest to jeszcze jeden dowód na potwierdzenie naszéj, poprzednio wygłoszonéj hypotezy. Tylko dwa państwa stanowią od téj reguły wyjątek: Francya i Włochy. Powody, dla których więcéj wdów niż wdowców szuka ulgi w śmierci są tak naturalne, że chyba nie potrzebują wcale komentarzy. Na płeć męską stanu tego przypada wogóle 13—15% odbierających sobie życie, u kobiét owdowiałych dochodzi przeciętnie do 20%. Bardzo małą natomiast jest liczba osób rozwiedzionych, któreby dobrowolnie schodziły do grobu. Zebrawszy wszystkie cyfry samobójstw co do stanu, bez względu na płeć, znajdziemy, że wogóle na sto wypadków $1/3$ zabiéra ludzi wolnych, przeszło połowa żonatych lub zamężnych, $1/6$ owdowiałych a nieznaczna reszta rozwiedzionych. Z kolei rzeczy wypada nam się zastanowić nad kwestyą, jaki wpływ wywiéra wiek na samobójstwo. Przedewszystkiém należy tutaj wyróżnić cztery okresy życia. Pierwszy, czas dzieciństwa liczony zazwyczaj do 15 lat, drugi, w którym ciało rozwija się zupełnie, trzeci, gdzie funkcye cielesne i umysłowe utrzymują się na danéj wyżynie i czwarty, ostatni, okres starości. Odpowiednio do tych grup kształtuje się ilość samobójstw. Między dziećmi znajdziemy naturalnie bardzo nie wielu samobójców; stanowią one tylko 1% na sto wypadków. W miarę doskonalenia się ciała wzrasta ich ilość choć jeszcze nie dochodzi do *maximum*. Płeć męska bierze w tym okresie bardzo słaby współudział. I nie może być inaczéj. Młodzi ludzie są wtedy najszczęśliwi, gonią za ideałami, wierząc święcie w ich spełnienie. Zazwyczaj mają zajęcie, dające im przyzwoite

utrzymanie, zgryzot, trosk nie zaznali jeszcze. Stosunek procentowy dla tego peryodu jest w różnych państwach rozmaity. Najgorzéj przedstawia się we Włoszech i Niemczech, gdzie wynosi około 19%, we Francyi dosięga zaledwie 5%, w Anglii nawet tylko 2,5%.

Z chwilą rozkwitu staje natomiast kobiéta na drodze decydującéj o całéj przyszłości. Jeśli dzięki pomyślnemu zbiegowi okoliczności wyjdzie za mąż, spełniła naturalne swe powołanie, będące koniecznym warunkiem jéj szczęścia. Że jednak panien na wydaniu więcéj niż kawalerów, następuje to dość rzadko, a skutkami są: bladaczka, nerwowość, histerya. Dziewczęta biedniejsze muszą pracować w fabrykach lub szukać jakiegokolwiek innego zajęcia. Resztki moralności, jakie wyniosły z domu rodzicielskiego, zatracają się szybko, ustępując miejsca występkom, o którychby wiele umiały nam opowiedzieć duże miasta.

Nic więc dziwnego, że liczba samobójstw u kobiét w tym okresie powiększa się gwałtownie, dochodząc w niektórych państwach, jak np. Niemcy do 24%. Po krótkiéj przerwie, jaka panuje między 25—30 rokiem u obojga płci, wzrasta mania samobójcza po skończonéj trzydziestce we wszystkich państwach bez wyjątku, a punkt kulminacyjny osiąga u mężczyzn w 50-ym roku życia, u kobiét zaś znacznie wcześniéj. Fakt ten zdziwi zapewne niejednego. Mężczyzna 50-letni powinien posiadać już tyle spokoju duszy, zimnéj równowagi umysłu, by wzdrygnąć się przed czynem potępionym przez ludzkość, miéć wzgląd chociażby na żonę, dzieci. Lecz któż zdoła przeniknąć kulisy życia, zbadać burze, jakie zdruzgotały nawę niejednego nieszczęśliwego? Nie wszystkim dane było stąpać po różach, stworzyć sobie przyzwoity byt materyalny. Robi się więc po raz ostatni rozpaczliwe wysiłki, cały majątek stawia na jedną kartę; ale fortuna kołem się toczy. Straciwszy wszystko, szuka wielu ratunku w objęciach śmierci.

Kto doczekał się 60 lat, temu i burze życiowe są już obce; spokojnie na uratowanéj łodzi zawija do portu starzec. Procent téż ludzi odbierających sobie życie w późniejszéj starości jest nieznaczny.

Ze wszystkich rodziałów, rozbierających szczegóły samobójstw, przedstawia kwestya: wśród którego zawodu grasuje najbardziéj ta choroba, liczne trudności. Jedną z najważniejszych stanowi brak dokładnego materyału statystycznego. Mimo tego jednak da się i z tych danych wysnuć pewne wnioski. Jeden szczególnie zawód uderza zaraz na wstępie imponującą obfitością wypadków. Mamy na myśli służących, rozumiejąc pod tą nazwą osoby używane do wszelkich osobistych posług, nie wyłączając i posłańców publicznych.

Udział tych ostatnich w samobójstwie jest tak wielki, że na 223 jeden odbiera sobie życie. Zaraz po posłańcach nie ma właściwie zawodu, któryby się odznaczał równie częstemi wypadkami. Zawsze jednak przeważna liczba samobójców rekrutuje się z ludzi, nie mających samoistnego, niezależnego stanowiska, a wystawionych na różne przeciwności losu. Drobny kupiec, urzędnik, któremu pensya nie pozwala na ryzykowne skoki, popadają nieraz w finansową ruinę, prowadzącą często do zbrodni. Oszustwo popełnione w chwili zapomnienia staje się wreszcie przyczyną samobójstwa. Ważną również rolę w stanie urzędniczym odgrywają kaprysy przełożonych, ominięcie przy awansie i t. p. Czytając lub słysząc dość często, że jakaś znana osobistość, czy to uczony, artysta, czy kierownik znacznego przedsiębiorstwa odebrał sobie życie, moglibyśmy uwierzyć w wielką skłonność tych stanów do idei samobójczych. Tymczasem samobójstwa te imponują tylko wybitnością osobników, a co do cyfr odgrywają niewielką rolę. Skutkiem asocyacyi myśli łączymy zazwyczaj geniusz z obłąkaniem; tymczasem na 10,000 artystów lub uczonych wypada 1—2, już co najwyżéj 3 samobójców. We wszystkich innych zawodach wynosi przeciętna liczba 5 samobójstw na 10,000 osób. Najkorzystniéj przedstawia się ten stosunek u ludzi zajmujących się leśnictwem i rybołóstwem, zabiera bowiem zaledwie 3 ofiary na 100,000 osób.

W wyborze środków do odebrania sobie życia panuje zazwyczaj pewna regularność, na którą jednak nie należy, jak to czynią niektórzy autorowie, kłaść zbytniego nacisku. Na równinach, gdzie nie ma w pobliżu większéj rzeki, musi rolnik zdecydowany na samobójstwo zadowolnić się postronkiem, jako najłatwiejszym i najtańszym sposobem. Dlatego téż ten rodzaj pozbawiania się życia jest najczęstszym u płci męskiéj, wynosi bowiem 80 do 90%. Jedyny wyjątek stanowią tutaj Włochy, gdzie tylko 16,5% samobójców hołduje téj metodzie. Drugie zaraz miejsce zajmuje śmierć przez utopienie, wahając się między 9 a 23%. We Włoszech, jak wogóle wszystkich krajach południowych, sposób ten cieszy się powszechném powodzeniem, co zresztą łatwo pojąć. Na północy nie jest rzeczą nader ponętną rzucić się w fale zimnéj wody. Trzeciém z kolei co do częstości jest zastrzelenie. W Szwajcaryi dochodzi ten środek do 21% ogólnéj liczby, we Francyi 15%, w Danii tylko do 9,4. Niskie stosunkowo cyfry mają swe źródło w trudności — szczególnie na wsi — dostania broni i jéj drogości. Z innych środków należy jeszcze wspomniéć o nożu. Choć jego zastosowanie przy odbieraniu sobie życia jest niewielkie,

w porównaniu do wypadków powieszeń i utopień, to jednak musi nas zastanowić okoliczność, że w Anglii aż 19% samobójców zabija się przez poderznięcie. Pozostają jeszcze trzy sposoby samobójstwa: rzucenie się z wysokości, pod pociąg i wreszcie trucizny, płynne czy stałe jak kwas siarczany i fosfor, lub lotne jak czad. Cokolwiek odmiennym jest wybór środków u samobójców płci żeńskiéj. Utopienie np. zdarza się u kobiét o wiele częściéj, niż u mężczyzn. W Prusiech wynosi 40%, a w innych państwach topi się prawie dwa razy więcéj kobiét niż mężczyzn. Sposób ten jest widocznie dla kobiét najdostępniejszym, dostępniejszym od stryczka choćby dlatego, że nie tak często jak mężczyzna może być samą, by wykonać spokojnie swój zamiar. Natomiast uciekanie się do kuli jest tutaj minimalne. Wynosi ono 0,5—3% i to tylko we Włoszech osięga tak wysoką cyfrę, gdyż w tym kraju noszenie broni nie ulega żadnéj kontroli. Bardzo wielką jest liczba samobójczyń trujących się. Szczególnie służące lubią używać łebków od zapałek lub kwasu siarczanego. Że zdarzają się i innego rodzaju samobójstwa, prócz wyżéj wspomnianych, wypływa samo przez się. W Prusiech odebrało sobie życie w przeciągu 10 lat 24 mężczyzn i 7 kobiét przez otwarcie nożem brzucha. Ciekawym nader jest wypadek, jaki się zdarzył w r. 1891 we Frankfurcie nad Menem. Pewna dozorczyni, cierpiąca oddawna na pomieszanie zmysłów, wybrała klatkę niedźwiedzia w tamtejszym ogrodzie zoologicznym jako środek mający ją uwolnić od doczesnych męczarni. Upatrzywszy chwilę, kiedy strażnik ogrodu odszedł, rzuciła się do klatki i dała rozszarpać w kawałki niedźwiedziowi. Na krzyki boleści zbiegli się słudzy, ale o uratowaniu nieszczęśliwéj nie mogło już być mowy.

Od najdawniejszych czasów przypisują ludzie porom roku pewien wpływ na popełnianie samobójstw. Każdy więc laik będzie zaraz przypuszczał, że pora zimowa o wiele więcéj sprzyja rozwinięciu się manii samobójczéj, jako okres, w którym nędza najwięcéj doskwiera warstwom najuboższym. Tymczasem statystyka poucza nas, że zachodzi zupełnie odwrotny stosunek. Samobójstwa zdarzają się o wiele częściéj w lecie, niż w zimie. Jakiż związek może zachodzić między stanem duszy a pogodą wiosenną? Podobnie jak przyroda przebudzona pocałunkiem słońca ze snu zimowego roztacza na wiosnę całą swą siłę twórczą, podobnie i człowiek czuje w téj porze roku większą ochotę do działania niż kiedykolwiek. Według badań Lombrosa, których rezultat ogłosił w dziele „Geniusz a obłąkanie“, dała pora wiosenna myśl do odkrycia Ameryki, barometru, teleskopu i piorunochronu. Na wiosnę stworzył Michał Anioł plan do swéj najlep-

széj pracy, Dante do „Boskiéj komedyi“, Göthe do „Fausta“. Z pośród 1867 r. genialnych utworów na polu poezyi, muzyki, malarstwa, astronomii i t. p. powstało 539 na wiosnę, a zaledwie 368 w zimie. O ile jednak błogosławione są skutki wpływu wiosny na produkcyę duchową, o tyle sieje ona zniszczenie między chorymi umysłowo. Samobójcy to także obłąkani; nic więc dziwnego, że w ciepłéj porze roku ilość wypadków samobójczych wzrasta. Wogóle na sezon letni przypada 58,7%, a na zimowy 41,3% samobójstw. Między poszczególnemi kwartałami jest ta różnica jeszcze wybitniejsza. Tak np. miesiące maj, czerwiec, lipiec zabierają 31,6%, grudzień, styczeń, luty tylko 19,4% ogólnéj liczby ofiar. W pośrodku stoją marzec kwiecień, sierpień z jednéj, a wrzesień, październik, listopad z drugiéj strony, tak, że ostatnia grupa wykazuje 21,9%, a pierwsza jeszcze 27,1%. Ugrupujmy według tego poszczególne miesiące, a dostaniemy następujący schemat:

czerwiec	kwiecień	wrzesień	listopad
lipiec	sierpień	październik	luty
maj	marzec	styczeń	grudzień

Byłoby rzeczą nader wdzięczną w ramach naszego opowiadania umieścić analizę samobójców co do wyznań. Niestety, brakło autorowi co do tego punktu wyczerpującego materyału. Z niewiadomych powodów milczy statystyka prawie wszystkich państw o téj w każdym razie tak interesującéj kwestyi. Nawet Prusy prowadzące z wielką troskliwością listę samobójstw nie wypełniają od końca roku 1870-go rubryki wyznań. Tylko trzy południowe państwa niemieckie: Bawarya, Wirtemberg i Baden podają pod tym względem pewne szczegóły. Że jednak nie wiele mogą interesować czytelników, poświęcamy resztę miejsca omówieniu kwestyi samobójczéj u wojskowych.

Przedewszystkiém zaraz na wstępie musimy zaznaczyć, że statystyka samobójstw w stanie wojskowym wykazuje najwyższe cyfry. Powodów nie trzeba szukać daleko. Już sama okoliczność, że wielu oderwała służba wojskowa od zwykłych zatrudnień, wystarcza, by obudzić pewne zniechęcenie, będące podłożem do dalszych. Niejeden zajmował w prywatném życiu stanowisko wybitne, na którém przywykł rozkazywać, a obecnie po wdzianiu munduru musi słuchać sam coraz nowych wymagań przełożonych. Nic więc dziwnego, że popada w pewne rozdraźnienie, trwające podczas całego pobytu w wojsku i będące źródłem wielu innych zgryzot. Znęcanie się przełożonych nad rekrutami bywa także często powodem odbierania sobie życia,

szczególnie w armii niemieckiéj, któréj dyscyplina została posuniętą aż do śmieszności. Innéj natury są motywa samobójstw u oficerów. Główną rolę odgrywa tutaj zadraśnięcie honoru, ominięcie przy awansie, zdegradowanie lub publiczna nagana. Porównajmy wogóle wypadki samobójstw u wojska a w stanie cywilnym: znajdziemy, że w poszczególnych krajach, jak np. Niemcy, Austrya i Włochy, zdarzają się prawie 8 razy częściéj, niż w sferach nie-wojskowych. Najgorzéj przedstawia się ta sprawa w Austryi, gdzie na 100,000 ludzi, kończy 122 samobójstwem, kiedy stan cywilny wykazuje tylko 16. Prawie 1/5 wszystkich śmierci w armii austryackiéj ma za powód odebranie sobie życia. Pomyślniéj nieco kształtuje się ten stosunek natomiast we Francyi, Belgii i Rosyi; liczba samobójstw u wojskowych jest tam tylko trzy razy większą, niż w stanie cywilnym. Z odczytu, wygłoszonego przez d-ra Longueta na kongresie hygienicznym w Londynie w październiku 1891-ym r. o statystyce samobójstw w Europie, dowiadujemy się, że na 100,000 żołnierzy umarło skutkiem samobójstwa w państwach:

Austrya	Niemcy	Włochy	Francya
1875 — 1887	1878 — 88	1874 — 89	1872 — 84
122	87	40	29

Belgia	Anglia	Rosya
1875 — 88	1875 — 88	1873 — 89
24	23	20

Ten sam okres czasu spowodował w stanie cywilnym na 100,000 osób samobójstw:

Austrya	Niemcy	Włochy	Francya
16	19	4,3	17

Belgia	Anglia	Rosya
10	7,6	3

Cyfry te nie potrzebują chyba komentarzy. Udowadniają wymownie prawdziwość wypowiedzianych powyżéj słów.

Po skreśleniu tak ponurych obrazów poświęcił autor rozdział ostatni swéj pracy terapii samobójstw. W możliwość oswobodzenia ludzkości od téj plagi wierzy on najmocniéj; zabierzmy się tylko do téj choroby systematycznie, a skutki nie zawiodą oczekiwań. Chcąc uwolnić się jednak od jakiéjś choroby, trzeba zbadać dokładnie jéj przyczynę, dotrzéć do samego jądra i następnie oddziaływać radykalnemi środkami na owo chorobliwe źródło. A źródło wszelkiego złego, naszéj nerwowości i naszych samobójstw tkwi — jak już wspomnieliśmy — w żądzy użycia, niezadowoleniu ze swego stanu, w dążeniu do

wywyższenia się. Dzisiaj sami rodzice nie pragną mieć dzieci dobrych, uczciwych, ale sławne. Bądź sławnym — mówi jedno z głównych przykazań naszego wieku. Pod tym więc przedewszystkiém względem musi nastąpić zmiana na lepsze. Należy przekonać masy, że nie jest najwyższém szczęściem i celem człowieka najeść się do syta i ubrać w piękne, wyszukane suknie. Niech dowié się stan średni o swéj moralnéj sile, niech uczuje, że tylko uczciwa, rzetelna praca—w przeciwieństwie do panującéj powszechnie zasady: po trupach prowadzi droga do zwycięstwa — stanowi najcenniejszą, najlepszą osłodę życia. Szkoła może tutaj wiele zdziałać. Ale najważniejsza część wychowania młodzieży przypada domowi rodzicielskiemu. To jest przybytek, gdzie w dzieciach powinno się wszczepiać poczucie prawdy, sprawiedliwości i wyrabiać charakter. A czy tak dzieje się wszędzie? Niestety, musimy temu zaprzeczyć. Biedniejszych wstrzymuje zdala od domu praca, bogatszych różne przyjemności. Nic więc dziwnego, że charakter dzieci nie rozwija się należycie. Bo nie zapas wiadomości, wbity do głowy z trudem przez nauczycieli, stanie się podstawą późniejszego ich szczęścia, wewnętrznego zadowolenia, ale równomierny rozwój serca i umysłu. Zamiłowanie prawdy, piękna i wszystkiego co szlachetne budźmy w naszych dzieciach, nie zaś żądzę użycia, rozkoszy.

Odmiennéj zupełnie natury będzie terapia samobójstw, popełnianych przez biedne warstwy ludności. Chroniczna choroba umysłowa, władająca niemi, bierze początek w gorzkiéj walce o byt. Wszystkie powody, wywołujące to psychiczne podrażnienie, jak alkoholizm, zgryzoty, troska o chléb codzienny, bojaźń przed karą i t. p. zawisły mniéj lub więcéj od nędzy życia tych ludzi. Łatwo to mówić, że celem usunięcia degeneracyi należy np. wydać prawo przeciw pijaństwu. Towarzystwa wstrzemięźliwości w Anglii i Ameryce pouczyły najlepiéj, że takiemi środkami nie osiąga się celu. Nałóg przeniósł się z lokali publicznych do domów prywatnych, zabierając jak przedtém liczne ofiary. Należałoby raczéj zaradzić motywom sprawiającym, że robotnik zalewa robaka kieliszkiem. A w ten sposób stajemy przed widmem kwestyi socyalnéj, któréj rozwiązanie przypadło nieskończoności w udziale. Trzeba przyznać, że w ostatnich latach zrobiono wiele dla robotników. Przepisy o kasie chorych, zaprowadzenie ubezpieczeń przeciw wypadkom mogą przynieść chwilową ulgę, ale zawsze pozostaną tylko kroplą w morzu. W każdym razie jednak jesteśmy w przededniu nowych poglądów, widzących w robotniku człowieka nam równego, wobec czego

i środków mogących zmniejszych jego nędzę z pewnością nie braknie. Usunąć ją zupełnie jest zdaniem autora niemożliwością. Nie wszyscy mogą być panami, nie wszyscy bogatymi. Gdyby nawet tylko dwóch ludzi pozostało na ziemi, musi istniéć zazdrość, miłość i obawa. Dzisiaj przynajmniéj doszliśmy do tego, że poznaliśmy szczegółowo braki w klasie pracującéj.

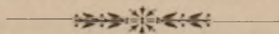
Przyszłość należy do wiedzy. Miejmy więc nadzieję, że poznanie prawdy stanie się przyjacielem biednych i pozwoli wyleczyć ludzkość z choroby, zwanéj — samobójstwem.

Wiktor Doležan.





GOSPODARSTWO GMINNE W PARYŻU.



(Paul Strauss, Conseiller municipal de la Ville de Paris. — Paris ignoré. — Oeuvre social de la Ville de Paris, 1871—1891).

Zaopatrzyć półtrzecia milionową (2,447,000 — w 1891 r.) ludność w żywność i czystą wodę do picia, mieć nadto podostatkiem wody dla użytku pralni i rozmaitego rodzaju zakładów przemysłowych, dla skrapiania ulic i poléwania ogrodów; ochronić powietrze od wszystkiego, co je może zanieczyszczać i czynić niezdrowém; w nocy oświetlić miasto i gmachy publiczne; ułatwić wszelkiego rodzaju komunikacyę w mieście; zorganizować obronę od ognia, zapewnić bezpieczeństwo i pomoc mieszkańcom; nieść im pomoc w razie choroby i nędzy, dać dzieciom wykształcenie; starać się o podniesienie i rozszerzenie oświaty; utrzymać wreszcie w porządku liczne gmachy miejskie, zakłady, kościoły, ulice, place, ogrody, parki, cmentarze i t. d. — wszystko to nadaje gospodarstwu miejskiemu ogromne rozmiary, wymaga licznéj służby i wielkich sum pieniężnych. To też budżet Paryża jest większy od budżetu niektórych małych państw.

Paryż jest podzielony na 20 okręgów (*arrondissement*) a każdy okręg na cztery cyrkuły (*quartiers*). Na czele zarządu miejskiego stoi prefekt Sekwany, który — podług prawa jest istotnym gospodarzem w mieście i od którego bezpośrednio zależy ogromna liczba urzędników miejskich, jak dyrektorowie rzeźni, wód, zadrzewienia, kanałów, oświetlenia, hal i rynków, pomocy publicznéj, rogatek i t. p. Na czele każdego okręgu stoi mer, przez władzę wykonawczą miano-

wany, który utrzymuje księgi ludności, daje śluby cywilne, wydaje świadectwa rozmaitego rodzaju, wyznacza potrzebującym pomoc lekarską i pieniężną i t. d.

Obok prefekta Sekwany postawiona jest rada miejska, od 1874 r. wybiérana przez mieszkańców w drodze powszechnego głosowania. Każdy cyrkuł wybiéra jednego radcę, wszystkich więc radców jest 80. Rada wybiéra z pomiędzy siebie swego prezesa. Zakres jéj czynności i moc jéj postanowień jest bardzo ograniczona, albowiem prefekt Sekwany może każdą jéj uchwałę zawiesić.

Kiedy w innych miastach policya znajduje się pod rozkazami merów, w Paryżu zależy ona bezpośrednio od prefekta policyi, który od 1874 r. stał się prawdziwym ministrem policyi. Wskutek tego, ma on bardzo rozległą władzę i często wkracza w zakres działania prefekta Sekwany.

Ta szczególna organizacya zarządu Paryża jest wynikiem nieufności, jaką rząd centralny żywił i dotąd jeszcze żywi ku ludności stołecznéj i jéj wybrańców. Przez długi czas toczyła się żywa walka między zasadą samorządu a zasadą biurokratyczną i przybiérała ona nieraz bardzo ostry charakter. Zwolna jednak osłabła i pomiędzy wrogiemi obozami — rzec można — nastąpiło zawieszenie broni. Zmienił się bowiem *de facto*, chociaż nie *de jure*, stan rzeczy. Prawdziwym gospodarzem w mieście stała się rada miejska, a prefekt Sekwany w wyjątkowych tylko wypadkach, zawsze politycznych, przypomina, że mu przysługuje jeszcze prawo *veto*.

Aczkolwiek wiele z tych czynności, które wymieniłem na początku, wykonywa się właściwie przez prywatne osoby lub stowarzyszenia akcyjne, to jednak rada miejska nadaje im wszystkim kierunek i ma nad niemi nadzór. Z tego względu gospodarstwo gminne rozpada się na pośrednie i bezpośrednie. Przypatrując się rozwojowi onego w ostatnich czasach, spostrzegamy, że obręb pierwszego nieustannie się zmniejsza na korzyść drugiego, a staje się to szczególnie widoczném od czasu, jak zasada samorządu faktycznie wzięła przewagę nad zasadą opieki. Dążność do przemiany gospodarstwa pośredniego w bezpośrednie jest świadomą i systematycznie popiéraną przez stronnictwo, na czele którego stoi dr. Emil Brousse, który swój zawód lekarski poświęcił całkowicie interesom gminnym. Pracowity, wytrwały, doskonale obeznany ze wszystkiemi szczegółami gospodarstwa miejskiego, korzysta on z każdéj sposobności, ażeby przyspieszyć tę przemianę. I tak, kiedy parę lat temu wybuchła w mieście zmowa urzędników i służby kompanii omnibusów, opiérając się na tém, że ta nie dotrzymała pewnych zobowiązań, postawił on wniosek, ażeby ra-

da miejska odebrała wydany kompanii przywilej i sama we własnym zarządzie zorganizowała gospodarstwo omnibusowe. Opracowany przezeń w tym przedmiocie projekt był tak dokładny we wszystkich szczegółach, że rada miejska zajęła się poważnie tą sprawą, a wstrzymała ją tylko ta okoliczność, że rozpoczęła już była w tym razie inne olbrzymie przedsiębiorstwa, które zmusiły ją do zaciągnięcia pożyczki.

Rada miejska dzieli się na 6 stałych komisyi: 1-a (12 członków) zajmuje się finansami i sprawami administracyjnemi, 2-a (12 członków) zarzadem ogólnym i policyą, 3-a (16 członków) — sprawą żywności i miejscami przechadzek, 4-a (16 członków) — oświatą i sztukami pięknemi, 5-a (12 członków) pomocą publiczną i zakładami zastawniczemi (*mont de piété*), 6-a (12 członków) — zdrowotnością mieszkań, wodami i kanałami.

Ustawa nie wyznacza płacy radcom miejskim, ale to uprzywilejowanie ludzi zamożnych zostało usunięte przez rozporządzenie rady miejskiéj, na mocy którego każdy radca pobiéra 500 franków miesięcznie na dorożki i korespondencyą listową. Wynagrodzenie to pozwala ludziom niemajętym poświęcać cały swój czas na sprawy gminne, a są one bardzo liczne i wymagają wiele pracy.

Robotnicy miejscy, których liczba jest ogromna, znajdują się w lepszém od innych położeniu. Rada miejska we wszystkich gałęziach swego gospodarstwa zastosowała zasadę ośmiogodzinnéj pracy. Płace są ustalone i unormowane w stosunku do cen żywności. Nikt nie powinien otrzymać mniéj od 5 fr. dziennie. Zapewniona jest pomoc na starość i na wypadek choroby. Dzieci korzystają z kas szkolnych i licznych stypendyów przez miasto ustanowionych.

Po tych ogólnych uwagach, obejrzyjmy po kolei główne gałęzie gospodarstwa miejskiego, opierając się przeważnie na dziele Pawła Straussa, które p. t. *Paris ignoré* pojawiło się na początku bieżącego roku. Jest to dzieło wydane zbytkownie w wielkim formacie z licznemi i pięknemi ilustracyami, wykonanemi przez Konstantego Chmielińskiego, znanego dobrze rysownika pod przybraném nazwiskiem: Constantin de Tours. Drugiém dziełem bardzo ważném jest *Oeuvre sociale de la Ville de Paris* (1871—1891), które daje nam dokładny obraz tego, co zrobiła rada miejska w ciągu dwudziestu lat ostatnich. Dzieło to statystyczne, wykonane starannie przez urzędnika miejskiego, Le Mansoir-Duprey, drukowane także na początku tego roku, zostało rozesłane do wszystkich ważniejszych bibliotek i rad miejskich, ale do handlu księgarskiego nie weszło.

I. Żywność i napoje.

Gospodarstwo miejskie ma do czynienia z żywnością i napojami: naprzód, ze względu na to, że są artykułami, które zapewniają największą rubrykę w miejskim budżecie dochodów; powtóre, ze względu na potrzeby mieszkańców.

Rogatkowe, zniesione już po większéj części w Europie, istnieje jeszcze w Paryżu. Przynosi ono miastu około 150 milionów franków. Podatek ten, nienawistnie widziany przez ludność, potępiony jest w zasadzie i, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, nie długo jeszcze istnieć będzie. W sprawie zniesienia opłaty rogatkowéj, został przedstawiony parlamentowi dokładnie i szczegółowo opracowany projekt przez posła Guillemet'a.

Jakkolwiek zaopatrzenie ludności w żywność i napoje jest dziełem prywatnych przedsiębiorstw, to wszakże do zakresu gospodarstwa miejskiego należy: ułatwienie ich dowozu, przechowanie przez czas dłuższy i sprzedaży, oraz czuwanie nad tém, aby były zdrowe, niezepsute i niefałszowane. W tym celu są ustanowione pewne przepisy, istnieją rzeźnie, składy, hale, rynki, giełdy i laboratoryum chemiczne.

Do ważniejszych artykułów spożywczych należą: chléb, mięso i wino.

Roczny przywóz zboża do Paryża wynosi przeciętnie w ziarnie przeszło 55 milionów kilogramów i w mące przeszło 221 milionów. Piekarni istnieje przeszło 1800.

Handel zbożem, bardzo surowemi przepisami uregulowany, co jednak — jak niedawny przykład dowiódł — nie zapobiega w zupełności szkodliwym czynnościom chciwych spekulantów, odbywa się w okazałym gmachu G i e ł d y h a n d l u przy ulicy Louvre.

Giełda ta została otwarta w r. 1889 i znajduje się pod zarządem i nadzorem miejskim. W salach jéj, urządzonych z wszelkiemi wymogami wygód najrozmaitszych, ma swoją siedzibę powszechny syndykat handlu ziarnem, mąką, oliwą, alkoholem i cukrem. Jest on właściwie federacyą poszczególnych syndykatów i powstał niedawno w celu okiełznania gry spekulacyjnéj i nadania uczciwszego charakteru handlowi. Osobne komisye rzeczoznawców badają jakość kupowanego ziarna i mąki, a znajdująca się w suterenach piekarnia, urządzona ze wszelkiemi udoskonaleniami techniki, wypieka z téj mąki chleby na próbę.

W ciągu roku ludność paryska zjada przeciętnie 300 tysięcy wo-

łów, 178 tysięcy cieląt, 900 tysięcy baranów, 445 tysięcy wieprzów. Spożycie koniny i ośliny jest małe i kupują tego rodzaju mięso głównie ci, co mają innych do żywienia, jak kierownicy wielkich zakładów handlowych, utrzymujący stołowników i restauratorowie ludowi. Przywóz bydła na rzeź skierowany jest ku części miasta, zwanéj La Villette, gdzie się znajdują ogromne obory, chlewy i szopy, należące do miasta. Tamże znajduje się wielka rzeźnia centralna. Istnieją jeszcze dwie rzeźnie po lewym brzegu Sekwany, a z nich ta, która się mieści w Villejuif, zajmuje się biciem koni, osłów i mułów. W zeszłym roku zabito około 21 tysięcy koni, blisko 250 osłów i 68 mułów.

Wielka sprzedaż mięsa, przywożonego z prowincyi z rzeźni paryskich i z zagranicy, odbywa się na halach centralnych, w pobliżu giełdy handlu położonych. Każda sztuka mięsa, zanim pójdzie na sprzedaż, ulega oględzinom weterynarza, który w razie powątpiewania o jéj stanie zdrowotnym, odsyła ją do laboratoryum, dla dokładnego owéj zbadania za pomocą mikroskopu.

Oprócz hal centralnych, istnieje jeszcze dwanaście hal mniejszych w rozmaitych częściach miasta, ale tam odbywa się tylko drobna sprzedaż mięsa. Konina, oślina i mulina powinny być sprzedawane w osobnych jatkach, a takich jatek jest w mieście 150.

Dla przechowywania alkoholów wszelkiego rodzaju i wina, są przeznaczone: wielka hala winna, znajdująca się nad Sekwaną w pobliżu *Jardin des plantes*, i daléj ku zachodowi rozległa część miasta nad Sekwaną, znana pod nazwą „Bercy,“ gdzie się znajdują ogromne magazyny z olbrzymiemi beczkami. Tam się odbywa mieszanie rozmaitych gatunków wina, tak zwane *coupage* i tam zawiérają się układy sprzedażne między kupcami.

Hale centralne, zbudowane z żelaza i oświetlone elektrycznością, przedstawiają wielki rynek, złożony z 10 pawilonów i licznemi, krzyżującemi się ulicami poprzecinany. Sprzedaje się tam nietylko mięso, ale i wszelkiego rodzaju żywność, jak ryby, drób, jaja, masło, jarzyny, owoc i t. d. Kto chce żyć tanio w Paryżu, powinien wszystko kupować w halach centralnych. Tam téż kupują żywność restauratorowie i drobni sprzedawcy.

Paryż spożywa codziennie przeszło 300 tysięcy litrów mleka. Znajdujące się w mieście i w jego okolicach krowiarnie nie byłyby w możności nastarczyć téj potrzebie i tylko ogromny przywóz z prowincyi jest w stanie uczynić jéj zadość. W tym celu tak zwani *ramasseurs* (zbiéracze, skupywacze) objeżdżają wioski, skupują mléko, sprowadzają je następnie do jakiego centralnego punktu i ztamtąd wysyłają koleją żelazną do Paryża. Tam odprzedają je albo bezpośrednio

utrzymującym mleczarnie albo pośredniczączym w tym handlu kupcom. Przy tém odprzedawaniu każdy chce najwięcéj zyskać, a traci na tém mléko, ulegając coraz większemu rozcieńczeniu. Ponieważ jednak nie ograniczano się na dolewaniu czystéj wody, lecz dosypywano rozmaitych domieszek, często dla zdrowia szkodliwych, a z drugiéj strony mléko służy dla karmienia niemowląt i często używa się jako lekarstwo, więc wciąż powtarzające się skargi na fałszowanie onego skłoniły urząd miejski do rozciągnięcia nad niém szczególnego nadzoru. Obawa miejskiego laboratoryum chemicznego zmusza do większéj rozwagi i ostrożności, i wypadki fałszowania—jak powiada Strauss — zdaje się, że w ostatnich czasach zdarzają się rzadziéj. Większą rękojmię przedstawia zaczynające się upowszechniać mléko sterylizowane, t. j. pozbawione wszelkich zarazków organicznych, albowiem sprzedażą jego zajmują się wielkie kompanie mleczarskie, już przez to poczuwające się do większéj odpowiedzialności, że są dostawcami wojska, szpitali, zakładów dobroczynnych i t. d.

Miejskie laboratoryum chemiczne zajmuje się badaniem mléka, wina, wódek i wogóle wszelkiego rodzaju żywności, napojów i artykułów, które mogą szkodliwy wpływ na zdrowie wywierać. Podzielone jest ono na sale, z których każda ma właściwą sobie specyalność. W sali Wurtza odbywa się analiza mléka, masła, tłuszczów, mąki; w sali Pasteura silny zapach wina uprzedza, że się tam jego badaniem zajmują; w sali Lavoisier'a rozbiorowi chemików ulegają: woda, piwo, jabłecznik i t. d. Gdy kto zażąda analizy i przedstawia próbki mających być zbadanemi przedmiotów, laboratoryum obowiązane jest tę pracę wykonać. Jeżeli żądający analizy zadawalnia się odpowiedzią sumaryczną, że dany przedmiot jest dobry lub niezgorszy, lub téż zły, to za nią nic nie płaci; jeżeli zaś chce miéć ilościową analizę, to w takim razie składa pewną oznaczoną opłatę.

II. Woda.

Na liczne potrzeby Paryża bierze się woda z Sekwany, Marny i z trzech studni artezyjskich, a nadto sprowadza się z sześciu odleglejszych miejscowości. Dla podniesienia wody na pewną wysokość, ażeby mogła być rozprowadzona po całém mieście i doprowadzona do wyższych piętr domów, istnieją 22 zakłady, posiadające 42 maszyny parowe i 22 motory hydrauliczne o sile 5,000 koni parowych. Woda ta gromadzi się w 18 zbiornikach murowanych, mogących jéj mieścić 800 tysięcy metrów sześciennych.

Dla prania, celów przemysłowych, spłukiwania kanałów, dziedzińców, stajni, dla skrapiania i polewania ogrodów, oraz dla gaszenia pożarów używa się woda z Sekwany, Marny i kanału Ourcq; do picia zaś i gotowania odległe źródła rzeczek: Dhuis, Vanne i Awry dostarczają wody.

Podniesiona za pomocą maszyn woda z Sekwany gromadzi się w trzech grupach rezerwoarów krytych, położonych na południu (Villejuif i Gentilly), na zachodzie (Passy) i na wschodzie (Charonne) na wysokości 76—89 metrów nad poziomem morza. Dla zaopatrzenia wyższych części miasta, do których woda z tych zbiorników nie dosięga, podnosi się woda z Marny do rezerwoaru na Ménilmontant, a z Sekwany na Montmartre, gdzie zbiéra się w okazałym gmachu o śpiczastych wieżycach i z ciosowych kamieni łukach.

Budowa kanału Ourcq, który się łączy dwoma kanałami: Saint-Martin i Saint-Denis z Sekwaną, została ukończona w r. 1830. Ma on podwójne przeznaczenie: przewóz towarów i powiększenie ilości wody, którą zabiera z rzeczki Ourcq, wpadającéj do Marny. Długość jego wynosi 107 kilometrów. Część wody wlewa do sadzawki w Villette, okolonéj zbiornikami fekalii, a część odsyła do rezerwoarów Monceau, położonych pod gołém niebem przy bulwarze Batignolles. Woda z sadzawki Villette pomaga do fabrykacyi pudretów i rozmaitego rodzaju nawozów i służy do irygowania równiny Gennevilliers. Równina ta, wydająca niegdyś liche plony żyta i kartofli, przedstawia się obecnie jako rozległy ogród, w którym jarzyny i kwiaty bujnie się rozrastają. Miasto ma własny wzorowy ogród w Asnières, w którym dopiéro można widziéć, co sztuka i nauka potrafią zrobić na ziemi użyźnionéj odchodami ludzkiemi.

Inżynier Belgrand nakreślił znakomity plan zaopatrzenia miasta w dostateczną ilość wody źródlanéj do picia i gotowania. Do wykonia tego planu przystąpiono w r. 1862 i ukończono takowy dopiéro na początku tego roku. W tym przeciągu czasu wykonano olbrzymie roboty i wodociągami sprowadzono źródła rzeczek: Dhuis, Vanne i Awry, pobudowano wielkie rezerwoary w Ménilmontant, Passy, Montsouris, Villejuif i Saint-Cloud, oraz liczne zakłady do podnoszenia wody.

Źródła rzeczki Dhuis tryskają w kantonie Condé departamentu Aisne. Wodociąg, sprowadzający wodę tych źródeł, towarzyszy z lewéj strony biegowi rzeczki Dhuis, następnie Surmelin i Marnie, w syfonie po moście o trzech arkadach przechodzi na prawy brzeg ostatniéj rzeki i, towarzysząc jéj biegowi, wchodzi do Paryża. Długość onego wynosi 131,162 metrów. Rura wodociągowa, owalna, ma wysokości

1 metr i 80 centimetrów, szerokości 1 m. i 40 centymetrów. Woda zbiera się w olbrzymim zbiorniku Ménilmontant, skąd rozchodzi się po prawém wybrzeżu Sekwany w przeciętnéj ilości 20,000 metrów sześciennych. Wybudowanie tego wodociągu trwało od 1862 do 1865 roku i kosztowało 18 milionów franków.

Roboty nad sprowadzeniem źródeł rzeczki Vanne trwały od 1865 do 1874 r. i świadczą chlubnie o sztuce inżynierskiéj we Francyi. Ogromne galerye podziemne uwięziły jedne źródła, a znowu inne za pomocą całego systemu przyrządów zostały podniesione do wysokości wodociągu. Długość tego wodociągu wynosi 173 kilometry. Posuwając się po kolei w okopach, syfonach metalicznych, podziemiach, po arkadach sklepionych, przerzyna on rzeki (Yonne, Bièvre), błota, torfowiska, piaski, las Fontainebleau i kolej żelazną, dosięgając wzgórz Montrouge, gdzie do obszernego rezerwoaru Montsouris wlewa przezroczyste wody.

Wodociąg, sprowadzający wody źródeł rzeczki Awry, znajdujących się w departamencie Eure i Loir, towarzyszy z prawéj strony biegowi Awry, przechodzi przez rzekę Eure koło Dreux, przerzyna płaskowzgórze na wschodzie Wersalu, okala podziemną drogą to miasto, pomiędzy Montretout a Paryżem w rurze stalowéj o średnicy 1½ metra, zamkniętéj w galeryi kamiennéj, przeprawia się przez Sekwanę i wlewa wody do rezerwoaru w Saint-Cloud. Dostarcza on Paryżowi codziennie 110 tysięcy metrów sześciennych wody.

Rezerwoar Ménilmontant, o dwóch piętrach, obejmujący zbiorowiska wód Marny i Dhuis, położone jedno nad drugiém, olbrzymiemi swemi rozmiarami, całym lasem filarów, szeroką taflą wód drzemiących sprawia silne wrażenie. Mówiąc o nim Maksym de Camp, przypomina widziane w podróżach: cysternę o tysiącu i jednéj kolumnie w Konstantynopolu, tamę doliny belgradzkiéj, *Piscina mirabile* w Neapolu, studnie Salomona w Raz-el-Ain, pomiędzy Betleem i Moar-Saba, cysternę Ezechiasza w Jerozolimie, i przychodzi do tego wniosku, że starożytność nic podobnego nie wykonała.

Woda rozprowadza się po całym Paryżu rurami pod ziemią w ogólnym systemie kanałów, których sieć, uporządkowana i powiększona przez Belgrand'a, wspólnym jest gościńcem dla rur ściekowych, wodociągów, lin telegraficznych i drutów telefonicznych, pneumatycznych rur pocztowych, oraz przenoszeniu siły poruszającéj.

Na wszystkich ważniejszych ulicach, placach i w ogrodach znajdują się zamknięte otwory, z których w razie potrzeby gospodarstwa ulicznego lub ogrodowego wylewa się obficie.

Woda źródlana jest przeprowadzona do przeszło 70 tysięcy do-

mów na ogólną ich liczbę 80 tysięcy, a oprócz tego dostarcza onéj 770 fontan ulicznych i ogrodowych.

Przed rozpoczęciem dzieła Belgranda, woda źródlana, dobra do picia, kosztowała w Paryżu 20 razy drożéj, aniżeli dzisiaj, a przytém lokatorowie, mając ją u siebie w kuchni i płacąc za nią właścicielom domów w ogólnéj kwocie czynszu dzierżawnego, nie potrzebują żadnych zachodów o jéj sprowadzanie.

Gospodarstwo wodne—zdaniem znakomitego inżyniera Comche'a — nigdzie nie jest tak znakomicie urządzone, jak w Paryżu. Abonament wody źródlanéj i rzecznéj przez właścicieli domów i rozmaitych zakładów przemysłowych przynosi miastu 7 milionów franków czystego dochodu. Rada miejska więc zamierza obniżyć cenę abonamentu wody i uczynić takowy obowiązującym dla wszystkich właścicieli domów.

Wykonawszy wielkie dzieło, nakreślone przez Belgrand'a, który umarł w r. 1870, rada miejska stawia sobie nowe wielkie zadanie, o którém Wiktor Hugo z takim zapałem przemawiał w „Nędznikach.“ Zamierza ona odwrócić od Sekwany wszystkie wody ściekowe i skierować je ku celom irygacyjnym na pola w Achères, Méry i dalsze w dolinie Sekwany, posuwając się wciąż ku morzu.

III. Czystość powietrza i oświetlenie ulic.

W ostatnich czasach bardzo wiele zrobiono dla oczyszczenia powietrza w Paryżu, i pomimo gęstéj swéj ludności i zacieśnionych mieszkań, jest on zdrowszym od wielu miast i stolic.

Najważniejszą w tym względzie oddaje usługę znakomicie urządzona kanalizacya. Na téj stopie doskonałości, na jakiéj obecnie ona znajduje się, postawił ją Belgrand. Skierował on wody ściekowe na zewnątrz Paryża ku Sekwanie poniżéj miasta po za mostem Asnières; rzeczkę Bievrę, która zatruwała i jeszcze dzisiaj, ponieważ pewna jéj część nie została zasklepiona, zatruwa powietrze, wprowadził w sieć kolektorów, oraz liczbę kanałów ogromnie powiększył. W r. 1860, po wcieleniu dawnych okolic zamiejskich do obrębu miasta, liczono 228 kilometrów ścieków; w r. 1870 było ich już 600; obecnie jest 875.

Z obu stron Sekwany ciągną się wzdłuż jakby dwie podziemne rzeczki dwa wielkie kolektory, do których spływają mniejsze, a te łączą się z rurami deszczowemi i ściekowemi, ze zlewnemi rurami kuchennemi i ze spadowemi wychodkowemi. Najmniejsze kolektory mają 2.30 metra wysokości. Jest jeszcze wielki kolektor, który

przepływa północną część podziemnego Paryża i uchodzi do Sekwany za Saint-Denis.

Prawoboczny wielki kolektor Asnières odznacza się największemi wymiarami i ma 3.40 metra wysokości. Lewoboczny wielki kolektor chwyta rzeczkę Biévre na ulicy Geoffroy Saint-Hilaire w pobliżu *Jardin des Plantes,* zmierza w poprzek bulwaru Saint-Michel do mostu Alma, przechodzi w syfonie na drugą stronę Sekwany i przerznąwszy część miasta, łączy się z kolektorem Asnières niedaleko od ujścia do Sekwany.

Latem, dwa razy na miesiąc urządza się dla życzących zwiedzić kanały przejażdżka podziemna z placu Châtelet na plac Ś-téj Magdaleny i z placu Zgody na plac Châtelet. Przejażdżka ta odbywa się w małych wagonach posuwanych przez służbę ściekową.

Podziemny Paryż ściekowy, skutkiem doskonale urządzonéj wentylacyi i nieustannego zmywania i oczyszczania kanałów, nie wywiera tak przykrego wrażenia, jakby się tego można było spodziéwać. Janowi Valjean, bohaterowi „Nędzników“, dzisiaj nie groziłyby te niebezpieczeństwa, jakie napotykał, ale nie udałoby mu się przejść niespostrzeżenie, ponieważ liczna służba ściekowa z końca w koniec całą sieć kanałów przebiega.

Wywożenie odchodów ludzkich z wielkiéj liczby domów odbywa się beczkami, które albo zostają dostawione wprost do przeznaczonych ku temu celowi budynków w La Villette, albo zostają wyładowane do specyalnych statków-cystern i Sekwaną i kanałem Ourcq odwiezione tamże. Ze zbiornika tego (*dépotoir*), który bardzo starannie ukrywa swoje przeznaczenie przed okiem ludzkiém, nieczystości zostają za pomocą maszyn podnoszących wydalone do Bondy, o dziewięć kilometrów odległego. Tam znajduje się fabryka pudretów i sztucznych nawozów.

Lubo gospodarka Haussmanna była rujnująca dla miasta i bogacąca jego przyjaciół, to jednak niezaprzeczenie bardzo on wiele zrobił dla zdrowotności Paryża. Poniszczył on małe, ciasne, cuchnące uliczki i otworzył szerokie ulice dla powietrza i światła. Nietylko pod względem strategicznym, ale i pod względem hygienicznym jest bardzo korzystne wachlarzowate rozłożenie ulic, rozbieżnie wychodzących z wielkich placów. Rada miejska z większą oszczędnością prowadziła daléj to ważne dzieło i kiedy Haussmann miał na oku bardziéj wygody ludzi bogatych, ona zajęła się troskliwie ludowemi cyrkułami miasta. Pootwierano nowe szerokie ulice, pozakładano liczne bulwary, pourządzano nowe parki i skwery.

Śmieci domowe i odpadki kuchenne każdy lokator wynosi przed

dom swój na ulicę i wrzuca tam do umyślnie na to ustawionéj skrzynki. Wcześnie zrana objeżdżają wielkie wozy, do których towarzysząca im służba wrzuca zawartość tych skrzyń. Dla oczyszczania ulic od błota używane są wielkie walce miotłowe, a do usuwania śniegu służą pewnego rodzaju sanie z przyrządem odgarniającym i odrzucającym. Skrapianie ulic odbywa się i za pomocą odpowiednich beczek i przez sikawki z rur wodociągowych. Błoto i śmieci odstawiane są osobnemi pociągami w dalsze ku temu celowi przeznaczone okolice Paryża. Miasto we własnych zakładach przygotowuje potrzebne do oczyszczania ulic przyrządy.

Trzy czwarte wszystkich ulic są brukowane kamieniem, znaczna liczba jest zwirowanych, wreszcie są układane z drzewa i asfaltowane. Dla utrzymania w całości bruku istnieje zorganizowana osobna służba. Miasto posiada własną fabrykę wyrobu kostek z drzewa dla brukowania ulic, a także własne kamieniołomy w malowniczéj okolicy Maréchaux, wzorowo urządzone pod względem technicznym. Podług sprawozdania Bassinet'a, złożonego radzie miejskiéj, eksploatacya w téj kopalni jest o 20 tysięcy franków kosztowniejsza, aniżeli w innych prywatnych, ale ta cała przewyżka idzie na korzyść robotników, i z tego powodu rada miejska nie uważała za właściwe starać się ich kosztem o powiększenie dochodu swéj kasy.

Obfitość drzew w mieście nietylko przyczynia się ogromnie do upiększenia onego, ale nadto jest bardzo ważnym warunkiem dla oczyszczania i odświeżania powietrza. Słusznie nazwano ogrody i skwery płucami miasta. Bulwary, t. j. szerokie ulice drzewami wysadzone, są to pewnego rodzaju oskrzela, które i same przytém czynnie dopomagają do oczyszczania powietrza. Mając to na uwadze, rada miejska liczbę drzew w mieście znacznie pomnożyła i wciąż ją pomnaża. Opowiadają, że gdy pewnego Prowansalczyka zapytano: „co najwięcéj zwróciło jego uwagę w Paryżu?“ — miał odpowiedzieć: „Drzewa, nigdzie ich tyle nie widziałem.“ Robotami sadowniczemi kierował inżynier Alphand, a świetne parki przezeń założone w Buttes-Chaumont i Montsouris wspaniałym są dla niego pomnikiem.

Miejskie gospodarstwo sadownicze, obejmujące laski: Buloński i Venseński, ogrody: Luksemburski i Tuileryjski, Pola Elizejskie, parki, skwery i bulwary, zatrudnia liczną służbę i ma rozmaite własne zakłady. Do takich zakładów należą: trzy szkółki drzew i świetne cieplarnie. Do wysadzania ogrodów, skwerów i bulwarów są najwięcéj używane: jawor i kasztan z powodu obfitości swych liści. Cieplarnie miejskie wzorowo są urządzone. Słynne są ze swoich palm, kamelii, azalii, tulipanów. Tam dokonywane były doświadczenia nad

przyśpieszeniem wzrostu roślin przez przedłużenie dnia za pomocą światła gazowego i elektryczności.

Wydobywanie gazu oświetlającego, rozprowadzanie onego po mieście i wreszcie zapalanie i gaszenie latarni ulicznych wchodzi w zakres czynności osobnéj kompanii gazowéj, która jednak jest w licznych i zależnych stosunkach z zarządem miejskim. Są naprzykład inspektorowie, czuwający nad tém, ażeby prace przez towarzystwo gazowe wykonywane były dokładne i nie narażały życia i bezpieczeństwa ludności.

Paryż z najbliższemi okolicami zamiejskiemi zużywa rocznie (obliczenie z r. 1891) 290 milionów metrów sześciennych gazu. Długość linii rur gazowych wynosi przeszło 1,500 kilometrów.

Używanie gazu dla oświetlania i gotowania jest niemal powszechne we wszystkich zakładach publicznych, jak hotele, magazyny, restauracye, kawiarnie i t. d., a i po prywatnych mieszkaniach coraz bardziéj się upowszechnia. Liczba abonentów gazu dla użytku domowego wynosiła w 1873 r.—94,774, w rǒku zaś 1891—przeszło 242,000. Do coraz szybszego wzrostu abonentów przyczynia się to, że towarzystwo gazowe wszystkie koszta przeprowadzenia gazu do mieszkania bierze na siebie, a przytém wypożycza bezpłatnie potrzebną kuchenkę i za opłatą 3 franków miesięcznie dość kosztowny przyrząd do mierzenia gazu (*compteur*). Teraz nawet ubogie rodziny zaprowadzają gaz u siebie, tak że węglarze zamykają swoje sklepiki dla braku kupujących. Gaz może jest trochę kosztowniejszy od węgla, ale zyskuje się wiele na czasie, czystości i zdrowiu, ponieważ swąd od węgli zawsze dawał się uczuwać.

W r. 1878 rada miejska dała upoważnienie kilku towarzystwom na wykonywanie prób oświetlania ulic elektrycznością, a sama wykonywała próby w parkach Monceau i Buttes-Chaumont. Pomimo tych prób i pomimo postępów znacznych w téj gałęzi przemysłu, nie śpieszono jednak z zaprowadzaniem oświetlenia elektrycznego, i dopiéro straszny pożar Opery komicznéj wywarł w téj sprawie wpływ stanowczy. W r. 1889, z powodu wystawy wszechświatowéj, oświetlono elektrycznością wielkie bulwary, ciągnące się od placu Zgody do placu Rzeczypospolitéj i jeszcze kilka ważniejszych ulic.

Oprócz układu z towarzystwami elektrycznemi, którym zostało polecone oświetlenie bulwarów, placów, niektórych gmachów publicznych, miasto urządziło w suterynach hal własny zakład elektryczny, który służy do oświetlania hal i dostarcza elektryczności sąsiednim zakładom publicznym i magazynom.

Ogółem do oświetlenia elektrycznego służy obecnie 7,976 lamp

łukowych i 169,058 lamp żarowych, tak że oświetlenie elektryczne stanowi już dzisiaj piątą część gazowego.

Wytwarzanie elektryczności zanadto jest jeszcze kosztowne, ażeby można było myśléć o rychłém zastosowaniu onéj do gospodarstwa domowego, chociaż już istnieją wcale dobre kuchenki i patelnie elektryczne.

IV. Komunikacye.

W tak rozległém i ludném mieście, jak Paryż, organizacya komunikacyjna ma bardzo ważne znaczenie. Pozwala ona robotnikom i urzędnikom zamieszkiwać odleglejsze cyrkuły lub nawet podmiejskie okolice, gdzie mieszkanie, a po części i żywność jest tańsza.

Chociaż od r. 1866 dorożkarstwo jest wolnym przemysłem, to wszakże największą w nim rozwija czynność ta sama kompania, która dawniéj posiadała monopol i która ma dobrze urządzone stajnie, wozownie i rozmaitego rodzaju potrzebne zakłady. Liczba wszystkich dorożek lub karetek jednokonnych i dwukonnych wynosi przeszło 13,000. Od r. 1800 została ustanowiona taryfa: za kurs w jednokonnéj dorożce płaci się 1.50 franka, a za godzinę jazdy 2 franki. Taryfa ta pozostała niezmieniona aż do dnia dzisiejszego, z tą tylko różnicą, że z powodu znacznego powiększenia się Paryża, kursy bywają większe niż dawniéj. Dorożki jednak są za drogie, ażeby mogły służyć do codziennego użytku niezamożnéj ludności.

Pierwsza myśl organizacyi taniego przewozu wielu osób w oznaczonych krótkich odstępach czasu pochodzi od znakomitego Paskala. W XVII-ém już stuleciu pojawiły się w Paryżu omnibusy, ale nie miały powodzenia i na długi czas poszły w zapomnienie. Dopiéro w r. 1820 wrócono do nich ponownie, kiedy w Londynie i w innych miastach zjednały one sobie publiczność. Utworzyło się w tym roku towarzystwo, które się zajęło przedsiębiorstwem omnibusowém. W następnych latach powstawały i inne podobne stowarzyszenia, a w r. 1855, przy pośrednictwie zarządu miejskiego, połączyły się one wszystkie w jedną ogólną kompanię. Podług układu z miastem, obowiązana jest ona do utrzymywania stałéj komunikacyi na pewnych oznaczonych liniach, bez względu na to, czy się która opłaca. I istotnie kompania na pewnych liniach ma deficyt, ale za to na innych olbrzymie zyski wynagradzają z lichwą tę stratę. W omnibusach i tramwajach można przejechać od jednego do drugiego końca Paryża za 30 centimów, a wielką część drogi można przebyć i za połowę nawet téj ceny.

Kompania ma bardzo rozległe gospodarstwo, które w wielu punktach styka się z miejskiém. Nietylko stajnie, wozownie, składy na paszę, ale i fabryki powozów są w niém objęte. W r. 1892 po 67 różnych drogach przebiegało 920 konnych omnibusów i tramwajów, oraz jeden tramwaj parowy. Liczba osób jadących z każdym rokiem wzrasta: w r. 1855 było ich 36 milionów, a w 1891 roku 203 miliony, t. j. przeciętnie wypadało po 556,000 osób na dzień. Dochód roczny kompanii wynosi przeszło 41 milionów franków, a z téj kwoty państwo i miasto biorą przeszło 4 miliony pod postacią rozmaitych opłat.

Wypada tu wspomniéć, że handel końmi odbywa się na wielkim rynku przy bulwarze St. Marcel, a zasiadająca tamże komisya egzaminuje furmanów i wydaje im dyplomy.

Po Sekwanie biegną statki parowe, które pobierają w dni powszednie po 10 centimów od osoby, a w dni świąteczne po 20. Jestto bardzo ważne ułatwienie komunikacyjne, ponieważ Sekwana w skrętach płynie środkiem prawie Paryża. Do ułatwienia komunikacyi miejskiéj przyczynia się także znacznie koléj obwodowa.

Paryż należy do pierwszorzędnych placów handlowych i liczbą przywożonych beczek (ton) prześciga nawet Marsylię. Nie należy się téż dziwić projektowi uczynienia Paryża portem morskim, przez pogłębienie i rozszerzenie koryta Sekwany, tak, ażeby okręty, bez przeładowywania w Hawrze lub Rouen, mogły wprost do stolicy przybywać.

Kanałem Ourcq sprowadzają się także towary, zwłaszcza materyały budowlane, a basen w La Villette, do którego prowadzi ten kanał, jest bardzo ważnym i ożywionym portem wewnętrznym Paryża. Spółzawodniczy on z wielkiemi portami morskiemi i daje się prześcignąć tylko Marsylii, Hawrowi i Bordeaux.

Komunikacya listowa we Francyi nie jest tak wzorowo urządzona, jak w Szwajcaryi. Cena przesyłki zwykłego listu w obrębie Paryża wynosi tyleż, co i w całéj Francyi: 15 centimów. Rzadko on dochodzi tegoż samego dnia do miejsca swego przyznaczenia.

Telegraf także nie odznacza się wielkim pośpiechem przynajmniéj w stosunkach prywatnych. Oprócz zwykłych telegramów, są jeszcze karty-telegramy, t. j. karty korespondencyjne, za które płaci się tylko drożéj, bo 30 centimów. Karty te są przesyłane w odpowiednio urządzonych skrzyneczkach przez rury podziemne, za pomocą ciśnienia zgęszczonego powietrza, co się wykonywa w siedmiu ku temu celowi urządzonych zakładach w różnych częściach miasta. Giełda w sieci komunikacyjnéj zajmuje uprzywilejowane miejsce, i pomię-

dzy nią a pocztą centralną przez cały dzień kursują w podziemiu pociągi skrzyneczek po dwóch liniach tam i napowrót co trzy minuty, a w nocy co kwadrans.

Sieć telefoniczna ogarnia prawie wszystkie wielkie zakłady publiczne i prywatne, tak iż większa część zamówień i układów handlowych odbywa się na miejscu, bez wychodzenia z własnego biura. Za rozmowę telefonową w biurze pocztowém płaci się 50 centimów.

V. Bezpieczeństwo.

Obrona od ognia znakomicie jest urządzona. Po ulicach są wystawione tak zwane ostrzegacze (*avertisseurs*), czyli przyrządy telefonowe, połączone z koszarami straży ogniowéj. W razie nieszczęścia, tłucze się w ostrzegaczu szkło odgradzające i przez telefon zawiadamia się, dokąd ma pomoc przybyć. Po otrzymaniu zawiadomienia, za pokręceniem guzika zapalają się w koszarach lampy elektryczne; budzi się straż ogniowa, która śpi w pełném ubraniu; oraz za pomocą mechanicznego przyrządu zaprzęgają się konie. W siedmdziesiąt sekund następuje już pierwszy wyjazd. Od ośmiu do dziewięciu ludzi wiezie z sobą na wozie rury do wyrzucenia wody, drabiny i rozmaite przyrządy gaszące. Na osobnym wozie wiozą dużą drabinę. W większéj liczbie wypadków wystarcza ta pomoc. Jeżeli jednak okazuje się ona niedostateczną, zawiadamia się centralne biuro, a stąd już wychodzą w drodze telegraficznéj odpowiednie rozkazy. I z najbliższych koszar wyjeżdża pompa parowa z nowym pocztem strażaków (*sapeurs-pompiers*).

Organizacya straży ogniowéj jest wojskowa i zaciąga się z pułków piechoty, po części przez odkomenderowanie, po części przez dobrowolne zgłoszenie się. Ze względu na służbę wojskową, znajduje się ona pod rozkazami generała-komendanta Paryża; ze względu na służbę techniczną, pod kierunkiem prefekta policyi. Utrzymanie jednak i uregulowanie czynności zależy od zarządu miejskiego. Wieloraka ta zależność jest właściwością urządzeń francuskich i wcale nie wpływa na nie korzystnie, ale często staje się powodem, że jedna władza przeszkadza drugiéj.

Miasto, które w rzeczywistości jest prawdziwym gospodarzem, bardzo wiele zrobiło w ostatnich czasach, ażeby zawód strażacki, który sam przez się wystawia na niebezpieczeństwa i ciężką służbę, otoczyć pewnemi wygodami i dobrobytem. Wystawiło więc nowe dogodne koszary, a dawne przebudowało odpowiednio do wymagań hygienicznych. Koszar jest dwanaście, a w każdych mieści do stupię-

dziesięciu ludzi. Życie wcale dobre, Strauss podaje na wyrywek *menu* z jednego dnia. Śniadanie: wołowina po burgundzku, potrawka z kartoflami i deser; obiad: zupa mięsna, wołowina, fasolka na winie i deser. Tak na śniadanie jak i na obiad daje się po ćwierci litra wina. W sali jadalnéj wywiesza się *menu*, zwykle ilustrowane dwoma wizerunkami strażaków: świéżo przybyłego do koszar i znajdującego się w onych czas dłuższy; pierwszy jest chudy, na którym odzienie obwisa, a drugi gruby i tłusty, zmuszony dla ulżenia sobie odpiąć kilka guzików.

Prefektura policyi oblicza, oczywiście w sposób przypuszczalny, że w Paryżu jest 400 tysięcy ludności, która albo z charakteru swego, albo z zawodu, albo z położenia przedstawia żywioł niebezpieczny dla reszty mieszkańców. Do składu jéj wchodzą: przedewszystkiém zbrodniarze i przestępcy, zbiegowie, prostytutki ze swemi poplecznikami, żebracy i włóczęgi, a następnie mnóstwo ludzi wykolejonych o nieokreślonym zawodzie, którzy — podług pospolitego wyrażenia się — żyją psim swędem. Znaczna część téj ludności mieszka pod przybraném nazwiskiem. Prefektura policyi otrzymuje rocznie od 40 do 50 tysięcy podań od osób prywatnych po większéj części z prowincyi, które proszą o wyszukanie zbiegłych synów, córek, krewnych. Nadchodzą téż liczne prośby o wyszukanie dłużników, ale te zostają wrzucane do kosza, a nawet policya nie udziela adresów, jeżeli przypuszcza, że żądającymi są wierzyciele.

Dla czuwania nad bezpieczeństwem i porządkiem w mieście są zorganizowane brygady stróżów pokoju (*gardiens de la paix*), których liczba wraz z inspektorami wynosi 8,000. Oprócz téj policyi, która odbywa służbę w uniformie, jest inna jeszcze, która ubiorem nie różni się od reszty mieszkańców. Do téj ostatniéj należą brygady czuwające nad hotelami, obyczajami, osobami podejrzanemi i t. d. Należy tu także służba bezpieczeństwa (*le service de la sûreté*), wsławiona pamiętnikami Vidocq'a i powieściami Gaboriau.

Wszyscy uwięzieni z jakiegokolwiek powodu, jeżeli po przesłuchaniu nie zostaną przez komisarza policyi uwolnieni, muszą czekać na wyrok sędziego śledczego w więzieniu, które jest znane pod nazwą *Dépôt* i znajduje się w gmachu Pałacu sprawiedliwości. Więzienie to zasłynęło w ostatnich czasach z tego, że z powodu swych niehygenicznych warunków stawało się jedném z ognisk, szerzących w Paryżu zarazę tyfusu. Brak dbałości o warunki zdrowotne w tym wypadku tém jaskrawiéj się przedstawia, że wielka część czasowych więźniów tam zgoła bez żadnéj winy pozostaje, jak np. zabłąkane

dzieci, albo obwiniające niejednego poszlaki okazują się następnie mylnemi.

Z więzieniem czasowém jest połączone biuro antropometryczne, w którém zdejmuje się fotografia uwięzionego i odbywają się dokładne wymiary jego części ciała. Wykaz ten tożsamości osoby jest tak dokładny, że obecnie prawie każdego recydywistę sędzia śledczy zna odrazu pod jego prawdziwém albo przynajmniéj pierwotném nazwiskiem. Twórca metody antropometrycznéj marzy nawet o tém, że w przyszłości można będzie wydawać wyroki anonymne, ażeby nie hańbić nazwiska, które wiele innych osób niewinnych nosi, i ażeby ukaraniem nie zagradzać drogi do poprawy.

Dépôt przeznaczone jest dla krótkiego pobytu zatrzymanych. Jeżeli okaże się, że poszlaki są dosyć ważne, to taki więzień zostaje odesłany do *Mazas*, które jest właściwie więzieniem prewencyjném, chociaż znajdują się w niém także i skazani na krótkie terminy. Każdy więzień ma w niém osobną celę i pozostaje przez dzień i noc odosobniony; tylko w tych wypadkach, kiedy w więźniu objawia się popęd do samobójstwa, przenoszą go do obszerniejszéj izby, gdzie dostaje towarzysza swéj ciężkiéj doli. Małych cel jest 1135 i rocznie przebywa w nich około 14 tysięcy więźniów. Wiktor Hugo, osadzony w Mazas na drugi dzień po zamachu grudniowym, opisał to więzienie w lapidarnych wyrazach. Ciężkie w niém życie i żeby więźnia ochronić od zabójczego wpływu nudy, zmuszają go do stałéj obowiązkowéj pracy, jak przebiéranie ziarna, nanizywanie paciorek, szycie worków, robienie kajetów szkolnych i t. p. Mazas jest jeszcze zabytkiem surowości dawnéj, która zaczynała już karać, zanim wyrozumiała jeszcze dobrze, czy obwiniony był istotnie winnym.

Więzienie to straszne i olbrzymie, które ponuro wita przyjeżdżającego koleją żelazną lyońską, skazane jest na zburzenie. Temuż samemu losowi mają uledz smutnéj sławy *Grande Roquette* i *Sainte Pélagie*. Zyska na tém Paryż nie tylko pod względem estetycznym, ale także i pod względem hygienicznym. Roztaczając ponurość dokoła, tamują one drogę powietrzu i światłu i sprzyjają zagnieżdżaniu się wszelkiego rodzaju zarazków. Nowe więzienia zostaną wybudowane w pewnéj odległości od Paryża, a nowoczesny duch wyrozumiałości prawdopodobnie nie nada im charakteru bezużytecznego znęcania się.

Ci, co mają stawać przed sądem przysięgłych, zostają przeniesieni z Mazas do *Conciergerie*, które to więzienie znajduje się w gmachu pałacu sprawiedliwości. Więzienie to ma smutną sławę dziejową, sięgającą czasów Ludwika XI i Richelieu'go. Część tę histo-

ryczną można oglądać co czwartek, za pozwoleniem prefekta. W dzisiejszém więzieniu przebywało téż wiele głośnych osób: siedzieli w niém Labédoyère i marszałek Ney, książe Ludwik Napoleon Bonaparte, Fieschi i Alibaud.

Skazanych na śmierć odwożą do Grande Roquete, gdzie są dla nich przeznaczone osobne cele. Tamże przesiadują chwilowo skazani do domów centralnych i recydywiści.

Na przeciw Grande Roquette, znajduje się *Petite Roquette*, więzienie dla występnych chłopców. Niedługo już ono istniéć będzie, ponieważ ma je zastąpić kolonia rolnicza i ogrodnicza na wsi w Montesson.

Oprócz wymienionych, są jeszcze wielkie więzienia: *La Santé*, *Sainte Pélagie*, *Saint-Lazare* i *Dépôt de Nanterre*. La Santé jest nowożytne więzienie z uwzględnieniem nowych teoryi kryminalnych. W więzieniu Św. Pelagii jest jedno skrzydło, przeznaczone dla skazanych za przewinienia prasowe. Więzienie Saint Lazare mieści w sobie kobiéty, przeważnie prostytutki, odsyłane tam przez policyę bez sądu na krótkie terminy. Dépôt de Nanterre w okolicach Paryża przeznaczony jest dla żebraków i włóczęgów; jest on po części więzieniem, a po części lazaretem. Jedni pozostają tam przez czas pewny, zanim nie zostaną wysłani gdzieindziéj, drudzy zaś z powodu zgrzybiałości, ułomności lub kalectwa znajdują tam stały przytułek.

Więzienia tylko pośrednio wchodzą w zakres gospodarstwa miejskiego.

Trupy znalezione na ulicach lub wyciągnięte z Sekwany zostają złożone w tak zwanéj *Morgue*, budynku w pobliżu kościoła Notre-Dame. Od 1881 r. za inicyatywą d-ra Brouardel'a, ustawiono tam przyrządy zamrażające i rozkład trupów powstrzymuje się obniżeniem ich temperatury do 15 stopni poniżéj zera.

Błąkające sią po ulicach zwierzęta, przeważnie psy, odprowadzane są do Fourrière. Biédne psy, jeżeli właściciel ich nie zgłosi się do pewnego czasu, zostają wsadzane do klatek, które się wsuwają do żelaznéj skrzyni, hermetycznie zamykanéj i ta wypełnia się gazem oświetlającym. Śmierć następuje w ciągu pięciu minut.

Pogrzebami zajmuje się osobny zarząd (*Administration des Pompes funèbres*), pod nadzorem urzędników miejskich. W 1887 r. zostało zbudowane na cmentarzu Père-Lachaise *crematorium*, dla palenia zwłok tych osób, któreby sobie tego życzyły, albo rodzina których wybrałaby ten sposób pogrzebu. W 1889 r. spalono zwłok 49, w 1890 — 121. Cmentarzami zawiaduje zarząd miejski.

VI. Pomoc publiczna.

Instytucya pomocy publicznéj (*Assistance Publique*) odpowiada w części naszemu Towarzystwu Dobroczynności, z tą jednak różnicą, że zakres jéj znacznie jest większy, że ma charakter publiczny i że coraz bardziéj zrywa z dawną tradycyą miłosierdzia, lecz się za to przejmuje poczuciem obowiązku społecznego. Jest to właśnie usiłowaniem rady miejskiéj przeobrazić tę instytucyę w nowożytnym kierunku społecznym, a jakkolwiek ze stanowiska prawnego ta ostatnia jest niezależną, i udział zarządu miejskiego ograniczony, to jednak wpływ onego jest w istocie ogromny, ponieważ prawie połowę na pokrycie jéj budżetu daje z własnéj kasy. Na 40 milionów fr. wydatków rocznych, gmina miejska płaci 19 milionów 400 tysięcy.

Instytucya pomocy publicznéj ma znaczny majątek, który przedstawiają nie tyle kapitały, ile należące do niéj domy, zakłady i ziemie w całéj Francyi. Ma ona własną rzeźnię w Villejuif, własny pawilon w halach centralnych, ogromną piwnicę w halach winnych, wielką i znakomicie urządzoną piekarnię Scipion, własne pralnie, szwalnie i t. d., wreszcie wielką centralną aptekę z licznemi oddziałami.

Obejrzyjmy ważniejsze zakłady téj instytucyi.

W dawnym klasztorze Port-Royal, gdzie było ognisko najgorętszego jansenizmu, obecnie znajduje się wzorowo urządzony zakład położniczy (*La Maternité*), a przy nim istnieje szkoła akuszerek.

Zaufanie do zakładu, w którym życzliwość, troskliwe pielęgnowanie i dyskrecya są panującym charakterem, wzmogło się w ostatnich latach bardzo. Nie tylko niezamężne matki szukają w nim przytułku, ale wiele mężatek ubogich, które nie mogą mieć dostatecznych wygód w domu, odbywają tam swój połóg. Każda z przyjętych kobiét ma wyznaczoną sobie pracę, która jest odpowiednią jéj stanowi i siłom. To nie mało przyczynia się do swobody i zdrowia chorych. Wiele opuszczających zakład otrzymuje pieluszki dla dziecka i małą zapomogę pieniężną.

Zachowanie się z narodzonemi dziećmi jest określone naukowemi wskazówkami. To, co byłoby niemożliwém dla ludzi średniéj zamożności nawet, w zakładzie jest zwykłą rzeczą. Tak np. prof. Tarnier obmyślił dla przedwcześnie urodzonych lub bardzo wątłych dzieci szklane kolébki, tak zwane *couveuses*, w których utrzymuje się stała temperatura od 30 do 37 stopni. Sposób ten okazał się bardzo do-

bry, i niejedno dziecko dzięki mu sformowało się silne, krzepkie, zdrowe.

Wogóle, statystyka wykazuje, że połowa połogów w Paryżu odbywa się kosztem pomocy publicznéj. Prócz bowiem zakładu położniczego, są w mieście liczne akuszerki, które są obowiązane do dawania bezpłatnéj pomocy.

Dawna siedziba Oratoryanów na ulicy Denfert-Rochereau mieści w sobie wielki Zakład opieki nad dziećmi (*Les Enfants-Assistés*), który ma liczne filie i kolonie w całéj Francyi, a nawet kolonię rolniczą w Algierze.

Każda matka, dla któréj niemowlę jest ciężarem, może je oddać temu zakładowi. Biuro jest otwarte o każdéj porze dnia i nocy i ścisła zachowuje się tajemnica co do pochodzenia dziecka. Zakład przyjmuje rocznie od 3,000 do 4,000 dzieci pod swoją opiekę. Wiele jednak matek, otrzymawszy pieluszki i zapomogę pieniężną, wstrzymuje się od początkowego swego zamiaru i zachowuje dziecko u siebie.

Przyjęte dziecko zapisuje się do ksiąg i zostaje oddane do żłobka (*Crêche*), obszernéj sali, gdzie je bierze jedna ze znajdujących się tam mamek, których liczba zwykle do 40 dochodzi. Jeśli dziecko jest chore i może zarazić mamkę, to karmi się ono piersią kozy lub oślicy, stosownie do rozporządzenia lekarza.

Większa część dzieci wyjeżdża ze swemi mamkami na wieś, gdzie osobni urzędnicy miejscowi mają nad niemi nadzór, i pozostaje tam do lat trzynastu, chodząc wraz z dziećmi przybranéj rodziny do szkół miejscowych. Nieraz się zdarza, że przywiązanie wzajemne wiąże je węzłem rodzinnym na całe życie.

W tymże zakładzie znajdują przytułek dzieci, które pozostają bez wszelkiéj opieki. Połowa z nich, około 4,000 rocznie, albo nie ma rodziców, albo została przez nich opuszczona; druga połowa korzysta z opieki zakładu, dopóki matka leży w szpitalu lub ojciec pozostaje w więzieniu, lub wogóle rodzice nie upomną się o swoje dziecko. Pierwszą połowę zwykle wysyłają w okolice Paryża, do Thiais.

W liczbie dzieci, nad któremi zakład rozciąga swoją opiekę, jest osobna kategorya małych przestępców lub włóczęgów. Dawniéj policya i prokuratorya odsyłały ich do sądu, gdzie skazywano ich do domu poprawy, który zamiast poprawienia najczęściéj rozwijał zatwardziałość tylko występną; obecnie, kierując się większą wyrozumiałością, znaczną ich część oddają zakładowi lub jakiemu stowarzyszeniu dobroczynnemu.

Wreszcie sami rodzice, przyciśnięci nędzą lub nie mogąc dać so-

bie rady z wadami swego dziecka, oddają je dobrowolnie zakładowi albo na zawsze, albo na pewien tylko czas, dopóki nie nastąpi poprawa.

Dzieci większe zostają przez piętnaście dni na obserwacyi. Chodzą tymczasem do szkoły i na gimnastykę i bawią się z innemi dziećmi. Jeżeli w ciągu tego czasu nic bardzo złego nie okaże się w ich postępowaniu, następuje ostateczne wpisanie ich do ksiąg i przeznaczenie do jednéj z prowincyonalnych kolonii, przemysłowéj lub rolniczéj, stosownie do objawiającego się powołania. Dyrektor kolonii, do któréj przybywa dziecko, otrzymuje o niém dla własnego użytku szczegółowe sprawozdanie. Pewna część dzieci bywa umieszczana u osób prywatnych. Od trzynastego roku rozpoczyna się terminowanie. Ci, co zostają uczniami w wielkich zakładach przemysłowych, mają dwie godziny dziennie, przeznaczone na naukę szkolną. Jedni pracują w hutach szklannych w Bar-sur-Seine, Bayel, Nancy, Vierzon; drudzy w fabryce fajansów w Choisy-le-Roi; znowu inni wprawiają się do ślusarstwa w Sailly-le-Sec, Somme i t. d. Dziewczynki uczą się przemysłu jedwabniczego na południu Francyi, wyrobu sztucznych kwiatów w Bois-Colombes, fabrykacyi ciast różnych w Vitry i t. d. W Villepreux, w departamencie Seine et Oise, znajduje się doskonała szkoła ogrodnicza z warsztatami koszykarskiemi, stolarskiemi i ślusarskiemi, także uczniowie ogrodnictwa podczas dni dżdżystych wprawiają się jeszcze do jednego z tych rzemiosł. Szkoła D'Alemberta w Montévrain, w któréj kształcą się drukarze i ebeniści, nabrała wielkiéj wziętości. Są i inne jeszcze szkoły.

Wydalenie z Paryża, zmiana warunków i otoczenia, dobre życie i praca wywierają wpływ bardzo korzystny pod względem moralnym, i ogromna większość opuszczonych, zaniedbanych i występnych dzieci przeistacza się w uczciwych i pracowitych robotników. Wszakże zdarza się, że dziecko znowu ujawnia występne popędy, i w takim jednak wypadku w wyjątkowych tylko razach zarząd wyrzuca je z zakładu i wysyła do domu poprawy, zwykle zaś z całą wyrozumiałością stara się przeszkodzić dalszemu upadkowi, przenosząc je przytém do innéj miejscowości, a jeżeli i to nie pomaga, ma własne szkoły poprawcze, w których karność jest obostrzona i nadzór ścisły. Taka szkoła poprawcza dla dziewcząt istnieje w Salpêtrière, gdzie jest zastosowana pewnego rodzaju ortopedya umysłowa w tém mniemaniu, że skłonność ku występkom jest przejawem chorobliwym i wymaga odpowiedniego leczenia. Wzmacnia się ciało i wola. Każda dziewczynka, co poniedziałku otrzymuje 50 punktów, które przedstawiają centimy. Jeżeli popełni co złego, musi oddać pewną ich liczbę. W sobotę punkty

zostają wymienione na centimy, ale tylko w takim razie, jeżeli ich liczba nie jest mniejsza od dwudziestu pięciu. Największą karą, wyjątkową, jest zamknięcie do osobnéj celi na dni ośm, wszakże na noc dziecko uwolnianém zostaje.

Biura dobroczynności ze swemi domami pomocy (*maisons de secours*) są rozrzucone po całém mieście. Budżet roczny tych biur wynosi 10 milionów franków. Komitet, który zajmuje się rozdawnictwem wsparcia, spełnia swoje czynności bezpłatnie i składa się z mera i jego pomocników, oraz kilkunastu notablów, mianowanych przez prefekta na przedstawienie dyrektora pomocy publicznéj i merostwa. Przeciwko komitetom tym często podnoszą się skargi i wielu jest tego przekonania, że organizacya, wybiérana przez ludność i za swoje czynności opłacana, spełniałaby swoje obowiązki z większą sumiennością i starannością. Wsparcie wyznacza się, po ściągnięciu potrzebnych wiadomości, a to trwa nieraz długo i przyjętém jest tylko w zasadzie, że wszystkie matki, mające niemowlę do karmienia, powinny otrzymać pomoc (*secours de l'allaitement*) i to najśpieszniejszą. Przeszło 6,000 matek rocznie pobiéra przez 12 do 15 miesięcy wsparcie miesięczne od 15 do 30 franków, a oprócz tego zostają w domach pomocy zaopatrzone w bieliznę, pieluszki, kolébkę. W domach pomocy udziela się także pomoc lekarska, która obejmuję radę lekarza i lekarstwo. Przeszło 6,000 osób rocznie otrzymuje jednorazowe drobne wsparcie, od 2 do 20 franków, rzadko więcéj. Jest wreszcie niewielka liczba starców i małych dzieci, na których utrzymanie dopłaca się mała miesięczna zapomoga. Liczba wszystkich wspiéranych w domu przez biura dobroczynności dochodzi rocznie do 110,000.

W południowéj części Paryża, w pobliżu fortyfikacyi, znajduje się słynne *Bicêtre*, które niegdyś grozą i przestrachem przejmowało ludność. Dzisiaj znacznie się odmienił charakter tego zakładu. Odnowione i odświéżone domy z pełnemi zieleni, drzew i kwiatów podwórzami nie mają w sobie nic ponurego. Mieszczą się w nich trzy przytułki: dla starców, dla waryatów i dla dzieci idyotycznych. W oddziale starców i ułomnych znajduje się 1750 osób. Nie skarżą się oni na życie zakładowe, przeciwnie są dosyć z niego zadowoleni. W sypialni bielizna czysta, odzież wprawdzie gruba, lecz mocna i ciepła, jedzenie proste lecz zdrowe, trochę wina, wreszcie dużo swobody i powietrza. Kto może i chce pracować, ten w warsztatach zakładu, bez wielkiego umęczenia, zarabia od 40 centimów do 1 franka dziennie. Ochotników do pracy jest zawsze większa liczba, bo każdy chciałby mieć trochę tytoniu lub tabaki, dziennik lub szklaneczkę wina, gdy wychodzi na miasto.

Zakład dla dzieci idyotycznych, niedołężnych umysłowo i epileptycznych jest wzorowo urządzony przez doktora Bourneville'a, który sam będąc radcą miejskim, gorliwie popiérał interesy swoich nieszczęśliwych pupilów. Lekarze cudzoziemcy umyślnie przybywają do Bicêtre, ażeby tam poznać całe urządzenie i umiejętną metodę kształcenia tych istot od natury upośledzonych. Ogródki freblowskie, gimnastyka, warsztaty służą ku temu celowi. W postępowaniu z dziećmi jest wiele dobrotliwości cierpliwéj. W zakładzie jest 380 chłopców. Wielu się wykształca na niezłych rzemieślników. Więcéj rozwinięci umysłowo zostają stolarzami i ślusarzami, słabsi — koszykarzami i wyplataczami. Podług sprawozdania Bourneville'a, w szwalni pracuje 80 sparaliżowanych, z których pięciu nauczyło się wcale nieźle krawiectwa, a reszta czyni także postępy. Dla zachęcenia do pracy, wyznacza się płaca od 10 do 40 centimów tygodniowo, chłopcy podczas częstych przechadzek kupują sobie łakocie lub zabawki za te pieniądze przez siebie zapracowane.

W pobliżu Jardin des plantes, tuż obok dworca kolei orleańskiéj, znajduje się *Salpêtrière*, rozgłośne wykładami nieodżałowanego Charcot'a, znakomitego profesora chorób nerwowych. Jest to — rzec można — całe miasteczko. Nie sama tylko lecznica w niém się zdajduje, ale dwa tysiące czterysta kobiét starych i ułomnych spędza tam spokojnie od trosk codziennych ostatnie lata swego życia. Staruszki okazują się jeszcze gorliwszemi w pracy od starców w Bicêtre. A pracy jest podostatkiem. Olbrzymia kuchnia, która przygotowuje jedzenie dla ośmiotysięcznéj prawie ludności całego zakładu, wymaga wiele pomocnic do skrobania kartofli, jarzyn, do płukania ich i t. d.; w sąsiednim zaś magazynie centralnym wszystkich szpitalów, szyje się bielizna i odzież a naprawia się podarta.

Przytułkiem także dla starców obojga płci jest zakład *Yvry*, niedaleko od Bicêtre położony. Mieści się tam przeszło dwa tysiące osób. Tam téż jest schronisko dla dzieci dotkniętych kalectwem nieuleczalném.

Wreszcie jest jeszcze zakład dla trzystu starców i staruszek na wsi w Brévannes.

Oprócz tych zakładów, są jeszcze domy, w których się płaci rocznie od osoby od 250 do 300 franków. Takim, bardzo poszukiwanym jest zakład: *Petits Ménages*, mogący mieścić do 1500 osób. Przeznaczony jest on dla stadeł małżeńskich, które razem liczą 130 lat. Przyjmowani są także wdowcy i wdowy, jeżeli przebyli w stanie małżeńskim 10 lat i mają 60 lat skończonych. Zamiast rocznéj opłaty, można odrazu wnieść sumę od 1,200 do 1,800 fr., która daje prawo na

dożywotnie utrzymanie. Są jeszcze dwa podobne domy: jeden dla 245 a drugi 160 pensyonaryuszów.

Instytucya *Sainte-Périne*, położona w pięknym parku, dostarcza wygody życia dostatniego. Chcąc jednak tam się dostać, starcy muszą płacić 1,300 fr. rocznie, a nadto jeszcze 500 fr. na oświetlenie, opał, odzież i t. d. Mieszka tam pomiędzy innemi osobami generał Breański.

„Pomoc publiczna“ zawiaduje jeszcze ośmiu dobroczynnemi instytucyami dla starców i ułomnych dzieci, ale te instytucye utrzymują się własnemi funduszami, które powstały z prywatnych zapisów. Niektóre z tych zakładów mają specyalne przeznaczenie, jak np. istniejący w Garches w departamencie Seine et Oise, który jest schroniskiem dla zestarzałych kowali, ślusarzy i mechaników, albowiem — jak powiada zapisodawca Brésin — robotnicy tego zawodu dopomogli mu do zrobienia fortuny. „Fundacya Galignani,“ mająca 50 łóżek płatnych po 500 franków rocznie i 50 łóżek bezpłatnych, daje przytułek księgarzom, drukarzom i artystom lub też ich wdowom i córkom.

Jakkolwiek liczba zakładów dobroczynnych jest wielka, to jednak ubóstwo jest jeszcze większe i corocznie ze 200 starców trawionych nędzą, daremnie czeka na radosną chwilę wejścia do upragnionéj przystani.

Szpitale są liczne w Paryżu i przystępne dla wszystkich chorych. Wspaniały gmach szpitala Hôtel-Dieu, znajdujący się tuż obok kościoła Notre-Dame i mający 543 łóżek, kosztował 36 milionów franków. Znajduje się on na wyspie. Z prawéj strony Sekwany położone są następujące szpitale. Saint-Antoine (687 łóżek), Beaujon (415), Lariboisière (676), Tenon (805), Bichat (181), Auberviliers (184), Andral (100), Saint-Louis (855), Maison de Santé (344), Trousseau (463); z lewéj strony Sekwany: Pitié (700), la Charité (480), Necker (430), Cochin (343), Laënnec (608), Broussais (260), Midi, Lourcine, Enfants-Malades i jeszcze kilka innych. Wszystkich łóżek dla chorych ma być około 12,000. Szpitalom francuskim czynią słuszny zarzut, że nie uwzględniają dostatecznie dzisiejszego systemu barakowego, który tak się okazuje korzystnym dla leczenia chorych.

Lekarze nasi, którzy przybywają do Paryża i zwiedzają tutejsze szpitale, zostają pod wielu względami rozczarowani i przyznają wyższość szpitalom berlińskim i wiedeńskim. Trzeba wszakże i to dodać, że w ostatnich czasach poczyniono wielkie ulepszenia. Rada miejska wypracowała nawet projekt, radykalne reformy zaprowa-

dzający, ale z powodu wielkich kosztów musiano cofnąć się przed jego wykonaniem i tylko przy bramie Aubervilliers tuż przy samych fortyfikacyach urządzono szpital barakowy dla chorych na ospę, odrę i szkarlatynę. Szpitale paryskie służą téż jako kliniki dla uczniów wydziału lekarskiego. Niektórych chorych, zwłaszcza dzieci, pomoc publiczna wysyła do szpitali wiejskich i nadmorskich.

Dla obłąkanych istnieją osobne zakłady: Sainte-Anne na 976 osób, Salpêtrière wraz z lecznicą chorób nerwowych; na krańcu miasta: Bicêtre i Villejuif, najnowszy zakład na 1,200 osób; w znacznéj odległości od miasta: Ville-Evrard (1,260 osób) i Vaucluse (910). W téj ostatniéj miejscowości przy zakładzie obłąkanych znajduje się kolonia, złożona z dzieci, których umysł nie jest w stanie normalnym. Więcéj niż trzecią część tych dzieci, ujętych na złodziejstwie, podpalaniu lub usiłowaniu morderstwa, trzymano poprzednio w domu poprawy, ale następnie przekonano się o nienormalnym stanie ich umysłu i oddano je do kolonii umysłowo chorych. Tam odpowiednie leczenie i umiejętne postępowanie sprowadzają bardzo często zupełną odmianę w usposobieniu chorego. „Dawniejszy potworek — powiada dr. Legrain — staje się z dnia na dzień łagodniejszym, coraz łatwiéj nim kierować i chęć czynienia dobrze w nim się rozwija. Przemiana bywa tak zupełna i szybka, iż niekiedy nie chce się wierzyć, ażeby nadesłane wiadomości były istotnie prawdziwe. Jeden z moich młodych chorych, który kradł i usiłował był młodszą swoją siostrę zadusić, tak się zmienił w swojém postępowaniu, że zapomiałem zupełnie o jego występnych uczynkach i dopiéro przeglądając papiéry, dotyczące jego osoby, przypomniałem to wszystko.“

Niedaleko od lasku Wenseńskiego w Charenton jest wielki, narodowy zakład dla obłąkanych, utrzymywany przez państwo.

Dla ślepych i głuchoniemych są wzorowo urządzone zakłady, utrzymywane przez państwo. O tych zakładach jako państwowych wspominam tylko.

Dla rekonwalescentów, potrzebujących pewnego wypoczynku i nie mogących odrazu zająć się pracą zarobkową, istnieje piękny z a k ł a d w lasku Vincennes. W nim odzyskuje swe siły przeszło 8,000 mężczyzn, przepędzając przez trzy tygodnie swój czas na świeżém powietrzu i bez troski o jutro. Przy opuszczaniu zakładu udziela się niektórym mała zapomoga pieniężna, nie więcéj nad 25 franków, albo z fundacyi pani Laborie, albo z fundacyi Monthyon'a. Jeżeli opuszczający zakład nie ma ani rodziny, ani mieszkania, to może przebyć jeszcze trzy dni w domu, należącym do zakładu i znajdującym się na ulicy Cherenton. Mając tam zapewnione mieszkanie i jedzenie na

trzy dni, zajmuje się z swobodniejszą myślą wyszukaniem sobie płatnego zatrudnienia. Do zakładu Vincennes należy także Dom bezżennych (*Maison des célibataires*) na ulicy Rondelet, w którym można aż do znalezienia pracy umieścić się za opłatą 5 do 6 franków na dwa tygodnie.

Dla kobiét wracających do zdrowia i tych, co odbyły połóg, jest wspaniały gmach w uroczéj wiejskiéj okolicy nad Sekwaną. Ubogie, opuszczając zakład, otrzymują małą zapomogę pieniężną i udają się do schroniska pracy na ulicy Fessart.

Wdowa głośnego Ledru-Rollina zapisała gminie miejskiéj Paryża wspaniałą posiadłość w Fontenay-aux-Roses, pod samém miastem. Gmina miejska zbudowała tam zakład dla położnic, które nie mogą jeszcze pracować. W pysznym jego ogrodzie przepędzają one wraz z niemowlętami swemi całe dni, jeżeli pogoda na to pozwala. Pozostają w zakładzie od dwóch do trzech tygodni.

W pobliżu zakładu Vincennes zostało w październiku 1888 r. otwarte schronisko dla okaleczonych, powstałe głównie z zapisu Vacassy'ego, który na ten cel przeznaczył 1,200,000 franków.

Rada miejska wyznacza także dosyć znaczne wsparcie pieniężne dla żłobków, w których pozostają małe dzieci pod dozorem piastunek, kiedy matki w fabrykach lub zakładach przemysłowo-handlowych zarabiają na kawałek chleba. Żłobków takich jest w mieście 44, a na przedmieściach 23; liczba dzieci, znajdujących w nich opiekę, przenosi 6,300. Utrzymanie dzienne dziecka kosztuje przeciętnie 96 centimów, matki zaś płacą od 10 do 20 centimów, a mogą być nawet zupełnie uwolnione od téj opłaty.

Oprócz zakładów dobroczynnych, wspieranych przez gminę miejską, otworzyła ona sama w ostatnich czasach kilka przytułków, któremi zarządza i które utrzymuje.

Bardzo pożytecznym jest Dom roboty dla kobiét, otwarty w 1892 r. Daje on przytułek i życie niemającym zatrudnienia ubogim kobiétom wzamian za pracę, jaką im wyznacza, w przeciągu trzech miesięcy. Szycie bielizny, reparacya odzieży i pranie dla licznych zakładów dobroczyunych — oto najważniejsze rodzaje zajęcia. Mając na względzie, że wspiérana przezeń robotnica potrzebuje znaleść stałą pracę, zakład pozwala jéj wychodzić codziennie na kilka godzin do miasta. Strauss przytacza statystykę z jednego miesiąca. W zakładzie było kobiét 167 i dzieci małych wraz z niemi przyjętych 84. Z téj liczby 69 kobiét znalazło stałe zatrudnienie, 25 odesłano do szpitalów, 30 przeniesiono do zakładu położniczego (*Maternité*), 30 odeszło z wła-

snéj woli, 6 przyjęto do zakładu rekonwalescentek w Vésinet, a 17 odesłano do gmin, z których były rodem. Dla dzieci urządzony jest w zakładzie żłobek.

W 1878 r. rada miejska otworzyła trzy przytułki nocne dla mężczyzn i trzy takież dla kobiét, razem 584 łóżek i 50 kolébek dziecinnych. Ale okazało się rychło, że na potrzeby Paryża to zamało. Zbadawszy więc londyńskie zakłady tego rodzaju, otworzyła dwa nowe przytułki, każdy na dwieście osób: pierwszy w styczniu 1887 r., drugi w maju 1889 r. Zasługują one na najwyższe uznanie. O siódméj wieczorem otwiéra się brama. Każdy, wylegitymowawszy się dostatecznie przez okazanie jakiegokolwiek dokumentu, idzie przedewszystkiém do łaźni, gdzie odbiérają mu odzienie i bieliznę, która w odpowiednich piecach ulega dezynfekcyi. Wymywszy się w łaźni mydłem fenikowém lub kreozotowém, dostaje koszulę, spodnie i kaftan zakładowe. U okienka kuchni bierze kawał chleba (350 gramów) i miskę zupy. Posiliwszy się, idzie do sypialni, gdzie dla każdego jest łóżko i pościel, która codziennie poddaje się dezynfekcyi. Zrana, od godziny 5 do 6 wszyscy wstają, myją się, otrzymują napowrót własną bieliznę i odzież a zjadłszy nowy kawałek chleba, wychodzą z zakładu. Administracya ma skład bielizny, odzieży i obuwia z darów prywatnych i obdziela niemi najbardziéj potrzebujących. Kto chce wysłać list do rodziny z prośbą o pomoc, otrzymuje markę pocztową bezpłatnie. Niektórym zakład daje małe pieniężne wsparcie. Zdarza się, że administracya jest w możności dać temu lub owemu jakie stałe zatrudnienie, a zawsze ułatwia wyjazd do miejsc rodzinnych. Zakład daje przytułek jednéj osobie w ciągu trzech nocy tylko z kolei, a najwięcéj czterech. W ciągu 6 lat korzystało z noclegów 236,414 osób. W schronisku położoném w jednym z najuboższych cyrkułów, na ulicy jakby na żart nazwanéj Château des rentiers, w ciągu jednego roku przewinęło się 18913 osób, prawie wszystko Francuzów (17998), trochę było Belgów (376), Szwajcarów (210), Niemców (121) i t. d.

Starcy i ułomni, jeżeli nie byli karani sądownie, zostają odsyłani do *Maison de retraite* w Villerts-Cotterets. Było to dawniéj więzienie dla żebraków i włóczęgów. Dzisiaj 1000 mężczyzn i 500 kobiét doznaje tam uspokojenia, wydobywszy się ze strasznych uścisków nędzy.

Zasada wspierania przez dostarczanie pracy staje się podstawą nowoczesnego kierunku dobroczynności. Ku temu celowi coraz nowe zostają otwierane warsztaty w rozmaitych cyrkułach miasta. Ludzie dobroczynni kupują pewną liczbę biletów, które dają proszącym

o wsparcie. Na bilecie wypisany jest adres warsztatu, który z wyjątkiem niedzieli i dni świątecznych, jest otwarty od godziny 8-éj zrana do godziny 8-éj wieczorem. Przybyły otrzymuje zatrudnienie w warsztacie aż do wynalezienia stałéj i odpowiedniéj sobie pracy. Zamiast płacy pieniężnéj, dają się mu kwity na śniadanie, obiad i nocleg w jednéj z sąsiednich tańszych oberży.

Bardzo liczne domy zastawnicze w Paryżu bronią skutecznie ludność od wyzyskiwania lichwiarzy, których wprawdzie nie brak w mieście, ale którzy czyhają głównie na tych, co nie mogą wykupić zastawionych rzeczy i odkupują od nich kwity zastawnicze albo je biorą w zastaw za drobną pożyczkę.

I ciekawa rzecz, że pierwsze zakłady zastawnicze nie dla ubogiéj ludności lecz dla szlachty były przeznaczone. W zastaw brano prawie wyłącznie rzeczy kosztowne. W księgach zastawniczych z XVIII stul. pełno nazwisk arystokratycznych. I pierwsze domy założono w cyrkułach, gdzie mieszkała bogata szlachta, w pobliżu rezydencyi królewskich.

Właściwie jest tylko jeden zakład zastawniczy (*Mont-de-piété*), który ma trzy domy pomocnicze i 19 kantorów cyrkułowych. Otwarte są one przez dzień cały do godziny 8-éj wieczorem. Wszystko się bierze w zastaw, co może mieć jakąkolwiek wartość i nie ulega szybkiemu zepsuciu. Pomiędzy zastawionemi rzeczami najwięcéj zégarków, łańcuszków, pierścionków i innych kosztowności; następnie odzież męska i żeńska, bielizna, srebra, płótno i materye; daléj pościel, noże i widelce, zégary, materace, firanki; wreszcie książki, obrazy, lornetki (około 8,000), dywany, parasole i t. d. Składy na te rzeczy są ogromne i doskonale urządzone, tak, że odszukanie jest łatwe i nie ma prawie wypadku, ażeby jaki zastaw zaginął. Materace i pościel ulegają w odpowiednio urządzonych piecach dezynfekcyi.

Pożyczki dochodzą od jednego franka do czterech cyfr, t. j. tysiąca. Na pożyczkę małą, do kilkunastu franków, nie żąda się żadnego dokumentu tożsamości osoby. Im większa pożyczka, tém więcéj ostrożności w jéj wydaniu. To też złodzieje rzadko zastawiają skradzione rzeczy. Na 350 tysięcy zégarków, które w ciągu roku w przeciętnéj téj liczbie zostają oddane, zaledwie 255 okazuje się pochodzenia złodziejskiego.

Kwit wystawia się na rok jeden, ale po upływie tego czasu można, opłaciwszy procent, odnowić takowy i takie odnowienie trwa nieraz całe dziesiątki lat.

Mechanizm finansowy zakładu jest bardzo prosty. Jedną rę-

ką sam pożycza a drugą daje pożyczki. Na podstawie dekretu, wydanego w Moskwie przez Napoleona I, Komedya Francuska składa swe dwa miliony w kasie zakładu. Mont-de-piété rocznie płaci od 2 do 3 procentów od 50 milionów pożyczonych. Obrót jego rocznie wynosi 200 milionów. Ci, co biorą w zakładzie pożyczki, płacą rocznie do 100, wliczając w to i podatek nałożony. Pożyczki do 25 franków nie przynoszą zakładowi żadnego dochodu, ale następnie im wyższa pożyczka, tém większy zysk daje. Zamożniejsi płacą za uboższych.

Zarząd miejski, który wziera z urzędu w czynności zakładu, przychodzi podczas mrozów zimowych w pomoc ludności ubogiéj, przeznaczając pewną kwotę na wykupienie pościeli i ciepłéj odzieży. W 1871 r. komitet angielski doręczył zakładowi 20,000 franków z tém, ażeby robotnikom zostały oddane narzędzia do pracy potrzebne a podczas wojny zastawione.

VII. Szkoły.

W żadnym z działów gospodarstwa miejskiego nie okazała się tak wielką, gorliwą i skuteczną działalność rady miejskiéj jak w szkolnictwie. Zrozumiała ona dobrze, że rozszerzenie oświaty w ludności, to podniesienie jéj także moralne i społeczne. Budżet szkolny jest w odwrotnym stosunku do budżetu więziennego. John Lubbock przypisuje ogromnemu wzrostowi szkół i czytelni zmniejszenie się liczby więzionych w Anglii od 1877 r. Kiedy w tym roku uwięziono 20,800 ludzi, to w bieżącym roku tylko 13,000, a tymczasem, biorąc na uwagę wzrost ludności, należałoby się spodziewać, że dojdzie ta liczba do 28,000, a więc można powiedziéć — zmniejszyła się ona prawie o dwa razy. Ze względu na młodych przestępców, liczby jeszcze większy wykazują postęp. W 1856 r. uwięziono 14,000, w 1866 — 10,000, w 1876 — 6,000, a w ostatnim 5,600. Skazanych do ciężkich robót 1860—1864 r. liczono przeciętnie 2,800, a w r. zeszłym 729, to jest czwarta część poprzedniéj liczby, chociaż ludność wzrosła wyżéj niż o trzecią część. Że zachodzi ścisły związek pomiędzy ciemnotą umysłową i zbrodnią, świadczy ta okoliczność, że na ogólną liczbę więźniów w Anglii tylko 5,000 umié czytać i pisać, a zaledwie 250 można nazwać ludźmi wykształconymi [1]). Z tegorocznego sprawozdania mi-

---

[1]) Revue Internationale de Sociologie, 1893, Nr. 2, artykuł Lubbock'a: Le role social de l'instruction populaire str. 149 i 150.

nistra sprawiedliwości, które jednak obejmuje liczby z 1889 r., widzimy, że i we Franzyi zbrodniczość się zmniejsza. Stawionych przed sąd przysięgłych było w 1886 — 3,252, w 1887 r. liczba spada do 3,164, w 1888 do 3,126, a wreszcie w 1889 wynosiła tylko 2,950; więc w ciągu trzech lat wszystkiego widzimy zmniejszenie o dziesiątą część przeszło. Liczba popełnionych morderstw w tym czasie spadła z 399 na 349. Zapewne i to przypisać należy wpływowi téj ustawy z 1881 r., która elementarną naukę uczyniła powszechną, obowiązującą i bezpłatną.

Rada miejska, jeszcze przed ogłoszeniem téj ustawy, gorliwie się zajmowała sprawą szkolnictwa i pomimo to, musiała ogromnie powiększyć swoją czynność i wydatki, chcąc ażeby wydana ustawa należycie wykonywaną była. Wprawdzie na mocy ustawy z dnia 19 lipca 1889 r. państwo przyjęło na siebie utrzymywanie szkół gminnych, to wszakże w Paryżu ogranicza swoją rolę na ściąganiu tylko podatku, a zebrane pieniądze oddaje gminie miejskiéj, która do téj sumy dokłada jeszcze wiele milionów z innych źródeł czerpanych. Przedewszystkiém liczba istniejących gmachów szkolnych okazała się zamała, a przytém były ciasne, źle oświetlane, jeszcze gorzéj przewietrzane, z małemi podwórzami. Należało więc nowe gmachy pobudować i dawne przerabiać. Pomimo tego, że bardzo wiele w tym względzie zrobiono, jest jeszcze czasowych budynków z drzewa 26 dla szkółek męskich i 23 dla żeńskich. Następnie trzeba było powiększyć znacznie liczbę nauczycieli i nauczycielek, dać im odpowiednie środki do życia i natchnąć ich myślą ważności wykonywanego zawodu. I w tym względzie zrobiono bardzo wiele. Pomiędzy ludnością i szkołą zapanowały życzliwe stosunki.

Pierwszym stopniem nauczania początkowego jest szkoła macierzyńska, która raczéj jest schroniskiem, w którém dzieci mające od 2 do 6 lat, przepędzają dzień prawie cały, przeplatając naukę, zabawą, a raczéj odwrotnie. Sama nauka połączona jest ze śpiéwkaki i lekcya nie powinna trwać dłużéj nad pół godziny. Dzieci większą część czasu przepędzają w ogródku, albo w obszernéj izbie a raczéj szopie, zimową porą opalanéj. Zabawą i nauką kierują kobiéty posługując się metodą Froebla, aczkolwiek nie czynią tego niewolniczo, lecz z uwzględnieniem właściwości charakteru narodowego. Chłopczyki i dziewczynki podzielone są, odpowiednio do swego wieku na grupy, ażeby można było zastosować stopniowość w kształceniu dziecka. Nauka obejmuje czytanie, pisanie, rachunki, opowiadania z dziejów ojczystych i rozmaite wiadomości pożyteczne w życiu co-

dziennėm. Większa część dzieci jada śniadanie (o godzinie 12-téj) w szkole, przynosząc z sobą w koszyku kawałek chleba, trochę wina i czasem deser. Zupy ciepłéj, kawałeczka mięsa i jarzyny dostarcza kuchnia szkolna za opłatą 10 centimów (około 8 groszy). Dzieci ubogie nic nie płacą i dostają nadto kawał chleba, a ponieważ wypłata odbywa się znaczkami metalowemi, które trzeba kupić w kasie szkolnéj, więc ani dzieci, ani osoby, zajmujące się rozdzielaniem jedzenia, nie wiedzą, kto właściwie jada za własne a kto za szkolne pieniądze. Czyni się to umyślnie, ażeby nie naruszać poczucia równości koleżeńskiéj. Każda szkoła ma własną kasę, któréj dochód stanowią dary, składki, koncerty, loterye i t. p.

Jako przejściowe od macierzyńskiéj do zwykłéj gminnéj, są szkoły dziecinne (*écoles enfantines*), kierowane także przez nauczycielki. Jest ich wszystkiego 16.

Właściwą szkołą elementarną jest początkowa (*école primaire*) niższa, osobna dla chłopców i osobna dla dziewcząt. Uczęszczanie do niéj jest obowiązkowém od 6 do 12 lat.

Szkoła ta w ostatnich czasach uległa i zewnętrznie i wewnętrznie wielkiemu przeobrażeniu. Gdyby cudzoziemiec—powiada Strauss—po 30 latach niebytności, przybył do Paryża, to byłby zadziwiony ogromną zmianą, jaka w niéj zaszła. Zamiast dawnéj szkoły, ponuréj, chłodnéj, ciemnéj, do któréj przychodziła dziatwa tylko licho odziana, w któréj był tylko jeden nauczyciel — teraz ujrzałby on wspaniałe gmachy pełne powietrza i światła, wygodnie umeblowane, z salami i podwórzami krytemi dla zabaw, z licznym personelem nauczycielskim. Dzieci w podartéj odzieży nie ujrzysz, bo jeżeli rodzice nie są w stanie ubrać ich przyzwoicie, kasa szkolna przychodzi im w pomoc.

Nauka szkolna ma na celu dać uczniowi to, co jest najpotrzebniejszego w życiu, a więc przedewszystkiém dobrą znajomość języka ojczystego, rachunki, główne wiadomości z geografii i historyi, przeważnie ojczystéj, początki wiedzy we wszystkich jéj gałęziach, np. anatomii i fizyologii, a przytém rodzaj katechizmu moralności i obowiązków obywatelskich. Uczą także rysunków i śpiewów chóralnych. Od 1880 i 1882 r. zaprowadzono w szkołach tak męskich jak żeńskich naukę gimnastyki, a następnie pracę ręczną w warsztatach. Chłopcy wprawiają się do obrabiania drzewa i żelaza; dziewczęta zajmują się szyciem, a sporządzone przez nie pieluszki i koszulki odsyłane są do żłobków i wolno im się w godzinach pracy warsztatowéj

zajmować naprawianiem własnéj lub swoich braciszków bielizny i odzieży.

Starając się o rozwinięcie umysłu i dostarczenie wiedzy, szkoła troskliwie baczy na warunki zdrowia i rozwój sił cielesnych. Nauka nie powinna ani przeciążać, ani nudzić. Pomiędzy godzinami klasowemi są znaczne przerwy, w których wolno uczniom biegać po podwórzu i bawić się. Praca umysłowa przeplata się śpiéwami, gimnastyką, pracą ręczną w warsztatach. Oprócz niedzieli, czwartek jest jeszcze wolny od szkoły.

Wszyscy uczniowie otrzymują potrzebne książki, kajety, pióra, ołówki i t. d. bezpłatnie. Wiele uczniów i uczennic jada śniadanie w szkole. Wolno, po ukończonych lekcyach (o 4-éj godzinie), pozostawać w gmachu szkolnym aż do powrotu rodziców z roboty i albo bawić się na podwórzu, albo w klasie przygotować zadaną lekcyę na dzień następny. Jeden z nauczycieli pozostaje dla nadzoru tych dzieci.

Kasa szkolna corocznie wysyła chorowite lub słabe dzieci podczas miesięcy wakacyjnych na wieś do kolonii szkolnych, które są urządzone w rozmaitych miejscowościach Francyi, zalecających się swą zdrowotnością.

Ci, którzy po ukończeniu szkoły początkowéj, chcieliby ugruntować i powiększyć nabyte wiadomości, mają liczne kursy uzupełniające, w których uczą matematyki, fizyki, nauk przyrodniczych, rysunków, śpiewu, rachunkowości. Uczniowie wprawiają się przytém w ćwiczeniach gimnastycznych i w pracy warsztatowéj.

W r. 1883-im obok kursów uzupełniających zorganizowano dla dziewcząt klasy gospodarstwa domowego (*classes menagères*), w których uczą, jak należy utrzymywać mieszkanie pod względem hygienicznym, jaki rodzaj opału i oświetlenia jest najkorzystniejszy, jaki sposób żywienia najlepiéj odpowiada swemu celowi i t. p. Dziewczęta pod przewodnictwem doświadczonéj nauczycielki wprawiają się do gospodarstwa domowego, po kolei chodząc na rynek dla zakupienia żywności, gotując jedzenie, piorąc bieliznę, prasując i t. d.

Ten sam cel, co i kursy uzupełniające, ma także i szkoła początkowa wyższa (*école primaire supérieure*). Ma ona tylko szerszy i więcéj określony program. Po dwuletniéj w niéj nauce, uczniowie zostają podzieleni na dwa oddziały: handlowy i przemysłowy. Rachunkowość, języki obce (angielski, niemiecki, włoski i hisz-

pański) i geografia kupiecka stanowią główne przedmioty w pierwszym; matematyka, fizyka i chemia—w drugim. Uczniowie pozostają w tych oddziałach rok albo dwa.

W Paryżu dla chłopców jest pięć takich szkół: Turgot'a, Colbert'a, Lavoisier'a, Arago i Jana Baptysty Say'a w Auteuil. Wszystkie te szkoły mają obszerne sale i dobrze urządzone pracownie i warsztaty. Rada miejska, wyprzedzając prawo, w r. 1882 zniosła w nich opłatę za naukę, a chcąc, ażeby i ubodzy uczniowie mogli z niéj korzystać, ustanowiła stypendya roczne po 300, 400 i 500 fr., wypłacając całe lub dzieląc na połowę, stosownie do mniejszéj lub większéj zamożności rodziców. Szkoła J. B. Say'a, położona w pięknym parku, z widokiem na Saint-Cloud, ma 300 uczniów mieszkających w zakładzie; 200 jadających tam śniadanie i obiad i 200 tak zwanych eksternów, t. j. przychodzących tylko na naukę. Wszyscy wnoszą opłatę, aczkolwiek eksterni bywają często od niéj uwalniani. Do pensyonatu przyjmują chłopców od 8 do 9 lat, a kurs szkolny obejmuje i część wykładów niższéj szkoły i całą wyższą.

Dla dziewcząt istnieją dwie takie wyższe szkoły,—jedna z nich nosi nazwę Zofii Germain, słynnéj matematyczki. Program tych szkół jest podobny do programu szkół męskich, z uwzględnieniem zajęć kobiecych, jak np. szycia, wyrobu sztucznych kwiatów i t. d. Jedna mieści 350, a druga 450 uczennic.

Szkoły zawodowe powinny zastąpić terminatorstwo, które nie odpowiada ani nowoczesnym pojęciom o nauce, ani nowoczesnemu ustrojowi saméj produkcyi. Bardzo niedawne zaprowadzenie pracy warsztatowéj do szkół gminnych jest ważnym krokiem w tym względzie. Wyrabia to zręczność i daje wprawę, ale każdy zawód wymaga jeszcze specyalnéj umiejętności. Temu zaradzić może tylko szkoła zawodowa. Ważną i ciekawą próbę tego rodzaju przedstawia szkoła Diderot'a, założona przez gminę miejską w r. 1873-im w części miasta robotniczéj na bulwarze Villette. Kurs jest trzyletni, i mieści ona 300 chłopców. Praca warsztatowa zajmuje większą część dnia, i dwie tylko godziny dziennie przepędzają uczniowie w klasach, a w ostatnim roku tylko jedną. Przez pierwsze cztery miesiące trwa tak zwane motylkowanie (*papillonnage*), t. j. uczeń wciąż zmienia zajęcia i od hebla przechodzi do pilnika, a od pilnika do młota kowalskiego i t. d. Wreszcie, stosownie do skłonności, uzdolnienia i siły, wybiera sobie zawód, a wówczas praca warsztatowa coraz bardziéj koncentruje się ku jednéj specyalnéj jakiéj czynności. Diderotowie — tak nazywają tych uczniów w mieście — zwykle bywają bardzo zdolnymi robotnikami.

W r. 1873 dyrektor szkoły gminnéj na ulicy Tournefort, Laubier, zwolennik zasad wychowawczych Jana J. Rousseau, sam przytém zamiłowany w pracy ręcznéj, urządził w szkole warsztat i uczniom, którzy uczyli się dobrze, pozwalał przychodzić we czwartek, dzień wolny od nauki, i wspólnie z nim pracować. Uczniom to bardzo się podobało, i uważali to za wielką nagrodę, kiedy otrzymywali pozwolenie przychodzenia do warsztatu. Dowiedziawszy się o tém, Salicis, człowiek światły i zamożny, pośpieszył ze swoją pomocą Laubier'owi. Po jego śmierci gmina miejska przyjęła wszystkie wydatki na siebie i płaci rocznie 18,000 franków wyłącznie na same warsztaty. Szkoła na ulicy Tournefort przedstawia typ wyjątkowy: w niéj nauka szkolna jest połączona z nauką zawodową. Chłopcy uczą się, stosownie do upodobania, albo introligatorstwa, albo rzeźbiarstwa, albo tokarstwa, albo stolarstwa i ślusarstwa. Mogą się uczyć i kilku zawodów jednocześnie.

Nauka rysunków, bardzo ważna w rzemiosłach, nietylko wchodzi w program szkół gminnych, ale nadto została ułatwiona dla dorosłych przez urządzenie odpowiednich kursów wieczornych, które są bardzo licznie odwiedzane. Istnieje przytém specyalna szkoła rysunkowa o trzechletnim kursie. Szkoła Bernarda Palissy ma na celu nadać industryi charakter artystyczny. Szkoła fizyki i chemii przemysłowéj, kierowana przez znakomitego chemika Schutzenbergera, ma kurs trzechletni. Przez trzy półrocza uczniowie mają wspólne lekcye; następnie fizycy oddzielają się od chemików i pracują oddzielnie. Co roku przyjmuje się do szkoły tylko 30 uczniów. Rada miejska, otwierając tę szkołę, przeznaczyła ją głównie dla Paryżan i wyznacza im miesięcznie po 50 fr. na utrzymanie. Na przedmieściu Sainte-Antoine została w r. 1886-ym otwarta szkoła Boulle, w której uczniowie przez cztery lata kształcą się w zawodach: stolarskim, tapicerskim, rzeźbiarskim i tokarskim. Ażeby ułatwić ubogim chłopcom kształcenie się w téj szkole, urządzona jest w zakładzie kuchnia, która daje im śniadanie i podwieczorek. W r. 1892-im rada miejska wydała na tę kuchnię 30,000 franków. Szkoła Estienne przysposabia robotników, którzy w rozmaity sposób składają się na materyalne wytworzenie książki. Obejmuje ona: drukarstwo, introligatorstwo, litografię, drzeworytnictwo i fotografię. Szkoła mieści 300 uczniów, którzy pracują w warsztatach od 8 godziny zrana do 6 wieczorem, z przerwami na śniadanie i podwieczorek.

Dla dziewcząt istnieje w Paryżu sześć szkół zawodowych. Przed

południem odbywa się nauka teoretyczna (rachunkowość, rysunki, nauka kroju, nauka jednego z obcych języków i t. d.) w klasach; po południu praca praktyczna w warsztatach, których jest dwanaście w szkole na ulicy Fondary. Kształcą się tu przyszłe: szwaczki, praczki, hafciarki, kwiaciarki, kapeluszniczki i t. d. Liczba uczennic w téj szkole wynosi 217. W szkole na ulicy Bossuet są dwa oddziały: w jednym robią gorsety, kapelusze, suknie i t. d., w drugim malują na porcelanie, jedwabiu, wachlarze, ekrany i t. d. i zajmują się ceramiką. W pierwszym oddziale jest znacznie więcéj uczennic, niż w drugim. W podobnyż sposób co i poprzednie, są urządzone i cztery inne szkoły.

Miasto własnym kosztem utrzymuje dwa kolegia, rodzaj naszych gimnazyów, z nich *Chaptal* co do swego programu jest jakby dalszym ciągiem szkoły wyższéj, *Rollin* zaś nie różni się od państwowych liceów, których w Paryżu jest jedénaście, a dla dziewcząt cztery. W kolegium Chaptal na 1,200 uczniów, 500 pobiera większe lub mniejsze stypendya od gminy miejskiéj. Dwa nowe licea męskie, *Buffon* i *Voltaire*, stanęły wspólnym kosztem miasta i państwa.

W ostatnich czasach zwrócono wielką uwagę na rozwój sił cielesnych młodzieży szkolnéj. W tym celu Paschal Grousset, popierany przez władze uniwersyteckie i zarząd miejski, zorganizował ligę, która upowszechnia pomiędzy młodzieżą szkolną zamiłowanie do gier wyrabiających siłę, pomiędzy któremi najważniejsze miejsce zajmuje gra w piłkę.

Rada miejska w ostatniém dwudziestoleciu bardzo wiele zrobiła nietylko dla podniesienia szkolnictwa, ale i dla rozszerzenia wiedzy i oświaty pomiędzy ludnością paryską. Po wystawie powszechnéj w r. 1889 objęła w posiadanie ogromne akwaryum, urządzone na Trocadero, i urządziła tam chów sztuczny ryb wraz z odpowiednim kursem naukowym. W mieście zorganizowała dla dorosłych naukę rachunkowości, kroju sukien, języków obcych. Przeznaczyła pewną sumę na odczyty. Pozaprowadzała w merostwach biblioteki cyrkułowe. Wreszcie w samym ratuszu utworzyła coś w rodzaju ludowego uniwersytetu, powołując znakomitych uczonych do systematycznego wykładu ważniejszych gałęzi wiedzy.

VIII. Giełda pracy.

Giełda pracy jest samodzielną instytucyą robotniczą, która stała się ogniskiem dla licznych syndykatów i objęła niejako główne

kierownictwo w zabiegach klasy robotniczéj o lepszy ustrój społeczny. Z tego jednak względu, że powstała ona dzięki wielkiéj ofiarności rady miejskiéj i utrzymuje się jéj głównie groszem, przeto, idąc za przykładem Pawła Straussa, obszerniejszy damy jéj tu opis.

Myśl utworzenia giełdy pracy powstała już w r. 1790-ym, ale dopiéro w r. 1848 prefekt policyi, Ducoux, przedstawił projekt onéj radzie miejskiéj, a w r. 1851 izbie poselskiéj. Wypadki polityczne które wkrótce zniweczyły sądy parlamentarne, zaprzepaściły tę sprawę i dopiéro w r. 1875 na nowo ją podniesiono. Wybrana komisya obliczała koszta i badała najodpowiedniejsze miejsce dla postawienia potrzebnego gmachu. G. Mezureur 5 listopada 1886 r. złożył w tym przedmiocie opracowany raport, i rada miejska większością głosów wnioski onego zatwierdziła. Tymczasowo otwarto giełdę pracy 3-go lutego 1887 r. w sali redutowéj na ul. Jean Jacques Rousseau w pobliżu hal centralnych.

Nowy gmach giełdy pracy został zbudowany przez Bouvard'a na ulicy Château-d'Eau w pobliżu Placu rzeczypospolitéj. W maju 1892 r. przeniesiono do niego sekretaryat i biura syndykalne, pozostawiając w sali redutowéj tylko te syndykaty, które ze sprawą żywnościową mają do czynienia. Nowowybudowany gmach przedstawia się wcale poważnie, a jego urządzenie wewnętrzne jest wygodne i pełne gustu. Kosztował on gminę miejską prawie 3 miliony franków. Rada miejska wydaje rocznie na giełdę pracy 168,400 franków.

Na parterze wielka sala z dużemi oknami łatwo może mieścić 3,000 osób. Dokoła niéj są mniejsze sale i biura sekretaryatu, który się składa z pięciu sekretarzy, skarbnika, bibliotekarza i archiwisty, otrzymujących wynagrodzenia po 48 fr. tygodniowo.

Szerokie i dobrze oświetlone schody prowadzą na piętro, gdzie się znajduje wcale dobrze zaopatrzona biblioteka i obszerna sala odczytowa.

Na czterech dalszych piętrach mieszczą się biura syndykalne, sale komisyjne i wielka sala dla liczniejszych zgromadzeń. Biuro syndykalne służy nieraz kilku syndykatom, które odbywają w niém w różnych godzinach swoje czynności. Umeblowanie biur, których jest 153, przedstawia się bardzo skromnie: biurko do pisania, szafa do chowania papierów, kilka krzesełek, lampa wisząca — oto wszystko.

W suterynach jest obszerna sala, zimową porą opalana, z ławkami dokoła. W niéj się gromadzą robotnicy, którzy pozostają bez zatrudnienia i oczekują wynajęcia. Dawniéj większa ich część stała na placach, a od zimna i słoty szukała schronienia w sąsiednich szynkach.

Gmach cały oświetla elektryczność. Ma 14 lamp łukowych na parterze i w suterynach, a 577 żarowych lamp o natężeniu od 10 do 16 świéc. Wszystkie piętra połączone są z parterem za pomocą telefonu, i każde biuro ma dzwonek elektryczny. Telefon jest także przeprowadzony od giełdy pracy do sali redutowéj.

Organizacya giełdy pracy ściśle jest połączona ze stowarzyszeniami robotniczemi i opiéra się na zasadzie wyborczéj. Określająca tę organizacyę ustawa została wypracowana przez syndykaty robotnicze i przez radę miejską bez zmiany zatwierdzona.

Podług téj ustawy, izby syndykalne i stowarzyszenia zawodowe wybiérają delegatów, którzy stanowią komitet główny. Ten służy do wzajemnego porozumiewania się, obmyśla środki działania i nadaje kierunek czynnościom ogólnym. Dla wykonania swych postanowień wybiéra on komisyę wykonawczą, złożoną z 31 członków i podzieloną na 5 podkomisyi: administracyjną, finansową, obrachunkową, statystyczną i propagacyjną. Wreszcie komisya wykonawcza wybiéra z swego łona sekretaryat, który zarządza giełdą pracy, a o którym już wspominałem. Organem urzędowym całéj téj organizacyi jest „*Bulletin officiel de la Bourse du travail*,“ który dwa razy na tydzień wychodzi.

Biura syndykalne, wybrane przez odpowiednie syndykaty, zajmują się załatwianiem interesów robotniczych swego zawodu. Robotnik udaje się do biura z żądaniem wyszukania mu pracy; ze skargą, jeśli się czuje skrzywdzonym; z prośbą o wsparcie, jeżeli okoliczności zmuszą go do tego. W każdém biurze są odpowiednie ku temu księgi, w które się wpisują żądania i skargi. Największą czynnością biur jest pośredniczenie w dostarczaniu pracy. W 1890 r. na 29,274 zapisanych robotników, otrzymało stałe lub czasowe zajęcie — 24,925; w 1891 r. liczba zapisów wynosiła 37,142, a dostało zatrudnienie 32,353. Jeżeli sprawa robotnika jest słuszna, a nie ma on środków dostatecznych do wytoczenia procesu sądowego, biuro syndykalne wyręcza go w tém i nie jedna już sprawa w ten sposób została wygrana. W czasie bezrobocia mimowolnego lub ułożonego, biura zajmują się rozdawnictwem wsparcia pieniężnego.

Giełda pracy paryska, która w krótkim przeciągu czasu stała się bardzo ważnym czynnikiem w życiu i ruchu robotniczym, służy za wzór dla innych miast, posiadających liczną ludność robotniczą. Obecnie jest takich giełd we Francyi 40. W roku zeszłym utworzyła się między niemi federacya, która odbyła już dwa kongresy. Na tegorocznym, który odbył się w lutym w Tuluzie, były reprezentowane 23 giełdy i 750 syndykatów.

B. L.





ROBERTSON I MORISON.

Pomimo coraz bliższego zespolenia się różnoplemiennych społeczeństw, pomimo coraz szybszego przenikania i oddziaływania jednych piśmiennictw na drugie, jest jeszcze, u schyłku naszego XIX-go stulecia, rozpowszechnionych wiele fałszywych opinii u jednych narodów o umysłowym nastroju drugich. Winę tego kłaść należy przedewszystkiem na to, że przecięciowo ogranicza się nawet wykształcona publiczność do czytania powieściowych utworów sąsiadów. Kiedy nazwiska autorów beletrystycznych używają i na obczyźnie szerokiéj popularności, o pisarzach innych działów, właśnie tych, w których się stan cywilizacyjny danego społeczeństwa najlepiéj ujawnia, nawet nie słyszano: imiona ich brzmią nieraz dla współczesnych, jak imiona dynastyi egipskich, wcześniejszych od wielkich piramid. A taka upokarzająca nieświadomość nie istnieje wyłącznie u naszego społeczeństwa. Wiele przykładów wymienićby się dało u innych, które się chełpią wysokim rozkwitem kultury. Piszący nie może zapomniéć zadziwienia, jakie wyrazili przed kilku laty dziennikarze francuscy, posłyszawszy, że w sąsiedniéj Anglii noszono się z myślą utworzenia akademii na wzór paryskiéj, z krzesłami dla czterdziestu nieśmiertelnych. Nie mogło się im pomieścić w głowie, że jest aż tylu wyborowych pisarzy w kraju, którego znali zaledwie dwóch lub trzech romansopisarzy. Udali się z zapytaniem do Taine'a, który zdarł im natychmiast kataraktę z oczów, oświadczając, że w Anglii wyliczyćby można nie na dziesiątki, ale na setki pisarzy oryginalnych i potężnych myślą, a kunsztownych formą.

Nie wiemy, czy co do téj ostatniéj zalety—co do kunsztowności formy, Taine, w swym ferworze dla piśmiennictwa angielskiego,

nie przekroczył właściwéj miary. Wogóle jednak, nic prawdziwszego jak jego sąd ogólny. Im więcéj się w piśmiennictwie angielskiém rozglądamy, tém bardziéj ustala się w nas przeświadczenie, że jest ono wiernym obrazem społeczeństwa, które pod względem instytucyi politycznych, ekonomicznego rozwoju, technicznego postępu i cywilizacyjnéj ogłady było oddawna i być nie przestało wzorem i typem dla innych. Z góry można było o takiéj znamiennéj cesze angielskiego piśmiennictwa być przekonanym, wiedząc, że pomiędzy życiem narodowém a literaturą musi istniéć harmonia najściślejsza. Lecz wypada położyć nacisk na niektóre przynajmniéj właściwości twórczości piśmienniczéj, ażeby rozwiać uprzedzenia równie niesłuszne, jak głęboko zakorzenione.

Do rzędu ich należy bezwątpienia grasująca opinia o religijnym *cant*'cie, rzekomo wykoślawiającym ducha piśmiennictwa angielskiego. Nic powszechniejszego, jak spotkać się ze zdaniem, że myśl swobodna, żadnemi pętami teologii nie obarczona, może się gnieździć we Francyi, klasycznéj ziemi encyklopedystów, albo w Niemczech, gdzie egzegeza i metoda krytyczna oddawna w puch obróciła apodyktyczne zasady rozumowania. Gdy się pomyśli, że sąd podobny wypowiadany bywa o narodzie, którego filozofowie, że pominiemy wszystkich innych, noszą takie nazwiska, jak: Locke, Hume, Bentham—nazwiska, będące niejako symbolem anti-dogmatyzmu, gdy się pomyśli, że obecnie żyje tam jeszcze i pisać nie przestał taki myśliciel, jak Herbert Spencer, najpotężniejszy przedstawiciel doktryny ewolucyi, ogarnia nas nieprzeparty pohop odesłania ludzi posługujących się takiemi argumentami do abecadlnika. W kraju, gdzie nauki ścisłe, doświadczalczne, znajdują niestrudzonych pracowników u tysiącznych ognisk naukowych, gdzie one codziennie znajdują niezliczone zastosowania praktyczne, mówić o obskurantyzmie systematycznym—jest po prostu urąganiem prawdzie.

Lecz istnieją także innego rodzaju przeciwnicy piśmiennictwa angielskiego. Nie przeczą oni, że na wyżynach myśli abstrakcyjnéj w ciasnym promieniu lampy metafizyków, albo w pracowniach praktycznych fizyków, geologów i w Anglii nawet myśl wyzwoliła się ze scholastycznych formułek i teologicznego musu, ale są zdania, że nie oddziałała taka atmosfera duchowa na całość umysłowéj twórczości, na któréj wszędzie stwierdzić można wpływ pedantyzmu i bigoteryi. Nie myślimy bynajmniéj twierdzić, ażeby kościół anglikański nie wycisnął był swego piętna na duchowym organizmie wielko-brytańskim: musiało to miéć miejsce. Ale jesteśmy przeświadczeni, że gdyby ci apryoryczni nieprzyjaciele ko-

ścioła zapoznali się bliżéj bądź z teologiczną literaturą angielską, bądź z tą, która się około jego instytucyi ogniskuje, toby natychmiast spostrzegli naprzód, że nie można stawiać całéj téj produkcyi pod jednym szyldem, bo są w niéj nietylko odcienia, ale i wielostronne, często krzyżujące się kierunki, a następnie, że nawet w tych utworach, które z góry potępiać są gotowi jako zacofane, bije tętno wysoce a często niespodziewanie postępowe.

Jakiekolwiek zastrzeżenia uczynićby się podobało, istnieje fakt niezbity, że radykalizm torujący sobie szeroki gościniec wśród publicznego życia angielskiego, znajduje także coraz głośniejszy wyraz w piśmiennictwie. Jest wprost przeciwném prawdzie utrzymywać, żeby wśród publicystów, wśród krytyków angielskich przemagały idee i zasady wsteczne. Nic łatwiejszego, jak wymienić szereg pisarzy wyborowych, których niepodobna ochrzcić inaczéj jak nazwą wolnomyślicieli. Przedstawiliśmy tutaj już jednego z nich, najcelniejszego — Johna Morley [1]. Jest zamiarem naszym zapoznać czytelników z innymi pisarzami téj saméj grupy, w nadziei, że ich te pobieżne studya do bliższego wniknięcia w ich duchowy nastrój zachęcą.

Pierwszą osobistością, do któréj się zwracamy, jest John M. Robertson; ostatnia jego książka *Modern Humanists* uznana była w roku zeszłym przez poważną krytykę za najoryginalniejsze dzieło wyszłe w tym czasie. Nie dziwimy się, że osobistość ta jest stosunkowo mało znana na obczyznie, bo nawet we własnym swym kraju często mieszany bywa z liczną rzeszą Robertsonów. Co jednak zastanawia, to, że brany bywa za swego ojca, pastora szkockiego, który jest właśnie o tyle gorliwym stronnikiem kościoła, o ile on jest jego przeciwnikiem. Jeżeli prasa religijna albo napastuje dzieła Johna M. Robertsona energicznie, albo pomija je wygodném milczeniem, dziwić się nie można; stanowisko takie byłoby jednak do wytłómaczenia trudne u organów wolnomyślnego obozu, gdyż znalazł on w nim szermierza o gruntowném wykształceniu i o cywilnéj odwadze, któréj nieraz zbywa pisarzom nieośmielającym się zerwać stanowczo z opiniami, powszechnie przyjętemi w swém środowisku.

Oprócz stałego i czynnego współpracownictwa w organie postępowego stronnictwa *The National Reformer*, ogłosił on dwa dziełka ekonomiczne: *The Eight hours question* (1893) i *Fallacy of saving* (1892). O kilka lat pierwéj wydał *Christ and Krishna*, a rozproszone

---

[1]) Patrz „Ateneum“ za sierpień 1892 r.

pierwiastkowo po wielkich miesięcznikach *essaye*, które podobno służyły jako tło do odczytów w Towarzystwie etycznem, wydane zostały w roku zeszłym pod zbiorowym a niezbyt szczęśliwym tytułem *Modern Humanists*. Dzieło to swą oryginalnością ustaliło ostatecznie stanowisko autora pomiędzy przodownikami postępowego ruchu umysłowego w Anglii.

Samodzielność sądu autora pokazuje się na każdym punkcie, którego dotykać mu przychodzi, a nietylko w kwestyach religijnych. Porównał on gdzieś wolnomyślicielstwo do konstytucyjnéj ustawy: nie są one dobrem same przez się, ale wartość ich polega na tém, że dają możność do słusznego, bezstronnego rozwiązania życiowych zagadnień, jedno teoretycznych, druga praktycznych. Stosuje on tę zasadę szerokiéj, swobodnéj analizy w kwestyach ekonomicznych. Jego monografia o Ośmiogodzinnéj pracy pokazuje to już dowodnie. Będąc radykałem politycznym, nie jest przecież oślepiony tą sprawą prawnego ograniczenia godzin pracy do ośmiu, około któréj tak zawzięcie się ujada całe stronnictwo robotnicze. Widzi on dwa historyczne powody, które leżą na dnie agitacyi obecnéj: naprzód ten, że już w średnich wiekach we wszystkich korporacyach robotniczych praca była obowiązującą tylko przez ośm godzin, a za resztę płacono dodatkowy zarobek, a potém, że w naszych czasach prawo mieszało się do ograniczenia godzin pracy kobiét i dzieci. Ale chociaż zadaniem jego są precedencye do obecnéj agitacyi, chociaż daléj wszystkie sympatye autora są po stronie masy robotniczéj, mimo tego szczerze jéj oświadcza, że błądzi, albo raczéj łudzi się, goniąc za tą marą. Wyrzuca on teoretycznéj argumentacyi za ograniczeniem pracy do pewnéj liczby godzin jéj krzyżujące się sofizmata i dziwi się, że ich należycie nie wytknęli ojcowie prawowiernego kościoła ekonomicznego. Ale przedewszystkiém wykazuje niepodobieństwo zasadniczego polepszenia stanowiska materyalnego masy robotniczéj przez tę reformę. Ponieważ robotnicy nie rozporządzają siłą kapitału, jaka się znajduje w ręku przedsiębiorców, ponieważ nie będą w stanie ograniczyć produkcyi, ani podwyższyć ceny targowéj wytworów, zatém na nic się im ta reforma nie zda, nawet gdyby się ją przeprowadzić dało. Gdzieindziéj leży rdzeń zła, na które ubogie warstwy społeczne cierpią: jest nim przeludnienie. Rozmnażając się z bydlęcą nieopatrznością, idąc za popędem instynktu płciowego, a nie za zdrowym rozsądkiem, masa robotnicza wzrasta i wzrasta bez przerwy. Skoro wytwórczość ma swoje naturalne szranki, których przekroczyć nie może przy ograniczonym popycie, i skoro do wykonania każdéj pra-

cy ofiaruje się o wiele więcéj rąk, niż ich potrzeba, oczywista zatém, że cena zarobku jest i pozostanie nizka, nawet gdyby ograniczono godziny pracy. Dopóki masa społeczna nie zdobędzie się na energiczne i wytrwałe przedsięwzięcie środków zmniejszających i powściągających rodzajność ludzką, dopóty poziom dobrobytu podnieść się nie potrafi. Robotnicy sobie samym przypisać winni swą uciążliwą dolę. Nawet gdybyśmy nie wiedzieli, że autor ten był przyjacielem p. Bradlaugh, wielce gorliwego przed paru laty propagatora i wskrzesiciela teoryi Malthusa, moglibyśmy o solidarności ich opinii pod tym względem być przekonani. Rozumié się, że wszystkie argumenta przeciwko téj teoryi *moral restreint* powielekroć sformułowane i tutaj zastosowane być winny. Ale nie zawadzi powiedziéć nawiasem, że chwilowo w Anglii teorye Malthusa cieszą się znowu wielkiém powodzeniem i że jesteśmy świadkami, rzec można, ich powtórnego rozkwitu. Pomiędzy celniejszymi ekonomistami, którzy się pod ten zapisali sztandar, znajdują się Moffat, Mummey i A. Hobson oraz wielu innych.

Do tego samego zasadniczego punktu powraca p. Robertson i w innéj swéj monografii, *Fallacy of Saving*. Sam tytuł, w którym rzucona jest rękawica jednéj z kardynalnych podstaw ekonomicznego *credo* — zasadzie oszczędności — wystarczyłby do zwrócenia na nią uwagi powszechnéj. Kto tylko wziął kiedykolwiek do ręki jaki ekonomiczny podręcznik, ten wié, że kapitał wytwarza się przez zaoszczędzony dobytek, a ponieważ wzrost kapitału publicznego i prywatnego jest warunkiem niezbędnym do powiększenia dobrobytu społecznego, zatém oszczędność jest pierwszą z potrzeb społecznych, jest warunkiem bytu zbiorowego. Sam zdrowy rozsądek nakazywał nam dochodzić do tego samego wniosku, i nic nie mogło było dotąd wstrząsnąć téj prawdy elementarnéj. Nie na wiele się przyda wykazywać, jak to czyni tryumfująco Robertson, że byli ekonomiści, którzy pomieszali oszczędności zasobu społecznego z oszczędzaniem pieniędzy i doszli do pocieszných wyników tak samo, jak ci, którzy w ogromie narodowego długu widzą objaw społecznego bogactwa. Trzeba jednak zawsze powrócić do istniejących stosunków. Być może, że przy jakim innym ustroju społecznym zasób społeczny będzie się zwiększał mimo całkowitego i ciągłego zużywania wszystkich wytworzonych dóbr, obecnie wolno nam to uważać za chimerę. Napróżno autor, stając po stronie socyalistów, szydzi z tych, co się uważają za dobroczyńców społecznych dlatego tylko, iż zaoszczędzili pewną ilość dobytku, że go zatém unieruchomili; jeżeli to przechodowe unieruchomienie jest tylko niezbędnym

warunkiem dalszéj wytwórczości, nie ma powodu go opłakiwać. Tak samo sofistycznemi wydają się nam argumenta, któremi zwalcza opinie ogólnie przyjęte od Smitha do J. St. Milla, że jedynie przez zaoszczędzony dobytek jest się w stanie znaleść sposób produkcyjnego zużytkowania pracy. Teza autora, którą pragnie udowodnić fałsz leżący w pojęciu oszczędności, obraca się około tych dwóch argumentów, że nie ma żadnego powodu zwiększać oszczędności ani przez powiększanie nieskończone wytwórczości, — brakuje nam bowiem do tego środków materyalnych; ani przez zmniejszenie konsumcyi — bo masa narodowa i tak już na niewystarczającym zasobie cierpi. Skoro nieograniczone powiększanie oszczędności nie leży w interesie społeczeństwa, zatém wszelka oszczędność jest ujmą dla ogółu. Jest tu skok widoczny, dotykalny, pomiędzy pojęciem bezwzględném a względném, pomiędzy całością a częścią. Napróżno autor walczy z owym okrzyczanym aksyomatem ekonomicznym, utrzymującym, że rozmiar bogactwa jednych osobników warunkuje się jego brakiem u drugich; cała ta teorya sprowadza się do zasady osobistego interesu. Sam Robertson przyznać to musi w drugiéj części swojéj monografii: dla społeczeństwa ukształtowanego jak nasze, dla każdego jéj członka nie pozostaje nic innego, jak przezorne odkładanie na bok pewnéj części wytworzonego dobytku. Ażeby rozwiązać praktyczne zagadnienie społecznego dobrobytu, autor nie wskazuje na nic innego, jak na coraz szersze zatrudnianie robotników przez gminy i przez państwo i na systematycznie prowadzone zmniejszanie rodzajności ogólnéj. Jako skuteczny bodziec do osiągnięcia tego ostatniego, uważa agitacyę w przedmiocie emerytalnéj pensyi dla starców; i obie te kwestye spływają się u niego w jedną. Nie wchodzimy tu w szczegóły jego pracy. Szło nam jedynie o wykazanie umysłowéj atmosfery, w któréj się obraca i odwagi, z którą się rzuca na zasadnicze pewniki. Dodamy tylko, że, mówiąc o oszczędności i o ograniczeniu rodzajności, stawia za przykład Francyę. Bogactwo jéj i ogólną zamożność powszechnie przypisywano oszczędności, stanowiącéj jedną z charakterystycznych cnót tego społeczeństwa. Robertson przypisuje ją natomiast powolniejszemu, niż w innych krajach, wzrostowi ludności i pod tym względem naśladować ją każe.

Wiele hałasu narobiło inne dzieło Robertson'a, *Christ and Krishna.* We wstępie zaraz windykował on dla wolnomyślicieli monopol bezstronności krytycznéj, gdyż pisarze religijni, z góry przeniknięci bezwzględną prawdą swéj wiary, doktryny żadnéj rozbierać nie mogą obiektywnie; skąd wypływa, że jeżeli wolnomyśliciele mo-

gą, to religijne umysły muszą mylić się w swych wywodach. Taką wyznając zasadę nie zapiera się jéj w czynie, a rozbierając wielokrotnie już poruszaną kwestyę tożsamości legendy indyjskiéj i palestyńskiéj, stanął za pierwszą przeciwko drugiéj. Idąc w ślad za badaniami źródłowemi, dokonanemi w ostatnich lat dziesiątkach, a szczególniéj opierając się na pracach profesora Webera, wykazał, że cześć Krishny i myty o nim istniały w Indyach w epoce, poprzedzającéj chrystyanizm. Krishna jest starodawném indyjsko-bramańskiém bóstwem, istniejącém jeszcze w epoce poprzedzającéj ostateczne ukształtowanie się bramanizmu, które może być odniesione aż do wspólnego źródła Vedy. Dla obracających się swobodnie wśród tajemnic świętego języka Indyan, sanskrytu, są to wszystko prawdy elementarne. Ale wystarczy sobie przypomniéć potężne wrażenie, jakie przed kilkunastu laty wywarła licha, kompilacyjna praca Ludwika Jacoliot, *la Bible dans l'Inde*, mimo swych niedostatków wykazanych z zasłużoną surowością przez Maxa Müllera, ażeby zrozumiéć zgrozę, jaką wśród angielskiego klerykalnego świata wywołała książka Robertsona Są kwestye, których dotykać nie należy, jeżeli się ma im niepokalaną aureolę zachować. Zgrzeszył przeciwko temu przepisowi Robertson i dało mu się to nieraz potém we znaki.

„Nowocześni Humaniści" są, jak dotąd, *magnum opus* Robertsona. Powiedzieliśmy już wyżéj, że uważamy ten tytuł za nieodpowiadający treści dzieła; tak samo jednak wadliwym byłby i ten drugi, który autor, jak się dowiadujemy z przedmowy, chciał mu dać pierwiastkowo: „Nowoczesny krytycyzm życia." Z niego, mniejby jeszcze niż z ostatecznie przyjętego, można było odgadnąć, że zawartością książki jest po prostu zbiór studyów socyologicznych nad Carlylem, J. S. Millem, Emersonem, Arnoldem, Ruskinem i Spencerem. Z wyjątkiem jednego, są to sami Anglicy i możnaby wnosić doprawdy, że po za obrębem anglo-saskiego świata nowoczesny humanizm nie istnieje. To ograniczenie horyzontu może zadziwiać u pisarza szeroko oczytanego i który mógłby z większą słusznością, aniżeli niemiecki demagog, powiedziéć o sobie, że jest *ausgerüstet mit der ganzen Wissenschaft des Jahrhunderts.* Brakuje także temu dziełu czegoś więcéj — mianowicie systematycznéj spójni pomiędzy rozbieranymi myślicielami, wykazania wspólnych, przewodniczących im zasad i istniejących między nimi różnic. Każde studyum oddzielnie wzięte jest wysoce interesujące, zadawalnia bystrością analizy i trafnością uwag, a niektóre nawet, jak studyum o Carlylu, są znakomite. Mimo tego żałować przychodzi, że autorowi nie sta-

ło czasu lub chęci zlania tych składowych żywiołów w jedną organiczną całość. Są to płyty misternie rzeźbionego kamienia, ale nie zbudowano z nich gmachu.

Powiedzianém było nieraz, że myślicielami i pisarzami, którzy wywarli największy wpływ w naszym wieku na ustrój umysłowy świata angielskiego byli Carlyle i Ruskin. Nic dziwnego, że krytyk, ocen i komentarzy nad obudwoma, jest bez liku. O Ruskinie, jako o żyjącym jeszcze, zdania się dzielą, ale można powiedzieć, że o Carlylu sąd ostateczny już się wytworzył. Trudno o lepszą a bezstronniejszą ocenę, jak ta, którą daje Robertson. Już przez samo zaznaczenie jego działalności, jako podjętéj w kierunku reakcyi przeciwko ideom i zasadom XVIII-go stulecia, stawia Carlyla we właściwém mu środowisku. Wśród téj naprężonéj, porwanéj w wielu kierunkach, duchowéj jego istoty, zawsze do wybryków i przesady skłonnéj, nie możnaby było przewidzieć, gdzieby się był zatrzymał, gdyby nie zgiął był swego hardego karku przed jednym geniuszem, którego zwierzchnictwo nad sobą uznał: był nim Goethe. Jak słusznie powiada Robertson, on wprowadził harmonię do jego wrzaskliwych krzyków i jego sprzeczności. A tych ostatnich jest u niego mnóstwo. Autor nasz dotyka palcem tych, które są widoczne pomiędzy jego temperamentem a jego zdolnościami, pomiędzy jego religijnemi nienawiściami a istotnemi przekonaniami, pomiędzy jego pretensyami do kapłaństwa prawdy a ustępstwami, jakie czynił na rzecz przesądów i kłamstwa, pomiędzy wyobraźnią a zimnym rozsądkiem, że już nic nie powiemy o sprzecznościach w jego etycznych pojęciach, jak np. w słynnym owym ustępie o prawie i o mocy—*right and might*—które tyle krwi napsuło idealistom. Jeżeli Robertson przyznaje w zupełności autorowi *Sartora Resartus* zasługę ujemnego krytycyzmu, którym roztrzaskał całą zgniliznę otaczającego go świata, to pokazuje, że mu ideału dodatniego brakowało i że wskutek tego do trwałego, wpływowego miejsca pomiędzy hegemonami ducha rościć praw nie może.

We właściwém także świetle pokazał autor historyczne dzieła Carlyle'a. Za historyka uważać go nie można, bo historycznego zmysłu nie posiadał. Był on subiektywnym do najwyższego stopnia, nigdy się nie mógł oderwać od swego osobistego horyzontu, nigdy nałożyć nie potrafił hamulca zimnego rozsądku i rozwagi na wzburzoną, rozpędzoną swą wyobraźnię. Są tacy, co twierdzą, że bujna imaginacya nie szkodzi historykowi i jako przykład nie omieszkują nigdy przytoczyć Micheleta. Nie sądzimy, ażeby to był argument niezłomny. Najprzód na wielu punktach poetyczna inter-

pretacya faktów, zdarzeń i kierunków dziejowych taka, jak ją Michelet uczynił, obalona już została, a jeżeli mimo tego pozostaje on wielkim, genialnym historykiem, to właśnie przez ten duch syntezy, rodzaj jasnowidzenia, które mu pozwalało objąć całość epoki i wszystkie należące do niéj szczegóły w jeden wyrazisty i wierny obraz. Tego zmysłu historycznego Carlyle nie posiadał. Imaginacya jego rozbudziła się wobec olbrzymich wypadków rewolucyi francuskiéj, ale można się zapytać, gdzie jest wyrok jego jakikolwiek, któryby ostał się niewzruszony? Ułomniejsza jest jeszcze jego historya „Fryderyka Wielkiego". Ani jednym rysem nie dotyka on życia społecznego Niemiec w jego epoce, nie czyni najmniejszéj nawet wzmianki o przemyśle, o warunkach pracy, o ekonomicznym bycie narodu. Takie ograniczenie się do wyłącznie anegdotycznéj strony zawodu bohatéra jest potwornością w oczach historyka istotnego i przeciwstawiając słynne dzieło Carlyle tylu innym współczesnym, mamy prawo naszemu informatorowi niedowierzać i uważać ten pseudo-historyczny utwór za mamuta przedpotowego.

Coraz głębiéj wyrabia się obecnie u wykształconych czytelników przekonanie, że Carlyle zawdzięczał większą część swojéj nadzwyczajnéj sławy mistrzowskiéj formie, téj nieporównanéj oryginalności języka i stylu, téj oślepiającéj grze wyobraźni, téj niezrozumiałości nawet, która go odznaczała. Każdy czytelnik musiał być zainteresowany i porwany przezeń, a ci, co go tu i owdzie nie rozumieli, jak nie zrozumieli poety Browninga, nie jego, ale siebie samych za to winili. Na potwora, co kąsał i rąbał na prawo i lewo, nie wielu rzucać się odważało i trzeba było jego śmierci, aby po rozwianiu się dymu prawdziwa natura jego ukazała się potomności.

Studyum krytyczne poświęcone J. St. Millowi posłużyć także może za okaz bezstronności autora. Nie ma pisarza, któryby mu był bardziéj sympatycznym, choćby już dlatego, że jest on unikatem w historyi umysłowego ruchu, będąc wychowany przez swego ojca bez najmniejszéj wiary religijnéj od najpierwszego dzieciństwa: pozwoliło mu to odrazu zapatrywać się na chrystyanizm, jako ostatnią, ale przechodową tylko formę syntezy religijnéj. Mimo téj sympatyi, którą Robertson dla tak wykształconego umysłu czuje, jest on nieubłaganym sędzią i jego religijnych, i politycznych pojęć. Na każdym kroku wykazuje sprzeczności, w które popada, nielogiczne wnioski z lekkomyślnie postawionych przesłanek wysnute, i wybryki niczém nieusprawiedliwione, jak np. cała kwestya równouprawnienia kobiét, opierająca się na fakcie, że sam posiadał

żonę, którą za wyjątkowego, a nieocenionego geniusza uważać mu się podobało.

Innym dowodem szerokości poglądów Robertsona jest studyum nad Matthew Arnold. Nie zamyka on oczu ani na wiotkość, a często nawet płytkość jego naukowych podstaw, na niesystematyczność jego metody, ale oddaje mu cześć należną jako niestrudzonemu agitatorowi cywilizacyi i postępu.

Nie znamy istotnie intelektualnego typu wśród angielskiego społeczeństwa ciekawszego, jak Maciéj Arnold. Wychowany przez ojca w zasadach religijnego i politycznego toryzmu, doszedł pod wpływem Francyi i przez ciągłe a sympatyczne stykanie się z cywilizowanym zachodem do radykalizmu i sceptycyzmu. Gdy się przypomni, że był on synem Tomasza Arnolda, wielkiego pedagoga, co stworzył Rugby, a że znowu duchowém jego dzieckiem jest synowica jego, pani Humphry Ward, autorka „Roberta Elsmere", to na tym przykładzie religijnego rozwoju w trzech pokoleniach jednéj i téj saméj rodziny można zrozumiéć, jak się przeistaczała cała intelektualna Anglia.

Przekroczylibyśmy o wiele zakreślone sobie granice, gdybyśmy chcieli wykazywać zasadnicze punkta, które Robertson podnosi u kilku innych humanistów, a mianowicie u Ruskina i u Herberta Spencera. Podziwia on u tego ostatniego syntezę wiedzy ludzkiéj i ideę powszechnéj ewolucyi, ale wyrzuca mu surową hypokryzyę w borykaniu się z teologią, tak samo jak w socyologii wykazuje, że teza o nadchodzącém niewolnictwie przyszłości jest w jaskrawéj sprzeczności z całą teoryą postępu i coraz większego wyswobadzania się ludzkości.

Do szeregu studyów powyższych dodał p. Roberston w końcu szkic odbudowania społeczeństwa przyszłości takiego, jakie się nie wyobraźni, ale rozumowi jego narzuca. W dziale religijnym, jak się tego odeń spodziewać było można, reforma ogranicza się do stanowczego zniesienia wszelkiego dogmatyzmu. Jest on widocznie zdania Voltaire'a, który zapytany czém zastąpić pragnie religię, gdy ją raz z serca masy wyruguje, odpowiedział, że gdy się ocali napastowanego przez tygrysa, to nie ma potrzeby rzucać go w szpony innego dzikiego zwierza! Pod względem reform socyalnych kładzie nacisk na reformę podatkową i takie ustopniowanie opłat, ażeby za jego pomocą krzyczące nierówności majątkowe były zniesione, na szybkie umorzenie długu państwowego, na przedsięwzięcie z ramienia państwa robót publicznych, na upaństwowienie i municypalizacyę wszystkich dogodności powszechnych. Ale pomimo tych przeisto-

czeń nie łudzi się, żeby dla masy społecznéj zaświtało lepsze jutro; jest ono jedynie do osiągnięcia przez dobrowolne i systematycznie prowadzone ograniczenie rodzajności.

Przedstawiwszy na wstępie Robertsona za jednego z celniejszych zapaśników swobodnéj myśli, uczyniliśmy następnie, przeglądając bliżéj niektóre z jego prac tyle zastrzeżeń, że czytelnik mógłby dopatrzéć sprzeczności pomiędzy założeniem a wywodami. Nie sądzimy jednak, ażeby ona istniała, gdyż wzięliśmy pisarza tego po prostu jako okaz tendencyi i opinii szeroko reprezentowanéj w piśmiennictwie współczesném angielskiém, opinii, na których już żadna anatema nie cięży. Główną charakterystyczną jego cechą jest, że radykalne swe wolnomyślicielstwo nie ogranicza do sfery religijnéj, ale że przenosi je do wszystkich innych, że krytyka jego czyni ciągłe wycieczki na prawo i lewo, a wszędzie jest bystrą, przejmującą, a surową nietylko dla przeciwników, ale nawet względem tych, co pod tym samym co on walczą sztandarem. Na każdym kroku pokazuje wojowniczy temperament, a to sprawia, że nie jest tyle sympatycznym, ile zdawaćby się miał do tego prawo.

Jest nim zaś drugi pisarz, którego teraz przedstawić chcemy czytelnikom, pisarz, który w grupie wolnomyślicieli angielskich zajął miejsce odrębne a pierwszorzędne—James Cotter Morison. Mówiąc o nim jako o pisarzu, nie oddajemy mu należnéj sprawiedliwości. Był on czémś więcéj — był apostołem idei przez siebie wyznawanych, gorliwym ich propagatorem. Około niego ogniskował się cały świat umysłowy niezależny, i gdy się chce raz na zawsze wyrugować owo przypuszczenie, że Anglia jest krajem teologicznego absolutyzmu i że nie dozwoloném tam jest podstawiać agnostycyzmu w miejsce religii, to wystarczy wskazać na Cotter Morisona, aby do wręcz przeciwnego dojść wniosku. Trudno wyobrazić sobie otoczenie, środowisko i atmosferę bardziéj ateńską. Piszący miał zaszczyt znać osobiście tego wysoce wykształconego człowieka i liczyć będzie do najrozkoszniejszych wspomnień wieczory spędzone u niego. W Hamstead, jednéj z poza-miejskich dzielnic stolicy, w pięknéj willi na Fitz-James Avenue, wśród wyrafinowanego otoczenia, na jakie wielki majątek p. Morisona pozwalał, zgromadzało się co wieczór koło wybitnych osobistości, należących do świata polityki i sztuki, wiedzy i literatury.

Wspomnienia nasze odnoszą się do roku 1887, do zimy poprzedzającéj śmierć Morisona, którą oddawna przewidywano, ale w którą

nikt wierzyć nie chciał. Wśród arcydzieł sztuki i różnobarwnych kwiatów, mając około siebie córki, którym intelektualne wykształcenie pozwalało stać na równi ze znakomitościami, co się u tego gościnnego zbierały stołu, albo w bibliotece obfitującéj w cenne a rzadkie osobliwości bibliograficzne, przewodniczył on z niewyczerpaną werwą i usidlającym czarem rozmowom i dyskusyom bez końca. Całe życie jego ześrodkowało się w namiętnéj miłości dla wszystkiego, co wzniosłe, co piękne, co prawdziwe. Nietylko pieniędzmi swemi założył on wielki organ postępowy *Fortnightly Review*, ale bezustanną działalnością służył za ogniwo wiążące ludzi i sprawy, za przykład poświęcenia i obywatelskiéj służby. Od chwili jak młodzieńcem opuścił Oxford, gdzie wpływ Marka Pattisona raz na zawsze położył na nim duchowe swe piętno, Morison postawił sobie za zadanie życia napisać historyę cywilizacyi francuskiéj. Nikt lepiéj nie znał tego kraju, jego obyczajów, języka, piśmiennictwa, nikt nie czuł dla niego bardziéj synowskiéj miłości. Do napisania tego dzieła gromadził materyały przez lat trzydzieści, a niestety śmierć przyszła, zanim do wykonania go mógł się zabrać. Gdy pisał dla zbioru pisarzy angielskich, wydawanego przez swego wiernego przyjaciela, Johna Morley, piękne studya krytyczne nad Gibbonem i Macaulayem były to jedynie prace, że się tak wyrażę, dodatkowe, wycieczki po za jego własną prowincyę, były to skry nigdy nie stygnącego ducha. Dopiéro, gdy zdał sobie sprawę, że ogień wewnętrzny siły organiczne jego zużył i że dni jego są policzone, wtedy odłożył na bok pracę, co go jak syrena do siebie wabiła i napisał owo dzieło, które uważać można za filozoficzny testament tego podnioslego umysłu, za wieczne echo aspiracyi i przekonań wielu najprzedniejszych osobistości naszéj epoki. Przez utwór ten, noszący nazwę *The service of man, an essay towards the religion of the future*, przekazał Morison swoje imię potomności i udowodnił, że wielkie nadzieje, jakie od lat wielu pokładali w nim przyjaciele i towarzysze, miały gruntowną podstawę. Gdy się od autora przechodzi do społeczeństwa, które go stworzyło, to dzieło to świadczyć będzie jak czysta, jak swobodna atmosfera powiała na duchowych wyżynach owéj Anglii za klerykalną uważanéj.

Gdy Morison znajdował się w téj epoce umysłowego rozwoju, w któréj raz na zawsze otrzymujemy duchowe piętno, filozofia pozytywna Augusta Comte'a narzucila się była wszystkim poważniejszym myślicielom. Chociaż nie można powiedzieć, ażeby zastosował był wszystkie naukowe, a przedewszystkiém socyologiczne teorye swojego mistrza, to był z nim przynajmniéj w zupełnéj zgodzie,

co do pomieszczania teologicznego okresu w już zamarłém stadyum rozwojowém ludzkości. Skończyła się już *Civitas Dei*, a przygotowujemy coraz energiczniéj *Regnum hominis*, zapowiedziane już przez Bacona. Zamiast służby bożéj, zadaniem naszém ma być służba człowieka. Taki téż jest tytuł jego dzieła.

Czyniłoby się ujmę Morisonowi, gdyby się go podejrzewało o jaką ciasną nienawiść do religii wogóle, a do kościoła w szczególe. Uznaje on potężną rolę edukacyjną i społeczną, jaką odegrały, i surowo karci racyonalistów, którzy *a priori* chcieli wytłómaczyć chrystyanizm jako historyczny fenomen; brakowało im wiedzy, dlatego przedwczesne ich zapędy runąć musiały. Obecnie stanowisko to zmieniło się radykalnie z narodzinami pełnéj wiedzy. Początek zupełnego przewrotu wyszedł od naszego Kopernika i od Galileusza; odkrycia geologiczne ostatniego stulecia dokonały takowego. Teologia zamiast obalać pewniki wiedzy, ogranicza się obecnie do upewnień, że Genesis jest przez nią potwierdzona całkowicie. Stanowisko zdetronizowanéj teologii jakże dalekiém jest od owego hardego słowa Wincentego z Beauvais: *scientia est ancilla theologiae!* Mimochodem autor potrąca o dogmat upadku człowieka i ogranicza się do wykazania, że historya nie daje ani jednego podobnego przykładu, ażeby społeczność upadła odrodziła się i podniosła w sposób, jaki dogmat odkupienia ludzkości zwiastuje. Wiara w cuda znikła, tak samo jak przedtém zniknęła w czary i czarownice. Cały ten ustęp dzieła, który traktuje o upadku wiary trzymany jest w tonie czysto obiektywnego rozumowania i nie polemizując, ogranicza się do stwierdzenia naukowych faktów najmniejszéj wątpliwości nie ulegających.

Ale autor nie tai przed sobą, że taki stan rzeczy bynajmniéj kwestyi nie rozstrzyga. Obok dogmatycznego i obok mitologicznego czynnika, religia posiada jeszcze inny—etyczny i tym właśnie działa i działać nie przestaje najpotężniéj na masy. Rozumem rządzą się wyjątkowe dotąd jedynie osobniki; ale uczuciem rządzą się wszyscy. Właśnie dlatego, że religia ma odpowiadać i zaspakajać uczuciowość naszą, orędownicy jéj zapewniają wieczystą trwałość. Argumenta szkoły wolnomyślicielstwa popełniają błąd taktyczny, walcząc bez przestanku ze staremi oklepankami mitologiczno-dogmatycznemi, które straciły wszelką powagę i wpływ, a zaniedbują stronę etyczną. Pragnąc błędu tego uniknąć, Morison zwrócił całą potęgę swych wywodów na nią właśnie. Jego zdaniem, religia nie jest taką nieodzowną osłodą i podporą życia dla ogółu, jak to utarte formułki

przypuszczaćby pozwalały, a ludzkość nie zmieniłaby się w hordę dzikich Huronów, gdyby uczucia religijne naraz z jéj duchowego organizmu się ulotniły. Niepodobna nam ani wdawać się w polemikę z wywodami autora ani ich nawet streszczać szczegółowo. Morison przypomina, że religie nie zapewniają swym wyznawcom szczęścia w żaden inny sposób, jak tylko przez obietnicę zagrobowego, ubłogosłowionego bytu, ale skoro nie mogą udowodnić owego zagrobowego bytu, zatém podstawą jego jest hypoteza, któréj większe lub mniejsze prawdopodobieństwo rozważaném naukowo być nie potrzebuje. Za przeważający argument, że religia nie jest bynajmniéj jednoznacznikiem moralności służy autorowi doktryna Łaski. Skoro mocą jéj całe życie występków i zbrodni zmazane być może przez jedną chwilę skruchy i wiary w odkupienie, zatém nie ma cnota, poświęcenie się, zaparcie, życie pełne dobrowolnych umartwień racyi bytu: rezultat pozagrobowy taki sam będzie dla jednych, jak dla drugich. Co zaś do argumentów historycznych, to są one, zdaniem Morisona, obosieczne. Przytaczają naprzykład nieskończoną ilość występków i zgnilizny moralnéj w epokach dziejowych, w których wiara osłabła albo zniknęła, jak w czasach upadającego bizantyjskiego cesarstwa albo rewolucyi francuskiéj; ale jednocześnie nie trudnoby było wymienić równy szereg występków i okrucieństw popełnianych nietylko pod pokrywką płomiennéj wiary religijnéj, ale co więcéj właśnie w jéj imieniu.

Nie zapominając o usługach, jakie rozwój religijny oddał ludzkości, doprowadzając ją do monoteizmu, autor zatrzymuje się obszernie nad troistą akcyą chrystyanizmu polityczną, filozoficzną i spirytualistyczną. Pod względem politycznym wydaje mu się on tradycyonalnym nieprzyjacielem swobód publicznych; pod względem filozoficznym nie zagrodził zdobyczy i postępu wiedzy, a często im nawet pomagał; pod względem spirytualistycznym był on niewątpliwie źródłem natchnienia do nadzwyczajnych poświęceń i wysiłków, i podniósł najszlachetniejsze strony natury ludzkiéj na wyżyny, do których świat pogański nie wzniósł się był nigdy.

Czytelnik, idący uważnie za streszczanemi tutaj wywodami Morisona, dojdzie zapewne do wniosku, że ta część jego pracy, jakakolwiek może być jéj wartość, jest jedynie krytyczną, i że nieraz już przeciwnicy religii z podobnego zadania mniéj lub więcéj szczęśliwie się wywiązali. Jedyny punkt prawdziwie oryginalny, jakiego od rewolucyjnych myślicieli tego obozu oczekiwać mamy prawo, dotyczy jednakże pozytywnéj, jasnéj, naukowéj odpowiedzi na py-

tania: czém, jaką regułą życia mają być zastąpione przepisy religii i wogóle czy jakiéj zastępczyni tego rodzaju będzie potrzeba? Nie możemy powiedziéć szczerze i otwarcie, ażeby na wszystkie te pytania Morison dał zaspakajające — z jego naturalnie stanowiska — i wystarczające odpowiedzi. Na usprawiedliwienie autora powiedziéć można to, że dzieło jego, takie jakie wyszło z druku, było tylko fragmentem niewykończonéj wskutek choroby całości i że w zakreślonym logicznie i systematycznie planie brakuje całéj prawie drugiéj połowy. Z tu i owdzie rozrzuconych uwag można atoli wnioskować, jakby był na niektóre przynajmniéj z tych zagadnień odpowiedział.

Uznaje on, jak powiedzianém było wyżéj, takie samo uprawnienie religijnéj uczuciowości, jak i władz rozumu; powinienby przeto przewidziéć konieczność zaspokojenia takowéj. Biorąc jednak na uwagę, że najważniejsze pojęcia i zapatrywania zmieniły się radykalnie z postępem czasu — i jako przykłady przytacza idee o małżeństwie, o wojnie, o zakresie działalności rządu, o złém i dobrém, etc. — wnosi, że i wyobrażenie religijne ulegną zmianom, że nie będą potrzebowały krystalizować się w zwykłéj formie religijnéj i że ludzkość w przyszłości zastąpi coraz bardziéj *theolatrię* przez *antropolatrię*. Jak Herbert Spencer wykazał w swoich *Data of Ethics*, ludzkość doszła do wytworzenia pojęcia o życiu wszechstronném, całkowitém, dokonywaném wśród najdoskonalszych towarzyskich czynników. Ponieważ synteza — bo niepodobna doprawdy powiedziéć religia — jaką ma na myśli Morison, zgadza się całkowicie z takiém pojęciem życia społecznego, zatém umoralniając, ulepszając każdego osobnika i umoralniając każdy organizm zbiorowy, społeczny, dojdzie się do wytworzenia niejako innego sumienia powszechnego. Już obecnie to zbiorowe sumienie nakazuje nieraz zmiany sposobu działania jednostkom, co się z ogólnéj normy pragną wyłamać: ten sam prąd zostanie uogólniony i ustalony w przyszłości.

Autor miał zamiar poświęcić ostatnią część swéj pracy wykazaniu reform i przeistoczeń, jakie podjęte być winny dla wytworzenia wyższego poziomu moralno-intelektualnego wśród społeczeństw. Nie mając czasu planu tego wykonać, poświęcił mu w przedmowie kilka wysoce interesujących ustępów. Nie możemy w nie wchodzić tutaj szczegówo w te poglądy pesymistyczne i krążące w sferze państwowego socyalizmu. Tak samo jak Robertson i on także rehabilituje Malthusa i wyraża zdanie, że dopóki warstwy społeczeń-

stwa najliczniejsze, ale zarazem najmniéj moralne, najmniéj wykształcone rozpładniają się jak króliki, o żadnéj skutecznéj reformie co do podniesienia dobrobytu mowy być nie może.

Moglibyśmy ciągnąć daléj przegląd wolnomyślicieli angielskich i obok tych dwóch pisarzy wymienić całe grono innych. Ci jednak wystarczą do pokazania, że pietyzm i jednostronność dogmatyczna nie panują wśród społeczności angielskiéj tak wyłącznie, jak to nieraz niedokładnie z piśmiennictwem tém obznajmieni utrzymują.

N. T.





ZE SŁOWACKIEGO „OKOLI".

WSPOMNIENIA Z WYCIECZKI.

(Dokończenie) *).

Bańska Bystryca jest miastem tak ładném, że Słowak nie życzy sobie niczego więcéj jak być *„za živa w Bystrici a po smrti v nebi.“*

Wolne król. miasto leży w rozkosznéj „dolinie,“ zamkniętéj od północy Niżnemi Tatrami a od zachodu wzgórzami Kremnickiemi, obfitującemi w rozliczne rudy. Wprawdzie i Velka Revuce i Św. Marcin w ładnéj są położone okolicy, ale daleko im do położenia Bańskiéj Bystrycy, liczącéj blisko 12,000 m. Słowaków, w pośród których żyje około 2,800 Niemców.

Kopalnie już są po większéj części wyczerpane. Straszne pożary nawiedziły miasto w latach 1500, 1608 i 1761; ślady tych klęsk widne do dziś dnia. B.-Bystryca jest siedzibą biskupa i kapituły, liczącéj sześciu kanoników; daléj jest siedzibą komitatowych władz zwoleńskich, c. k. izby górniczéj, od 1807 r. posiada seminaryum biskupie z instytutem teologicznym i państwowe, około 1649 założone a od 1859 r. uzupełnione gimnazyum z wykładowym językiem ongi niemiecko-słowackim, potem i madyarskim, który w końcu swych dwóch kolegów całkiem wyparł. Przy gimnazym istnieje od 1857

*) Zob. „Ateneum“ Zesz. sierpniowy, r. b., str. 247.

bursa dla ubogich uczniów, jakotéż znakomita biblioteka, zbiory i t. d. Obok tego znajduje się także pięcioklasowe gimnazyum ewangelickie.

Najciekawszym budynkiem Bystrycy jest zamek, pochodzący z XIV w. Po pożarze z 1761 r. pozostała z niego tylko ruina i gruzy. Ze starych murów miejskich, otaczających miasto do koła, istnieje jeszcze bardzo wiele, zwłaszcza wybornie zachowane baszty. Rozkład ulic, kształt rynków, dziwaczne domy nadają miastu prawdziwie starożytny charakter. Aczkolwiek madyaryzacya wielkie poczyniła postępy, to jednak żyje tu jeszcze wielu narodowców, choć nie zorganizowanych i nie stanowiących jednolitego zastępu. Ktoby z cech zewnętrznych wnioski chciał wyciągać, uważałby tak Bystrycę jak całą wogóle Słowacyę za gruntownie zmadyaryzowaną. Wszystkie bowiem napisy publiczne i większość prywatnych są w urzędowym języku madyarskim. Na rogu jednéj z małych uliczek bystryckich ujrzałem ze zdziwieniem słowacki napis: *zakaz furu* [1]) *vozit.* Snać czujne oko władz węgierskich nie odkryło jeszcze tych trzech słowackich wyrazów, grożących agitacyą całości królestwa węgierskiego. Liberalni Madyarzy wysilają się na to, żeby Słowacya miała wszelkie pozory kraju całkiem zmadyaryzowanego. Małe dzieci szkolne, nie umiejące mówić po madyarsku, nie witają się na ulicy inaczéj jak w języku urzędowym.

— *Alászołgaja,* mówi do mnie bęben ze szkoły wracający.

— Dzień dobry, odpowiadam po polsku i wprawiam malca w zdziwienie.

Dzięki poleceniu d-ra Samo Daxnera poznałem dwóch adwokatów bystryckich: Ondreja Hanzlika i Ludevita Turzo Nosickýego. Obaj ludzie wykształceni i w obejściu bardzo przyjemni. Im to zawdzięczam, że z pobytu w B.-Bystrycy wiele mogłem odnieść korzyści. Pan Ludevit Turzo Nosiský to jeden z tych nielicznych członków rodowéj szlachty słowackiéj, którzy zostali wierni sprawie narodowéj. Wydał on własnym kosztem tomik poezyi Sama Chalupki, których jeden egzemplarz ofiarował mi uprzejmie z dedykacyą: „*Slavianskému bratu swojmu na pamiatku.*“ „Samo Chalupka pochodził z rodziny literackiéj. Ojciec Adam, proboszcz ew. we wsi Horna Lehota, pisał książki; starszy syn jego, Jan, był jednym z najbardziéj wpływowych pisarzy słowackich. Młodszy syn, Samko, urodził się we wsi Horna Lehota 27 lutego 1812 r. i przeżył swe lata chłopięce w miejscu rodzinném, pod śnieżnemi wzgórzami zwoleńskiego Pohro-

[1]) fura = ciężary, ciężko naładowane wozy.

nia. W ósmym roku życia opuścił dom; w gimnazyum gemerskiém dręczono młodzieńca łaciną, w Kesmarku niemczyzną a w Rożnawie madyarszczyzną. W liceum kesmarskiém wybornych miał profesorów w Benediktim i Slavkovskim, z których pierwszy otworzył przed nim bramę świątyni literatury klasycznéj, a drugi, zaopatrywał go w książki słowackie, jak powiada biograf Chalupki; w Rożnawie zaczął już czytać „*Slávy dceru*“ (Kollára). W Preszburgu znajdujemy go wśród założycieli kółka literackiego, o którém powiada, że razem z przyjaźnią Matuški, Licharda i K. Štura przyniosło mu jeżeli nie więcej, to przynajmniej tyleż duchowej korzyści, co wszystkie wykłady nie postępujących z czasem preszburskich profesorów. Poemat „Všeslav,“ późniéj napisany, jest reminiscencyą młodocianéj wojaczki. I na uniwersytecie wiedeńskim, dokąd się udał w 1833 r., więcéj ciągnęło Chalupkę obcowanie ze studentami słowiańskimi, niżeli kurs uniwersytecki na wydziale teologicznym.

W r. 1834 był już wyświęconym kaznodzieją jelszawsko-cieplickim, a w r. 1840 przeszedł po ojcu do wsi Horna Lehota, pole działalności całego swego życia. Jak starszy brat jego Jan pierwszy rozpoczął walkę przeciwko prądowi mistycznemu, tak Samo Chalupka zagaił książeczką „Wódka trucizna“, napisaną według Zschokkego „*Brantweinpest*,“ akcyę przeciw gorzałce; rezultat jej był znaczny.

Preszburskie „Płody“ pomieściły 1836 pierwsze jego poezye: Kollár dał im myśl, Hollý formę. Antyczny koturn nie był polem popisu dla Chalupki. Wystarczy porównać „Smutek,“ jedyny śpiewną formą napisany poemat, z pozostałemi sześcioma, aby zrozumiéć, gdzie żywioł Chalupki. Skoro tylko zstąpił ze sfer akademickich do ludu, poezya ludowa owiała go tak silnie, że zarzucił na zawsze wszystkie alkaiczne, saficzne, asklepiadyczne i dystychowe eksperymenty a zaśpiéwał prostym rytmem naszéj pospolitéj pieśni. Studyował dobę przedhistoryczną, podania i język swojéj ziemi, gromadził i zbiérał wszystko, co choć daleki z życiem ludu miało związek a w artystyczném pojęciu tego słowa stał się mistrzem rodzimej pieśni i ballady. Na tém polu uszczknął Samo Chalupka najpiękniejsze kwiaty. Główne z tych pieśni wydał w r. 1860; to epoka jego najwyższéj twórczości.

Już w pierwszych dwóch poematach słowackich Chalupki szumno, bystro płyną wiersze poety. Świéży ich potok wdzięcznie zaleca się uchu i nie dziw, że pieśń o „Synu wojny,“ w obozie zrodzonym, tamże osieroconym, przez żołnierzy wychowanym, szybko rozeszła się wsród narodu; „*Neumriem na slame, umriem ja na koni, keď z koňa poletim, šabla mi zazvoni!*“ A niemniéj szybko spopularyzował się

i drugi piękny poemat, „*Jánošikowa náumka,*“ do którego materyał wziął Chalupka z opowiadania prostego Liptaka, chodząc po ruinie zamku Likavy jeszcze r. 1835. Samo Chalupka pierwszy w naszéj literaturze poetyckiéj wziął się do opracowania wdzięcznéj tradycyi o Janosiku i nadał jéj znaczenie ogólno-narodowe. Z Janosikiem, postrachem bogatych a puklerzem biédnych, którego przykuli w podziemnem więzieniu likawskiém, przyduszony został geniusz narodu. Z żalami „*hôrneho chlapca*“ ciężko żali się i kraj słowacki: „*tje naše nádeje ako rannia rosa: slnko ju prihreje, vietor ju oveje — tak ste vy nam zmizly, vy naše nádeje!*“ Lecz przyjdzie wiosna da więźniowi siłę, on podwoje wyłamie, straże omyli, „*v tej kosodrevine vatru si rozsvieti, slovenskej rodine slobodou zasvieti.*“ Poeta podchwycił tajemnicę ludowéj pieśni. W r. 1848 stał się ten poemat własnością narodu.

Pan Turzo wielkim jest snać wielbicielem Chalupki; wnoszę to nie tylko z wydania jego poezyi własnym nakładem, lecz i z tego, że zaraz przeczytał mi kilka utworów z prawdziwém przejęciem i zapałem. Piękne to wszystko rzeczy a zwłaszcza poemat p. t. „*Mor ho!*“ (Bij go), kończący się następującą zwrotką:

„A ty mor ho! — hoj, mor ho d'etvo môjho rodu,
Kto kradnou rukou siahňe na tvoju svobodu;
a čo aj tam dušu dáš v tom boji divokom!
mor ty len, a vol ňebyt', ako byt' otrokom!“

Na cmentarzu bystryckim leży pochowany Jan Botto, poszedłem więc z panem Turzo obejrzéć grób jego; skromny i cichy jak na takiego pieśniarza przystało. Niedaleko B.-Bystrycy leży miasteczko Radvaň, na którego cmentarzu spoczywają zwłoki innego znowu poety słowackiego, Sládkoviča. Następnego dnia rano udałem się tedy do Radvani, gdzie fararem ewangelickim jest zięć Sládkoviča, Hodža. Przyjął mnie bardzo uprzejmie i zaprowadził naprzód na *cintorin* (cmentarz) a potem do stuletniéj przeszło lipy, pod którą siadywał Braxatoris (właściwe nazwisko Sládkoviča), chodziłem bez końca od rana do wieczora, pomimo, że pobyt w B.-Bystrycy przeznaczony był na odpoczynek. Czekał mnie bowiem dwunastogodzinny marsz do Rużomberka i to nie po równéj drodze ale przez Szturec, do którego sforsowania potrzeba świeżych sił. Podziękowawszy za gościnę położyłem się spać a następnego dnia rano ruszyłem wzdłuż rzeki Bystrycy. Droga w pierwszéj swojéj połowie prawdziwie była piękna, prowadziła bowiem już to przez szerszy już węższy wąwóz skalisty, podnoszący się bezustanku w górę. Wąwóz ten zamyka Szturec, nie-

zbyt wysoki ale stromy wzgórek, przez który przejść musiałem. Był to najuciążliwszy kawałek drogi w czasie całéj wycieczki. Szosa podnosi się w górę zygzakowato, a zwroty biegną pod tak ostremi kątami, że stojąc na jednym widzi się nad sobą dwa lub trzy następne. Posuwanie się wzdłuż tak mocno krętéj drogi zdawało mi się być stratą czasu i sił. To téż ambicya taternika podszepnęła mi myśl drapania się pionowo w górę z ominięciem szosy. Wkrótce atoli miałem się przekonać, że łatwiejszy Zawrat niżeli Szturec, gdyż stok jego osypany jest tak drobnemi i ruchomemi kamieniami, że literalnie na jeden krok naprzód zrobiony obsuwałem się o dwa w tył. Z wielkim wysiłkiem dowlokłem się do najbliższego skrętu szosy, któréj postanowiłem nie opuszczać aż do końca. Punkt o 12-téj godz. w południe wyszedłem na szczyt, z którego piękny na obiedwie strony roztaczał się widok. Z przerażeniem spostrzegłem, że droga w dół prowadząca tak samo jest kręta, jak jéj pierwsza połowa.

— Skrzydeł, balonu! — zawołałem, ale nawet echo mi nie odpowiedziało. Wobec tego powziąłem mocne postanowienie iść daléj piechotą, tém bardziéj, że w dół już łatwiéj i że nie było czasu na rozmyślania.

Jakżeż nieznośnie długie, wprost bez końca, wydawały mi się teraz wsi słowackie. Wiedząc już z góry, jakie wsi przechodzić miałem, studyowałem pilnie słupy i tablice graniczne dla odczytania nazwisk i odliczenia przebytych już przestrzeni. Przychodziło mi to z trudnością, gdyż wszystkie słowackie nazwy są haniebnie zmadyaryzowane i częstokroć całkiem do oryginałów niepodobne. Zasięgałem więc informacyi od napotykanych ludzi, włóczących się gęsto po drodze, gdyż był czas żniw i kopania ziemniaków jednocześnie. Rozmyślania moje nad smutnym losem biednego ludu słowackiego przerwał pisk na wpół ludzki, na wpół zwierzęcy. Podniósłszy oczy, spostrzegłem dwieście kroków przed sobą skaczące na drodze jakieś ciemno-brunatne stworzenie, w którém rozpoznałem sporego dzieciaka cygańskiego. Płci tego osobnika odgadnąć nie mogłem; miotając się w konwulsyjnych ruchach, wytykał mnie dzieciak palcami i wydawał jakieś nieartykułowane dźwięki, których naturalnie zgoła nie rozumiałem. Kiedy odległość między nami zmniejszyła się o połowę, cygański bęben jak strzała zbiegł z drogi ku rzece i przeszedłszy ją w bród, podążył do jakiéjś lepianki czy budy, przed którą na ziemi siedziała wieńcem cała rodzina. Mężczyzni i kobiéty, dorośli i nieletni, wszystko to pół nagie, wstrętnemi łachmanami niedostatecznie okryte. U wejścia do wielu wsi słowackich (nigdy we wsi saméj) można widziéć coś podobnego do psiéj budy, albo téż dół w ziemi wykopany

i czémś nakształt dachu przykryty; na środku znajduje się ognisko i co więcéj, nie wiem, bo do środka nie zachodziłem nigdy. Przez drzwi łatwo można widziéć siedzące lub kręcące się ciemne postaci do Dantejskich kreacyi podobne. Tak żyją Cyganie węgierscy na Słowacyi. Po drodze udało mi się widziéć tu i owdzie Cyganów zarówno ze Słowakami tłukących kamienie przy szosie. W celach wycieczki mojéj nie leżało wcale poznawanie życia cygańskiego, coby mi się zresztą témbardziéj nie udało, że nie znam zupełnie ich języka. Mogli mnie oni obchodzić tylko o tyle, o ile są pasorzytami już i tak biednego ludu słowackiego. Widocznie atoli nie muszą się bardzo dawać we znaki, skoro nie słyszałem żadnych przeciwko nim oskarżeń. Zresztą wobec gospodarki madyarskiéj, Cyganie już wielkiéj krzywdy ludności słowiańskiéj zrobić nie mogą. W Pokorný'ego „Z potulek po slovensku“ znajduje się cały zbiór anegdotek i powiastek o Cyganach. Ciekawych odsyłam do téj książki, a tu pozwolę sobie przytoczyć kilka charakterystyczniejszych.

Kiedy się cyganiątko narodzi, kładą przed niém smyczek i pieniądz. Jeżeli sięgnie po pierwszy, będzie z niego muzykant, jeżeli po drugi—złodziéj.

Magnat przechodzi około cygańskiego obozu. Koło jednego starego cygana widzi kupę małych dzieci. „No, More, czy to twoje dzieci?“ pyta się magnat.—„Jak ich wielmożny pan widzi“, odpowiada More, a ukazując bębna, powrósłem obwiązanego, dodaje z dumą: „A i wszystkie ja odziewam!“

Cygan spowiadał się: „Wybiłem kożuch“. — Farar: „To nie jest grzéch“.—Cygan: „Ale kiedy w nim była moja matka.“

Pewien ksiądz uczył cygana modlić się, ale nie mógł go przez dłuższy czas żadnéj modlitwy nauczyć. Nareszcie po długich studyach nauczył się More „Ojcze nasz“. Ksiądz ucieszony tym rezultatem, kazał cyganowi przyjść do siebie w niedzielę rano, a jeżeli wtedy pomodli się dobrze „W imię“ i „Ojcze nasz“, da mu worek jęczmienia. Cygan uradowany, że takim łatwym sposobem dojdzie do worka jęczmienia, nawet nie sypiał z radości. W niedzielę rano przychodzi na farę. „No, More, módl się“, rozkazuje ksiądz. — „W imię Ojca i Ducha Świętego, Amen!“ — „No, a gdzież jest Syn?“, pyta go zagniewany farar. — „Na polu, welebny panie, czeka z workiem na jęczmień.“

Posłano raz cygana do miasta, żeby kupił świec. Z powrotem zaskoczyła go burza, a straszna ulewa puściła się właśnie w chwili, kiedy doszedł do małéj rzeczki, którą musiał przejść w bród. Waliła już dość duża woda, więc cygan tak do Pana Boga przemawia:

„Panie Boże, pozwól mi tylko przepłynąć, a już ja ci na drugiéj stronie zaświecę!“ Puszcza się przez wodę w pewnéj nadziei, że Pan Bóg modlitwę jego wysłuchał i brodzi, trzymając ręce ze świécami w górze; woda przybiera, unosi go w dół, sięga aż do gardła; w końcu po wielkim wysiłku i po najedzeniu się strachu, dosięga cygan drugiego brzegu i chwyta się małego krzaczka. W przekonaniu, że już zwyciężył, woła: „Hej, będziemy świecić, będziemy, ale komu? Jużci nie Tobie, Panie Boże, skoroś na mnie taką burzę zesłał!“ W tém krzak się odrywa od brzegu, a cygan porwany wodą woła: „Ej, Panie Boże! czyż nie znasz się na żartach?“

Cygan Stefo szedł raz przez łąkę; nagle zaskoczy go burza. Ze strachu przed piorunem wepchał głowę do kopy siana, mówiąc: „A teraz już możesz, panie Boże, strzelać ile ci się tylko podoba!“ W téj saméj kopie schowali się także przed deszczem kosiarze, a spostrzegłszy, że mają jakiegoś gościa, wysyłają jednego z pomiędzy siebie, który widzi cygana z głową w sianie, a z resztą ciała zewnątrz kopy. Nie namyślając się długo poczęstował cygana toporzyskiem, aż mu się w oczach zaiskrzyło; na to Stefo: „Ej! Panie Boże, aleź jesteś gwałtowny!“

Wlazł cygan do ogrodu proboszcza po śliwki. Proboszcz, spostrzegłszy cygana, bierze kij, idzie do ogrodu, podsuwa się pod śliwkę, na któréj siedział cygan, i chce go trochę naelektryzować. More, widząc co się święci, kiwa palcem na proboszcza i szepce: „Pst, pst, zając, zając... pst, pst, przysięgam na Boga, już są dwa — pst, pst!“ Proboszcz myśląc, że to istotnie prawda, wraca do izby po flintę a More tymczasem w nogi.

Cygan zwąchał jakoś, że pana farara nie ma w domu, wszedł więc do pieca, a stamtąd wybił sobie drogę do izby. Dostawszy się do wnętrza, spostrzegł z niemałém przerażeniem, że pan farar pisze przy stole. „Czy tędy droga do Rimawskiéj Soboty?“ — Farar zatopiony w swojém kazaniu, otworzył drzwi i wyrzucił cygana bez żadnéj ceremonii precz. Dopiéro potém, obejrzawszy dziurę w piecu, domyślił się, co cygan zamierzał...

Cygan ukradł gdzieś wieczorem połeć słoniny. Wymykając się z nią, pomylił sobie jakoś drzwi, ponieważ było ciemno i wlazł ze słoniną do pańskiego pokoju. Widząc pana przy stoliku pyta pośpiesznie: „Przepraszam, czy pan nie kupi połcia słoniny?“ — „Idź do dyabła razem ze swoją słoniną!“ — „No, to dobranoc!“ powiedział cygan — i w nogi.

Zmierzchało już, kiedy zbliżałem się do Rużomberka. Skoro mi się dotychczas dobrze w drodze powodziło, miałem nadzieję, że

i w Rużomberku z łatwością przyjdzie mi wynaleść dom pp. Makovický'ch, gdzie mogłem się uprzejmiéj spodziéwać gościny. Żałowałem bardzo, że dr. Dušana nie zastanę w domu; pisał mi, że 15 września wyjedzie do Insbruku na praktykę szpitalną, a to był już siedmnasty dzień tego miesiąca. Po drodze spotykałem sporo mieszczan idących na spacer za miasto. Jakież było moje zdziwienie, gdy w mroku wieczornym spostrzegłem dr. Dušana, który właśnie szedł na spacer z bratem i bratową. Dopiéro tego dnia wieczorem postanowił opuścić dom rodzinny. Tak więc pozbyłem się kłopotu szukania ludzi, którzyby mi potrzebnych informacyi udzielić mogli. Po przybyciu na miejsce przeznaczenia poznałem ojca d-ra Dušana, Petra, jego ciotkę, brata Vladimira z żoną i brata Miłosza. Rodzina Makovických należy w Słowacyi do wyjątków, gdyż bogaci to ludzie, a nie wyparli się ideałów narodowych, jak to uczynił ogół nielicznéj zresztą burżuazyi słowackiéj. Duży handel korzenny, fabrykę sérów owczych (bryndzy) i drzewnego surogatu na papiér, objęli po ojcu Vladimir i Peter (młodszy), dr. Dušan poświęcił się sztuce lekarskiéj, Miłosz prawu, a jeszcze jeden syn, którego nie poznałem, a imienia sobie nie przypominam, para się filozofią. Gdybym nawet nie wiedział, że Makoviccy są ludźmi zamożnymi, powiedziałoby mi ich mieszkanie, wykazujące prawie komfort. Wygoda połączona tu z wymaganiami estetycznemi. Pomiędzy obrazami na ścianach zawieszonemi znajduje się „Rychła poczta“ Věšina, malarza czeskiego, który dłuższy czas bawił na Słowacyi i stworzył cały szereg udatnych obrazków. Po kolacyi dr. Dušan pożegnał się z nami i pojechał, a my w domu pozostali rozpoczęliśmy dyskurs o hr. Tołstoju i jego doktrynie, a to z racyi, że dr. Dušan jest zapalonym tołstoistą, usiłującym przy pomocy kolegi swego i współwyznawcy Škarvana wprowadzić w życie zasady ruskiego pisarza-myśliciela. Nową doktrynę oblekali w ciało w czasie swych studyów praskich, a jeszcze bardziéj w miesiącach wakacyjnych na Słowacyi.

Noc spędziłem w gościnnym domu rodziny d-ra Dušana.

Obok rodziny Makovických mieszka w Rużomberku jeszcze jeden wybitniejszy narodowiec i patryota słowacki, Karol Salva. Posiada on drukarnię książek słowackich i mały handel przedmiotów szkolnych. Znany jest jako wydawca miesięcznika pedagogicznego „Dom a škola“, oraz pisma gospodarczego „Obzor”. Czcionkami jego drukuje się również dwutygodnik „Cirkevné listy.“ Jakie jest położenie patryotów słowackich wykazuje los Karola Salvy. Cerkiew klenowska wybrała swoim nauczycielem Karola Salvę, znanego jako znakomitego pedagoga i wydawcę „Domowého Kalendára“,

a ten fakt sam wystarczył, aby się wzburzyli wszyscy patryoci gemerscy; wybór w przytomności żandarmów, przez ówczesnego dozorcę senioralnego Ruthenyego przywołanych, przeprowadzono spokojnie i z prawem zgodnie, więc nie można było przeciwko niemu wystąpić. Salva przybył do Klenowca, lecz wrogowie przepowiadali mu, że nie długo pozostanie na miejscu. Fakt ten podkreśla się jako dowód, że zamierzono z góry szukać zaczepki, a kto chce psa uderzyć, ten kij znajdzie. Salva postanowił i w Klenowcu wydawać dalej kalendarz na r. 1887-my. Wiadomo, że każda świeżo z druku wyszła książka posyła się przedewszystkiém właściwéj zwierzchności politycznéj do przejrzenia. Tak się stało i tym razem, a władza nie znalazła w kalendarzu nic takiego, coby groziło państwu, porządkowi czy moralności publicznéj. Kalendarz atoli wpadł w ręce luczeńskiego służnego Jura Pongracza, który naprzód z wielkiego patryotyzmu puścił cały majątek ojcowski, potém w sposób zgoła nie patryotyczny ożenił się dla tysięcy posagu, a kiedy i tych zabrakło pozwolił się wybrać służnym. O prywatnych sprawach p. Pongracza mówimy tylko dlatego, aby wykazać, z jakichto ludzi rekrutują się owi gorliwi obrońcy ojczyzny na Słowacyi. Ten to pan służny skłonił miejskiego kapitana luczeńskiego, aby skonfiskował w księgarni kalendarze Salvy. Panowie ci posłali owe kalendarze do ministeryum spraw wewnętrznych, które je oddało fiskusowi. Stamtąd przyszła odpowiedź, że w kalendarzu nic nie ma występnego. Lecz to nie wystarczyło, gdyż gemerscy gorliwcy chcieli koniecznie mieć zasługi i skonfiskowali kalendarze, a komitat wysłał deputacye do ministeryum, domagając się, żeby wystąpiono przeciwko nim, oraz ich wydawcy. Nareszcie rożnawski służny Géza Kubinyi napadł na biskupa Czekusza: jak może cierpieć nauczyciela panslava? Biskup, zawsze gotowy do prześladowania słowiańszyzny, polecił niektórym fararom gemerskim przejrzéć kalendarz, a ci znaleźli w nim istotnie panslawizm, gdyż mówiono tam, że Słowak jest człowiekiem, że to bestyalstwo odmawiać Słowakowi człowieczeństwa i że w historyi miasta Tisovca cierpkie wprawdzie, lecz istotne napisano prawdy; i to również za winę poczytano, że w kalendarzu były pomieszczone podobizny Svetozára Hurbana, wybitnego pisarza słowackiego, jakotéż dzielnego obrońcy prawdy Stefana Daxnera, podówczas inspektora klenowskiéj cerkwi. Na zasadzie tych odkryć polecił biskup Czekuš przełożeństwu senioratu małohonckiego pozbawić urzędu wydawcę kalendarza Karola Salvę. Senior Paweł Czener, powołując się na to, że nie zna żadnego zarzutu przeciwko Salvie jako nauczycielowi i że sądzić: czy Salva wykroczył przeciw prawu należy do władzy politycznéj, a występek

prasowy do sądu prasowego, nie przystał na zawieszenie Salvy w jego czynności i posłał kalendarz fiskusowi do Koszyc. Cerkiew klenowska, mając na czele Stefana Daxnera, ujęła się za swoim prześladowanym nauczycielem, uchwalając, że nietylko nie ma nic przeciwko niemu, ale że sobie życzy mieć takiego człowieka za nauczyciela, i wysłała deputacyę do biskupa Czekusza, który oświadczył, że tak musi postępować, jak tego prawo żąda. Senior Czener bronił się na konwencie dystryktualnym dzielnie: „Twierdzę, że Karol Salva jest jednym z najlepszych nauczycieli. Jako nauczycielowi nie mogę mu niczego zarzucić. Z pisarzem zaś ja nie mam nic do czynienia, to należy do władzy prasowéj.“ Nic nie pomogło. „My jesteśmy sądem prasowym“, odpowiedział Czekuš. Namiętność odniosła zwycięstwo. Konwent uchwalił zawiesić Salvę w jego czynności i stawić przed sąd kościelny, który, choć nie jednogłośnie, zasądził oskarżonego na utratę miejsca.

Mimo deputacyi i próśb cerkwi klenowskiéj, na których czele stał Stefan Daxner, mimo dzielnéj obrony, prowadzonéj przez d-ra Samo Daxnera, pozbawiono Salvę posady nauczycielskiéj; lecz właśnie ta jednomyślność, z jaką cerkiew klenowska broniła swego nauczyciela, była „cierniem w oku“ dla tych, którzy pragną panować i to za jakąkolwiek cenę.

W ten sposób zdolny pedagog został pozbawiony posady nauczyciela ludowego jedynie dlatego, że nie zaparł się uczuć narodowych, patryotycznych. Chcąc żyć i działać daléj według sił i możności, wyuczył się Salva sztuki drukarskiéj i osiadł w Rużomberku, co z niemałą przyszło mu trudnością, bo gmina miasta nie chciała go przyjąć w poczet swoich obywateli. Karol Salva jest dzisiaj w sile wieku i długo jeszcze zapewne pracować będzie nad rozwojem świadomości narodowéj ludu słowackiego.

Z nim to wyszedłem dla obejrzenia ruin zamku likawskiego. O kwadrans drogi za miastem wznoszą się na skale potężne mury, zupełnie opuszczone i przez nikogo nie konserwowane. Zwiedzanie tych ruin połączone jest z pewném ryzykiem, bo mury są porysowane i silnie popękane. Przeszłéj wiosny wypadła cała jedna ściana, zasypując gruzem skaliste stoki. Lecz urok zwalisk zamkowych i chęć rozejrzenia sie po pięknéj okolicy przeważyły w danéj chwili nad ostrożnością i refleksyą, to też p. Salva i ja gwarząc po drodze o różnych fragmentach wielkiéj kwestyi słowiańskiéj, ruszyliśmy do widniejącéj zdala Likavy. Zamek likawski odgrywał niepoślednią rolę w dziejach nietylko Słowacyi, ale i całych Węgier. Ciekawą jego historyę podaje praca dziejopisarza słowackiego Stefana Hyrosza p. t. „Zámok Lykava

i jeho páni". Na żywéj rozmowie spędziliśmy sporo czasu; rzecz prosta, że Karol Salva mógł mi wielu cennych udzielić informacyi. To téż nastawiałem uszy. W czasie całéj wycieczki głównie słuchałem i obserwowałem, sam zaś mówiłem niemal tyle tylko, ile potrzeba było do objaśnienia go, czego od mych interlokutorów pragnę się dowiedziéć. Obok informacyi ustnych obdarzył mnie p. Salva kilku potrzebnemi książkami, które posiadał na składzie. Zdobycie reszty pozostawiłem sobie na późniéj. Podziękowawszy p. Salvie za jego uprzejmość, wróciłem do pp. Makovickych na obiad, którego po rannéj przechadzce mocno potrzebowałem. Przy stole prowadziliśmy lekką rozmowę potoczną *de omnibus rebus et quibusdam aliis.* Nie miałem nic przeciwko temu, gdyż potrzebowałem ostatecznie chwilowego odpoczynku i odświeżenia umysłu. Nietylko bowiem jednostajność tematu nużyć mnie zaczęła, ale i słuchanie opowiadań o smutnych stosunkach, o ciągłéj walce przy tak nierównych siłach, o brutalnych postępkach liberalnych Madyarów, o postępach madyaryzacyi i zdemoralizowaniu, jako nieuniknioném następstwie téjże, wszystko to dręczyło mnie i smutnemi napełniało myślami. Chętnie więc słuchałem opowiadań p. Miłosza o Peszcie, który ma być bardzo piękném miastem, mogącém już w niedalekiéj przyszłości rywalizować z Wiedniem. Ile krwi i potu słowiańskiego przyczyniło się do wzniesienia tych pysznych budynków państwowych i do upiększenia dumnéj stolicy Arpadów—trudno powiedziéć. Lecz, że sami Madyarzy nie zdołaliby ponieść tych kosztów, to pewna!

Zaraz po obiedzie uniósł mnie pociąg pośpieszny do Św.-Mikulasza (św. Mikołaja). Przy sposobności objaśnić muszę, że Słowacy dziwny mają zwyczaj nadawania swym wsiom i miasteczkom imion różnych popularnych świętych swego kalendarza. W każdym komitacie, czyli jak się po słowacku mówi, w każdéj stolicy, mnóstwo spotykamy świętych tego rodzaju. Zapewne wielka pobożność ludności słowackiéj dała pohop do tego zwyczaju. Ogniskiem ich narodowego i literackiego życia jest Św.-Marcin w komitacie turczańskim. Odwiedzenie tego miasta i zebranie odpowiednich wiadomości zostawiłem sobie na sam koniec wycieczki. Tymczasem zaś w pół godziny przybyłem do Św.-Mikołaja, niezbyt od Rużomberka odległego. Zaledwie wydostałem się ze stacyi, gdy opadło mnie kilku ludzi, z których każdy w innym języku zalecał swoje specyały. Jeden po węgiersku zachwalał hotel, drugi po niemiecku ekwipaż, trzeci po słowacku swoje konie. Oszołomiony tym gwarem stanąłem, zapomniawszy, co mi zrobić wypada. Widząc to jeden chwyta za mój tornister, który trzymałem pod pachą, i zaczyna ciągnąć w stronę swego

wehikułu. Rozumié się, że reszta nie mogła na to patrzéć obojętnie, więc kilka rąk wyciągnęło się w moją stronę i nie wiele już brakowało, abym ja pojechał do miasta jednym wózkiem, a mój tornister drugim. Grożące niebezpieczeństwo otrzeźwiło mnie. Energicznym ruchem strzepnąłem rękę woźnicy, jak nurek ramię wstrętnéj ośmiornicy, a powiedziawszy im parę grzeczności, podszedłem do najbliższego wózka i w nim się tryumfalnie usadowiłem. Sądziłem, że jestem zupełnym panem sytuacyi — byłem w błędzie. Wnet bowiem przysiadł się do mnie jakiś gruby jegomość, w końcu powiększył nasze grono niepozorny syn groźnego Marsa w mundurze węgierskim i tak podniósłszy palce do kapeluszy, oraz mruknąwszy coś niezrozumiałego pod nosem, pojechaliśmy we trójkę do miasta. Ja kazałem się zawieść do d-ra Emila Stodoli, któremu byłem polecony przez d-ra Makovicky'ego. Niebawem znalazłem się w kancelaryi d-ra Stodoli, który ma dar korzystnego reprezentowania świętomikołajskiéj inteligencyi słowackiéj. Człowiek to młody jeszcze, wykształcony, po szerszym świecie przetarty, myśli słowiańskiéj wcale nie obcy. Zajęty pilną pracą fachową, oddał mnie pod opiekę swego młodszego brata, pracującego w garbarni razem z najstarszym bratem. Zakład fabryczny pp. Stodolów jest urządzony na wielką skalę. Skorzystałem z uprzejmości gospodarza, który ofiarował się oprowadzić mnie po fabryce, i obejrzałem wszystkie działy; objaśnienia przewodnika pozwoliły mi wejrzéć w przebieg fabrykacyi. Zakład pp. Stodolów zalicza się do największych w Austryi i stanowi chlubę przemysłu słowackiego. Rząd węgierski ocenia snać wartość fabryki, skoro właśnie pp. Stodolom powierzył w tym roku dostawy dla honwedów. Garbarnia ta posiada cenną tajemnicę wyrabiania juchtu ruskiego; p. Stodola, nie obawiając się podpatrzenia, wprowadził mnie do małego pokoju na piętrze, gdzie nie wpuściłby żadnego fachowca. Rzeczywiście, można mnie było wprowadzić w najtajniejsze zakątki, bo szczerze wyznaję, że nie rozumiałem nic i tajemnicy nie wykradłem. W garbarni téj pracuje wielu Polaków, którzy dobrymi są robotnikami. Zwiedzony zakład jest największą ale nie jedyną w Św.-Mikołaju garbarnią; owszem, ta gałąź wielkiego przemysłu jest względnie dosyć w Św.-Mikołaju rozwinięta i stanowi o jego znaczeniu ekonomiczném. Do nosa częstokroć dolatuje silna woń skór i garbnika. Tymczasem p. dr. Emil zakończył swą dzienną pracę, więc wybraliśmy się na miasto dla złożenia wizyty nauczycielowi p. Ruppeldtowi, wydawcy zbioru p. t. „Venček slovenskych národnich piesni.“ Człowiek ten wielkie ma zasługi około podtrzymania poczucia narodowego w Św.-Mikołaju. Jedynie bowiem dzięki jego energii i wytrwałości utrzymuje się

w têm mieście od lat dwudziestu pięciu „spevokol“, to jest klub śpiewacki. Ruppeldt walczy skutecznie z wszelkiemi przeszkodami, jakie napotyka w spełnianiu dobrowolnie przyjętego obowiązku. Prowadzi on od dłuższego już czasu niezmiernie zmudną i uciążliwą pracę, jaką jest zbieranie i układanie narodowych i ludowych pieśni słowackich, które ogłasza drukiem. Zbiór ten obejmuje już kilkaset sztuk, a jeszcze nie jest skończony. Obok tego układa i uczy chóry klubu śpiewackiego, który produkuje się publicznie. Otrzymałem od p. Ruppeldta kilka programów koncertów, wykonanych siłami tego klubu śpiewackiego, „Tatran“, którego p. Ruppeldt jest dyrygentem. Niezmordowany zbieracz pieśni ludowéj słowackiéj jest zarazem kompozytorem, o czém z programów łatwo dowiedziéć się można. Świętomikołajscy śpiewacy w korzystnych względnie znajdują się warunkach, gdyż mają salę koncertową. Jestto właśnie mała sala teatralna z formalną sceną, gdzie odbywają się przedstawienia amatorskie. Lecz mogą naturalnie odbywać się i koncerty wokalne, po których zazwyczaj następuje „wolna zabawa“, czyli nasze zwyczajne tany. Sala teatralna i scena wcale gustownie i ładnie się przedstawiają. Żałowałem bardzo, że nie trafiłem na przedstawienie lub téż koncert, byłbym bowiem poznał całą inteligencyę świętomikołajską, a zwłaszcza jéj piękniejszą połowę. Tak zaś zmuszony byłem ograniczyć się do szczupłego kółka mężczyzn, zbierających się co wieczór w restauracyi hotelu Ronay. Tu poznałem młodego p. Baltika, syna superintendenta dystryktu przeddunajskiego, przez Słowaków zamieszkałego; człowiek to gładki i przystojny, również stanowi duchownemu poświęcony.

W Św.-Mikołaju bawi czasowo fotograf praski, ale Słowak, p. Sochaň. Obok świadomości narodowéj posiada jeszcze poczucie artystyczne a te dwa przymioty sprawiły, że p. Sochaň zajmuje się gorliwie zbieraniem i wydawaniem ludowych wyszywek słowackich, których piękną wystawę urządził w Św.-Mikołaju, a bieżącego roku w Pradze. Oglądałem oryginały wyszywek i zdjęć ręcznych p. Sochania, oraz ich odbitki w druku. Są to wszystko silnie przemawiające dowody istnienia rodziméj sztuki ludowéj u Słowaków, podobnie jak i innych Słowian; zasoby te należy tylko umiejętnie wyzyskać i w celach przemysłu artystycznego zastosować.

Obok wyszywek zbiera także p. Sochaň widoki słowackie i fotografuje wybitniejsze osobistości swego narodu. Tu téż po raz pierwszy ujrzałem tych ludzi, których niebawem w Św.-Marcinie osobiście poznać miałem. Z niecierpliwością téż prawdziwą czekałem odej-

ścia „rychlika“ w stronę sławnego Św.-Marcina, téj stolicy słowaczyzny.

Tyle słyszałem w Zakopanem od górali i turystów o Św.-Marcinie, tyle się naczytałem o nim u Gillera, i tyle sobie po nim obiecywałem, że wyeksploatowawszy Św.-Mikołaja należycie, pożegnałem d-ra Emila Stodolę i pośpieszyłem lichą dryndą na stacyę, aby doczekawszy się nadejścia pociągu wskoczyć do wagonu i przy pomocy pary przed wieczorem jeszcze stanąć w miejscu, które miało zakończyć moją włóczęgę, tak pełną wrażeń. Tak mi się do Św.-Marcina śpieszyło, że pociąg kuryerski szedł mi za wolno.

Nie ma szykany, przed którąby się cofnęły władze węgierskie, ile razy chodzi o Słowaków. Aby dokuczyć ludziom, którzy ciężko zapracowany grosz swój włożyli w przedsiębiorstwo, odmówił rząd konsensu na sprzedaż gorących napojów. Rzecz więc prosta, że wszystkie knajpy świętomarcińskie są wieczorem pełne, tylko „Dom“ pusty, i że dzierżawca nie może płacić takiego czynszu, jaki byłby w stanie dać przy „licencyi“. Na razie pominąłem „Dom“ i poszedłem dalej w miasto dla odszukania „Národnich Novin“, tam bowiem spodziewałem się poznać redaktorów tego pisma, to jest ludzi, stojących dziś na czele ruchu narodowego w Słowacyi. Jakaś Madyarka wyznania mojżeszowego objaśniła mnie, gdzie mam szukać redakcyi. Z łatwością znalazłem dom adwokata d-ra Mudrona, w którym na parterze mieści się redakcya „Národnich Novin“, o czém objaśnił mnie odpowiedni napis. Wszedłszy do wnętrza, zastałem przy stoliku p. Čajdę w jednym, a p. Bielka w drugim pokoju; wkrótce nadszedł odpowiedzialny redaktor Ambro Pietor, oraz p. Józef Škultéty. Wystarczyło mi tylko wymienić swoje nazwisko, aby doznać uprzejmego przyjęcia. Redaktorowie bowiem wiedzieli o mnie już nietylko od d-ra Makovicky'ego, ale i z korespondencyi, wydrukowanéj w ich własnym organie. W najświeższym numerze „Národnich Novin“ przeczytałem taki ustęp w rubryce: „Dopisy“. „Z Giemeru. Węgier, Polak dwa bratanki! O prawdziwości tego przysłowia musi powątpiewać nasz były gość, p. W. Szukiewicz. Chęć bliższego poznania Słowaków przywiodła go z Zakopanego przez Sztyrbę, Hron i Revucę do Tisovca. Aż do Tisovca wiodło się mu dobrze. Tu dowiedział się służny—mianowicie został uwiadomiony przez podżupana — że w Tisovcu jakiś emisaryusz rozdaje pieniądze. Pan służny Porubsky w asyście żandarmeryi, która strzegła wszystkich dróg, aby niebezpieczny człowiek nie uciekł, przybył do Tisovca dla zbadania, czy istotnie pan Szukiewicz tak jest niebezpiecznym człowiekiem. Dowiedziawszy, że p. Szukiewicz jest na Pile, podążył tam za nim. Tu

ściągnął z niego protokół, a przekonawszy się, że nie jest zgoła tym, za kogo był uważany, zostawił go w pokoju. Z Tisovca udał się p. Szukiewicz do B.-Bystryci, Mikulaša, Ružomberka i T. Św.-Martina.

My cieszymy się, że bracia Polacy zaczynają się nami interesować. Lecz życzymy sobie, aby przyszłym podróżnikom po słowackich krajach nie zdarzyło się coś podobnego, jak p. Szukiewiczowi, kiedy miał zaszczyt poznać p. służnego Porubsky'ego."

Czyż mogłem posiadać lepszą rekomendacyę; przyjęli mnie jak swego, bo doznałem choć względnie małéj przykrości od liberalnéj władzy węgierskiéj, dręczącéj biednych Słowaków bez końca.

A przykrość tu spotkała mnie jedynie za to, że chciałem poznać stosunki słowackie w celach publicystycznych, z czém wcale się nie ukrywałem. Ponieważ redaktorowie mieli wykończyć kilka pilnych prac do najświeższego numeru, przeto pożegnałem ich i wróciłem do „Domu", gdzie ładny i tani dano mi pokoik. Potém zszedłem do kawiarni; wierny swéj metodzie poprosiłem o kawę po polsku. „Picolo" widząc przed sobą jakiegoś brata słowianina, a nie będąc snać bardzo biegłym w rozpoznawaniu języków słowiańskich, wziął mnie za Czecha i przyniósł praskie „Humorystické Listy." Prawdziwą mi tém sprawił przyjemność, bo od kilku miesięcy nie miałem w ręce tego organu młodoczeskiego z ilustracyami znanego mi osobiście z Pragi p. Krejčika. Mimo to uważałem za stosowne objaśnić, że nie jestem wcale Czechem, ale Polakiem z Galicyi. „Picolo" pobiegł, a za chwilę leżała przedemną „Hałyckaja Ruś". Dałem mu lekcyę z dziedziny etnografii słowiańskiéj i... wypiłem wcale nie złą kawę, a potém wybrałem się na spacer po stolicy. Św.-Marcin turczański to zupełnie małe i biedne miasteczko słowackie, wybrane na centrum jedynie dlatego, że jest główném miastem komitatu turczańskiego, zamieszkanego przez najbardziéj dojrzałą ludność słowacką. W pośród niskich, małych domków znajdzie się tu i owdzie jakaś ładniejsza murowana kamieniczka, ale wygląd ogólny biedny jest i mizerny. Ze zmierzchem wróciłem do „Domu"; tu zostałem wprowadzony do „kasyna", gdzie obok dzienników słowackich leżą czeskie i ruskie; polskich nie ma nawet na lekarstwo.

Powoli zaczęło się zbierać towarzystwo męskie, z pośród którego winienem wymienić trzech ludzi polityczne zajmujących stanowisko, a mianowicie adwokatów: d-ra Pawła Mudronia, d-ra Mattusza Dulę i d-ra Ondreja Halašę, oraz najwybitniejszego z żyjących powieściopisarzy słowackich, Svetozara Hurbana Vajansky'ego. Bystry to umysł, choć jednostronny i do przyjęcia pewnych obcych mu po-

jeć nie bardzo chętny; zaczęliśmy rozmawiać o celu mojéj wycieczki i o nieistnieniu żadnych stosunków między Słowakami a Polakami. Z tego przeszliśmy na stosunki ogólno-słowiańskie tyle trudności nawet w teoretycznem rozwiązaniu przedstawiające. Pan Hurban posiada w téj kwestyi zasady wyrobione wprawdzie, ale tak krańcowo jednostronne, że dyskusya prawie była niemożliwa. Żądał odemnie tak daleko idących ustępstw, że mimo szczeréj chęci dojścia do jakiegoś rezultatu musiałem uznać niepodobieństwo tego życzenia. Ze wszystkich rozmów, jakie czy to z p. Hurbanem, czy też z innymi redaktorami prowadziłem, ten tylko wyciągnąłem wniosek, że ustawiczne obracanie się w zbyt ciasnem kółku zacieśniło niekorzystnie ich poglądy na kwestę słowiańską. Po za rządem węgierskim i jego prześladowaniami widzą bardzo mało, prawie nic, i z tego to zakresu dobrze sobie znanych faktów wyprowadzają wszelkie indukcye, wyciągają wnioski i tworzą zbyt pohopnie zasady ogólne. Nic w tém dziwnego, bo ucisk, z jakim nieustannie walczą, musi ich absorbować i nadawać ich umysłom jednostronny kierunek.

Przyjazd mój do Św.-Marcina w bardzo korzystną wypadł porę, nazajutrz bowiem miał się odbyć we wsi Ivanczynie, o dwie godziny konnéj drogi od Św.-Marcina, konwent w celu wybrania posłów na synod generalny kościoła ewangielickiego w królestwie węgierskiém. Obszerniéj o téj ciekawéj sprawie rozpiszę się niżéj, mówiąc o stosunkach kościelnych na Słowacyi wogóle, tu zaś powiem tylko tyle, że fakt ten dał mi sposobność przyjrzenia się osobiście starciu między madyaronami (renegatami) a ludem słowackim, którego ostatnią twierdzą w obronie prześladowanéj narodowości jest religia i organizacya kościoła protestanckiego. Pan Hurban postawił wniosek, żeby mnie na konwent zabrano i aby mi tam dano sposobność do robienia osobistych spostrzeżeń. Wniosek został przyjęty, a jego przeprowadzenie polecono dr. Duli. Nazajutrz rano zabrał mnie istotnie dr. Dula swemi dobremi końmi i wygodną bryczką do Ivanczyni. Trzeci pojechał z nami p. Tomka, również jeden z téj nielicznéj garstki szlachty słowackiéj, która nie zdradziła sprawy narodowéj. Przyjechaliśmy na miejsce przed rozpoczęciem się modlitwy, a więc w samą porę. Pierwszy raz byłem w kościele protestanckim podczas nabożeństwa. Jednostajny śpiéw modlących się nie bardzo przypadł mi do smaku; nie wiele się różni od kościelnych śpiewów katolickich, tak mnie się przynajmniéj zdało. Wysłuchałem również z uwagą kazania; dziwne wrażenie zrobił na mnie ksiądz, chłop tęgi z dużemi wąsami i gęstą brodą. Podobne zjawisko na ambonie widziałem po raz pierwszy. Ani treść, ani też wygłoszenie kazania nie przedstawiały nic osobli-

wego; zwyczajne rzeczy, zwyczajnie, bez przejęcia i zapału wypowiedziane. Mimo to, część kazania przytoczę, bo mi to niżéj będzie potrzebne.

W początkach chrześciaństwa przechodzili na nową wiarę żydzi i poganie. Otóż żydzi twierdzili, że lepszymi są chrześcianie ze synów Izraela pochodzący, niżeli z pogan. Domagali się oni, aby poganie naprzód przyjmowali wiarę Mojżesza, a potém dopiéro Chrystusa. Kościół katolicki twierdzenie to potępił, a zupełnie to samo zrobił ksiądz na ambonie.

Po kazaniu nastąpiło posiedzenie konwentu, który najprzód załatwił jakąś sprawę asekuracyi od ognia, a potém przystąpił do wyborów. Umyślnie na konwent przybyły urzędnik węgierski postawił czterech kandydatów bez żadnego ich polecenia. Na to wstał dr. Dula i wymienił kandydatów stronnictwa narodowego, wzywając do jednomyślnego głosowania na nich. W krótkiém, ale jędrném przemówieniu motywował swój wniosek. Wskazywał on, że już ośm konwentów na posłów wybrało tych samych około sprawy narodowéj zasłużonych ludzi, że więc już sama solidarność domaga się głosowania na nich. Dają oni zresztą rękojmię, że nigdy nie przejdą w szeregi stronnictwa rządowego i wyborców swoich nie zdradzą. W całém przemówieniu swojém nie dotknął dr. Dula ani jednèm słowem kandydatów rządowych. Wówczas powstał czcigodny p. Czipczani i trzęsąc się z irytacyi oświadczył, że nie myśli wcale polecać swoich kandydatów, lecz zapytuje mówcę opozycyjnego, czémby cerkiew iwanczyńska zgrzeszyła, gdyby na jego kandydatów głosowała. Czcigodny pan Czipczani sądził snać, że dr. Dula przelęknie się tego wezwania, bo rzecz była drażliwa i delikatna. Lecz mylił się. Dr. Dula podjął rzuconą rękawicę nietylko z godnością, lecz i ze zręcznością wytrawnego polityka i mówcy. Biorąc asumpt z niedawno wygłoszonego kazania, zaznaczył, że niestety nie brak i dzisiaj ludzi twierdzących, iż Słowacy wprzód muszą się stać żydami a dopiéro potem chrześcianami. Aluzya była przejrzysta i zrozumiała. Słowak bowiem naprzód stać się musi madyaronem a dopiéro wtedy jest godny piastować różne urzędy publiczne i państwowe. Mówca silnie uderzył na szkodliwy prąd istniejący już od lat przeszło trzydziestu. Prądem tym jest wprowadzenie w sprawy kościelne polityki, nie mającéj z pierwszemi zgoła nic wspólnego. Kandydaci przez mówcę popiérani dają rękojmię, że nie będę żądać od Słowaków, aby się z pogan naprzód stali żydami a potém dopiéro chrześcianami, i nie będą polityki mieszać z religią. Kiedy dr. Dula skończył zabrał głos ksiądz, także madyaron i również

choć bardzo nieśmiało wystąpił przeciw kandydatom narodowym, rzekomo z tego powodu, iż pierwotnie byli przeciw obesłaniu synodu a teraz, kiedy superintendent Baltik sprawę synodu przeforsował, stawiają swoje kandydatury. Jak lud jest silnie do swéj narodowości przywiązany a w tym wypadku i świadomy rzeczy, dowodzi fakt, że mimo wpływu rządowców i księdza głosowali wszyscy na kandydatów narodowych, którzy téż przeszli ogromną większością. Za rządowcami głosowała śmiesznie mała garstka madyarskiéj szlachty, ugrupowana za plecami księdza. Lud w czasie konwentu, zachowujący się bardzo cicho i spokojnie rozpadł się po wyjściu z kościoła na grupki i tu żywo rozprawiał. Ze wszech stron dziękowano d-rowi Duli za jego dzielne i uczciwe wystąpienie.

Zabrawszy jeszcze na bryczkę d-ra Halašę pojechaliśmy na późny obiad do obywatela ziemskiego p. Orsaga.

Pan Orsag jako katolik nie brał czynnego udziału w sprawach kościoła ewangelickiego, lecz jako narodowiec szczerze się ucieszył z odniesionego zwycięstwa. Pani domu uraczyła nas prawdziwie obywatelskim, wiejskim obiadem. Byliśmy zgłodniali wszyscy, więc rzuciliśmy się z apetytem zwycięzców (i ja się do nich przy obiedzie zaliczałem) i straszne uczyniliśmy spustoszenia. Wszystko cokolwiek na stół przyszło, pochłanialiśmy z szybkością niesłychaną. Uspokoiwszy dręczącą nas bestyę głodu, podziękowaliśmy za gościnę i znowu obsiadłszy brykę ruszyliśmy z powrotem. A czas był już dobry, bo dni wrześniowe krótkie i najdaléj do godziny szóstéj należało być w domu. Wyborne konie szparkiego sunęły kłusa. W kasynie oczekiwali ciekawi na wieści z pola bitwy. Dr. Dula pojechał do domu, tylko p. Tomka i ja opowiadaliśmy o przebiegu pomyślnéj dla Słowaków kampanii. Dr. Mudroń, jeden ze zwycięskich kandydatów uśmiéchał się, przymknąwszy lewe oko, i zapijał węgierskie wino.

Za małą chwilę pojawiły się w kasynie damy: p. Dula z dwiema córkami, p. Halašova i p. Mudroň. Przedstawiony, przysiadłem się do wspólnego stolika, poczem zawiązała się miła, towarzyska pogawędka. Opowiadałem o swojéj dotychczasowéj drodze, o zebranym materyale, o przygodzie z żandarmami w Tisovcu i o dalszym planie wycieczki. Część poważna mojéj drogi kończyła się na Św.-Marcinie, pozostawała mi zaś jeszcze tylko mała cząstka ściśle turystycznéj natury. Zamierzałem przy sprzyjającéj pogodzie pójść pieszo na Streczno do Żyliny (Sillein), stąd pociągiem do Cieplic Trenczyńskich i z powrotem. Plan mój zyskał ogólną aprobatę, owszem nawet zachęcano mnie do takiego zakończenia wycieczki. Dolina Wagu ma być bowiem pomiędzy Żyliną a Trenczynem romantycznie piękna, okolice

nadreńskie przypominająca. Ponieważ żaś opuścić Św.-Marcin postanowiłem dopiéro we środę rano, więc uprzejme panie zaprosiły mnie do wzięcia udziału we wspólnéj wycieczce w okolice, we wtorek popołudniu. Naturalnie zaproszenie ze skwapliwością przyjąłem.

Późno już było a znużone ciała nasze wczesnego domagały się spoczynku. Więc złożywszy sobie życzenia dobréj nocy porozchodziliśmy się każdy w swoją stronę i poukładaliśmy się do snu.

Mnie następnego dnia spora czekała robota, bo właściwie mało bardzo dotychczas dla swego celu uczyniłem. To téż zaraz rano zwiedziłem pod przewodem p. Hurbana nowe muzeum i bibliotekę słowacką. Obiedwie instytucye młode jeszcze są i w pierwszéj dopiéro epoce rozwoju, lecz wcale przedstawiają się interesująco. Budzą one prawdziwy szacunek, jako dowód ogromnéj żywotności i zapobiegliwości inteligencyi słowackiéj. Przy swych niezmiernie szczupłych środkach zdobyli się już raz na spore muzeum i dużą, bo 20,000 tomów liczącą bibliotekę. Lecz liberalny i sprawiedliwy rząd węgierski zamknął obiedwie instytucye, gospodarując w nich po swojemu; cenniejsze okazy muzealne skradziono i uwieziono do Pesztu, a bibliotekę niszczą mole i myszy. Dzisiaj Słowacy gromadzą nowe bogactwa nie mając żadnéj pewności, czy opiekuńczy rząd węgierski nie zechce przy pierwszéj lepszéj sposobności wystąpić brutalnie przeciwko stworzonym przez rząd rozmyślnie, rzekomym agitacyom Słowaków.

Z muzeum poszedłem do p. Hurbana złożyć swoje uszanowanie a przy sposobności splondrować ładną jego biblioteczkę prywatną. Zebrać drukowany materyał do stosunków słowackich dość trudno, gdyż wogóle nie wiele sami o tém piszą i mało w tym przedmiocie istnieje książek. Lecz zawsze miéć trzeba to przynajmniéj, co istnieje. Nabycie zaś również pewne dość znaczne przedstawia trudności, gdyż Słowacy nie posiadają swojéj księgarni, kolportaż nie jest zorganizowany i wszystkie wydawnictwa rozprzedaje się prywatnie. Ponieważ inteligencyi słowackiéj jest bardzo mała garstka i to na niewielkim kawałku ziemi, przeto ludzie ci ustawicznie w najściślejszym ze sobą pozostają związku. Podziwiałem istotnie, jak wszyscy wybornie się znają, jak dokładnie o sobie wiedzą, jaki szczegółowy siebie samych prowadzą wykaz. Nie wiele od prawdy odstąpię mówiąc, że gdy jeden z nich w Św.-Mikołaju kichnie, to już zaraz wiedzą o tém w Rużomberku i życzą mu sto lat zdrowia. Przy takich warunkach możliwa jest rozprzedaż prywatna, bo z góry wiadomo, kto książkę weźmie a kto nie. Rzecz prosta, że dla kogoś obcego, w rzecz niewtajemniczonego, zoryentowanie się w tych stosunkach jest trudne. Nie byłbym doszedł do posiadania wielu ważnych rzeczy, gdyby nie

uprzejmość p. Hurbana, który z całą gotowością pozwolił mi ze swéj biblioteki korzystać. Zrabowawszy więc wszystko, co znalazłem i obiecawszy w swoim czasie sumiennie odesłać, szedłem na obiad do „Domu," gdy po drodze napotkałem młodego Pauliný'ego - Thota, który wezwał mnie na uroczyste gody do pp. Dulów; były to imieniny pana domu, Mattuša. Około nakrytego stołu zasiadła cała święto-marcińska inteligencya słowacka; Redakcya „Národnich Novin" stawiła się *in corpore.* Do ogólnych życzeń i powinszowań dorzuciłem i ja swoje. Nie wątpię ani przez chwilę, że do tak licznego zebrania przyczyniły się zasługi i popularność solenizanta; nie pośledni wpływ muszę atoli przypisać i wdziękom pani domu oraz jéj starszéj córki p. Olgi.

Panna spędziła kilka miesięcy w Pradze, miałem więc nie zły temat do rozmowy. I tak mi z tém jakoś było dobrze, iż wkrótce prawie sam jeden z gości pozostałem. Spostrzegłszy to, złożyłem czémprędzéj ukłon pożegnalny. Po obiedzie poszedłem się przejść za miasto a potém do redakcyi „Národnich Novin," gdzie pan Hurban kilku ważnych udzielił mi informacyi, które wciągnąłem do swych notatek. Wreszcie poszliśmy do p. Škutétyho, któremu zawdzięczam posiadanie w swych rękach całych trzech roczników „Národnich Novin." Był to dla mnie nabytek wielkiéj ceny. Chcąc bowiem dokładnie poznać stosunki słowackie, gospodarkę rządu węgierskiego i madyaryzacyę, trzeba znać całą masę drobnych, codziennych faktów, których są setki. A znikąd nie można ich zaczerpnąć, jak tylko z „Národnich Novin," będących najwierniejszém odzwierciedleniem smutnéj martyrologii słowackiéj. Zdobycie trzech roczników tego pisma dało mi możność bliższego poznania istoty i charakteru tych niezmiernie powikłanych narodowo-politycznych stosunków na Słowacyi. Niech mi więc będzie wolno wyrazić na tém miejscu podziękowanie p. Škultétymu za jego uprzejmość i cenną pomoc w pracy.

Nie mając zamiaru dźwigać ze sobą w dalszéj drodze wszystkich druków, wysłałem je pocztą do Zakopanego. Wszystko razem wyniosło okrągłych trzynaście kilo.

Pierwszy raz w czasie podróży popsuła się pogoda. Horyzont zaciągnęły gęste, ciężkie chmury, pokrywające wierzchołki otaczających wzgórzy a deszcz zaczął grubemi padać kroplami. Po tak długiéj pogodzie można się było znowu dłuższéj spodziéwać sloty. Papiéry projektowanéj wycieczki poczęły gwałtownie spadać razem z barometrem. Nie bardzo mi się ta sprawa podobała, gdyż miałem przed sobą kawał jeszcze drogi. Już mniejsza o stratę doliny Wagu i Cieplic trenczyńskich, bo mogę się tam jeszcze kiedyś wybrać; ale w planie moim leżał pieszy powrót do Zakopanego, od strony zacho-

dniéj przez Orawę. Zmieniać zaś planu tego nie chciałem, gdyż byłbym musiał koleją ogromne i niepotrzebne robić koło. Obawy moje zwiększyły się, gdy nazajutrz rano zaczął deszcz już nie padać ale po prostu lać. Różne ciemne obrazy, jak błota i strasznych trzęsawisk orawskich, przez które wypadała mi droga, obsiadły mój umysł. Brrr! Postanowiłem co rychléj ze Św.-Marcina uciekać. Zaszedłszy więc do redakcyi „Národnich Novin“ i pożegnawszy się z redaktorami, podziękowawszy jeszcze raz p. Hurbanowi za wyrządzone mi przysługi, udałem się z pożegnalną wizytą do pp. Dulów. Na odchodném wypiliśmy z p. Dulą po dwa kielichy „hriatoku.“ „Hriatok“ (od *hriat'* = grzać) jest narodową wódką słowacką. Smakowało mi to, choć nie znam się wcale na spirytualiach, zgodziłem się więc, że to istotnie dobre. Przy obiedzie towarzyszył mi jakiś Węgier, którego nazwiska nie przypominam sobie. Dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, zaczął mnie upewniać o wielkiéj sympatyi Węgrów dla nas.

Zapatrując się sceptycznie na kwestyę sympatyi węgierskich, wyraziłem wątpliwość pod tym względem. Objaśniłem swego interlokutora, że trudno nam wierzyć w sympatye węgierskie wobec eksterminacyjnéj polityki, prowadzonéj z całą bezwzględnością na ziemi słowackiéj.

Madyar skrzywił się i roześmiał.

— Nie wierz pan, aby sami Madyarzy chcieli Słowaków madyaryzować. Wszystko to sprawka wiedeńskich Niemców, wyciągających cudzemi rękami ziemniaki z popiołu. *Es müssen ja Hetzhunde sein!*, dodał z naciskiem.

Powtarzając te słowa na odpowiedzialność owego Madyara, żadnéj do nich nie przywiązuję wagi; jedni zganiają na drugich a rezultatem są nad wyraz smutne stosunki narodowościowe na Słowacyi.

Służący dał mi znać że już czas iść na koléj. Pożegnawszy tedy Madyara, poszedłem na stacyę, odprowadzony przez młodszego Paulinýego-Thota i p. Mudronia. Rezygnując już z doliny Wagui Trenczyna udałem się ze Św.-Marcina przez Vrutki do Kralowan, a stąd omnibusem do miasta komitatowego Dolnego Kubina.

Jestto owa „rychła poczta,“ którą w obrazie unieśmiertelnił Věšin. Nędzne chabety posuwają się istotnie tak wolno, że możnaby za nimi niemal pieszo nadążyć. „Pojazd,“ zazwyczaj pusty, dzisiaj był szczelnie zapełniony; jechało nas dziesięciu. Obok mnie siedział jakiś młody farar ewangelicki, który widząc turystę a poznawszy mowę polską domyślił się, że jestem owym w korespondencyi „Národnich Novin“ opisanym ptaszkiem. Zawiązała się tedy między nami rozmowa na temat stosunków miejscowych. Nie dowiedziałem się wprawdzie

niczego nowego, ale że *repetitio mater studiorum*, więc i ja powtarzaniem utrwalałem studya w swéj pamięci.

Uwagę wszystkich zwrócił na siebie sześćdziesięcioletni przeszło staruszek, milionowy kupiec płótna z Namiestowa. Powracał on od ks. Kneippa z Worishofu i opowiadał dużo ciekawych rzeczy o tym zakładzie. Mnie specyalnie przydała się znajomość p. Murina (tak się nazywa) ogromnie. Z Dolnego Kubina chciałem koniecznie jechać daléj, aby stanąć na noc w Podzamkach, gdzie są pyszne, starannie zakonserwowane ruiny zamku orawskiego (Árva varalja). Nie mogłem atoli dostać koni. Wówczas p. Murin zabrał mnie swoim powozem i odwiózł do Podzamków. Było to bardzo dla mnie pomyślne zdarzenie, gdyż w przeciwnym razie byłbym zmuszony całkiem niepotrzebnie nocować w Dolnym Kubinie a następnego dnia iść może pieszo, do czego najmniéjszéj nie miałem ochoty. Ja wyskoczyłem z powozu przed hotelem a p. Murin pojechał sobie daléj.

Okno mojego pokoju wychodziło prosto na ruiny wystrzelające wysoko przepyszną basztą. Niebo ciemnemi zaciągnęło się chmurami, a na ich tle rysowała się olbrzymia sylweta zamkowa.

Położyłem się spać z chęcią jaknajprędszego obudzenia się. I rzeczywiście otworzyłem oczy o godz. 5-éj. Pokój oświécały silnie promienie wschodzącego słońca. Więc deszcz nie padał? Więc mam pogodę? Zamiast być w Trenczynie i czternastu innych zamkach nad Wagiem położonych, znajduję się w Podzamkach na drodze do domu? W godzinę potém stanąłem w mieszkaniu odźwiernego, prosząc o wpuszczenie do zamku.

Całe wnętrze wprawdzie silnym pożarem zniszczone, jednak wiele jeszcze dla zwiedzającego pozostało. Na maleńkim podwórcu można widziéć ogromną cysternę w skale wykutą; w ten sposób zamek w czasie oblężenia wcale nie był pozbawiony wody. Obok zaraz otwór w kamieniu wyrąbany prowadzi do obszernych lochów, niegdyś zapewne więzień i piwnic. Dwie stajnie pozwalały utrzymywać konie, używane do wyjazdów i do turniejów, na które przeznaczono dużą salę na zamku średnim. Jedną z największych osobliwości ruiny jest komórka w ścianie zrobiona, któréj wymiary zbadałem przy pomocy laski, równo cały metr długiéj. Komórka ta o ścianach kamiennych ma więc trzy metry długości, dwa wysokości i jeden szerokości. Ponieważ nie posiada okna a drzwiczki są tak małe, że ledwie przez nie przejść można, przeto zupełna tam panuje ciemność. Że podobny salon nie bardzo się na mieszkanie nadaje, to każdy z łatwością zrozumié. Tymczasem przesiedział tam w swoim czasie lat kilka jeden biskup węgierski, który świeckiéj władzy księcia orawskiego jakieś czynił

wstręty. Na zamku najwyższym znajduje się prawdziwe cacko dla ludzi lubiących silne wrażenia. Jestto gładka, okrągła baszta, stojąca nad dość głęboką przepaścią. Przez małe drzwiczki wychodzi się na żelazny ganeczek, niski i o wąskiéj poręczy, drżący za każdym krokiem. I przed kilku laty i obecnie rozkoszowałem się spacerem po tym ganeczku, wyglądającym bardzo filigranowo. Nareszcie doszedłem na sam szczyt skały, na któréj wznosi się zamek orawski. Skała ta po jednéj stronie jest pochyła i ta właśnie jest zabudowana, po drugiéj zaś całkiem pionowa i przez rzekę Orawę u stóp swych opłukiwana. Sam wierzchołek wysuwa się nieco naprzód tak, że stojąc na nim nie widzi się w dół ściany ale wprost rzekę. Widok stamtąd ładny na wszystkie strony.

Zszedłszy na dół przypiąłem tornister do ramion i puściłem się piechotą do wsi Zuberca, a stamtąd na drugi dzień do Zakopanego.

Zimno mi było, bo w nocy góry okryły się śnieżną szatą i wiatr od śniegu idący dokuczał, ale za to widoki miałem nieporównane. Dziwne wrażenie robią lato i zima równocześnie występujące. Szczyty a nawet niższe wzgórza pokryte były śniegiem, kiedy bezpośrednio pod nimi leżący las i pola zieleniły się jeszcze zupełnie. Przepyszny był ten zimowo-letni krajobraz, kąpiący się w migotliwych blaskach słonecznych.

Bajeczne uczucie ogarnęło mnie na widok starego, poczciwego Gewontu, obsypanego białym śniegiem. Nigdy go jeszcze takim nie widziałem. Wyglądał prawdziwie majestatycznie. Najbardziéj uderzyło mnie, że północna, ku Zakopanemu zwrócona ściana Gewontu nigdy nie wydaje się tak plastyczna, jak pod nakryciem ze śniegu. Każda szkarpa, każdy załom, każda wklęskłość występuje z nadzwyczajną wyrazistością. W zwykłych warunkach ściana Gewontu robi wrażenie płaskiéj i pionowéj, dopiéro śniég uwydatnia bardzo silnie wszystkie nierówności. Czerwone Wirchy także nie szpetnie wyglądają w ładnéj czapeczce ze śniegu.

Okrągłe dwa tygodnie nie było mnie w Zakopanem; w téj porze Zakopanego nigdy jeszcze nie widziałem. Ciekaw téż byłem, jak wygląda. Wszedłem do wsi ze strony zachodniéj od Kościelisk a więc tak zwaną ulicą Kościeliską. Pusto w niéj było i cicho. Domki pozamykane i na zimę pozabijane; tu i owdzie przesunął się w swych cichych kierpcach góral, albo przejechał jakiś jednokonny wózek. Pod kościołem, gdzie zazwyczaj panuje ruch i życie, nie było teraz nikogo. Dopiéro na Krupówkach, téj głównéj arteryi Zakopanego udało mi się spotkać podobnie jak ja spóźnionych letników albo téż amatorów stałego przez zimę pobytu. Zastałem kilka znajomych

osób. Mając przed sobą jeszcze przeszło tydzień pobytu w Zakopanem ucieszyłem się niezmiernie z pogody.

Trudno mi wypowiedzieć jak urocze było Zakopane. Miejsce sezonowego ruchu, nie dającego właściwie żadnego wypoczynku, zajął wiejski spokój. Miasto deszczu tak częstego i obfitego w lipcu i sierpniu nastała klasyczna, jesienna pogoda. Teraz dopiéro mogłem odczuć cały powab gór i Zakopanego. Wdychałem pełnemi płucami przeczyste, balsamiczne powietrze górskie, wzrok swój poiłem widokiem gór przedstawiających nadzwyczajne efekty kolorystyczne. Jakiż to obfity materyał do studyów dla malarza pejzażysty. Najosobliwsze zjawisko przedstawia chwila zachodu słońca; po raz pierwszy widziałem tak nagłe w naturze przemiany. Do godziny 6-éj wieczorem, to jest dopóki świeciło słońce, mieliśmy dzień i lato; po 6-éj, razem z niezmiernie szybkim zachodem słońca, robiła się noc i zima. A zmiana ta odbywała się niemal momentalnie. Jeszcze nie zginęła na zachodzie zorza wieczorna, kiedy na wschodzie pokazywały się już pierwsze gwiazdy i księżyc. Względnie ciepło było dopóty, dopóki padały promienie słońca; po zachodzie czuć było, że o parę godzin drogi leżą masy świéżo spadłego śniegu. Wszystko to trwało niestety krótko, bo po dwóch dniach deszczu śniég w znacznéj części zginął, lecz nie zupełnie, tak, że góry, ani czarne ani białe, były brudne.

Opuszałem Zakopane w dzień pogodny. I żal mi było rozstawać się z tém, do czego całą przylgnąłem duszą. Pocieszałem się atoli myślą, że zima prędko zleci i że znowu znajdę się w Tatrach. Ze sfer górnych spadłem na ziemię, unoszony pociągiem kolei żelaznéj z Chabówki do Krakowa.

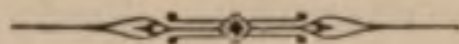
Wycieczka udała mi się znakomicie. Cel został osiągnięty w zupełności. Wskutek wszędzie napotykanéj uprzejmości łatwo mi było zebrać potrzebne informacye. Wprawdzie dwa tygodnie, to czas bardzo krótki, lecz ponieważ nie rozstrzelałem się i wszędzie trzymałem się ściśle z góry nakreślonego planu, więc nagromadziłem tyle materyału, ile mi do pracy było potrzeba. Nie tyle zależało mi na faktach, które znajdę w broszurach i dziennikach, ile na ich objaśnieniu i oświetleniu, które można zdobyć tylko na miejscu i z pierwszéj ręki. Sądzę, że dzięki temu potrafię rzucić trochę światła na naturę politycznych i narodowych stosunków na Słowacyi i że zdołam wszystkie fakta w jedną organiczną powiązać całość.

Wojciech Szukiewicz.



SZTUKA

JAKO CZYNNIK SPOŁECZNY I DZIEJOWY.



Die Kunst o Mensch hast du allein!
Schiller.
(Sztukę ty jeden posiadasz człowiecze!)

Że sztuka nie jest prostą zabawką chwil wolnych, że jest objawem czegoś, co jako uczucie w człowieku graniczy z religią, a jako potęga cywilizacyjna stoi na równi z wiedzą, uczuwał to oddawna instynkt mas, pojmował praktyczny rozum prawodawców. Nie sami tylko kapłani sztuki głęboko odczuwają doniosłość powołania swego. Plato wprawdzie chciał wypędzić artystów ze swojéj idealnéj rzeczypospolitéj, lecz wszystkie prawodawstwa i instytucye rzeczywiste oddają hołd należny sztuce, a nie mniéj świadczą o poszanowaniu dla niéj i zwyczaje ludów.

Skąd płynie ono?

Mitologie odpowiadają na to, wyprowadzając sztukę z nieba; filozofia piękna w najrozmaitszy sposób usiłowała mniéj lub więcéj pomyślnie uzasadnić godność córy nieba na podstawie rozbioru jéj źródeł podmiotowych — władz ducha ludzkiego, których jest wytworem, oraz oddziaływania przedmiotowego; a wśród tych prób nie były pominięte jéj wpływy społeczne i historyczne. Schiller podnosi sztukę jako wychowawczynią ludzkości w równie pięknym, jak filozoficznie głębokim i prawdziwym wierszu „Artyści" (*Die Künstler*), a w nowszych czasach, gdy od przebiegu postępu jako całości dziejów zwrócono się do wewnętrznych stosunków społeczeństw, dwa dzieła francu-

skie, samą już różnicą tytułów zaznaczające różnicę epoki, w których były pisane [1]), potrąciły o tę nową stronę zagadnienia. Chociaż z odmiennych wychodząc zasad, zgadzają się oba autorowie we wnioskach swoich, podając za miarę geniuszu poety zdolność rozbudzenia współczucia dla jak największéj ilości ludzi rozmaitych wieków, klas i stanowisk; słowem, w geniuszu widzą potęgę uspołeczniającą, która rozbudza sympatyą.

Sztuka, według Guyau'a, jest środkiem porozumienia się duchowego, rozbudzenia i ujawnienia uczuć sympatycznych, stanowiących podstawę bytu społecznego.

Ażeby ocenić wszechstronnie znaczenie sztuki dla ludzkości, powinniśmy wziąć pod uwagę zarówno jéj rolę dziejową, jak i społeczną w ścisłém tego wyrazu znaczeniu. Powinniśmy nietylko ocenić sztukę jako potęgę dziejową, poznać jéj udział w téj olbrzymiéj sprawie, którą nazywamy postępem, ale zarówno i w każdym momencie dziejów, uważanym jako cel dla siebie; jéj znaczenie dla pojedyńczych pokoleń, przemijających w biegu dziejów i dla jednostek, składających te pokolenia, wreszcie jéj rolę jako czynnika w syntezie tego sztucznego tworu, który nazywamy społeczeństwem ucywilizowaném. Powinniśmy, słowem, połączyć filozoficznie-dziejowe stanowisko Schillera ze społeczném Proudhona, oraz z rozszerzoném przez wniesienie żywiołu filozoficznego stanowiskiem socyologiczném Guyau'a.

Filozofia dziejów widzi w rzeczywistości tylko chwilę przemijającą pochodu dziejowego, a przeszłość ocenia z punktu widzenia przyszłości, z którą ją ta chwila łączy.

---

[1]) Proudhon: „Le principe de l'art et sa destination sociale“ i Guyau: „L'art au point de vue sociologique.“ Bardzo trafnie zaznacza przeciwstawność punktu wyjścia krytyk dzieł Guyau'a p. Dauriac („L'esthétique de J. M. Guyau“ w „Année philosophique“, 1891), mówiąc, że „co do zasad dzieli autorów cała przeszłość, leżąca między Kantem a Spencerem, między rewolucyonistą a ewolucyonistą“ (str. 199). Ale, dodaje nieco niżéj ten pisarz, nawet gdy gotowi jesteśmy przyjąć „funkcyę socyologiczną“ literatury i sztuki, co zwalnia nas od nadawania im „przeznaczenia społecznego“, nie możemy nie widzieć, że czynność ta ulega przesileniom; jeśli zaś przesilenia trwają zbyt długo lub zbyt często się powtarzają, stają się nie dwuznacznemi oznakami zwyrodnienia i upadku.“

Budzenie uczuć sympatycznych, zachęta do czynu — taką rolę zakreśla dla poezyi i sympatyczna rozprawka A. Pileckiego („O społeczném znaczeniu poezyi“, Warsz., 1874), któréj autor stara się pogodzić wygłoszone wówczas hasła pozytywizmu z poezyą, stawiając jéj nowe wymagania. Wprawdzie nie łatwo związać wytknięte dla sztuki zadania z wymaganiem „trzeźwości.“ często się powtarzającém, a niemniéj trudno wystawić sobie fantazyę, „jako trzeźwą córę rzeczywistości“ (str. 24).

Pomysł socyologii (bo dotąd istnieje tylko w pomyśle), jako umiejętności faktycznéj, podciągającéj naukę dziejów i społeczeństwa pod wyłączne kategorye przyczynowości przyrodniczéj, jest jednym z objawów charakterystycznych dla naszéj epoki wyniesienia faktu nad ideę. Jednostka dla socyologa jest kółkiem w machinie społecznéj; dla filozofa dziejów — kroplą w płynącym wiecznie potoku pokoleń. Oba sposoby zapatrywania prowadzą do fatalizmu tylko: w socyologii fatalizm przybiera postać determizmu, w filozofii dziejów — przeznaczenia. Oba więc tracą z oka jednostkę, jéj wolność i odpowiedzialność moralną. Filozofia społeczna, wychodząc ze stanowiska osobnika, powinna rehabilitować jego prawa wobec filozofii dziejów; opierając się zaś na szerszém pojmowaniu wolności, wyzwolić go z determinizmu socyologicznego, przywrócić mu autonomię, a przez to „uczłowiecznić" abstrakcyjny, czysto przyrodniczy pomysł socyologii. Socyologia przyrodnicza w najlepszym razie może być tylko fizyologią zbiorowego życia; aby zostać umiejętnością społeczną, powinna wciągnąć w zakres swój całą pełnię duchowych utworów, które przemieniają to zbiorowisko w społeczeństwo, aby zaś to uczynić, musi obrać szersze stanowisko, umożliwiające syntezę świata ducha i materyi, wolności i konieczności, t. j. zostając filozofią społeczeństwa.

Jeśli więc, nie tracąc z oka przyszłości, zajrzymy również i w teraźniejszość, nie zapominając o celu ostatecznym dziejów, zastanowimy się nad niemi, jako ci, którzy te dzieje na sobie odczuwamy, których praca zbiorowa je wytwarza; z nieruchomego słońca niedościgłych celów końcowych, około których odbywa się obrót, lub ku którym dąży sprawa postępu, przeniesiemy się myślą na zmienne stanowisko porwanéj w wir dziejów jednostki; jeśli wreszcie do tych dwóch ocen, opartych, jak każda ocena, na pojęciu celu, dodamy pytanie o środkach, jakiemi sztuka wypełnia przeznaczenie, czyli innemi słowy, określimy rolę jéj składowych części w syntezie teraźniejszości i przyszłości, wyczerpiemy wszystkie jéj stosunki do społeczeństwa.

Filozofia dziejów snuła liczne systemata, szukając odpowiedzi na zagadnienie o celach życia ludzkości, lecz żaden z nich nie zadawalnia nas całkowicie. Stoimy tu istotnie wobec sprzeczności pomiędzy bezgranicznemi pragnieniami ducha a ograniczającemi kategoryami pojmowania. Jeżeli przyjmiemy nieskończoną dążność do nigdy nie dającego się osiągnąć celu, a w samém dążeniu zechcemy widzieć przeznaczenie ludzkości -- myśl ta zostawia umysł w stanie niezadowolenia, jak napiętrzone, a nie znajdujące rozwiązania dysonanse; jeśli zaś na końcu dziejów wytkniemy sobie jakiś określony, dający

się urzeczywistnić cel, jakieś państwo tysiącoletnie, epokę wiecznéj szczęśliwości, ów złoty wiek, o którym St.-Simon mówił, że nie jest za nami, lecz przed nami,—osiągnięcie takiego celu położyłoby kres dalszym dążeniom i dalszemu postępowi, stanowiąc niejako śmierć moralną ludzkości — rozwiązanie również nie pocieszające dla umysłu, żądającego życia, a więc ruchu.

Każde z tych zapatrywań zawiera jednak częściową prawdę, nietylko prawdę naszéj wiary wewnętrznéj, ale i rzeczywistości; a możemy przyjąć te dwa pierwiastki: ruch postępowy jako istotę, szczęście ludzkości jako cel dziejów. Wiara w ciągłe doskonalenie się ludzkości oraz w to, że doskonalenie się to pociąga za sobą zwiększenie sumy odczutego przez nią szczęścia, stanowi pobudkę do czynu każdéj lepszéj jednostki świadomie przykładającéj się do pracy społecznéj, a nauka dziejów wykazuje, że jedno i drugie jest wynikiem sprawy dziejowéj, że zarówno doskonałość, jak i suma szczęścia wzrastają z biegiem wieków, a przynajmniéj zmniejsza się ilość cierpień i niedoli.

Lecz czy może być szczęście tam, gdzie nie ma zadowolenia? pyta się umysł analizujący, a skoro jest zadowolenie, to jakim sposobem możliwy jest postęp? co pobudza do ruchu?

Z temi trudnościami filozof dziejów może, przynajmniéj tymczasowo, załatwić się tak, jak się załatwił atomizm z wytkniętemi przez eleatów sprzecznościami w pojęciu bytu [1]). Jak atomiści rozbili byt (t. j. materyę) na części, które poprzegradzali niebytem, t. j. próżnią, tak ostateczny cel ludzkości, wielki, nigdy nie dający się osiągnąć ideał rozkładamy na cele częściowe — ideały bliższe, poprzegradzane częściowemi osiągnięciami, a istotę sprawy dziejowéj streszczamy w téj formule: w a l k a o i d e a ł y.

Do szczęścia swego człowiek potrzebuje walki budzącéj siły, ruchu, postępu—formuła nasza daje mu ją. Ale walka ta nie powinna być bezcelową i bezowocną—więc cel walki wytyka sobie sam, stawiąc ideał, a każde zwycięstwo w téj walce, którą stacza tak we-

---

[1]) Że sprzeczności, wytknięte przez eleatów, płyną z téj saméj niezgodności pomiędzy formami ujęcia zmysłowego, a poznania racyonalnego, która stwarza konieczność hypotezy naukowéj (por. „Pojmowanie przyrody“ w „Ateneum“, 1892, październik, str. 364), mam nadzieję wykazać to w jednéj z najbliższych prac, gdzie postaram się równie o ocenę filozoficznéj wartości, podanego przez antomistów rozwiązania. Antynomia, którą uwydatnia filozofia dziejów, jest wynikiem podobnéj inkongruencyi pomiędzy władzami intelektualnemi a uczuciowością; podane zaś tu przejednanie ma przynajmniéj czasową, praktyczną wartość, nie usuwając dążenia do doskonalszéj filozoficznéj syntezy.

wnątrz siebie ze swemi namiętnościami i popędami, jakoteż z warunkami zewnętrznemi, przyrodniczemi i społecznemi, przeszkadzającemi swobodnemu rozwojowi w kierunku zaznaczonym przez cel idealny, jest jego osiągnięciem częściowém, a więc pociąga za sobą uczucie szczęścia i zadowolenia. Ciągłe dążenie do celu niedościgłego rzucałoby człowieka w beznadzieję rozpaczy; ale całkowite zadowolenie z osiągnięcia pragnień stałoby się źródłem apatyi i znudzenia, a więc znowuż cierpień. Lecz każde zwycięstwo dziejowe jest tylko częściowém wcieleniem ideału, bo zanim doszła ludzkość do zaznaczonego poprzednio punktu drogi, wzrok już zdążył ogarnąć szersze widnokręgi i dalsze wytknąć cele. Surowa zaś rzeczywistość zakłada swój protest przeciw porywom skrzydlatéj myśli, a tylko drogą walki i trudów daje wydrzéć sobie częściowe zdobycze; zwycięstwo więc daje tyle zadowolenia, ile potrzeba, aby z większą wiarą iść naprzód i daje szczęście, ale nie leniwe szczęście spoczynku sardanapalowego, lecz zdrowe szczęście poczucia siły, wiary w przyszłość i dążenia ku dalszym celom.

Przyjęcie takiéj formuły filozoficzno-dziejowéj pozwoli nam określić znaczenie sztuki dla ludzkości, a określenie to posłuży zarazem za probierz do oceny rozmaitych jéj rodzajów, oraz teoryi estetycznych. Najlepszą sztuką bowiem jest ta, która najlepiéj odpowiada przeznaczeniu swemu, społecznemu i dziejowemu.

Źródłem sztuki jest uczuciowość, jéj przedmiotem — prawda uczucia. Jak przedmiotem wiedzy jest prawda rzeczywistości, czyli prawda zmysłów i rozumu, a przedmiotem moralności — cnota, czyli prawda czynu; tak sztuki przedmiotem jest ideał, czyli to co wszechstronnie dogadza naszéj uczuciowości, a jako taki opiéra się z jednéj strony na prawdzie rzeczywistości, gdyż przez zmysły tylko przemawiać można do umysłu; z drugiéj na prawdzie moralnéj—doskonałości duchowéj, bo piękna nie może być tam, gdzie nie ma doskonałości.

Płynąc z uczucia sztuka przemawia do niego. Nie była sztuka nigdy i nie będzie zastępczynią wiedzy, ani może nią zostać, gdyż inne są jéj źródła, inny przedmiot, inny cel.

Przeznaczeniem sztuki jest kształcenie uczucia, tak jak wiedzy kształcenie rozumu, a moralności—kształcenie woli. Oddziaływając ustawicznie przy pomocy wyobraźni na zakres uczuć, budząc do życia te z nich, na które rzeczywistość mało lub wcale nie oddziaływa, wyrabia sztuka większą wrażliwość i subtelność w odczuwaniu, dopomaga do zoryentowania się w tym zakresie, do wyróżnienia uczuć wyższych od niższych, wreszcie kształci w nas te najwyższe, których życie wyrobić nie może, gdyż sięgają one ponad rzeczywistość.

Sztuka jest heroizmem myśli, tak jak heroizm jest poezyą życia. Wnuczką autora Cyda i Horacyuszów była Karolina Corday. Te wzniosłe uczucia, które budzą w nas widok poświęcenia, heroizmu, niezłomnéj cnoty, odczuwamy prawie wyłącznie przy pomocy dzieł sztuki — historya bowiem w znacznéj części należy do jéj dziedziny.

Nietylko więc sztuka dopomaga do oceny względnéj wartości i godności rozmaitych uczuć, ale i do wychowania pewnych stron uczuciowéj istoty naszéj; nietylko oświeca nam drogę w świecie uczuciowym, ale zastępuje do pewnego stopnia życie. Dlatego też poezya jest zawsze pierwszym czynnikiem w wykształceniu jednostki inteligentnéj, a często jedynym w wykształceniu mas. Jak w zaraniu dziejów była „bramą wschodu, przez którą ludzkość wkroczyła do krainy wiedzy“ [1]) tak w rozwoju osobnika jest pierwszém ogniwem, łączącém go z całością społeczeństwa sympatycznemi węzłami uczucia, ogniwem, za którém w społeczeństwach wyżéj ukształconych idzie cały szereg dalszych, również sztucznych, tworów społecznych: przepisów moralnych i obyczajowych, prawa i religii, wiedzy i filozofii, słowem, ta cała głębia duchowego życia, unosząca się jak duch zbiorowy nad skupieniem ludzkiém i przemieniająca je ze zbiorowiska materyalnie zbliżonych atomów-ludzi w jedność uorganizowanego społeczeństwa.

Taka rola nie wyczerpuje jeszcze całego znaczenia sztuki nawet w tym zakresie — oddziaływania na uczuciowość jednostek.

Kształcąc uczucie, sztuka czyni jednostkę wrażliwszą, zdolną silniéj i świadomiéj odczuwać, a więc przyczynia się drogą wyrobienia psychologicznego do tego, co zaznaczyliśmy jako jeden z celów sprawy dziejowéj — do podniesienia poziomu szczęścia, doskonaląc organ, przez który szczęście się odczuwa.

Dość jest rzucić okiem na dzieje sztuki, aby przekonać się, że w tym względzie odbywa się postęp ustawiczny. Przypomnijmy sobie zabawy estetyczne Rzymian, którzy potrzebowali rzeczywistéj krwi gladyatorów na widowni cyrkowéj, a zestawmy to z wzruszającemi nas cierpieniami moralnemi bohatérów współczenych tragedyi; porównajmy następnie tragedye greckie lub nawet shakespearowskie z nowożytnemi: jakiego nagromadzenia zbrodni, okrucieństw, nieszczęść potrzebował jeszcze ów subtelnie estetyczny Grek, ażeby uczuć

---

[1]) „Nur durch das Morgenthor des Schönen
Drangst du in der Erkenntnisz land.—“
mówi Schiller w „Artystach“.

dreszcz tragicznéj grozy; a jakkolwiek rubaszny i daleko mniéj estetyczny, Anglik XVI stulecia jest już więcéj wrażliwy: zbrodnie bohaterów Shakespearea są niczém w porównaniu z Pelopsami, Edypami i Fedrami Greków. Porównajmy spokój epicki Homera z ognistym stylem poematów Byrona, do którego można zastosować jego własne słowa:

W mojém gorącém sercu czucia moje
Wrzały, jak w Etnie płomieniste zdroje [1].

Wzrastająca w siłę uczuciowość wyłamuje się wreszcie z pod ucisku form pseudoklasycznych, fałszywych, bo zapożyczonych od poezyi spokojniejszéj, nie odpowiadających gorętszym i głębszym uczuciom nowożytnych ludów, a łamiąc z konwencyonalizmem przepisów, wydobywa się na jaw w pełnym zapału prądzie „burzy i zapędów“ pod hasłem swobody serca, rozpływającym się następnie w szerokiém morzu romantyzmu, które zaléwa Europę w pierwszéj połowie naszego stulecia; a jeśli gdzieniegdzie morze to było mniéj głębokie, jeśli tytaniczny zapał geniuszów przybiérał w sercach słabszych postać płytkiéj czułostkowości, to nie da się zaprzeczyć, że siłą i głębią uczucia epoka romantyczna prześciga wszystkie inne w dziejach sztuki.

Nietylko się pogłębia uczucie, ale i coraz bardziéj się uduchownia, coraz bardziéj wystarcza samo sobie, coraz więcéj odrywa się od zmysłowości rzeczywistego świata, aby się wznieść w krainę ducha i ideału. Zamiast rzeczywistéj krwi i nieudanych drgnień agonii, których potrzebował Rzymianin dla wzruszenia estetycznego, wyżéj uczuciowo wykształcony Grek zadawalniał się grą aktora, o którym wiedział, że udaje męki. Jest to cechą wogóle niskiego stopnia wykształcenia lub zacieśnienia widnokręgu umysłowego, gdy człowiek nie pojmuje nic oprócz rzeczywistości zmysłowéj [2]); to téż igrzyska ta-

---

[1]) Robi tę uwagę Bełcikowski w swoim rozbiorze Pana Tadeusza. „Co Grek pokrywał i pochłaniał w sobie olimpijskim spokojem, z tém my musimy się wywnętrzyć i wyrzucić z siebie. Liryka nowożytna jest daleko więcéj uczuciowa i głębiéj w wnętrze ludzkie sięgająca, niż przedmiotowa, do plastyki zawsze skłonna liryka starożytna. Nasz dramat, nie mówiąc już o jego najnowszéj formie i duchowéj treści, różni się od tego, co stworzyli Eschylos lub Sophokles, o ile więcéj się pogłębił o ile zrobił subtelniejszym i skrupulatniejszym w analizie serca ludzkiego! Przewaga żywiołu uczuciowego czyli lirycznego zdaje się być wogóle znamieniem i potrzebą duszy nowożytnych ludów.“ „(Ze studyów nad literaturą polską“ str. 504).

[2]) Pamiętną jest dla mnie pod tym względem rozmowa z człowiekiem niewykształconym (było to w szpitalu), który po przeczytaniu „podróży na księżyc“ Verne'a, pytał mię, czy to jest prawdą, czyli bajką? W żaden sposób nie udało mi

kie, jak walki byków w Hiszpanii lub kogutów w Anglii, świadczą o bardzo niskim poziomie uczucia i ogłady. Jeśli przebiegniemy formy, w których się wciela pragnienie ideału w rozmaitych epokach historycznych, uderzy nas owo stopniowe uduchownienie w dziejach sztuki. Piękność cielesna była jedyną dostępną umysłowi Greka a rzeźba jest historycznie pierwszą ze sztuk pięknych i nigdy już potem nie wzniosła się do tych wyżyn, na których ją postawili mistrze starożytni; wyciska ona w téj epoce piętno swoje i na architekturze; kolumna jońska jest uproszczoną karyatydą.

W epoce odrodzenia miejsce rzeźby zastępuje malarstwo. Rzeźba jest sztuką kształtów, malarstwo — uczucia; uczuciowość w rzeźbie może się odbić wyjątkowo w takich cierpieniach Laokoona; w malarstwie nawet prosty portret nie może być pozbawiony wyrazu a pieczęć ducha wznosi się niekiedy nawet w tym najbardziéj skrępowanym warunkami rzeczywistości rodzaju do całéj epopei ducha, jaką czytamy na „portrecie własnym“ Matejki.

Wiek XVI-ty był dla malarstwa tém, czém epoka Praksytelesa dla rzeźby. Ale niebawem książka zabija płótno, tak jak zabiła architekturę. Umysł ludzki nie potrzebuje już widzieć gotyckich wież, klasycznych kształtów Wenery lub cudownego kolorytu włoskich mistrzów pędzla; wystarcza mu wyobrażenie wszystkiego, jakie daje poezya: bo już mniéj do niego te kształty przemawiają, niż samo wywołane przez nie uczucie; mniéj zmysłami, a więcéj duchem odczuwa. Jak miłość w utworach Danta i Petrarki odrywa się od zmysłów aby się przekształcić w czystą duchową cześć, a Beatrix przenosi się do królestwa cieniów, tak dźwięki — najczystszy, najmniéj zmysłowy z żywiołów słowa — odrywają się od jego treści,

---

się wytłómaczyć mu, że chociaż nie prawdziwa w znaczeniu historyczném, podróż ta jest jednak czémś więcéj niż kłamstwem. Prostolinijne zmysły nie mogą zrozumiéć czegoś pośredniego lub wyższego nad przeciwstawność prawdy i nieprawdy w potoczném znaczeniu słowa, bo zbyt dogmatycznie pojmują te kategorye, a takiż sam skutek wywiéra na umysły wyższe wyłączność intelektualizmu. Kto całe swe życie poświęcił szukaniu prawdy naukowéj (prawdy rzeczywistości), chce ją miéć pewną i bezwzględną. Dla niego więc, jak dla Renana, który jest doskonałym i skończonym typem wyłącznego intelektualisty, wystarcza wykrycie „błędu w mesyanicznych tłómaczeniach Psalmów“ lub przeświadczenie o tém, „że Gezeniusz w swoich komentarzach Izayasza ma słuszność przeciw prawowiernym,“ aby do gruntu przekształcić przekonania religijne. Człowiek przytem doznaje złudzenia jakoby ta „prawda,“ któréj szuka, krystalizowała się w umyśle jego niezależnie od woli, jak coś zewnętrznego dla poznającego człowieka, zapominając, że to on sam stworzył takie wyłączne warunki owéj krystalizacyi, zamknąwszy poprzednio furtkę dla wszystkich innych władz ducha.

z którémi były nierozerwalnie połączone w muzyce Greków, aby stworzyć niezależną i najmniéj związaną z rzeczywistością cielesną sztukę. Zdawało się, że ta dusza Piękna, która po Rafaelu odbiegła płótno, wcieliła się w Palestrynie, twórcy nowożytnéj harmonii, stanowiącéj podstawę niezależnéj muzyki. Przez spojenie rytmu wiersza z harmonią głosów powstaje sztuka zupełnie nowożytna, do któréj przyszłość należy, która coraz bardziéj staje się przedmiotem wykształcenia ogólnego, na miejscu rysunku, niezbędnéj części składowéj nauki szkolnéj pokolenia naszych ojców.

W tym rozwoju sztuki od rodzajów przykutych do materyi ku najbardziéj lotnym i niepochwytnym nie należy zapominać innéj strony — trwałości materyału z którego powstaje dzieło sztuki; bo i w tém się ujawnia owo znaczenie sztuki jako czynnika dziejowego i społecznego, jako ogniwa łączącego przeszłość z przyszłością, że człowiek od początku pragnie nadać jéj dziełom wieczystą trwałość. Dlatego téż początkowo kuje i buduje z kamienia, a dziełom słowa nadaje kształt rytmiczny, ułatwiający ich przechowanie w pamięci, bo pamięć była wówczas jedynym sposobem przechowania dla potomności. Wynalazek pisma i farb daje nowe środki wyrażenia i przechowania; wynalezienie druku czyni najtrwalszym żywioł najbardziéj zmienny — słowo, przez chwilę tylko brzmiące w powietrzu, utrwala się na papierze a książka, któréj kartki wiatr może rozwiać a ogień strawić, okazuje się dzięki drukowi oporniejszą na wpływ wieków od obelisków i katedr gotyckich. Wreszcie wynalazek nut daje możność utrwalenia i oddzielenia od słowa jego żywiołu emocyjnego, żywiołu nierozerwalnie z niém związanego w pierwotnéj mowie. Lotniejszy i czystszy wyrywa się on w niebo pozostawiając na ziemi cięższy żywioł — materyalną treść języka, wyobrażenie i znaczenie słowa. Cóż zdawało się mniéj zdolném do utrwalenia jak tony muzyki? Przebrzmiały i znikły! A jednak potrafił im człowiek nadać dłuższy i pewniejszy żywot niż wytworom z kamienia lub stali, a rozległością oddziaływania staje się muzyka coraz bardziéj niedoścignioną [1]).

---

[1]) Jeśli pierwiastek rytmicznie-melodyjny w muzyce przybiéra zupełną samodzielność, to w poezyi może być tylko podrzędnym i pomocniczym; i jeśli w dzisiejszéj poezyi widzimy skłonność do przeradzania się ze sztuki wyobraźni na słuchową, nie powinniśmy uważać tego za objaw postępu, ale raczéj upadku, nie tyle może powszechny, ile właściwy narodom i klasom posiadającym rozpieszczenie estetyczne obok słabéj wyobraźni. Czytelnik pozbawiony téj ostatniéj nie może ocenić poezyi obrazowéj — jedynéj prawdziwéj poezyi — gdyż nie ma siły odtworzenia zawartych w niéj obrazów; zostaje wtedy jedyna przyjemność słuchowa. To téż najbardziéj dbają o wygładzenie wiersza Francuzi, naród na którego ubó-

Nie tylko przygotowuje sztuka umysł do głębszego i subtelniejszego odczucia rozkoszy, ale sama staje się ich źródłem. „Wszelka sztuka poświęcona jest radości, a nie ma wyższego zadania nad uszczęśliwienie ludzi“ — powiada Schiller. — To téż „Oda do radości“ jest tym punktem na którym schodzą się dwa największe geniusze artystyczne epoki jednéj z największych w dziejach poezyi i muzyki. Najnieszczęśliwszy z duchów twórczych, ten który w życiu swojém żadnych nie zaznał radości, ustroił ją w dźwięki nieśmiertelne Beethoven w swojéj IX-éj symfonii jako apoteozę ludzkości, jako ten wielki cel, ku któremu dążą dzieje. Radość dla smutnych, pociechę dla nieszczęśliwych, otuchę dla cierpiących i uciśnionych niesie sztuka; ale córa nieba nie będzie niewolnicą sybaryty, nie stanie się zabawką zadowolonego z siebie filistra, szukającego w niéj tylko chwilowéj rozrywki: ucieka od niego czyste tchnienie poezyi i daremnie usiłuje on podniecić swoje zblazowane nerwy drastycznością naturalizmu, bez-

---

stwo wyobraźni słusznie uskarża się Bourget, a jeśli nasze ucho jest jeszcze bardziéj wymagające od francuskiego, to zależy może nie tyle od słabszéj wyobraźni, ile od bezporównania bogatszego i dźwięczniejszege języka, pozwalającego zadość uczynić tym wymaganiom. Godne uwagi przytem, że ani Francuzi ani Polacy nie należą do bardzo muzykalnych narodów. Nasza poezya współczesna nie stara się nawet wyzyskać całego bogactwa mowy naszéj, lubując się raczéi w pieszczotliwych brzęczeniach słów, niż w zwięzłym i silnym wierszu jaki spotykamy tak często u Słowackiego, Sowińskiego, Mickiewicza. P. Konopnicka, która doprowadziła melodyjność wiersza do niezrównanego artyzmu, objawia obok téj słuchowéj właściwości swojéj poezyi jeszcze osobliwość, która jest już typowo-dekadencką. Jest nią to, cobym nazwał impresyonizmem w poezyi: zamiast malowania obrazu w kilku wyrazistych szczegółach — co stanowi niezrównaną piękność i malowniczość stylu Sienkiewicza — wywołuje ona przy pomocy pewnych brzmień jakieś „plamy“ w wyobraźni, które same nie dają jeszcze obrazu, nasuwają jednak myśl o nim. W wierszu np. „Może w gwiaździstych szronów noc“ wyrazy tak są połączone gramatycznie, że nie dają żadnego jasnego obrazu, dane są jednak pierwiastki składowe obrazu nocy zimowéj, które już wyobraźnia czytelnika łączy jak się mu spodoba, a najczęściéj wcale nie łączy, pozostawiając pewną mglistość, co dla wielu ma urok. Dekadentyzm objawia się tu w dążności do usamowolnienia pojedyńczych wyrazów ze związku z całością obrazu, który mają przedstawiać; w chęci nadania każdemu słowu samodzielności, zgodnie z tém określeniem Bourgeta: „Stylem upadku jest ten, w którym jedność książki rozkłada się, ażeby dać miejsce niezależności stronic, stronica rozprasza się na zdania niezależne, a zdanie znika dla wyrazu“ (*Essai de psychologie contemporaine* str. 24). Taki sposób jest szczególniéj dogodny dla ludzi o słabéj wyobraźni nie mogących podążyć za polotem bardziéj plastycznéj rzeczy. P. Konopnicka niezawodnie stworzyła cudowne rzeczy w rodzaju poezyi słuchowo-impresyonistycznéj; pomimo to jednak sam rodzaj nie może się zrównać z tym, który od wieków stanowił charakterystykę poezyi mistrzów, t. j. z tym, który nie do ucha przemawia lecz do wyobraźni.

myślnością dekadentyzmu, ekscentrycznością symbolizmu: skarby poezyi są niemi tylko dla czystych serc:

„Tylko cud cię przenieść zdoła
W ten uroczy cudów kraj.“

Jeśli z jednéj strony podwyższając wrażliwość, sztuka czyni dostępniejszemi uczucia radosne, rozszerza kanały, przez które wpływa w duszę szczęście, to drugim wynikiem jéj oddziaływania jest mniejsza cierpliwość w znoszeniu krzywdy i niedoli, a więc większa energia walki, gwałtowniejszy protest przeciwko rzeczywistości, prędszy bieg po drodze postępu.

Pozorna sprzeczność pomiędzy beznamiętnością wrażenia estetycznego a tą rolą, jaką tu zakreślamy sztuce w życiu czynném, zniknie, skoro tylko weźmiemy pod uwagę, że nie samo odczucie ideału, ale niezgodność jego z rzeczywistością staje się bodźcem do działania.

Skończone dzieło sztuki jest zamkniętą w sobie całością; idealna treść zostaje w zupełnéj harmonii z formą, a nie więcéj pobudza do czynu aniżeli rozwiązane zagadnienie naukowe, które uspakajając umysł, zamyka dalsze badania w tym kierunku. Lecz jak w wiedzy popęd do poszukiwań nie wypływa z saméj jéj treści, lecz tylko z poczucia niezadowolenia przy zestawieniu jéj niedoskonałości z ideałem zupełnego poznania, tak i w życiu, którego jednym z objawów szczegółowych jest czynność naukowa, nie ideał sztuki sam przez się, a najmniéj w estetycznéj jéj formie, staje się bodźcem do działania, ale zestawienie z nim ułomnéj rzeczywistości.

Popęd do doskonałości, wrodzony człowiekowi, nie pozwala poprzestać na gorszém, skoro tylko otworzą mu się oczy na możliwość lepszego. Ideał sztuki nie jest dowolném i bezzasadném marzeniem, ale tém możliwém lepszém i na tém polega jego prawdziwość poetycka; niezgodność z rzeczywistością jest probierzem prawdziwości dzieła sztuki — bo ideał jako taki nie może być zgodnym z rzeczywistością, ale brak sprzeczności wewnętrznych, konsekwencya i harmonia, wynik intuicyi i psychologicznego taktu twórcy, dające się odczuć, lecz nie wyrozumować, stanowią o prawdzie poetyckiéj. Ta więc perspektywa możliwéj doskonałości, którą sztuka otwiéra wzrokowi duchowemu, oddziaływa na władze czynne w sposób pobudzający. Wskutek popędu ku doskonaleniu się człowiek nie może się zadowolnić samą konteplacyą ideału w sztuce, lecz przenosi go do życia.

„Co piękne dusze pięknie odczuwają, musi być skończoném i doskonałém. Wznoście się w śmiałym polocie wysoko ponad bieg waszego czasu! Niech zwierciadła wasze odbiją świt zbliżającego się

się stulecia“ [1]) — tak woła Schiller do wieszczów, a gdy w postaciach swoich stopią w jednéj glory mądrość najmędrszych i łagodność cichych, moc silnych i wdzięk szlachetnych, cóż dziwnego, że człowiek zadrży wobec nieznanego i ukochawszy swoje odbicie, zapragnie jako bohatér zrównać się z doskonałą istotą [2]).

Tu odkrywa się nam nowa i najważniejsza rola sztuki w życiu zbiorowém człowieka: sztuka jest szkołą ideałów życiowych.

Pragnienia i dążności epoki, żądania nawpół świadome mas krystalizuje geniusz sztukmistrza w postać żywą i piękną, a przez to ogniskuje rozproszone myśli, kieruje je ku jasnemu, wytkniętemu celowi.

Ideał poezyi, będąc poetyckiém wcieleniem pragnień i dążeń epoki, jest tym najbliższym celem, do którego dąży ludzkość w danéj chwili dziejowéj, a który stanie się rzeczywistością w chwili następnéj! „To, co tu odczuliśmy jako piękno, poznamy gdzieś jako prawdę“ [3]) — powiada Schiller — a znaczenie tych wyrazów jest szersze niż to, które im chciał nadać poeta. Nietylko poetyckie pojmowanie świata poprzedza naukowe [4]), nietylko sztuka jest jutrzenką wiedzy, ale ideał poezyi jest i tą myślą twórczą, którą w czyn mają wcielić dzieje, nietylko przyszłą prawdą pojmowania ale rzeczywistością, którą stworzyć ma człowiek.

Lecz przedmiotem sztuki jest osobowość i przedmiotowość; jak-

---

[1]) Was schöne Seelen hier empfunden,
Muss trefflich und vollkommen sein.
Er hebet euch mit kühnem Flügel
Hoch über euren Zeitenlauf!
Fern dämmre schon in eurem Spiegel
Das kommende Jahrhundert auf.
(Die Künstler).

[2]) Der Weisen Weisestes, der Milden Milde,
Der Starken Kraft, der Edeln Grazie,
Vermähltet ihr in einem Bilde
Und stelltet es in eine Glorie.
Der Mensch erbebte vor dem Unbekannten,
Er liebte seinen Wiederschein;
Und herrliche Heroen brannten.
Dem grossen Wesen gleich zusein. (l. c.).

[3]) Was wir als Schönheit hier empfunden
Wird einst als Wahrheit uns entgegen gehn.
(Die Künstler).

[4]) Por. Bogów Grecyi.

że pogodzić to z jéj przeznaczeniem jako szkoły ideałów dziejowych, które są ideałami całych społeczeństw i pokoleń?

Zmieńmy tylko stanowisko w filozofii dziejów. Z téj abstrakcyjnéj wyżyny, dla któréj niczem są jednostki i całe pokolenia, z któréj dzieje wydają się jednolitém pasmem różnobarwnéj tkaniny, snującém się z ciemnéj przeszłości ku zasłoniętéj mgłą przyszłości, przenieśmy się myślą do duszy i serca stwarzającéj je jednostki.

Jednostka czynna w dziejach, ta, któréj usiłowania składają się z usiłowaniami milionów innych na bieg postępu, powinna widzieć lub przeczuwać owe dalekie cele, ku którym kieruje pracę swoję. Abstrakcyjne idee sprawiedliwości, dobra społecznego, wiedzy i sztuki, doskonałości moralnéj służą jéj za gwiazdy przewodnie. A jak żeglarz sterujący ku gwieździe biegunowéj, zdaje się ją mieć za cel podróży, gdy tymczasem idzie mu tylko o kierunek północny, tak w dziejach jednostka może doznawać złudzenia, że te wyższe idee, te niedościgłe ideały są ostatecznym celem postępu, choć w rzeczywistości zaznaczają one tylko jego kierunek. Przejęcie się takie nawet niekiedy jest konieczne, gdyż tylko dążenie ku nieskończoności może nasycić pragnienie wyższych umysłów a oderwanie celu woli od własnéj osoby, przeniesienie go nazewnątrz jest koniecznym warunkiem zadowolenia moralnego i szczęścia. Samolub, który traci widoki nieskończoności i jak płaz, zamknięty w skorupie, jest sam dla siebie celem, nie ma ani drogi przed sobą ani szczęścia w sobie, traci to w imię czego chciał wszystko poświęcić. Oceniając dzieje ze stanowiska ogólnego, nie mamy powodu ani prawa przekładać szczęścia przyszłych pokoleń nad szczęście dzisiejszych; a byłoby to największą niesprawiedliwością, gdybyśmy w téj ocenie podporządkowali szczęście wszystkich ideom abstrakcyjnym.

Skoro więc obierzemy jednostkę za cel dziejów, ale obok szczęścia jéj jako podmiotowego uczucia, w którém dziki może przewyższać wysoko ukształconego człowieka społeczeństw ucywilizowanych, umieścimy wymaganie doskonałości, które nie jest czém inném tylko ideą postępu dziejowego, wziętą z punktu widzenia osobnika, osiągniemy stanowisko, godzące dążność postępową z żądaniami sprawiedliwości dziejowéj i z pragnieniem coraz większego szczęścia dla ludzi. Wzrastająca od pokolenia do pokolenia ilość szczęścia nie obudzi w nas gorzkiego poczucia niesprawiedliwości, jeśli przypomnimy, że to pokolenie dla którego my pracujemy i niesiemy ofiary jest pokoleniem dzieci naszych, a to, dla którego oni będą pracowali — pokoleniem ich dzieci.

Ideał sztuki jest ideałem jednostki; ale też celem dziejów jest

dla nas osobnik. Postać poetycka wciela to, co stanowi pojęcie doskonałości jednostki jeśli nie wszechstronnéj, to przynajmniéj w pewnym zakresie lub dla pewnych warstw. Cyd był ideałem całkowitym epoki rycerskiéj, Karol Moor lub Poza był ideałem dla wielu w burzliwéj epoce końca przeszłego stulecia, a Werter, Gustaw lub Romeo mogą być uważani za ideał w zakresie uczucia miłości.

Nadać cechom człowieka wyraz najbardziéj doskonały — taki cel zakreśla Schiller dla poezyi; to znaczy postawić człowiekowi wzór doskonałości jednostkowéj; cel, do którego dąży w świadomém wychowaniu siebie. Ale każdy nowy typ indywidualny wymaga nowych warunków społecznych, ułatwiających mu wszechstronny rozwój, zamiast go krępować, a przedewszystkiém dających możność jak największéj ilości jednostek wzniesienia się do owego, upragnionego typu. Ideał więc indywidualny wytwarza żądanie pewnéj atmosfery społecznéj, zastosowanéj do jego wymagań, jak i odwrotnie zmiana warunków społecznych wymaga nowego ideału jednostkowego. Werter nie jest tylko wiernym kochankiem, ale i rokoszaninem przeciwko konwencyonalizmowi pojęć i urządzeń w imię swobody serca, a Cyd podaniowy przybiéra u Corneilla cechy właściwéj jego epoce lojalności. Cały szereg utworów z końca XVIII w. jak np. „Intryga i miłość,“ „Werter,“ „Nowa Heloiza,“ rozwijając swą akcyę na polu uczuć czysto indywidualnych, uderzały jednak w warunki dziejowe epoki, żądając emancypacyi społecznéj dla emancypowanéj duchowo jednostki. Każdy nowy ideał osobowy wytwarza nowe żądania społeczne, staje się podstawą ideałów nowego społeczeństwa. Każda epoka ma swoje utopie, a marzenia dnia dzisiejszego stają się rzeczywistością jutra.

Oprócz treści idealnéj sztuka ma jeszcze inną stronę — piękną formę. Przeznaczeniem téj ostatniéj jest zbliżenie idei dzieła do ducha słuchacza lub widza. Ideał odziany w szaty piękna głośniéj przemawia do serca każdego, staje mu się bliższym, bardziéj ukochanym, a przez to i bardziéj zrozumiałym. Lecz po za tém jednak znaczeniem oraz po za ogólnym, wychowawczym wpływem, który nazywamy wyrobieniem smaku, forma piękna, czyli estetyczny pierwiastek sztuki nie ma znaczenia dziejowego. Tylko idealna treść sztuki może być przeniesioną do życia, którego jest antycypacyą ideową. Ideał sztuki jest tém, do czego dąży ludzkość a co przez to już, że jest celem dążeń, stać się kiedyś musi; forma estetyczna jest szatą, okrywającą tę przyszłość, dopóki spoczywa jeszcze w królestwie marzeń, w krainie piękna, idei. Lecz skoro przeniesie się do życia, porzucić musi te sza-

ty, aby przybrać inne — wcielić się powinna w tkaninę rzeczywistości i naginać się do jéj wymagań.

Jak przy tworzeniu dzieła sztuki ideał jest wynikiem wzniesienia się po nad rzeczywistość, a piękna szata poezyi — tylko ugrupowaniem według wymagań tego ideału pierwiastków rzeczywistości [1]).

---

[1]) „Dwie rzeczy stanowią poetę—powiada Schiller w listach do Göthego, wzniesienie się ponad rzeczywistość i pozostanie w granicach świata zmysłowego. Połączenie tych pierwiastków czyni sztukę estetyczną.“ To znaczy, że w treści swego utworu poeta winien być idealistą, formę zaś kształtować z pierwiastków rzeczywistych i naturalnych. Jest to zasada odwieczna, któréj przestrzeganie, z przewagą częściową jednego lub drugiego żywiołu, odkryć zdołamy w każdém prawdziwie artystycznem dziele, również jak w większéj części prób filozofii sztuki. Już Plaut zaznacza, że poeta szuka różnych zdarzeń i obrazów, zbiera w jedną całość to co się nigdzie razem nie znajduje, kreśli więc charaktery nie zaś portrety a zbliżenie do myśli Schillera znajdujemy np. u Mengsa (*Gedanken über die Schönheit und den Geschmack in der Malerei*, 1762). gdy powiada, „że malarstwo jest wprawdzie naśladowaniem natury“ (§ 5 pierwiastek realistyczny), ale ją prześciga w piękności, którą określa poprzednio jako „widomą doskonałość;“ gdy dodaje, że z prostego naśladownictwa przyrody „malarstwo staje się sztuką dopiero przez wprowadzenie porządku a opuszczenie nieużytecznego i drugorzędnego (str. 19 w wyd. Reclama)— mamy tu już zupełnie określone pojęcie ideału, bo ów porządek, również jak sąd o użyteczności lub drugorzędności składowych części może być tylko wynikiem naprzód powziętej idei. Nie inne znaczenie mają twierdzenia Batteaux'a (*Les beaux arts réduits à un même principe* 1746), że zadaniem sztuki jest wzniesienie ponad brzydką, zwyczajną rzeczywistość, że sztuka korzysta tylko z pięknéj przyrody, do czego potrzebna jast dokładność (pierwiastek realistyczny) i swoboda (żywioł idealny). Podobneż znaczenie ma „rys idealny,“ którym według Diderota odróżnia się sztuka od natury w niéj odzwierciedlonéj. A najbardziéj skończony wyraz téj myśli nadał Kant (którego poglądy jak wiadomo służyły za punkt wyjścia dla Schillera), określając geniusz (*Kritik der Urtheilskraft I*, § *46*) jako wrodzoną władzę, stwierdzającą prawidła sztuki. Do oceny piękna wystarcza smak: na jego stworzenie potrzebny jest geniusz. Utwór może czynić zadość wymaganiom smaku a mimo to nie zadawalnia estetycznie, jeśli przy nienaganności formalnéj pozbawiony jest ducha. U nas tak niesłusznie dziś zaniedbany Brodziński, wprowadza pojęcie ideału, na miejsce dawniéj wyłącznie zajmującego uwagę smaku („Ideał w życiu i sztuce,“ „Ideał sztuki u Greków“ i inne rozprawy estetyczne w VI-ym tomie zbiorowego wydania pod red. Kraszewskiego). Z zestawionych tu zdań pokazuje się, że w miarę większego zagłębiania się w istotę sztuki, coraz więcéj miejsca udziela się geniuszowi i ideałowi wobec formalnych warunków smaku i pięknéj formy. Nikomu z malarzy poważnie sztukę traktujących — a nie możemy do takich zaliczyć impresyonistów — nie przyjdzie na myśl malować księżyc zielono a twarz żółto i w połączeniach nienaturalnych barw lub przedmiotów szukać efektów estetycznych; co służyło jako *reductio ad absurdum* dla Horacyusza, gdy zaczynał swoję *Ars poetica* od wierszy:

Humano capiti cervicem pictor equinam
Jungere si vellit varias inducere plumas...

tak przy oddziaływaniu jéj na życie — wszelkie usiłowanie ku wcieleniu ideału podnosi nas nad rzeczywistość, staje się bodźcem doskonalenia jednostki i postępu ogółu; wszelka zaś próba przeniesienia do życia saméj formy estetycznéj powoduje tylko powrót do dawnego ugrupowania według zasady konieczności pierwiastków rzeczywistości, które w dziele sztuki stanowiły piękno jedynie dlatego, że z pod téj zasady wyłamać się mogły, służąc za wyraz ideałowi. Próba więc taka przedewszystkiém niweczy piękno.

Rozmaite epoki dziejowe niejednakowo pojmowały znaczenie tych dwóch żywiołów sztuki, a różnica w ocenie ich znaczenia wpływała tak na kształty życia jak i na wymagania utworom artystycznym stawiane.

Epoki podniesienia duchowego, wielkich pragnień, rozległych widnokręgów duchowych, oddawały przewagę idealnéj treści sztuki, a podniesienie ducha ujawniało się samo naturalnie i w estetycznéj formie: wielka myśl wybija się sama w wzniosłych kształtach. Przeciwnie epoki upadku charakteryzują się zanikiem treści—ideału, a natomiast wyszukaną, wymanierowaną formą: tam gdzie jest treść, forma znajduje się sama przez się; tu trzeba jéj szukać, bo nie ma z czego wypłynąć; trzeba znaleźć kształt dla ujęcia pustki. Sztuka degraduje się stopniowo, staczając się po pochyłości, na któréj końcu znajduje się obrażająca zdrowe uczucie piękna arabeska, t. j. forma, zupełnie pozbawiona treści.

Te same skutki dla sztuki pociąga zapomnienie o jéj istotném przeznaczeniu dziejowém i społeczném. Doby samolubstwa i wyrachowania, kiedy zapominająca o swojém powołaniu dziejowém inteligencya usiłuje sztukę jak i inne czynniki cywilizacyi obrócić na swój wyłączny użytek, zniżając je przez to z roli potęg dziejowych do znaczenia zabawki rozpróżniaczonéj i zblazowanéj gawiedzi salonowéj, wytwarzają również w sztuce jak i z życiu formy upadku. Przeznaczenie zabawki, które chcą nadać sztuce, wymaga przedewszystkiém, aby się stała „lekką“, t. j. nie wymagała wysiłków wyobraźni, nie budziła głębokich uczuć i myśli; ideał—poważna, społecznie-dziejowa zawartość sztuki, ruguje się z niéj, jak się wyrzuca z życia wszystko, co przypomina obowiązek — bo przyjęcie ideału wkłada obowiązek

---

Umiejętność niewolniczego naśladowania modelu jest pierwszym i koniecznym warunkiem techniki sztuk plastycznych, ale pomiędzy nią a rzeczywistym artyzmem takaż przepaść jak pomiędzy ćwiczeniami kontrapunktycznemi, a kompozycyą muzyczną, lub pomiędzy wprawną ręką ucznia a mistrzowskiem wykonaniem artysty.

walki o niego, jak odrzuca się uznana za zbyteczną nietylko pewna istniejąca forma wyznania, ale religia wogóle, jak zaprzecza się krępująca w pogoni za użyciem moralność. Stąd panowanie operetki i karykatury, zamiłowanie do bezmyślnych cacek plastyki, do bižuteryjnéj i ślazowo-ckliwéj poezyi salonów, tak zwanéj (bardzo niefortunnie) „sztuki dla sztuki“, pozbawionéj zarówno treści, jak i prawdy estetycznéj. Z drugiéj strony przesyt, spowodowany użyciem, żąda czegoś, coby wstrząsało silniéj zdrętwiałe nerwy w tym samym kierunku, w jakim je drażniło użycie i jak zniecznlone podniebienie smakosza wymaga od sztuki drastyczności naturalizmu [1]).

Chęć zaś wyciągnięcia ze sztuki przyjemności bez obciążania siebie jéj poważną idealną treścią, sprowadzenia życia do saméj estetycznéj tylko formy, powoduje sybarytyzm duchowy i całą tę pseudoestetykę obyczajów i form, wymagań i otoczenia materyalnego, która nadaje charakterystyczne piętno maniery i sztuczności chylącym się ku upadkowi cywilizacyom. Bo to, co nazywamy w dziejach upadkiem cywilizacyi, jest zwykle wynikiem zamknięcia się jéj w kaście lub oderwanéj od życia klasie, a objaw pewnéj dziejowéj *vis medicatrix naturae* powoduje w takich razach „zmianę plemienia“, jak trafnie się wyraża bohatér „Nieboskiéj“. „Robaczliwi pełni jadła i napoju, jeśli nie chcą lub nie mogą się odrodzić, ustępują miejsca „głodnym, silnym i zdrowym.“ W rzeczywistości, nie upada cywilizacya: wytwory jéj dostają się w spadku innym narodom (jak było z cywilizacyą greko-rzymską), lub innym klasom, które je ściągają i obniżają do swego poziomu, przez co naturalnie następuje chwilowe wahanie wsteczne. Upada zaś rzeczywiście ta warstwa, która ją przywłaszczywszy sobie wyłącznie i usiłując do swych celów obniżyć, stanęła na przeszkodzie postępowi dziejowemu, którego zadaniem jest zarówno rozlewanie dobrodziejstw cywilizacyi wszerz, jak i jéj pogłębianie.

Obok innych zadań sztuki, jako potęgi społecznéj, przyznać nie-

---

[1]) Doktrynerska strona naturalizmu, t. j. pretensye przemienienia sztuki na teatr anatomiczny i szkołę psychologii fizyologicznéj, jest wynikiem nie tyle już płochego, ile niewłaściwego zastosowania tegoż ciasno-utylitarnego poglądu na sztukę, płynącego z zapoznania różnicy pomiędzy faktem a ideą, pomiędzy „jest“ a „być powinno.“ Dogmatyk faktu, dla którego nie istnieje ta ostatnia kategorya, musi się z konieczności ograniczyć do pierwszéj, a więc zadaniem sztuki zostanie kreślenie tego, „co jest“. Że w rzeczywistości tego nie czyni, bo sama istota sztuki staje w sprzeczności z podobnêm zadaniem, tego dziś chyba już dowodzić nie potrzeba.

zawodnie należy i podniesienie estetycznéj wartości życia; ale cel ten nie osiąga się przez proste przeniesienie pięknéj formy do rzeczywistości, gdyż jak wspominaliśmy już, przeniesienie to jest niemożliwe. Piękność polega na swobodném (według wymagań ideału) zestawieniu pierwiastków rzeczywistości, a skoro tylko przenosząc ją do rzeczywistości, pozbawiamy téj swobody, odrywamy od ideału, znika i samo piękno, zostaje sztuczność, naśladowanie zewnętrzne tego ugrupowania bez ożywiającego je ducha.

Rzeczywistość o ile jest wytworem naszéj woli (pomijając dzieła sztuki, które jako takie również należą do rzeczywistości, t. j. jako marmur, płótno lub dźwięk, w których są wcielone) kształtuje się zwykle według innych celów: najczęściéj użyteczności, a im każdy przedmiot lepiéj odpowiada swemu celowi, im prostszą drogą podąża do niego, tém jest nietylko lepszy t. j. użyteczniejszy, ale i piękniejszy, t. j. lepiéj odpowiada wyrobionemu estetycznie smakowi, którego zasadą jest zawsze prostota środków, najbliżéj prowadząca do celu.

Jak najpiękniejsze dzieła sztuki odznaczają się wielką prostotą środków estetycznych, tak materyalne przedmioty — wytwór rąk naszych — są tém piękniejsze, im prostsze; rzemiosło okresów zepsucia lub bardzo młodzieńcze oddala się od téj prostoty, aby wrócić ku niéj w epoce dojrzałości lub polepszonego smaku: powozy w kształcie delfinów lub czółen wydają się nam dziś i śmiesznemi i niesmacznemi, a w meblach naszych, o ile nie ulegamy wyłącznie wymaganiom techniki i użyteczności, zbliżamy się często do najprostszych motywów ludowych. Im bardziéj rozwinięty smak, tém mniéj skłonni jesteśmy cierpiéć ową dwoistość, która chce z przedmiotu użyteczności zrobić cacko, naśladujące dzieło sztuki: ponieważ przeznaczenie przedmiotu jest inne, niż wcielenie ideału, forma więc sprzeczna z celem sprawia dysonans, którego nie dostrzega tylko smak niewykształcony lub zepsuty. Jest tu toż samo, co w użyciu efektów estetycznych sztuki stanowi poczucie miary.

Zupełnie inne znaczenie ma pojęcie piękna w tym zakresie rzeczywistości, która nie jest wytworem naszéj woli — w naturze. Ponieważ nie możemy stosować do natury pojęcia celowości w ciasném znaczeniu użyteczności, jak do przedmiotów rzemiosła, więc piękność bezwzględna natury byłaby zgodnością z celem wszechświata, pojętym jako całość. My jednak zawsze pojmujemy te cele na wzór ludzki (antropomorficznie); dlatego téż natura jest dla nas piękną o tyle, o ile wciela w sobie nasze ludzkie ideały lub idee: tak widok nieba

gwiaździstego budzi w nas poczucie nieskończoności, wysokich gór— wzniosłości, spokojnego morza — ciszy beznamiętnéj ducha. Innemi słowy, przyroda piękną jest dla nas o tyle, o ile ją uduchowniamy. Toż samo stosuje się oczywiście do opisów przyrody i krajobrazów, lub utworów muzycznych takich, jak Symfonia pastoralna, Stworzenie świata lub uwertura do Wilhelma Tella.

Tłómaczy to nam, dlaczego opisy przyrody w Child-Haroldzie, utworze najbardziéj podmiotowego z poetów, robią takie kolosalne wrażenie, kiedy przeciwnie dokładne i przedmiotowe opisy tylko nudzą nas. Na tém polega i urok obrazów natury w „Sonetach krymskich“ i „Panu Tadeuszu.“ Z tego téż punktu widzenia uprawnionym jest krajobraz jako rodzaj malarstwa. Gdyby pejzażysta tylko naśladował naturę, obraz jego byłby, jak wszelkie naśladowanie, niedołężnym cieniem, a nie miałby żadnéj racyi bytu wobec wspaniałego pierwowzoru. Ale malarz może idealizować naturę, wnieść więcéj pierwiastków ludzkich, niż zawiera rzeczywistość; ta idealizacya, istniejąca w każdym artystycznie wykonanym krajobrazie, a wyróżniająca dzieło sztuki od uczniowskiego studyum, chociażby najbardziéj poprawnego, łatwiéj daje się odczuć, niż wykazać lub wypowiedziéć i najczęściéj wprowadza się nieświadomie dla samego artysty. Jakkolwiekbądź krajobraz zawsze jest mniéj doskonałym sposobem oddania ideału, gdyż jest bardziéj skrępowany wymaganiami rzeczywistości.

Taki jest pogląd na istotę sztuki i jéj zadania, wypływający z zasady, którą pragnęlibyśmy widziéć hasłem najbliższego pokolenia — idealizmu czynu.

Idealizm marzycielski zamyka się w gotyckiéj kaplicy piękna, aby, oddalony od świata i ludzi, zapomniawszy o nędzy pierwszego i niedoskonałości drugich, poić ducha słodkiemi złudzeniami wiecznie czystych, ale i wiecznie dalekich, nigdy nie dających się urzeczywistnić ideałów.

Realizm świątynię piękna zamienić chciał na targowisko. Widząc, że sztuka odbiegła od życia, że zerwała wszelką z niém spójnię, chciał zbratać oboje, wpychając brutalnie całą niedoskonałość i brud życia do świątyni sztuki, z któréj wygnano bóstwo—ideał, jako rzecz pozaświatową, niepotrzebną i nieprawdziwą.

Idealizm czynu chce przywrócić bogów do religii piękna, ale nie

zamykać jéj przed życiem; przeciwnie, chce szeroko roztworzyć dla tłumu drzwi świątyni piękna, a chce ją mieć jasną, wesołą i pogodną. Lecz zamiast postawionych na ołtarze ludzi mitologii greckiéj, chce mieć bogów pomyślanych, na wzór chrześciański, bogów platońskiego nieba duchowéj doskonałości. Sztuka dla idealisty czynu jest bramą, przez którą ideał w szatach piękna schodzi z krainy cudów na ziemię, aby porzuciwszy je wcielić się w życie, a wiosenne kwiaty marzeń dojrzewają w owoce czynu.

W. M. Kozłowski.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Ludwik Gumplowicz. Sociologie und Politik. Lipsk 1892 r.

Dobrze znany w naszéj literaturze naukowéj profesor Ludwik Gumplowicz z Gracu należy do owych badaczów zjawisk społecznych, którzy na każdy fakt życia, czy dziejów, patrzéć potrafią wyłącznie przez pryzmat swéj teoryi. Gdy cały zastęp historyków, opisujących życie polityczne i kulturalne, ekonomistów, statystyków z zapałem podnosi odrębności każdego faktu społecznego nadając mu cechy indywidualne, inni są syntetykami wtłaczającemi nieraz przemocą w ramy swéj teoryi procesy ewolucyi życiowéj. Do tych wyznawców prawidłowości należą zwykle umysły najlepsze, najobszerniejsze obejmujące horyzonty, co nie przeszkadza im przecież popełniać kolosalne błędy. Ale nawet błędy takiego Buckle'a, Comte'a, Queteleta, Schäfflego, Spencera, przyniosły niemałe korzyści dla ogólnego rozwoju myśli, były one płodnemi, wydawszy potomstwo w postaci zastępu uczniów, często samodzielnych badaczów. Do płodnych umysłów należy bezsprzecznie i autor, o którego dziełku pisać zamierzamy, pociąga on siłą swych przekonań, fanatyczną wiarą w swych dowodzeniach, olśniewa śmiałością, a nieraz i paradoksalnością twierdzeń, błyskotliwym, nieco dziennikarskim stylem.

Próba objaśnienia polityki przy pomocy postulatów socyologicznych opiéra się na teoryi wypowiedzianéj już kilkakrotnie w dziełach poprzednich, a znanéj naszym czytelnikom z socyologii, wydanéj po polsku [1]). To téż streścimy tu dziełko o tyle, o ile odnosi się ono do polityki.

---

[1]) System socyologii — Warszawa. Wydawnictwo spółki nakładowéj.

Polityka dzisiejsza, zarówno zewnętrzna jak i wewnętrzna wychodzi od rządu, który jest jéj źródłem i najważniejszym w każdéj akcyi czynnikiem. Zadaniem przeto nauk, które chcą umiejętnie oświetlić życie społeczne, jak socyologia i nauka polityki, będzie zbadanie żywiołów i grup z jakich państwo powstało i jakie nawą jego kierują. Do powstania państwa koniecznêm było istnienie współczesne grup społecznych różnoplemiennych. Grupy te, wzrastając w liczbę, musiały wylewać się na zewnątrz; warunkiem i przyczyną téj ekspansywności jest fakt przyrodniczy płodności kobiét. O ile dwie różnoplemienne grupy zetknęły się ze sobą powstawała walka, kończąca się zwycięstwem jednéj a podbojem drugiéj. Z walki takiéj wyłaniał się nowy ustrój społeczny, państwo, polegające na istnieniu dwóch klas: panującéj mniejszości i większości podbitéj. Cała historya ludzkości idzie od walki niezliczonych małych grup, do wytworzenia się większych przez ujarzmienie słabszych żywiołów. Walka i gwałt są warunkami społecznego postępu, a raczéj przejawem ewolucyi, bo prof. Gumplowicz postępu nie uznaje. Podnosi przecież kilkakrotnie w swym „systemie socyologii,“ że szczęściem dla ludzkości zasady braterstwa i altruizmu nie rządziły pochodem dziejowym, gdyż w takim razie społeczeństwa byłyby dziś w stadyum rozwoju grup rasy australijskiéj lub papuańskiéj.

Nieustanną dążnością państwa jest rozszerzanie się na zewnątrz aż do swych granic naturalnych, a więc np. dążenie wszystkich państw do morza. Zewnętrzna walka z sąsiadem wynika z téj naturalnéj dążności rozszerzania się i zaboru, a walka têm łatwiéj wybucha, im bardziéj różnorodne są stykające się ustroje polityczne. Taką walkę od dawnych czasów prowadziła Azya ze swym systemem absolutnych monarchii z Europą, w któréj zasadą rządu była reprezentacya stanowa, zmieniona dziś w parlamentaryzm. Gdy dwie państwowe grupy zagrożone są wspólnêm niebezpieczeństwem ze strony trzeciéj, zawiérają przymierze. Jak widzimy, teorya jest odzwierciedleniem faktów historycznych, dalszéj czy bliższéj przeszłości, nie zgodzić się z nią nie można. Ale autor uważa ją za formułę praw niezmiennych. Walki o byt między różnorodnemi grupami doszukuje się nietylko tam, gdzie przeléwa ona krew i zaściéła pole trupami, ale i w turnieju konkurencyjnym na polu handlu i przemysłu. I z têm zgoda. Czynniki ekonomiczne, dążność do zapewnienia sobie możliwie najwyższego dobrobytu leżą na dnie każdéj niemal walki zewnętrznéj, która jest walką o terytoryum, wpływ, władzę. Co stanie się jednak z owym niezbędnym elementem walki, skoro społeczeństwa dojdą do terytoryalnego podziału pracy i każde z nich z korzyścią dla

siebie i dla drugich wytwarzać będzie takie kategorye towarów, które najlepiéj odpowiadają naturalnym warunkom jego wytwórczości? Czy wówczas walki nie zastąpią układy i traktaty, jak się to już dziś niejednokrotnie zdarza. Chyba, że dla uratowania teoryi, traktaty i konwencye nazwiemy również walką.

Przejdźmy przecież do polityki wewnętrznéj, może w niéj znajdziemy uzasadnienie teoryi.

Zasada walki, wyzysku społecznego działa z niemniejszą siłą wśród grup, składających jedno społeczeństwo, jak między różnemi wspólnotami. I tu walczą nie jednostki, ale grupy społeczne, zasadnicze żywioły rozwoju. Zasada zjednoczenia wytwarza w grupie nie sumę sił składających ją jednostek, ale nową siłę zbiorową. Im lepiéj przeto grupa jest zorganizowaną, im więcéj jednolitą, tém większy wpływ miéć może. Jeżeli zaś przypomnimy sobie, co autor mówi o tym przedmiocie w socyologii (str. 314), to grupa jest nieomylną, ponieważ działa zawsze w kierunku swych najważniejszych interesów, chociaż każda ze składających ją jednostek tysiące fałszywych kroków robić może. Ażeby istniéć, każda grupa społeczna musi żyć na stopie pokojowéj z państwem, a więc nie przeciwdziałać jego celom.

Pomimo téj zasady ogólnéj, elementy socyalne państw nie są bynajmniéj równowarte, ani równoprawne. Panujące mniejszości łatwiéj się ze sobą mogą porozumiéć, bo mają więcéj punktów stycznych, większość złożona z klas pracujących, nigdy do podobnéj solidarności dojść nie może. Autor przeoczył widocznie, że jego niezmienne prawa nawet do chwili obecnéj zastosowanemi być nie mogą, bo właśnie dziś klasy posiadające (panujące mniejszości) gubią się dezorganizacyą i brakiem solidarności. Że zaś autor te same warstwy uwzględnia w społeczeństwie, co ekonomiści, dowodem, iż za podstawę wyróżnienia elementów społecznych służy mu organizacya pracy, zawarunkowana potrzebami ciała i duszy ludzkiéj. W każdém społeczeństwie wystąpić muszą te same elementy, bo podobne warunki natury przeciwstawiają się jednakowym potrzebom.

Najwyższém prawem każdéj grupy społecznéj jest samozachowanie, aby je osiągnąć grupa musi istniéć kosztem wszystkich innych.

A więc walka o byt, walka wszystkich przeciwko wszystkim ma być socyologiczném prawem natury, chociaż autor zgadza się, że przejawem téj walki równie dobrze może być bójka na pięści, jak rygor i ucisk klasy panującéj, albo wreszcie podstęp i rozumne korzy-

stanie z przewagi. Pobudką do téj walki ma być chęć zaspokojenia potrzeb życiowych, nie słabnąca nigdy, pomimo obfitości środków. Do koniecznych bowiem warunków utrzymania zaliczyć nawet można na wyższym stopniu rozwoju większą ilość wolnego czasu, przyjemności estetyczne, a tu już kres oznaczyć się nie da.

Istotnie przyznać trzeba autorowi, że pojęcie zadowolenia potrzeb i pragnień niezmiernie jest rozciągliwe i że, sądząc z dotychczasowego rozwoju, wzrastają one nieustannie. Wzrost potrzeb, skoro zaliczymy do nich również pragnienie estetyczne, dążności naukowe, nie wyklucza przecież ze sfery swéj i żądań etycznych. Tak jak na dzisiejszym stopniu kultury, pomijając chrześciańskie uczucia miłosierdzia nawet, rzucamy żebrakowi jałmużnę, aby jego jęków nie słyszéć, jak organizujemy dobroczynność publiczną, by nas nędza otaczająca nie upokarzała, tak na wyższym stopniu kultury zechcemy prawdopodobnie zapewnić najszerszym kołom wysoki stopień dobrobytu i dopuścić je do udziału w naszym dorobku umysłowym.

Mówiąc o jakiejkolwiek pracy prof. Gumplowicza, niepodobna traktować jéj bez związku z innemi, bo autor konsekwentnie i wytrwale trzyma się tych samych poglądów. Czytelnik raczy przeto wybaczyć, że raz jeszcze powołujemy się na „System“. Dając szereg ogólnych praw socyologicznych (str. 187 — 201), pominął nasz autor dwa bardzo ważne: akcyi i reakcyi, czyli oddziaływania jednostki na społeczeństwo i działania sfery, wśród któréj jednostka żyje (a więc społeczeństwa), na nią. Dwa te prawa wykazałyby konieczność wytwarzania się popędów altruistycznych na wyższém stadyum rozwoju społeczeństwa wtedy, gdy potrzeby estetyczne, naukowe i moralne równie niezbędnemi do życia się staną, jak zaspokojenie potrzeb czysto fizycznych. Nie można zaprzeczyć, że cywilizacya nasza dąży do wciągnięcia w zakres koniecznych swych wymagań wytwarzanie takich potrzeb, oraz popędów, które wyradzają takowe. Kto wié, czy walka nie stanie się przeciwną i wstrętną takim popędom, czy na jéj miejsce nie wystąpi szlachetne współzawodnictwo, całkiem różne od walki ras i grup, którego pod tę samą kategoryą podciągnąć się nie da.

Nie widzimy przyczyny, dlaczegoby socyologia, będąc nauką o stosunku grup społecznych do siebie, nie miała również obejmować stosunku jednostki do grupy. Dla naszego uczonego indywiduum to tylko jakieś wcielenie dążności grupy. Pierwiastek osobistéj świadomości i inicyatywy ginie zupełnie, a przecież historya na każdéj karcie dowodzi nam, że on istniał.

Prawidłowość procesów społecznych jest tak wielką, powiada

nam autor, że z największém prawdopodobieństwem, a nawet z pewnością przepowiedzieć możemy postępowanie każdéj grupy społecznéj w danych warunkach." Autor ostateczny powód tych warunków widzi w zasadniczych popędach natury ludzkiéj, a tu zmian nie przypuszcza. Że jednak warunki i natura działających jednostek i grup znaną nam jest dla przeszłości i teraźniejszości, w przyszłości zaś dołączyć się mogą nowe czynniki, więc i prawa socyologiczne prof. Gumplowicza są tylko uogólnieniem dziejów, powiemy nawet dość jednostronném, bo uwzględniającém tylko najgrubsze pobudki materyalistyczne z pominięciem wszelkich innych. Nie mówmy przecież o prawach przyszłości, prawach niezmiennych, które ustrzegą ludzkość od błędów, bo przestanie wyciągać ręce po niedoścignione ideały. Praw takich dotąd nie znamy, a wiara w hypotezę mogłaby tu tylko być szkodliwą, tamując dążności indywidualne.

Autor słusznie tłómaczy niepowodzenie Schmerlingowskiéj polityki w Austryi w r. 1861-ym; nie odpowiadała ona dążeniom narodowościowym klas wyższych, a więc tych, co najsilniéj dążą do podtrzymania państwa, najżywiéj odczuwają patryotyzm państwowy. Rozumié téż dlaczego Prusy i Rosya, dwa państwa wybijające się na stanowisko pierwszorzędnych mocarstw w Europie, musiały przez kilka dziesiątków lat miéć wspólną politykę, dlaczego Ren stanowi kość niezgody między Francyą a Niemcami, których kultura wykazuje przecież tyle pierwiastków wspólnych, ale już w przepowiedniach najbliższéj polityki poważne zarzuty postawić mu można.

Przepowiednie takie spotykamy w pracy „Cyfry urodzeń we Francyi" [1]), w któréj autor zmniejszającą się płodność Francyi uważa za wynik jéj staréj cywilizacyi. Jak obliczyli statystycy, za lat 20 na jednego żołnierza francuskiego wypada dwóch niemieckich, przy pierwszém starciu przeto Niemcy muszą zalać Francyę i zwyciężyć jéj kulturę, kto wié przecież, czy z czasem ten sam los nie spotka Niemiec, gdzie ilość urodzeń osłabnie, gdy w sąsiedniéj Rosyi się zwiększy. A więc prowadźmy politykę na zasadach socyologii, a raczéj dzielnéj jéj pomocnicy statystyki ludnościowéj. Dlaczego jednak te same cyfry wykazują bardzo wysokie odsetki urodzeń i przyrostu ludności w Wielkiéj Brytanii, gdzie przecież kultura nie jest niższą, ani młodszą, niż we Francyi. Prawo socyologiczne „każda kultura starzeje się i umrzéć musi, bo piastujący ją naród nie ma dość sił do rozmnażania się równie szybko, jak jego mniéj cywilizowani sąsiedzi", już po drugiéj stronie kanału nie ma zastosowania nawet na dziś, cóż

---

[1]) „Deutsche Worte". Wiedeń, 1893 r., zesz. 8 i 9.

mówić o przepowiedniach przyszłości? Czy więc obok fatalistycznéj wiary w niezmienność praw dziś rządzących polityka nie powinna się oprzéć na dążnościach i ideałach nie zupełnie zgodnych z dzisiejszą socyologią. Zresztą czyni to kilkakrotnie i sam autor w swéj bardzo zajmującéj i dużo dającéj do myślenia książce, którą uwadze czytelników polecamy. *Dr. Z. Daszyńska.*

Dr. Karl Bergbohm. „Jurisprudenz und Rechtsphilosophie. Kritische Abhandlungen.“ Erster Band, Leipzig, 1892, str. XVI + 566.

Tak bliski stosunek filozofii do prawa w zeszłém stuleciu i w pierwszém ćwierćwieczu obecnego, od lat pięćdziesięciu rozprzągł się zupełnie i doprowadził do zupełnéj ignorancyi na wzajemności opartéj. Filozofowie, zgorszeni snać niegościnném przyjęciem w obozie prawników, zaprzestali w swych „Systemach“ — pewne tomy (zazwyczaj ostatni) poświęcać jurysprudencyi — a i wogóle zaprzestali układać „systemy filozofii“. W ostatnich czasach dopiéro zrzadka któryś z etyków — Höffding, Wundt, Paulsen — użyczają łaskawéj uwagi suchym obszarom kwestyi prawnych, albo, jak Schuppe lub Lasson, starają się ująć w karby systematycznego układu mnogość nieprzebraną stosunków prawnych. Nie można jednak powiedziéć, ażeby przez ostatnie pół wieku ugorowania niwa prawnych dociekań zyskała w czémkolwiek na tych pracach. Nie pozostało więc prawnikom nic innego, jeno próbować własnych sił. Praca tutaj nieustała zupełnie i trwa daléj z coraz bardziéj dobroczynnym skutkiem, jakkolwiek uzewnętrzniającym się w wolném tempie, którego przyczynę autor odnajduje w ciągłéj niewoli doktryn prawnych i bezustannéj zależności prawnych dociekań od niewyplenionéj dotychczas, ongi podziwianéj rośliny — prawa natury. Zdawałoby się, że z chwilą ogłoszenia zwycięstwa przez szkołę Savigny'ego, zwaną inaczéj szkołą historyczną prawa, zwycięstwa głównie polegającego na zabójczéj krytyce owego prawa przyrodzonego — czasy jego panowania minęły bezpowrotnie. Tymczasem twierdzenie takie, do którego przyzwyczajamy się przy czytaniu odnośnych utworów przywódców samych szkoły historycznéj, polega na złudzeniu. Autor przedsięwziął długą i mozolną wędrówkę poprzez kwietniki literatury prawa, którą zdaje się opanował całkowicie — przeszłą i współczesną, niemiecką i europejską wogóle i nie żałował przebiegłości dla odkrycia śladów prawa natury. Rzecz to wcale nie łatwa. O ile w literaturze przeszłości, którą autor rozpatruje od czasów najdawniejszych, aż do połowy mniéj więcéj naszego stulecia (str. 148—195), prawo natury występuje za-

zwyczaj z otwartą przyłbicą, z tym samym zawsze zasobem frazesów i jednakowym arsenałem argumentów, o tyle w literaturze współczesnéj, któréj początek według rachunku autora należy odnieść do piątego dziesiątka wieku naszego, prawo natury — nie licząc niezwykle rzadkich wyjątków — nigdzie nie ukazuje się otwarcie w todze akademickiéj np., ale natomiast raz po raz zauważyć się daje w masce i przebraniu najróżnorodniejszém. Ta właśnie różnobarwność stroju utrudnia i tak już wskutek nawału materyału mozolną pracę badacza. Rozpatrzywszy więc w rozdziale następnym „przyczyny rozwoju i wpływ nowszéj doktryny prawa natury“ (str. 195 — 231), autor w późniejszym znowu większym ustępie kreśli przed oczami czytelnika obraz stanu rzeczy współczesnego, rozważając w porządku kolejnym prawo natury u pisarzy niemieckich, następnie zaś zachodnio-europejskich wogóle (francuskich, belgijskich, szwajcarskich, hiszpańskich i portugalskich, holenderskich, angielskich, skandynawskich, wreszcie ruskich—autor jest profesorem b. dorpackiego uniwersytetu), wykazując wszędzie pierwszorzędną znajomość przedmiotu (z naszéj literatury napotkaliśmy tylko broszurę Świętochowskiego z r. 1876). W ostatniéj wreszcie części swego dzieła (str. 355—360) znajdujemy krytykę wszechstronną prawa natury i „Rewizyę teoryi historycznéj prawa.“ Celem wzmianki niniejszéj nie może być ani wyczerpujące sprawozdanie treści téj wielkiéj i pod wieloma, bardzo wieloma względami znakomitéj pracy, ani téż poważna krytyka jéj podstaw i wywodów ostatecznych. Pozwolimy więc sobie tylko niektóre ważniejsze ustępy podkreślić i drobną uwagę z naszéj strony dorzucić. Przedewszystkiém co do stanowiska autora — znajdujemy wyczerpujące wiadomości w ostatnich paragrafach książki (§ 17, str. 531 i n.). Za teorye niehistoryczne — mówi tutaj — należy przyjmować i, jako takie, odrzucać wszystkie te, które zamiast prawa dostępnego naszemu doświadczeniu i faktycznie uzewnętrznionego w dziejach ludzkości dają nam niepozytywne, wraz z jego odpowiedniemi źródłami — zupełnie podobne do prawa natury, które w innem miejscu swéj książki określa autor, jako (str. 140) „wszelkie wyobrażenie prawa, które nie jest identyczne z istniejącém pozytywnie reguła w regułę, instytucya w instytucyę, — a mimo to rości pretensye do stanowiska wpływającego w czémkolwiek na ustrój prawa, istniejący faktycznie.“ Żadna z tych teoryi nie może być prawdziwa. Czy teorye te nazywać się będą teoryami prawa „idealnego“, albo „teoretycznego“, albo prawa „powstającego“ — to na istotę rzeczy nie wpływa zupełnie i oczywiście jéj nie zmienia. „Jakbądź są to tylko różne nazwiska różnych znowu subiektywnych wytworów pojęciowych. Zupełnie tak

samo prawo „wieczne,“ „wszechświatowe,“ „jednakowe dla mieszkańców wszystkich ciał niebieskich, albo ludzi i zwierząt“ — jest chimerycznem zaprzeczeniem rzeczywistego ciągle się zmieniającego, ruchomego i nierównego, nigdzie nie podobnego prawa. Ostatecznie więc, pozostaje tylko zasada historyczna w prawie, która wedle autora jest warunkiem nieodzownym przy badaniu filozoficznem zagadnień natury prawnéj, zasada proklamowana wprawdzie przez Savigny'ego i jego uczniów, ale i dzisiaj jeszcze nie przeszła „*in succum et sanguinem*“ metodologii prawnéj. Szkoła zwana historyczną w upojeniu zwycięstwem sama w częstokroć zgubnéj polemice zapominała o dogmacie, jaki wygłosiła — i wpadała w dawną matnię przeciwnika. Dopiéro w ostatnich czasach, głównie pod wpływem J. Heringa, rozpoczął się w prawie zwrot „realistycznym“ zwany. Prace takie, jak A. Merkel'a (z filozofii prawa ogólnéj), Bindinga o „Normach“, Bierlinga i in., są zwiastunami tego upragnionego odrodzenia filozofii prawa. W szeregu tych cegieł i kamieni, które posłużyć mają do wzniesienia przyszłych gmachów w téj dziedzinie myśli ludzkiéj, i praca prof. Bergbohma zajmie miejsce poczesne, gdyż, aczkolwiek ma na celu prawie że tylko burzenie starych, spleśniałych już przesądów, zawiera wiele materyału konstrukcyjnéj natury, który streścić się daje w ostatecznym wniosku, że „uznawać pozytywne prawa jako jedynie możliwy przedmiot badania — i przyznawać się do historycznéj metody, jako jedynie prowadzącéj do celu w tém badaniu — jest jedno i to samo“ (str. 548).

W literaturze „podręczników uniwersyteckich“ zajmie wzmiankowana książka stanowisko nierównie ważniejsze. Nawet literatura niemiecka, najbogatsza i pod tym względem, nie posiada dotychczas źródłowego i prawdziwie naukowego opracowania dziejów prawa natury.“ Podręczniki ograniczały się na ogólnych zestawieniach, w których czytelnik i uczący się znajdowali wszystkiego podostatkiem, prócz krytycyzmu. Pod tym względem więc praca prof. Bergbohma ma sympatye zapewnione: mogłaby zupełnie sprawiedliwie nosić tytuł „Dziejów prawa natury“ opracowanych krytycznie — i ostatecznie. I tak nazwana przez autora „Rewizya teoryi historycznéj“ jest zupełnie usprawiedliwiona. Literatura niemiecka posiada kilkadziesiąt broszur, poświęconych Savigny'emu i jego szkole, ale prace dla charakteru swego okolicznościowego „jubileuszowego“ mało zawierają istotnéj, naukowéj prawdy. Za ten rozdział szczególnie (ostatni) należy się autorowi prawdziwe uznanie.

Jeżelibyśmy mieli do zarzucenia autorowi niedokładność pewną, to polegałoby to na zbyt silnéj może, prawdziwie krwiożerczéj jego

negacyi prawa natury. *Trop de zèle!* Jeżeli weźmiemy pod uwagę układ stosunków społecznych w dobie, która wyprzedziła wielką rewolucyę i rolę, jaka przypadła w udziale prawu natury, to trudno nam będzie zgodzić się ze zdaniem autora, w czambuł wyklinającém ów silny argument z szeregu środków burzących zeszłego stulecia. Jeden z najznakomitszych prawników niemieckich współczesnych wyraża się o tém w następujący mniéj więcéj sposób: „Co zdziałało prawo natury? Rozerwało prastare kajdany, zrodziło reformy i przewroty, zmiotło niby słomę wiekowe budowle prawne, powołało do życia nigdy przedtém nie słyszane nowe idee i hasła." (Gierke, *Naturrecht und deutsches Recht*, str. 14). Inny znowu uczony, ekonomista mówi: „Wszelkiego rodzaju drwiny z doktrynerstwa „praw człowieka"—nie potrafią pozbawić ich zasług, jakie położyły dla narodów współczesnych—zasługi przedewszystkiém wzniesienia ideału ludzkości na takim piedestale, którego osiągnąć nie potrafi ludzkość i w czasie, którego dzisiaj przewidzieć nie można" (G. Cohn, *System der Nationalökonomie*, I, 53). Rozumié się, że nastąpiła chwila, kiedy pewne hasła ustąpić musiały, ażeby miejsce wytworzyć dla przyjęcia innych. Ale prócz treści — czysto czasowéj, tylko w pewnym momencie historycznego rozwoju wartość swą mającéj — zawierało „prawo natury", i takie dźwięki, które i dzisiaj nawet w stuletniéj perspektywie wartości swéj nie utraciło. Literatura publicystyczna, bojowa i namiętna hasłami temi posiłkować się musi dzisiaj jeszcze — i za złe tego brać jéj nie można. Z tego punktu widzenia przewidzieć nawet trudno chwilę, kiedy „prawo natury" w téj właśnie swéj postaci zarzuconém zostanie w zupełności. — A i rola, jaką w dziejach walki myśli ludzkiéj spełniło, przybrała je w fantazyi współczesnego czytelnika taką aureolą blasku i chwały, że trudno, nie sposób prawie, mimo wszelki obiektywizm naukowy i ostrożność krytyczną, wyzbyć się szczerych dla niego sympatyi.

Ten zarzut — natury bardziéj osobistéj, jakkolwiek typowéj — nie zaważy na szali dodatnich i ujemnych stron dzieła prof. Bergbohma, które uwadze czytelnika, nietylko specyalisty, polecić się odważamy. Zapowiedzianych téż dalszych tomów, w których autor obiecuje rozpatrzéć metody (t. II) i zadania filozofii prawa (t. III), wyczekiwać téż możemy niecierpliwie, pewni, że, sądząc z pierwszego tomu, nie zawiodą swych oczekiwań. *S. Posner.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— W r. 1890-ym dr. *Zygmunt Celichowski* wydał nakładem Biblioteki Kórnickiéj pierwszy tom zbioru źródeł historycznych pod tyt. „**Lites ac Res gestae** inter Polonos Ordinemque Cruciferorum“, opracowanego i przygotowanego do druku przez zmarłego już pułkownika *J. Zakrzewskiego.* W swoim czasie podaliśmy czytelnikom „Ateneum“ wiadomość o owym pierwszym tomie. Obecnie mamy przed sobą tom drugi, wydany w roku zeszłym w Poznaniu, a obejmujący sprawę z roku 1412. Jak poprzednio przy procesach z lat 1320 i 1339, tak i tutaj, Zakrzewski podał na czele wstęp historyczny (stron 31), przedstawiający przebieg wypadków poprzedzających sprawę roku 1412 — 1413; poczém idą akta sprawy, poczynając od układu Zygmunta króla rzymskiego z krzyżakami, zawartego w Budzie 4 stycznia 1412 r., aż do deklaracyi Benedykta de Macra z 10-go czerwca 1413 r., zaświadczającéj, że Jagiełło i Witołd wyrok Zygmuntowy przyjęli, a przeciwnie krzyżacy starają się od wykonania onego usunąć. Najważniejszą część tych aktów stanowią protokóły czynności wykonawczéj Benedykta (str. 88—356). Tom ten uzupełnia 75 dokumentów urzędowych, odnoszących się do owego procesu. Badacze dziejów, wdzięczni za podjęte przez Bibliotekę Kórnicką wydawnictwo, z niecierpliwością oczekiwać będą trzeciego tomu „Lites“, gdzie bezwątpienia pomieszczone zostaną indeksy, tyle niezbędne przy korzystaniu z tak olbrzymiego zbioru materyałów.

— W zbiorach Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu zgromadzono znaczną bardzo ilość wyrobów przedhistorycznych, z ziemi wielkopolskiéj wydobytych. Zbiory te, nie dość często przez podróżników naszych oglądane, zwróciły jednak baczną uwagę wielu uczonych niemieckich, że tylko słynnego Virchova wymienimy. Chcąc powszechniejsze rozbudzić wśród naszego ogółu zajęcie dla tych zabytków, zarząd Towarzystwa przyjaciół nauk obok wielkiego **Album** foliowego, które, ze względu na znaczne koszta, w szczupłéj tylko liczbie egzemplarzy odbito, — podjął wydanie **Album przedhistorycznych zabytków Wielkiego Księstwa Poznańskiego** (Poznań, 1893) w formacie zmniejszonym zwykłéj ósemki, do którego tekst objaśniający napisał dr. *Bolesław Erzepki*, konserwator zbiorów. W zeszycie pierwszym tego wydawnictwa mieści się dwadzieścia tablic fotodrukowych, wykonanych w Lipsku; na pięciu pierwszych wyobrażone są

przedmioty z kamienia, gliny i rogu, na dalszych wyroby miedziane i bronzowe. Widzimy tu młoty i siekiéry, ostrza krzemienne strzał, takież groty włóczni i skorupy naczyń zdobionych, a daléj spirale, któremi osłaniano ręce do boju, celty, miecze, puginały, szpile, pierścienie, sierpy, koła, kółka, dłuta, kręgi bronzowe, które stanowiły rodzaj narzędzia muzycznego, czy dzwonów, łańcuch, klamerkę i t. d. Szczególną uwagę zwraca piękny naszyjnik bronzowy, z 17 obręczy niagdyś złożony, oraz para wołków spiżowych, znaleziona pod ogromnym głazem w Bytyniu. Wydanie to, zmniejszone co do formatu, może stanowić wyborny przewodnik dla zwiedzających zbiory Towarzystwa w Poznaniu, a przystępniejsza cena powiększy, spodziewać się należy i liczbę kupujących; dostarczy to Towarzystwu środków pieniężnych na wydanie dalszych zeszytów tego interesującego Album.

— Pomimo obojętności społeczeństwa, które się ledwie na 134 prenumeratorów wzdobyło, komitet redakcyjny **Pamiętnika fizyograficznego** nie ustał w pracy i dzięki zapomodze, udzielonéj przez kasę im. dra. Józ. Mianowskiego, wydał już XII-y tom tego poważnego wydawnictwa. Tom ten, poświęcony pamięci zmarłego w roku zeszłym profesora Augusta Wrześniowskiego, jednego ze współpracowników „Pamiętnika,“ — rozpada się na cztery działy: w pierwszym (meteorologia i hydrografia) mieszczą się spostrzeżenia, czynione w 1891 roku na 32 stacyach, urządzonych przez sekcyę cukrowniczą; zestawienia rocznego dokonał prof. W. Kwietniewski. W roku 1892 przybyły dwie nowe stacye, ale natomiast zamknięta została stacya Czehżyńska, wzorowo dotąd prowadzona przez p. E. Korbusza. Daléj idzie wykaz spostrzeżeń fenologicznych nad porą rozkwitania i dojrzéwania pewnych roślin, na 10 stacyach. Inżynier Józef Słowikowski podał „Charakterystykę Wisły“ ze szczególném uwzględnieniem zjawisk towarzyszących zamarzaniu rzek. W dziale geologii z chemią znajdują się „Rozbiory ziemi ornéj,“ któréj próbki nadesłano z powiatu Lubelskiego i Hrubieszowskiego, dokonane przez p. E. Znatowicza. W dziale trzecim (botanika i zoologia) jedna jest tylko praca z dziedziny zoologii, p. L. F. Hildta „Przyczynek do fauny chrząszczaków podolskich; resztę miejsca zajęły pisma treści botanicznéj; na ich czele stoją dwie prace nieodżałowanéj pamięci Kazimierza Łapczyńskiego, wielkiéj zacności człowieka i niezmordowanego badacza flory: 1) Zasięgi roślin dennokwiatowych w Królestwie Polskiém i w krajach sąsiednich (Ciąg dalszy rzeczy poczętéj w poprzednich tomach „Pamiętnika“) i 2) bardzo zajmująco skreślony opis podróży „z powiatu trockiego do

Szczawnicy.“ P. Fr. Błoński ogłosił „Przyczynek do flory jawnokwiatowéj i skrytokwiatowéj naczyniowéj kilkunastu okolic kraju;“ p. F. Kwieciński podał „Spis mchów i paprotników, znajdowanych w r. 1891 na gruntach majątku Hańsk“ (w pow. Włodawskim); p. B. Eichler „Materyały do flory wodorostów okolic Międzyrzeca; p. S. Chełchowski „Przyczynek do znajomości krajowych grzybów gnojowych;“ p. A. Zalewski „O roślinności z okolicy miasta Tykocina,“ i „Drobny przyczynek do znajomości roślin z okolic Wyszogrodu z przed siedmdziesięciu laty;“ p. M. Twardowska „Ciąg dalszy spisu roślin z okolicy Szemetowszczyzny i z Weleśniny.“ Do działu antropologii weszły interesujące „wiadomości z dziedziny starożytnictwa“ dotyczące nasypów przedhistorycznych, a zebrane przez p. A. Zalewskiego. Ten tom „Pamiętnika“ ozdobiony jest dwunastu tablicami litografowanemi i drzaworytami w tekście.

— Staraniem i nakładem p. *B. Ronczewskiego* wyszedł na rok 1894 **Kalendarz myśliwski**, zawierający między innemi artykuły o pardwie (M. Siemiradzkiego), o grze głuszców i o tokach cietrzewi (J. Sztolcmana), o polowaniu na niedźwiedzie, na dzikiego konia, o polowaniu z sokołami, z puhaczem, *par force*; p. A. Rembowski pomieścił tu swe uwagi nad obowiązującemi przepisami o polowaniu, o języku myśliwskim i o notatkach myśliwskich Józ. hr. Potockiego. Nowela pod tyt. „Dziedzic i kłusownik,“ skreślona dzielném piórem p. A. Dygasińskiego, wywoła szczery uśmiech na usta każdego czytelnika. Kalendarz ozdobiony jest licznemi rysunkami.

— W miesiącu wrześniu 1894 r. zbierze się w Buda-Peszcie VIII-y kongres międzynarodowy hygieny i demografii. Prace przygotowawcze posuwają się żywo: wskazano tematy mających się przedstawić referatów w 19 sekcyach hygieny i w 7 sekcyach demograficznych, a uproszeni przez komitet wykonawczy, uczeni w zasadzie przyjęli na siebie ten obowiązek. W przyszłym miesiącu rozesłany będzie szczegółowy program pytań, przydzielony do każdéj sekcyi. Jednocześnie z kongresem urządzona będzie wystawa hygieniczna, nie mająca charakteru przedsięwzięcia przemysłowego, lecz przeznaczona do rzeczowego ilustrowania referatów odczytywanych na kongresie. Jéj program ogłoszony będzie niebawem. Komitet przygotowuje dla członków kongresu (po jego zamknięciu) kilka wycieczek, mianowicie do Wrot Żelaznych na dolnym Dunaju, do Belgradu, do Konstantynopola. Sekretarzem jeneralnym komitetu jest profesor dr. C. Müller ze szpitala Św. Rocha w Budapeszcie.

NEKROLOGIA.

† Dnia 23 sierpnia r. b. zmarł w Nałęczowie **Michał E. Andriolli.** Wielce popularny ten artysta urodził się w Wilnie 1837 r. Pierwszy rysunek jego pomieścił „Tygodnik ilustrowany“ w r. 1860. Osiadłszy w Warszawie w jedenaście lat potém, prace swego ołówka pomieszczał we wszystkich prawie tutejszych pismach obrazkowych i niektórych zagranicznych. Bardzo pracowity, ilustrował dzieła wielu poetów, albo odtwarzał na osobnych kartonach wydatniejsze sceny przez nich opisane. „Kłosy“ ogłosiły trzy serye listów jego z wycieczek po kraju. W roku bieżącym drukował w „Kuryerze Warszawskim“ listy z podróży nad brzegi Adryatyku.

SPROSTOWANIE.

(do art. „Niemiecka reforma wojskowa“).

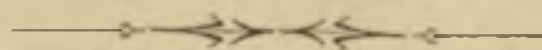
	zamiast:	powinno być:
str. 494 wiersz 25	„zapewne 215,000“	213,000
„ 495 w. 5 w odnośniku	?	20,786.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

1. **Badania z historyozofii.** Część IV. Z jedną tablicą rysunków. Przez *Tadeusza Chrzanowskiego.* Warsz. 1892, 8-vo, str. 84.
2. **Cesarz Tyberyusz** przez *Kazimierza Morawskiego* Petersb. skład główny w księgarni Br. Rymowicz, 1893, 8-vo, str. 69.
3. *Rudyard Kipling.* **Nowele.** Petersb. nakł. księg. Br. Rymowicz, 1893, 8-vo, str. 60.
4. **Napoleon III i Włochy** przez *Henryka Lisickiego.* Petersb. nakł. księg. Br. Rymowicz, 8-vo, str. 190.
5. **Stosunek psałterza** przekładania Jana Kochanowskiego do Paraphrasis psalmorum Jerzego Buchanana napisał *Antoni Sienicki.* Sambor, druk Schwarza i Trojana, 1893, 8-vo, str. 65.
6. **Słownik gieograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów Słowiańskich, pod redakcyą *Br. Chlebowskiego.* Tom. XII, zeszyt 144, (str. 881—960).
7. *Henryk Gliński*, **Pogadanka o Teatrze 1892—1893 r.** Petersb. 1893, 8-vo, str. 200.
8. **Książe „Panie Kochanku"** w świetle własnej korespondencyi. Studjum *Jerzego Mycielskiego.* Petersb. skład gł. w księg. Br. Rymowicz, 1891, 8-vo, str 146.
9. **O doniosłości ekonomicznej ubezpieczeń** życiowych w stosunkach gospodarstw wiejskich. Napisał *Tadeusz Chojecki.* Warsz. nakł. Towarzystwa ubezpieczeń „Przezorność" (1893), str. 12.
10. *Feliks Wiśniewski.* **Duch i materya.** Pogląd filozoficzny. Warsz. 1893, 8-vo, str. 95 i III.
11. **Encyklopedya rolnicza,** wydawana staraniem i nakładem Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie. Zeszyt XXVII, str. 257—368.
12. **O pożyteczności kefiru.** Przoz *K. A. Sigalina,* (po rusku). Warsz. 1893, 8-vo, str. 25.
13. **Lites ac Res gestae** inter Polonos Ordinemque Cruciferorum. Tomus II. Posnaniae, nakład Biblioteki Kórnickiej, 1892, 4-vo, str. 482.
14. **Obodska sztamparija** na rijeci Crnojewicza u Crnoj Gori i ńeu znaczaj na słowenskom jugu. Napisao *P. A. Rowinski.* Cetynia, 1893, str. 32.
15. **Kalendarz Myśliwski** ilustrowany na rok 1894, Warsz. nakład magazynu broni B. Ronczewskiego, 8-vo, str. 192 + 14 + II.
16. **Memoryał** o zachowaniu obecnej skali cła na węgiel kamienny, przewożony przez zachodnią granicę lądową (po rusku). Petersburg 1893, 8-vo, str. 45 i trzy dodatki.
17. **Sprawozdanie jedenaste** z czynności komitetu zarządzającego Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia D-ra med. *Józefa Mianowskiego* **za rok 1892.** Warsz. 1893, 8-vo, str. 83.
18. **Pamiętnik fizyograficzny.** Tom XII. Warsz. 1892, 4-to, str. XVIII, 214, 7, 235 i 23, z 12 tabl. litogr. i drzeworytami w tekście.



Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Oboźna, 5.